

**LUCY EDGE**

**NAJGORSZA W SZKOLE JOGI**

**Tłumaczyła Elżbieta Smoleńska**

*Dla Mamy i Taty,  
moich pierwszych guru,  
oraz Teddyego Edgea,  
mojego trzyletniego chrześniaka i naczelnego guru*

W książce używam prawdziwych imion guru i nauczycieli jogi oraz nazw aśram i szkół. Chcąc jednak chronić niewinnych ludzi, których dane mi było spotkać, zmieniłam ich imiona i inne szczegóły pozwalające na identyfikację. Opis kariery w reklamie jest zlepkiem różnych doświadczeń i nie odnosi się do żadnej konkretnej agencji.

„Fioletowe wibracje otwierają mi czakrę korony na całą szerokość”

— Joga uczeń — powiedział riksarz, wskazując znacząco w kierunku bungalowu mającego w gasnącym świetle dnia za pomarańczowymi kwiatami kilku bujnie rozrośniętych pacioreczników. — Dwieście rupii! Ty płacić! — powiedział jeszcze bardziej znacząco, zatrzymując się tuż przed obrażoną krową, która zajmowała całą niemal, i tak wąską, drogę.

Było to jakieś dwa i pół funta — dość drogo jak na kilometrową trasę w Indiach — ale jeżeli za tę sumę miałam dotrzeć do Ortario and Magdalis Cafe, stanowiącej podobno punkt zborny uczniów jogi w Mysore, to gotowa byłam zapłacić. Przyjechałam do miasta zaledwie godzinę temu, ale nie mogłam się już doczekać spotkania ze swoimi braćmi w jodze. Poza tym byłam głodna.

Wręczyłam mu pieniądze i po delikatnych negocjacjach

z kozą, która postanowiła pożywić się plakatem wiszącym na bramie, ruszyłam ogrodową ścieżką, aż dotarłam do długiego rzędu znoszonych kłapek i sandałów. Dołożyłam do nich moje nowe, błyszczące, pomarańczowe sandaalki, wzięłam głęboki oddech i otworzyłam drzwi do raju jogi.

Miałam przed sobą dwadzieścioro lub więcej urodziwych ludzi, udrapowanych na wielkich poduchach, kanapach i jeden na drugim. Znekany kelner, jedyna osoba wykazująca jakiegokolwiek oznaki ruchu, krążył w tę i z powrotem przez żaluzjowe drzwi kuchenne, zza których od czasu do czasu dochodził zapach czosnku i zielonej kolendry.

Obserwowałam tę scenę z lekkim uśmiechem, nerwowo przyciskając do piersi nowiutki egzemplarz *Jogasutr Patańdzalego*. Nagle poczułam się onieśmielona. Od dawna wyobrażałam sobie tę chwilę — pierwsze spotkanie ze studentami jogi w Mysore — gdzie jednak miałam usiąść? Wszyscy byli dość poplątani. Nie wiedząc, jak przyłączyć się do tego ludzkiego spaghetti, stanęłam wyczekująco obok oddzielnej grupki, która siedziała z prostymi plecami przy niskim stoliku udekorowanym pustymi talerzami, kawałkami placków *naan* i herbatą miętową.

— Chcesz do nas dołączyć? — spytała ochryplym głosem dziewczyna ze złocistą cerą i długimi jasnymi włosami.

— Dziękuję, bardzo chętnie — powiedziałam z wdzięcznością.

Spróbowałam naśladować ich pozycję lotosu — kostki swobodnie oparte o uda — ale moje biodra i kolana odmówiły współpracy przy zgięciu pod kątem 45 stopni. Musiałam zarzucić kolejne próby i usiąść po prostu po turecku — stopy i kostki przyciśnięte mocno do podłogi. Przykryłam szalem ten kłopotliwy układ ciała.

— Mam na imię Lisa i jestem ze Szwecji — powiedziała blondynka z nienagannym angielskim akcentem i ciepłym uśmiechem.

— Jestem Lucy. Przyjechałam dzisiaj. Z Londynu.

— *Namaste*, Lucy. Witaj w Mysore. — Lisa złożyła dłonie jak do modlitwy i skinęła głową. — To jest Greg, a to Shanti.

— *Namaste* — powiedział Greg, składając dłonie jak do modlitwy i pochylając głowę.

— *Namaste* — Shanti wykonała identyczny gest.

— *Namaste* — odpowiedziałam i odkloniłam się, co zakończyło rundę zapewnień, że duch w każdym z nas będzie okazywał szacunek duchom wszystkich innych osób.

Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o moich duchowych kolegach.

— Podoba mi się twój strój, Shanti — powiedziałam, patrząc z zachwytem na jej bursztynowo-brązowy *śalwar kamiz*, idealnie dopasowany do mahoniowych loków, oliwkowej cery i przejrzystych zielonych oczu.

— Och, dziękuję. Jest bardzo stary. Dostałam go od żony mojego nauczyciela jogi. Prawda, że to miłe z jej strony? Ona jest taka piękna.

Zagłębiając się w temat, dodałam:

— I ten szal! Gdzie go kupiłaś? Ten kolor wygląda na tobie wspaniale.

— Och, bardzo ci dziękuję, Lucy. Kiedy byłam w Dharamśali, pewien święty mąż zobaczył moją aurę. Szal jest do niej idealnie dopasowany. Fioletowe wibracje otwierają mi cza-krę korony na całą szerokość i jednocześnie chronią moje pole energii. Złote wykończenie

— Shanti wskazała na misterny haft — wspiera duchowych przewodników w opiece nade mną.

— Też masz ładny szal, Lucy — powiedziała Lisa uprzejmie.

— Dzięki. St Joseph na Brompton Cross. Dość drogi, ponad dwieście funtów. Ale biorąc pod uwagę, jak często go noszę, wyszło nawet tanio.

W naszej rozmowie pojawiło się drobne pęknięcie. Lisa przyszła mi z pomocą.

— Co cię przyniosło do Indii?

— Zdaje się, że Boeing 747. Miałam bardzo długą podróż. Najpierw do Bombaju, a potem do Bangalore. Czuję się dość paskudnie, ale to chyba nie zmiana czasu. Za dużo wypiałam w samolocie.

Kolejna przerwa w rozmowie, tym razem nieco dłuższa. Lisa uśmiechnęła się wyrozumiale.

— A ty, Shanti?

— Chcę się uczyć *aṣṭāṅgi* z Gurudżim. Mówiłam już, zanim weszła Lucy, że jestem pierwszy raz w Mysore, ale tak naprawdę byłam tu już kiedyś, tylko że tego nie pamiętam. W siedemdziesiątym piątym przyjechała tu moja mama, nie wiedziała, że jest ze mną w ciąży, więc robiła wszystkie odwrócone pozycje: *adho mukha vrksasana*, *parśwawapada sarwan-gasana*, *hanumanasana* w *sirśasanie*. Dość niebezpieczne jak dla niej, mogła mnie stracić, ale mnie się chyba spodobało. Wygląda na to, że wyssałam jogę z mlekiem matki.

— Twoja mama musiała być jedną z pierwszych europejskich uczennic Gurudżiego — powiedziała Lisa z podziwem.

Shanti uśmiechnęła się potakująco, po czym z elegancją tancerki rozciągnęła nogi w pełnym rozkroku, utrzymując przy tym idealnie proste plecy. Zgięła kostki i palce u nóg, po czym znieruchomiła z delikatnym brzękiem ręcznie rzeźbionych dzwoneczków na starym łańcuszku na kostce.

Greg, blady, chudy facet z cienkim końskim ogonkiem i kozią bródką z wplecioną żółtą nitką, patrzył na nią z uznaniem. Odchrząknął.

— Mój ojciec też był w Indiach, i to chyba jeszcze wcześniej... Zdaje się, że w sześćdziesiątym ósmym. Przyjechał z misją ratowniczą, żeby wyrwać moją ciotkę z oparów *chillum*. Ciotka była wtedy z beatlesami w Ryszikeś, w aśramie Mahariszi Mahesz Jogiego. Pojechałem do niej, kiedy wróciła do domu do Woodstock. Chciałem, żeby mnie nauczyła latać nad ludzkimi głowami, tak jak Mahariszi, ale powiedziała,

że jestem za mały, i w zamian nauczyła mnie trochę jogi. To doświadczenie przewróciło mi świat do góry nogami. Znalazłem się na swojej ścieżce. Joooga — powiedział z westchnieniem, rozkładając dłonie, jakby chciał przygarnąć cały świat. Uśmiechnął się błogo, zwłaszcza w kierunku Shanti. Lisa nie posiadała się z radości.

— To cudowne, że wszyscy poznaliśmy jogę w tak młodym wieku. Kiedy miałam trzynaście lat, moja starsza siostra dała mi *Jogasutry Patańdzalego*. Pamiętam, że czytałam je w naszym letnim domu na Gotlandii. Dla mnie to był punkt zwrotny, duchowe objawienie. Podobno wybieramy rodzinę, w której przychodzimy na świat. Wygląda na to — rozpromieniła się — że wszyscy dobrze wybraliśmy.

Greg i Shanti zgodzili się z nią uśmiechem. Mój uśmiech był raczej niewyraźny. Jako trzynastolatka najchętniej czytałam pismo „Jackie”. Kiedy beatlesi i ciotka Grega zawierali znajomość z Mahariszi Mahesz Jogim, mój ojciec tyrał jak wół, żeby zarobić na kolorowy telewizor. Ja przez całe dorosłe życie pracowałam w reklamie, a jedyne duchowe epifanie przeżywałam po wykończeniu butelki pinot grigio. Szybko zmieniłam temat. Czy Shanti była instruktorką jogi? Wydało mi się to prawdopodobne.

Brylantowy kolczyk w nosie Shanti błysnął w słabym świetle.

— Jasne. Uczę jogi od ośmiu lat. Na początku pomagałam mamie. Teraz daję prywatne lekcje na Manhattanie i na Brooklynie, gdzie mieszkam. Mam dwudziestu stałych uczniów i stronę internetową, można tam kupić moje pierwsze DVD. Wspaniały przepływ, na pewno ci się spodoba. Nie naciskam za mocno. Jak w uprawach organicznych — pozwalałam, żeby wszystko rozwijało się naturalnie. — Zaczęła przetrząsać wielką, ozdobioną lusterkami torbę i wyjęła z niej wizytówki.

— Proszę, weźcie sobie. Tam jest adres strony internetowej. Dajcie mi znać, jak wam się podobało DVD.



Podziękowaliśmy jej wylewnie, podziwiając cienkie kremowe wizytówki, na których widniała Lakshmi, bogini bogactwa i pomyślności. Stała w różowym sari na kwiecie lotosu, a z jej czterech rąk płynął strumień złotych monet.

Greg pospiesznie wręczył nam swoje wizytówki z wytłoczoną na złoto sylabą OM, nie omieszkając zaznaczyć, że uczy się u Gurudźiego, też jest nauczycielem jogi i też mieszka na Brooklynie tak jak Shanti. Po czym z wyraźnym ożywieniem przystąpił do opisywania swojej pracy masażysty *raso wai*:

— Chodzę wzdłuż całego ciała, używając gorących olejków, by przywrócić przepływ energii i harmonii we wszystkich stawach. To niewiarygodne przeżycie duchowe. Spływa na mnie szczęście, miłość i wyższa świadomość — mówił ze wzrokiem utkwionym w oczywisty przedmiot swoich uczuć.

Shanti uśmiechnęła się i nadal z nogami rozłożonymi pod kątem 180 stopni leniwie wyciągnęła tułów do przodu, po czym ułożyła go płasko na podłodze, opierając twarz na dłoniach.

— I nigdy się nie pośliznąłeś? — spytałam. Popatrzył na mnie surowo.

— Duchowe zobowiązania to duże obciążenie, ale stopy mam lekkie. Poza tym używam liny, żeby zachować równowagę. — Podniósł się. — Muszę złapać najzdrowszy sen przed północą. O piątej rano będę już na macie. Mam nadzieję, że Gurudźi pomoże mi popracować nad skłonami w tył z pozycji stojącej. — Posłał Shanti jeszcze jedno tęskne spojrzenie i dał susa w ciemność.

Shanti powoli dźwignęła się z podłogi, skręciła tułów i swobodnie ułożyła go na wyciągniętej nodze, dotykając głową kostki. Uniosła twarz o kilka centymetrów, żeby powiedzieć nam, że ona zaczyna jutro o szóstej. Poleży sobie dłużej, bo zwykle wstaje o czwartej rano, z wyjątkiem niedziel i dni księżycowych. Ujęła stopę w dłonie i znów przycisnęła głowę do kostki.

Lisa też uwielbiała wcześniej wstawać.

— Ćwiczenie o piątej rano świetnie mi robi. To taka *satwiczna*, czysta i pełna harmonii pora dnia. Mam potem jasny umysł, a moje ciało przepełnia niewiarygodny spokój.

Postanowiłam nie mówić, że nie zamierzałam jutro wstawać przed dziewiątą, ale musiałam wyznać jedną rzecz: nie byłam uczennicą Gurudźiego.

Shanti uniosła głowę i patrzyła na mnie. Zapadła cisza.

Obawiając się, że tym razem nieznaczone pęknięcie w rozmowie zamieni się w ziejącą przepaść, zaczęłam tłumaczyć:

— Byłam na warsztatach, które Gurudźi prowadził w Londynie, i on powiedział, że jestem „złą kobietą”. Robiłam wtedy, te, no takie, pompki.

— *Caturanga dandasana* — poprawiła mnie Shanti.

— A potem chciał, żebym wykonała tę pozycję równoważną, w której stoi się na jednej nodze, a palec drugiej nogi trzyma się ręką.

— *Utthita hasta padangusthasana* — podsunęła usłużnie Shanti.

Wyjaśniłam, że straciłam równowagę i o mało się na niego nie przewróciłam, więc uznałam, że w Indiach powinnam uczyć się u kogoś innego. A potem szybko zmieniałam temat i zaczęłam mówić o sześciotygodniowym kursie, na który się zapisałam.

— Ten kurs prowadzi pan Venkatesh. Stworzył swój własny system jogi, *atma wikasa*, co oznacza „ewolucja duszy” — dodałam z dumą.

— Aha, Venkatesh, ten „gumowy jogin”. — Lisa spojrzała na moje skrzyżowane nogi (szal mi się zsunął) z pewną podejrzliwością.

Po raz trzeci w ciągu ostatniej półgodziny uśmiechnęłam się niewyraźnie.

Jakoś straciłam apetyt.

„Połączymy się ze źródłem kosmicznej szczęśliwości, czyli z wszechświatem”

Z pewnym trudem wpasowywałam się w nastrój Mysore, co zresztą nie było takie dziwne. Jeszcze na tydzień przedtem, nim zdjęłam swoje pomarańczowe sandały na progu Ortario and Magdali's Cafe, przemierzałam w szpilkach korytarze agencji reklamowej, idąc na zebranie na temat opakowania na margarynę. Dziesięć lat pracy w reklamie i debatowania nad wymową takich pudełek nie było dobrym przygotowaniem dla szukającej sensu życia adeptki jogi.

— Lucy, powiedz mi coś o tłuszczu wielonienasyconym — zaczął Dyrektor Kreatywny, sadzając mnie sobie na kolanach.

Nie czułam się najlepiej po tym delikatnym przejściu władzy, ale nie wiedziałam, jak mam się zsunąć, nie robiąc przy tym sceny. Spokojnie, lecz desperacko szukałam oparcia

dla stóp i jednocześnie tłumaczyłam, na czym polega najnowszy problem strategiczny naszego zniekanego klienta od margaryny:

— Jak na razie tłuszcz wielonienasycony uchodzi w oczach konsumentów za dobry tłuszcz, jednak dużo lepszy jest tłuszcz jednonienasycony. To będzie kolejny przebój. Nasz klient zamierza wprowadzić nowy produkt za miesiąc, ale obawia się, że Sainsbury i Tesco pójda jego śladem. A w oczach konsumentów produkt z supermarketu niczym nie różni się od droższego produktu markowego, więc nikt nie będzie przepłacał.

Wykorzystałam moment roztargnienia Dyrektora Kreatywnego i zsunęłam się nieco z jego kolan. Spokojnie, powoli postawiłam jedną stopę na podłodze. I nadal mówiłam bez zająknienia:

— Musimy więc zrobić coś, żeby nasz tłuszcz jednonienasycony nabrał jakiejś wartości emocjonalnej, która odróżni go od produktów niemarkowych. Klient chce wykorzystać swój dotychczasowy kapitał reklamowy, czyli słoneczniki, bo według badań wywołują radosne i beztroskie skojarzenia, zwłaszcza gdy śpiewają radosne i beztroskie piosenki. Problem polega na tym, że słoneczniki to tłuszcze wielonienasycone. Mamy więc pytanie: wykorzystać słoneczniki, ryzykując dezorientację konsumentów? A jeżeli je wykorzystamy, to co one, do cholery, miałyby śpiewać?

Dyrektor Kreatywny objął mnie mocniej w talii i uśmiechnął się znacząco.

— Uwielbiam, kiedy mówisz takie nieprzyzwoite rzeczy. Sami widzicie.

Pracowaliśmy na okrągło, żeby znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Byłoby to zrozumiałe, gdyby chodziło o zaprowadzenie światowego pokoju, ale my tylko musieliśmy wymyślić piosenka

Zdarzały się też krótkie chwile wytchnienia. Raz miałam

na sobie różowe klapki z puszką Agent Provocateur, bo udawałam boginię domowego ogniska na prezentacji dla klienta od odkurzaczy, a drugi raz w fioletowej, aksamitnej minispódnicy Pussy Galore i kozakach do pół uda śpiewałam *Happy Birthday* na imprezie dla klienta od margaryny. Ale to mi nie wynagrodziło wysiłku. Miałam dość pracy w centrum peryferii. Chyba można wymagać od życia czegoś więcej?

Całe to zamieszanie wokół margaryny zostawiało mi niewiele czasu na życie prywatne. Ikoną domowej rozkoszy stały się gotowe dania z M&S Café Culture, zwłaszcza „Bakłażany parmigiana”. Nie miałam czasu, żeby wyjść i się zabawić, mogłam co najwyżej siedzieć w domu i dochodzić do siebie przed kolejnym nieprzekraczalnym terminem, który przelatywał nad moim biurkiem niczym pocisk samosterujący. Jego zadaniem było wyszukiwanie i niszczenie wszelkich moich szans na znalezienie faceta przed osiągnięciem wieku emerytalnego.

Najpierw próbowałam zobaczyć swój status singielki w pozytywnym świetle — wystarczy mi jeden komplet porządnej bielizny; żadnego piwa w lodówce, więc mam mnóstwo miejsca na colę light, orzeszki w czekoladzie i pinot grigio; żadnej udręki depilowania okolic bikini; żadnych kłótni o pilota; no i nikt mi nie zostawia podniesionej deski klozetowej — ale było jasne, że mimo tych wszystkich zalet wolałabym raczej mieć faceta.

Moje nieliczne związki okazały się katastrofą.

Stylowy dyrektor artystyczny z dobrego rocznika w stylowej marynarce i ze stylowym porsche zabrał mnie na Notting Hill do restauracji 192 i oznajmił:

— Lucy, jesteś niezwykłą, wyjątkową kobietą.

Widocznie moja niezwykłość i wyjątkowość tak go onieśmieliła, że nie był w stanie podnieść słuchawki i umówić się na kolejną randkę.

Młody, bardzo obiecujący copywriter całował się ze mną

w klubie jazzowym o trzeciej nad ranem. Następnego dnia wymieniliśmy maile:

**Od:** Lucy Edge

**Do:** Młody, bardzo obiecujący copywriter

Dzięki za fantastyczny wieczór. Nie byłam wcześniej w Ronnie Scott's, ale teraz będę już tam chodzić zawsze. Twój występ na saksie był rewelacyjny. Wydawało mi się, że cała sala odpływa, jakbyś grał tylko dla mnie. Nie mogę się doczekać naszego spotkania. Chętnie pojedę z Tobą na łódkę, tak jak ustaliliśmy. Może w przyszły czwartek? W pracy coś ściemnię, powiem na przykład, że jadę do Sheffield, żeby przepytać kobiety na temat margaryny. X

**Od:** Młody, bardzo obiecujący copywriter **Do:** Lucy Edge

To był fantastyczny wieczór, super się bawiłem. Skarbie, wszystko, co mówiłem, mówiłem szczerze—jesteś cudowna, naprawdę — ale dziś jest nowy dzień i życie płynie dalej. Może odłożymy wyjazd na łódkę, dopóki w firmie trochę się nie uspokoi? Bądź taka kochana i podrzuć mi, proszę, trochę więcej informacji o tych słonecznikach, o których wspominałaś wczoraj. Jakoś nie mogę sobie przypomnieć szczegółów, ale da się z tego zrobić naprawdę niezły kawałek. Mam nadzieję, że w tym roku na mojej półce z nagrodami pojawi się Yellow Pencil. Dzięki, Skarbie. X

Nie powstrzymało mnie to przed wyjazdem do Paryża z innym copywriterem, katolikiem w trakcie rozwodu, który był tak przerażony tym, że jego niedługo-była-żona dowie się o wszystkim, że kiedy odbieraliśmy bagaże na lotnisku Charlesa de Gaullea, wcisnął mi do kieszeni 300 funtów „na pokrycie kosztów”.

Na pokładzie samolotu w drodze powrotnej oznajmił: — Posłuchaj, Lucy, ten weekend wiele dla mnie znaczy. Nawet nie myślałem, że tak mi się spodobaś, ale nie jestem jeszcze gotowy na kolejne zobowiązania. Nawet wobec Cameron Diaz czułbym to samo.

Sześć miesięcy później ożenił się ponownie, choć ona nawet nie miała na imię Cameron. Powinna była wziąć więcej kasy.

Wpadłam w ponure rozmyślenia. W najlepszym razie byłam „panienką na kanapkę”, małym kaskiem, który pozwala facetowi przetrwać, dopóki nie spotka Tej Jedynej. W najgorszym — dziwką obsługującą taśmę bagażową na lotnisku.

Próbowałam wykorzystać zdolności analityczne, których używałam przy planowaniu kampanii reklamowych, żeby zrozumieć, dlaczego nigdy mi się nie udało. Ale za każdym razem kończyło się na zwołaniu spotkania wszystkich przyjaciółek

— Kawowych Guru. Siadywałyśmy przy kawie i ciastkach w Café Violette albo Café Seventy-Nine i omawiałyśmy różne możliwości. Może myślał, że mi nie zależy? Może to mnie nie zależało? Może był relacjofobem? A może to ja uciekałam przed stałym związkiem? Czy to ja byłam emocjonalnym autystykiem, czy on? Pojawiała się cała masa teorii, ale w końcu nieuchronnie dochodziłyśmy do jednego wniosku: te wszystkie popieprzone znajomości miały jeden wspólny mianownik

— mnie.

Niewątpliwie musiałam dokonać jakichś zmian, znaleźć inny sposób widzenia świata i inny, bardziej zrównoważony, a mniej wyobcowany sposób życia.

Jakie miałam opcje? Poza gotowymi daniami z Café Culture i Kawowymi Guru w czasie Epoki Reklamowej przy życiu utrzymywały mnie jedynie: sklepy Joseph, pinot grigio, moja mama i joga. Pod koniec butelki rzeczywiście pojawiały mi się czasem odpowiedzi na najważniejsze życiowe pytania,

ale niestety, rano nie bardzo umiałam je sobie przypomnieć. Moja mama zawsze była przekonana, że zna właściwą odpowiedź, lecz nie zawsze się z nią zgadzałam. I nawet ja, po wielu latach prób, musiałam jednak przyznać, że kolejna modna sukienka wcale nie daje szczęścia. Czyli została joga.

Moja przyjaciółka Maria pokazywała na imprezach sztuczkę, która zawsze wprawiała mnie w podziw: robiła szpagat, po czym podnosiła pośladkami pudełko płatków kukurydzianych. Twierdziła, że taki wyczyn jest skutkiem przestrzegania surowego reżimu jogi Iyengara, przy którym konieczne są specjalne kostki, wałki oraz stanie na głowie przez dziesięć minut dziennie. Nie miałam pojęcia, jak to wszystko rozciąga krocze, i nie miałam wcale ochoty się przekonać. Trzeba było dopiero rozpadu kolejnego związku i urlopu na Tobago, żebym trafiła na swoje pierwsze zajęcia jogi.

Podczas urlopu na Tobago w 1997 roku poznałam drobną, śliczną Kate. Podróżowała sama, jedynie z niebieską matą i kasetą z ćwiczeniami jogi nagranych przez jej londyńskiego nauczyciela. Po południu wylegiwała się na słońcu przy basenie w żółtym bikini i bejsbolowej czapeczce, czytając *Autobiografię jogina Paramahansy Joganandy*, a wczesnym wieczorem rozkładała na trawniku matę i wykonywała dwadzieścia jeden asan (pozycji jogi) z taką łatwością, jakby spływały na nią z góry na anielskich skrzydłach. Zauważyłam, że jej gibkie, powyginane w precel ciało i pełne wdzięku, miękkie ruchy dają niezwykle wrażenie spokoju i wywierają magiczny wprost skutek ma męskich gościach naszego hotelu — zamawiali kolejne szklaneczki ponczu, żeby tylko być w pobliżu; patrzyli na nią oczarowani, bez ruchu i w milczeniu. Przed końcem urlopu ona miała chłopaka, a ja nazwisko jej nauczyciela: Simon Low.



Zadzwoiłam do niego w następnym tygodniu. Powiedział, że za dwa tygodnie wyjeżdża z grupą do Huzur Vadisi w południowo-wschodniej Turcji. Grupa składa się z osób na zróżnicowanym poziomie, więc nie szkodzi, że jestem kompletną nowicjuską. Broszurę czytałam wielokrotnie. Mieliśmy ćwiczyć jogę pod baldachimem z winorośli, w dolinie otoczonej piniowymi lasami. Popołudniami mieliśmy wylegiwać się na słońcu przy kamiennym basenie albo drzemać w cieniu na hamakach, słuchając cykad. Wieczorami gra w szachy i czytanie starożytnej poezji urdu w drewnianym domku na drzewie. Noclegi w koczowniczych jurtach, okrągłych namiotach z otworem w dachu, nazywanym „okiem niebios”, przez który można spoglądać na gwiazdy.

Nie mogłam się doczekać. Za niecały miesiąc będę miała powyginane w precel ciało, posiadam wszystkie ukryte w nim moce.

Nie muszę chyba nawet mówić, że nie wszystko poszło tak, jak planowałam.

Kiedy reszta uczestników, z których znaczna część ćwiczyła jogę od ponad dziesięciu lat, skupiała się na rozciąganiu mięśni i opadaniu do właściwej pozycji — „rozluźnijcie się w niej jak miękki, ciepły budyń” — ja skupiałam się na tym, żeby się nie przewrócić. Przez pierwszy tydzień chwiałam się i trzęsłam w sposób nieopanowany, w miarę jak moje mięśnie uwalniały z siebie wieloletnie napięcie.

Za nic nie mogłam zsynchronizować się z resztą grupy. Przypomniały mi się początki zajęć step aerobiku — moje ręce i nogi stanowczo sprzeciwiały się każdej próbie ruchu w tym samym kierunku, co reszta ćwiczących. Zawsze psułam idealnie symetryczną linię, którą tworzyło dwadzieścia różowych trykotów zdolnych do osiągnięcia pełnej symultaniczności. Kiedy już zrozumiałam, o co Simon mnie prosi, i podejmowałam próbę, żeby to wykonać, wszyscy inni przechodzili do następnego ćwiczenia.

Dowiedziałam się, że asany pomagają zmienić stare wzorce utrwalone w ciele, a także — w połączeniu z praktyką regulowanego oddechu, czyli *pranajamą*, oraz medytacją — osiągnąć jedność umysłu, ciała i oddechu. To tyle, jeżeli chodzi o teorię... Intonacja Simona była niezwykle łagodna, a jego głos miękki i ciepły niczym herbatnik polany miodem. Ale wszystko na próżno. Kiedy mówił, że mam zrobić wdech i otworzyć się na nowe doświadczenia, ja robiłam wydech. Kiedy mówił, że mam zrobić wydech i odciąć się od przeszłości, ja wstrzymywałam oddech i szczelnie zamykałam w sobie wszystkie przeżycia.

Pewną synchroniczność udawało mi się jedynie uzyskać nad brzegiem basenu. W codziennej kolejce do opalania niemal bez wysiłku i w skoordynowany sposób rozkładałam swój ręcznik obok innych.

Problemy pojawiały się wraz z powrotem na matę. Moje ścięgna podkolanowe krzyczały wniebogłosy; otwieranie bioder było jak otwieranie drzwi, których zawiasy przez dwadzieścia lat pomalowano dwudziestoma warstwami farby; za nic nie mogłam przetłumaczyć swoim barkom, żeby zakończyły swój trwający całe życie romans z uszami. Nawet nie umiałam prosto stać. Kiedy wciągałam brzuch, nie mogłam oddychać; kiedy wysuwałam do przodu klatkę piersiową, pupę miałam wypiętą do tyłu; kiedy podciągałam rzepki kolanowe, napinały mi się mięśnie łydek. Pod koniec zajęć ledwo mogłam utrzymać się na nogach, gdzie mi tam było do stania na głowie czy na rękach.

Starałam się, jak mogłam, ale nie dawałam rady wykrzesać z siebie tyle joginicznego ognia, żeby unieść wzdłuż kręgosłupa *kundalini*, węża energii; wszystkie moje czakry pozostały absolutnie nieczynne. I wytrzymywałam zaledwie trzy oddechy, żeby nie pomyśleć, co było na obiad. Wydawało mi się mało prawdopodobne, że w jakiegokolwiek przewidywalnej przyszłości uda mi się zgodnie z instrukcjami Simona połączyć *ha* (gorącą energię Słońca) i *tha* (chłodną energię Księ-

życa) w *susumnie* (kanale energetycznym biegnącym wzdłuż kręgosłupa).

Kate powiedziała mi, że według słów *Bhagawadgity* — „Pieśni Pana”, starożytnej księgi — jogę zaczynają praktykować tylko ci, którzy robili to w poprzednim wcieleniu. Widocznie moje ciało zdążyło już wszystko zapomnieć. Mogłam być jedynie wdzięczna, że joga nie jest grą zespołową — nigdy by mnie nie wybrano do żadnej drużyny. I nie chodziło jedynie o brak koordynacji i elastyczności; moje mięśnie nie miały ani kształtu, ani wytrzymałości. Nigdy nie byłam „dobra w sportach”.

Po zakończeniu każdego zajęcia czułam się kompletnie wyczerpana. Cała się trzęsłam i dochodziłam do siebie dopiero po południu, po pięciu godzinach leżenia przy basenie. Wszyscy wokół starali się nie okazywać zaniepokojenia, ale wiedziałam, że wymieniali zatroskane spojrzenia i prowadzili tajną misję polegającą na nieustannym pilnowaniu mnie. Próbowali mnie pocieszyć opowieściami, ile czasu im zajęło, zanim dotknęli palców u nóg, aleja od samego początku miałam pełną świadomość, że na moim bilecie do rajy jogi nie było pieczątki „Na skróty”.

Ja i paru innych nowicjuszy próbowaliśmy rozluźnić obolałe mięśnie wśród poduszek w drewnianym domku na drzewie, a Simon łagodnie tłumaczył nam, że joga to jeden z sześciu systemów hinduskiej *darśany*, czyli „dróg widzenia”, które pomagają nam „zdzierać z siebie kolejne warstwy, tak jak zdejmuje się kolejne warstwy z cebuli”, dzięki czemu widzimy samych siebie z większą jasnością i „budzimy się do nowych możliwości, nowych sposobów istnienia”. Joga pomaga nam odnaleźć skarb ukryty w głębinach naszej istoty: nasze prawdziwe Ja — niezmiennie, trwałe, spokojne Ja, nazywane czasem „Wiecznym” — które jest czymś zupełnie innym niż łatwo wybuchające, nieustannie zmieniające się emocje, a także innym niż umysł i ciało, z którymi się błędnie utożsamiamy.

Joga odsłoni przed nami owo Wieczne Ja w trakcie procesu nazywanego *ċitta writti nirodhah* — „kontrolowanie aktywności umysłu”. W tej kontroli nie chodzi o wypieranie myśli, ale o zachowanie uważności, obserwowanie tej aktywności, rozwijanie umiejętności usuwania mentalnej gadaniny, która jest przeszkodą na drodze do wewnętrznego spokoju. Jeżeli będziemy regularnie ćwiczyć, mówił Simon, „nasz umysł będzie spokojny, zachowamy jasność widzenia w każdej sytuacji, dzięki czemu będziemy mogli sprostać wszystkim wyzwaniom stawianym przez życie”. I nawet komary, które nieustannie atakowały nas na matach, będziemy traktować z pogodą ducha.

To nie był łatwy tydzień — jak przystoi przy obieraniu cebuli, wylałam morze łez — ale jakimś cudem, biorąc pod uwagę moją walkę na macie, pojawiały się rzadkie przebłyski spokoju; mój umysł, oddech i ciało zaczęły się ze sobą dogadywać, a mentalne zamieszanie — czyli *ċitta writti* — zatrzymywało się czasem na chwilę lub dwie. Byłam tak zeszywniała, że przy porannym wstawaniu z łóżka musiałam prosić o pomoc; jednak gdzieś pod tym *rigor mortis* pojawiały się zachęcające oznaki rozwoju mięśni i wyciśnięto ze mnie ostatnią kroplę napięcia, które musiało sporo ważyć, schudłam bowiem cztery funty. Na koniec pobytu zrobiłam sobie z Simonem zdjęcie — on jest uśmiechnięty, opalony i wyluzowany, silny i ześrodkowany, ma na sobie sarong i kamizelkę Prana\*; ja wyglądam na wykończoną, nieco rozdygotaną, ale szczęśliwą, i to wcale nie z powodu utraty wagi. Czułam, że pod uśmiechem na twarzy pojawia się uśmiech całego ciała — wielki uśmiech ulgi po pozbyciu się wszystkich napięć.

Było też coś jeszcze — poczucie, że dokonała się fundamentalna zmiana, jak to określił Simon, otwarcie na nowe możliwości. Mówiłam o tym uczuciu — świadomości, że

\*Prana — tu: marka odzieży i akcesoriów do jogi. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

poza moją matą do jogi istnieje coś, czego nie umiem nazwać — swojej współlokatorce z jurty, Caroline, dystyngowanej producentce telewizyjnych reality show, kiedy patrzyłyśmy w gwiazdy i paliłyśmy skręta. Caroline podejrzewała, że ten promyk świadomości to może być moment *samadhi*, czyli samego oświecenia.

Caroline tłumaczyła mi, że kiedy już odnajdziemy swoje Wieczne Ja, to przekroczymy wymagania ego, wyjdziemy poza chęć posiadania i inne pragnienia. Zniknie poczucie oddzielenia, poczucie różnienia się od innych i spoczniemy w stanie *samadhi* — idealnego spokoju, oświecenia.

— Nie będziemy się martwić facetami, wyglądem czy pracą, a nawet komarami, bo połączymy się ze źródłem kosmicznej szczęśliwości, czyli z wszechświatem — zapewniała mnie Caroline. — W stanie kosmicznej świadomości będziemy w kontakcie z całym istnieniem, ze światem nieogarnionym myślą, wyzwolonym światem wiecznej miłości, będziemy wolne od cierpienia, za to w doskonałej harmonii ze sobą i z innymi.

Miałam pewne problemy, żeby przekonać się do tego pomysłu, dopóki nie wypaliłam jeszcze paru skrętów — w tym momencie połączenie się ze źródłem wiecznej szczęśliwości, czyli z wszechświatem, wydało mi się tak łatwe, jak wylegiwanie się przy basenie.

Po powrocie do Londynu — cała opalenizna na marne, ruch uliczny tuż za drzwiami, bikini w pralce — straciłam wszelkie przebłyski kosmicznej pewności, poczyniłam za to pewne postępy w ciągłej walce o zjednoczenie ciała i oddechu, chociaż jeszcze nie umysłu.

Chodziłam na zajęcia trzy razy w tygodniu, nie chwiałam się już, stojąc obiema stopami na ziemi, choć pozostała

mi pewna niestabilność, kiedy przyciskałam stopę do czoła. Dotknęłam w skłonie paków stóp po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu (dzień 366). Leżąc na plecach, dotknęłam stopami podłogi za głową w *halasanie*, czyli „pługu” (dzień 872). Nabrałam sił i wytrzymywałam w różnych pozycjach dłużej niż jeden oddech, zanim upadłam na matę. Kondycja poprawiła mi się na tyle, że ćwiczyłam przez całe zajęcia, zamiast spędzać połowę czasu na kolanach z głową na podłodze „w pozycji dziecka” — chociaż do dziś jest to moja ulubiona pozycja. Polepszyła mi się też koordynacja; nadal nie miałabym żadnych szans w pływaniu synchronicznym, ale przynajmniej nie przynosiłam już wstydu sobie i reszcie grupy. Udawało mi się wytrzymać na jednej nodze dłużej niż dziesięć sekund i od czasu do czasu widziałam gdzieś na horyzoncie przebłyski tak bardzo potrzebnej mi równowagi.

Niestety, przebłyski te były rzadkie i uciszanie rozbuchanego umysłu nadal stanowiło poważne wyzwanie. Odpoczywając na zakończenie zajęć w *sawasanie*, czyli „pozycji trupa”, miałam całą masę *ćitta writti*. Czy ten przystojniak obok był samotny? Mam nawiązać z nim rozmowę, kiedy będziemy zwijać maty? Czy ktoś będzie miał ochotę pójść po zajęciach na kieliszek wina?

Na ostatnie pytanie odpowiedź zawsze brzmiała „tak”, i zawsze był to więcej niż kieliszek. Przy drugiej butelce moje koleżanki bez zahamowań wyjawiały treść swoich *ćitta writti*. Nie zawsze chodziło o osobę z sąsiedniej maty. *Ćitta writti* mogły też dotyczyć tego, co włożyć na najbliższą imprezę, czy poprosić szefa o podwyżkę, co zrobić jutro na kolację albo czy przypadkiem w domu nie zostało włączone żelazko. Te myśli oddzielały nas od kosmicznej szczęśliwości.

Minęło kilka lat. Moje koleżanki jeździły po całym świecie na wakacje z jogą i wracały przepełnione wzniosłymi ideami: rzucą swoje ważne posady i zaczną prowadzić ośrodki jogi albo zostaną instruktorkami i będą sprzedawać ubrania do jogi

wyrabiane z peruwiańskiej ekologicznej bawełny. Snuły przede mną opowieści o „pogłębianiu praktyki” pod ścisłą kuratelą guru o egzotycznie brzmiących imionach: T.K.V. Desikachar, Pattabhi Jois (jak się później dowiedziałam, znanym też jako „Gurudzi”), B.K.S. Iyengar; w szkołach wcale nie tak eleganckich jak w Londynie. Zamiast białych, puszystych ręczników, kadzidełek i świec — cementowe podłogi i kraty w oknach. Spodnie z gumką i rozciągnięte T-shirty zamiast markowych ubrań do jogi Prana i Nuala, przynajmniej jeżeli chodzi o Desikachara i Iyengara. I szkoły te miały wyniki. Caroline opowiadała nam, że przeżyła duchowe objawienie przy myciu toalety w aśramie Sivananda, dwunastoakrowym „Rajskim ogrodzie” w Kerali. Jim i Jessie, którzy byli ze mną w Turcji, poznali dziewczynę, która była w Bihar School of Yoga, gdzie musiała nosić białą *pidżamę*\*, oddać paszport i ogolić głowę na łyso, co miało być symbolem pozbycia się ego i światowych myśli.

Mimo to moja fascynacja liczącą sobie pięć tysięcy lat tradycją jogi wciąż rosła. Zaczęłam śnić o podróży do Indii. Krainy gór i mędrców. Sanktuariów i świętych mężów. Krainy, w której wszystko — powietrze, drzewa, ziemia, na której stawiało się kroki — pomagało ci odnaleźć samego siebie oraz kosmiczną szczęśliwość.

*Autobiografia jogina* Paramahansy Joganandy, którą Kate czytała na Tobago, była naszpikowana opowieściami o mistrzach wyposażonych w niewiarygodną władzę nad materią. Vishudhananda — „Pachnący święty” — tak zmieniał strukturę cząstek mniejszych od atomów, że był w stanie stworzyć dowolne wonie albo owoce. „Tygrysi Swami” wykorzystywał moc umysłu do skupiania energii. Założył się z księciem Cooch Behar, że gołymi rękami zwiąże świeżo schwytanego tygrysa i wyjdzie z jego klatki o własnych siłach. Zakład wy-

\* *Pidżama* — w Indiach przewiewny strój dzienny, składający się z luźnych spodni i rozpinanej bluzy.

grał, a swój tryumf przypieczętował włożeniem głowy w paszczę zwierzęcia, choć potem *przeleżał sześć* miesięcy w łóżku z zakażeniem krwi, gdyż wobec takiego afrontu tygrys zatopił w nim swoje pazury. Był też Swami Pranabanada, „Święty o dwóch ciałach”, który w tym samym czasie rozmawiał ze swoim przyjacielem nad brzegiem Gangesu i z dwunastoletnim Paramahansą Joganandą w jego domu.

Żałowałam, że nie jestem „Reklamową dziewczyną o dwóch ciałach” — jedna część mnie zarabiałaby dobrą kasę na gadaniu o margarynie, a druga ruszyłaby na poszukiwanie przygód z mistrzami.

Joga stała się idealnym antidotum na wymagania życia związanego z reklamą. Moje wydatki na kursy w Triyoga and Life Centre, na podkoszulki do jogi firmy Nuala oraz Meditation Mist firmy Calmia były już nawet większe niż sumy zostawiane w Joseph. Uważałam jednak, że powinnam pielęgnować to rosnące przywiązanie do samej siebie. Jeden z account directorów, widząc nad moim biurkiem kartkę z cytatem z Gandhiego: „Bądźcie zmianą, którą chcecie zobaczyć w świecie”, popatrzył na mnie podejrzliwie i zabrał mnie na lunch. Przy kacze z zieloną soczewicą tłumaczył mi, że jego zdaniem nie da się pogodzić jogi i kariery w reklamie. Jego dziewczyna wracała po zajęciach jogi *trochę* odjechana i mówiła jakieś dziwne *rzeczy* o zespoleniu z kosmiczną szczęśliwością. Aluzję pojęłam.

Zaczęłam prowadzić podwójne życie. Tydzień z jogą na Ibizie sprytnie przedstawiłam jako tydzień ostrego imprezowania. Kiedy przychodziłam do pracy sztywna po jakichś wyczerpujących zajęciach, tłumaczyłam swój niepewny krok zalaniem mięśni przez alkohol. Czasem rzeczywiście były zalane, więc nie musiałam za każdym razem kłamać.

Pewnie do dziś prowadziłabym to podwójne życie, gdyby



nie kropla, która przepełniła czarę. Pewnego dnia obudziłam się z myślą, że jestem ofiarą czyjejś władzy. Należało coś z tym zrobić.

Śpiewające słoneczniki mogą sobie radzić same, a ja podążę śladami moich przyjaciółek i wyruszę do Indii. Wezmę sześciomiesięczny urlop i będę wędrować po szkołach jogi.

Znajdę sobie guru, kogoś, kto poprowadzi mnie od *gu*, ciemności, do *ru*, światła. Kto pomoże mi zjednoczyć ciało, oddech i umysł oraz zdrze ze mnie kolejne warstwy ego. Pokieruje moimi poszukiwaniami sensu i życiowego spełnienia. Pomoże mi odnaleźć cel i miejsce w świecie. Może to będzie gdzieś w górach, gdzie jak wielu innych przede mną połączę swoje Wieczne Ja z wielkim źródłem kosmicznej szczęśliwości, czyli wszechświatem.

W swoich marzeniach wracałam jako Bogini Jogi, ucieleśnienie kobiecej doskonałości — spokojna, szczęśliwa, czuła, mądra, obdarzająca współczuciem wszystkie cierpiące istoty — i zniewalająca laska, przyciągająca silnych, spoconych, ale bezradnych emocjonalnie mężczyzn. Przeżywalibyśmy razem niezapomniane chwile, leżąc w hamakach i dyskutując nad naukami *Bhagawadgity*, naszej drogi duchowej.

W moich marzeniach nie tylko odnajdowałam cel życia, ale też miałam ciało jak precel — pozbawione tłuszczu, giętkie i silne. Siadałam w lotosie albo stawałam na głowie, w designerskich ciuchach bez wysiłku wykonywałam wszystkie zaawansowane pozycje dla „Sunday Telegraph”, który przygotowywał materiał o najpiękniejszych kobietach jogi. „Vogue” fotografował mnie w moim ulubionym barze z ekologicznymi sokami, a znajomi projektanci prosili, bym pozowała do zdjęć w ich perfumowanych majtkach w rozmiarze 8. W tych marzeniach pieniądze w ogóle nie miały znaczenia, gdyż dawno wyszłam poza sferę materialną, a ponadto miałam darmowe wakacje, bo Sting zaprosił mnie do swojej willi we Włoszech, żebym dawała mu prywatne lekcje.

Oczywiście podczas rozmowy z Kawowymi Guru zauważyłam, że wszystko może się potoczyć inaczej, ale wolałam to niż kolejną samotną zimę przed telewizorem przy gotowych daniach z pudełka.

Postanowiłam podejść do wyboru szkoły jogi tak samo jak do skomplikowanych problemów strategicznych w reklamie — czyli metodycznie. Udałam się więc do sklepu W.H. Smith i kupiłam różową teczkę oraz dziesięć plastikowych koszulek.

Liczba ścieżek jogi jest oszłamiająca. Którą pójść? Byłam trochę zdezorientowana. Drogą królewskiej, naukowej *radża jogi* z Desikacharem w Madrasie? Drogą samopoznania

— *dźnana joga* — w Tiruvannamalai? A może wybrać *bhakti jogę* — ścieżkę miłości i oddania — z Przytulającą Matką na rozlewiskach w Kerali? Jogę integralną Sri Aurobindo w Auroville? Tantrę — uwielbienie ciała, które jest świątynią Boskości

— U Osho w Pune? Precyzję jogi Iyengara, także w Pune? *Astangę* w Mysore czy *śiwananda* w Kerali? Wszystkie te miejsca były rozrzucone po całych Indiach — miałam jechać na północ, południe, wschód czy zachód?

Postanowiłam zabrać Różową Teczkę — która zdążyła tak spuchnąć od jogowych perspektyw, że z trudem się domykała — na wakacje z jogą na południu Francji, gdzie mogłam wszystko gruntownie przemyśleć.

Willa była własnością ekscentrycznej pary, Teda i Cat, rzeźbiarza i jego muzy. Latem przenosili się do pracowni Teda, a chłodne, zasłonięte okiennicami sypialnie w domu wynajmowali. W porze obiadowej siedzieli na tarasie, a po kilku karafkach mało znanego wina Luberon szli do pracowni. To chyba właśnie wtedy Cat najskuteczniej wypełniała swoje obowiązki muzy — ze swojego miejsca przy basenie słyszałam jego wyrazy wdzięczności.

Wylegując się tam w upalne popołudnia i próbując nie słuchać, jak Cat inspiruje Teda, wdałam się w pogawędkę z Richardem, kolegą z grupy. Właśnie rzucił pracę menedżera w centrum obsługi klienta w Plymouth i podobnie jak ja zamierzał objechać szkoły jogi w Indiach.

Leżeliśmy pod figowcami Teda i Cat i kontemplowaliśmy naszą przyszłość leżącą gdzieś za horyzontem lawendy i tymianku. Tak naprawdę kontemplowałam jego silne ramiona i dobrze wypełnione spodenki kąpielowe, ale chyba robiłam to tak, że nie zauważył. Włączyliśmy się po targu, kupując pomidory, melony i nadziewany oliwkami chleb z grubo mielonej mąki. Czasem dotykaliśmy się łokciami. W chłodnym mroku drugiej nad ranem siedzieliśmy, machając nogami, przy basenie, paliliśmy skręty i rozmawialiśmy o ścieżkach jogi.

— Wiesz, byłem w Indiach parę razy — mówił mi Richard podczas jednej z takich całonocnych rozmów. — Jak miałem osiemnaście lat, pojechałem na rok w Himalaje. Mało brakowało, a pojawiłbym się w domu w pomarańczowych szatach, trochę przesadziłem z *chillum*. Ale czegoś się w górach nauczyłem. Wiesz, poczułem *kundalini*. Obudził się we mnie wąż Sakti. Czuję, jak jej płomień unosi mi się wzdłuż kręgosłupa, otwiera wszystkie czakry, a potem spotyka Siwę dokładnie w koronie czaszki. Rety, to było jak eksplozja, kosmiczna rozkosz. Byłem wszechświatem, a wszechświat był mną. Byliśmy jednością. Kochałem cały ten pieprzony świat. Bom Siwa!\*

Czy Richard bezpośrednio doświadczył *samadhi*, oświeconego świata, o którym Caroline opowiadała mi pod gwiazdami w Turcji, czy się po prostu za bardzo nawalił?

— Byłeś w Indiach sam? — spytałam.

\* Bom Siwa (także: barn, bem, boom) — słowa wypowiedane przez *sadhu*, świętych mężów, przed zapaleniem *chillum*. Są wyrazem czci dla boga Siwy, a także sygnałem dla innych *sadhu*, że mogą przyjść i wypalić wspólnie fajkę.

— W Himalajach tak, tylko ja i paru zwariowanych koleś. Paliliśmy *chillum* i gadaliśmy o różnych głupotach. Potem poznałem pewną kobietę, u Osho w Pune. Słyszałaś o nim? Nazywają go „guru od seksu”.

Owszem, słyszałam. Jim i Jessie spędzili w jego ośrodku kilka dni i uprzedzili mnie, że po pierwsze, żeby tam wejść, trzeba mieć czerwone i białe szaty, a po drugie, trzeba uważać, kiedy się siada pod bambusami, bo w takich malowniczych miejscach ludzie chętnie uprawiają seks, chociaż oni akurat czegoś takiego nie widzieli. Musiałam przyznać, że bardzo mnie to zaintrygowało, ale jakoś nie umiałam przekonać się do seksu w miejscu publicznym, wszystko jedno — w szatach czy bez.

Richard tłumaczył mi, że jego zdaniem prasa przedstawiła nauczanie Osho w nazbyt sensacyjnej formie, sugerując, że Osho był zwolennikiem rozwiązłości, tymczasem on mówił jedynie, że seks może być doświadczeniem medytacyjnym, o ile oczywiście ma się nad nim władzę, a nie jest się jego niewolnikiem.

— Tamta laska naprawdę pomogła mi to zrozumieć. Pewnej nocy poczułem, że mnie do siebie przyzywa. Pobiegnę do niej jak najszybciej. Siedziała w ciemnościach na podłodze, była całkiem naga, z wyjątkiem czerwonego szala. Czekala na mnie. Przez dwa dni nauczyłem się kontrolować siebie, posiadałem władzę, o której ci mówiłem. Po paru dniach aresztowali mnie za posiadanie kilograma trawy. Bom Siwa! Musiałem dać gościowi na policji łapówkę, żeby mnie wypuścili. No i natychmiast wyjechałem z Pune.

Popatrzył na mnie wymownie.

— No to jak, skarbie, ruszymy razem do Indii? Zaszalejemy.

Pewnie, mogliśmy zaszaleć. W końcu chodziło mi o przygodę.

— Dobra — powiedziała, z wahaniem zanurzając palce w wodzie. Była zimna, aż przeszedł mnie dreszcz.

Umówiliśmy się, że wyjeżdżamy z Anglii 17 listopada i ruszamy do Mysore. Oboje słyszeliśmy o panu Venkateshu i chcieliśmy się zapisać na jego sześciotygodniowy kurs Jedności. Sylwestra mieliśmy spędzić na białych, piaszczystych plażach Andamanów i Nikobarów.

Może wszystko pójdzie dobrze. Oddałam się marzeniom. Tylko my we dwoje, zgodnie z wyspiarską tradycją w naszyjnikach z muszelek i w opaskach z kory na włosach. Rano ćwiczymy na plaży jogę, potem się kąpiemy — powolny puls tropikalnego morza daje wytchnienie zmęczonym mięśniom i obolałym, rozciągniętym kończynom. Rozłożeni na leżakach w cieniu mangrowców oddychamy w idealnej synchronii, w doskonałej jedności, stanowiącej odzwierciedlenie zjednoczenia dusz.

Nie wszystko poszło dobrze. Dzień przed planowanym wyjazdem Richard przysłał mi e-mail. Z przykrą informacją:

**Do:** Kochana!

**Od:** Richard

Kochana! Awaria bojlera. Muszę go zreperować, żeby wynająć chatę. Zajmie mi to najwyżej tydzień. Przyrzekam.

Bom Śiwa!

R. X

Po mojej skrzynce krążyły też inne plotki — jedna z Kawowych Guru poinformowała mnie, że Richard zakochał się w kelnerce tańczącej na scenie w nocnym klubie. Co mi pozostało? Trzymać się swoich planów, nic więcej.

„Musisz ją mieć cały czas w spodniach”

Wyruszyłam z Bangalore na tylnym siedzeniu białego ambasadora. Z czerwonej skórzanej tapicerki wydobywał się stary zapach tytoniu, jak przystało na samochód, który królował na drogach Indii od 1947 roku. Na początku byłam zaniepokojona perspektywą podróżowania pięćdziesięcioletnim pojazdem, ale facet, który wygrał zacieklą „bitwę kierowców” (polegającą na głośnych okrzykach i machaniu rękami), zapewniał, że auto ma „dużo zalet, madam”. Zawieszenie dawno już wyzionęło ducha, ale szalę przeważało wielkie zdjęcie El-visa w złotej ramce wiszące przy wstecznym lusterku.

Z radością opuszczałam miasto — było zbyt zajęte celebrowaniem swojej pozycji komputerowej potęgi Indii, żeby przywitać świeżo przybyłą studentkę jogi. Egzemplarz „The

Bangalore Times", łaskawie pozostawiony przez poprzedniego pasażera, był pełen zdjęć radosnych elegantek w bogato haftowanych sari, ze złotą biżuterią i szerokimi uśmiechami nowobogackich. Kiedy staliśmy w korkach — jedyną rzeczą w Bangalore, która porusza się wolno, jest ruch uliczny — widziałam liczne sklepy z elektroniką, pełne przystojnych Hindusów w europejskich ubraniach. Omawiali przewagę jednego kina domowego nad drugim, pałac dunhille. Wyobrażałam sobie, jak wsiadają do stojących na ulicy błyszczących, nowych, japońskich samochodów, włączają na cały regulator Justina Timberlakea albo ścieżkę dźwiękową z ostatniego bollywoodu, mijają wielkie billboardy reklamujące szkocką whisky i ciuchy znanych projektantów i dojeżdżają do swoich pięknych domów w nowo wybudowanych, ogrodzonych osiedlach.

Wyjazd z miasta wymagał szybkiego przestawienia się z hałasu i tempa centrum technologii dwudziestego pierwszego wieku na spokój starych dróg, wysadzanych postrzępionymi palmami. Mijaliśmy kobiety niosące na głowach najróżniejsze plony, woły z wysiłkiem ciągnące wozy środkiem drogi, sprzedawców orzechów kokosowych, którzy odcinali wierzch owoców tak ogromnymi nożami, że przy najmniejszym błędzie mogli stracić całą rękę.

W mojej rozbuchanej wyobraźni w Mysore witał mnie unoszący się nad drogą zapach drewna sandałowego, znak rozpoznawczy miasta. Place pełne pomników Gandhiego i ławeczek, z których rozpościerał się widok na miejskie fontanny, otaczały spokojne, wysadzone drzewami aleje. Kobiety, w modnym w tym sezonie różu, czule zajmowały się dziećmi bawiącymi się drewnianymi zabawkami. Na trawnikach przed kolonialnymi rezydencjami cykały świerszcze. Starcy tkali przy drodze jedwab, prezentując swoje umiejętności w zamian za zwykły uśmiech. Święty mąż w pomarańczowych szatach siedział pogrążony w głębokim transie.

Studenci jogi zbierali się na trawie i przy kubkach *ćaiu* prowadzili poważne rozmowy o przekazie *Bhagawadgity*. A panujący maharadża przyglądał się temu wszystkiemu z wieży swojego pałacu.

No cóż, rzeczywiście minęliśmy pomnik Gandhiego. A w zasadzie jego głowy. Dostrzegłam ją między głowami i ramionami trzech mężczyzn, przytrzymujących jakieś paczki i przemyślnie zachowujących równowagę na jednym rowerze.

O mało nie przejechała ich riksza, która z kolei bawiła się w kotka i myszkę z ciężarówką. Pachniało, owszem, ale nie drewnem sandałowym, lecz wymieszaną wonią moczu, spalin i milionów spoconych ciał. Zamiast kolonialnych rezydencji i trawników z mojej wyobraźni pojawiły się stragany, betonowe domy i krowy. Mysore było tak samo chaotyczne i zanieczyszczone jak Bangalore, ale nie miało tej elegancji. Co też było widoczne na billboardach: whisky zastąpił proszek do prania.

Mój hotel wyglądał nieco lepiej. Southern Star Quality Inn było odą do lat siedemdziesiątych — marmurowe podłogi, kryształowe żyrandole i wielkie, brązowe, skórzane kanapy. Byłam zachwycona. Zostanę Bianką Jagger — z Mickiem przy boku i całym światem u moich lotosowych stóp.

Zajęłam miejsce na brązowej skórze, skąd mogłam obserwować salę konferencyjną zamienioną w salę disco — o szóstej po południu. Migały światła, dudniła muzyka, a brzuchaci faceci w średnim wieku walczyli o tytuł „Najlepszego tancerza”. To nie były lata siedemdziesiąte w stylu Studio 54\*. Żadnej Bianki Jagger siedzącej na oklep na śnieżnobiałym koniu. Żadnego Halstona, Gucciego czy Fiorucciego. Ani śladu seksualnego spaghetti transwestytów, transseksualistów, ge-

\*Studio 54 — ekskluzywny klub nocny z końca lat 70., mieszczący się na Manhattanie.



jów, hereryków i biseksów. Jedynie akwizytorzy Crown Paint z południowych Indii na dorocznej konferencji.

Wiedziałam, jak to się skończy — kiedy za parę godzin wyłączą muzykę, hotel stanie się miejscem dzikich scen z udziałem rozszalałych akwizytorów. Kolesie z Crown Paint będą pijani, i to bardzo, i będą szukać Kobiety. Uznałam, że powinnam poszukać innych studentów jogi. Caroline, która spędziła w Mysore cały miesiąc, mówiła mi, żebym poszła prosto do Ortario and Magdali's Café — przystojny Chilijczyk i jego żona, Francuzka, byli dawnymi uczniami Gurudźiego. Do ich knajpki zaglądało wielu studentów jogi.

Moja wyprawa nie przyniosła spodziewanych skutków. Wychodziłam z Ortario and Magdali's Café bez poczucia, że znalazłam swoją duchową ojczyznę, za to byłam wytracona z równowagi. W nocy źle spałam, a kiedy się obudziłam, nadal czułam niepokój po swojej rozmowie z Shanti, Gregiem i Lisą. Widziałam z bolesną jasnością, że będę musiała wykonać ogromną pracę, zanim stanę się Boginią Jogi — nie jest łatwo zostawić za sobą ponad dziesięć lat gadania o margarynie i picia pinot grigio, a szczerze mówiąc, w tej właśnie chwili nie bardzo rozumiałam, co mnie w ogóle do tego skłoniło — ale cóż, miałam zacząć nowe życie i musiałam odłożyć na bok dawne przyzwyczajenia. Przyjechałam do Mysore, za godzinę zobaczę pana Vankaresha. Musi mi się udać.

Wyszłam z klimatyzowanego zacisza Southern Star Quality Inn wprost w piekło indyjskiej zimy, wręczyłam riksarzowi adres szkoły pana V., Atma Vikasa Centre of Yogic Studies. Po geograficznym zebraniu na szczycie z udziałem połowy kierowców czekających przed hotelem zgodził się mnie zawieźć, za 300 rupii. Suma wydała mi się przesadzona, ale

uznałam, że skoro on wie, gdzie jechać, to warto zapłacić. Nie chciałam się spóźnić pierwszego dnia.

— Ale upał — odezwałam się, wchodząc do ozdobionego złotą tasiemką różowego wnętrza.

— Żaden problem, madam. Klima po drodze.

W twarz uderzył mnie lepki, gorący wiatr, a żołądek zacisnął mi się ze strachu — o włos minęliśmy dwa słonie, idące po rondzie w przeciwną stronę, potem pasące się na środku drogi krowy z brzuchami spuchniętymi od papierów i plastikowych torebek. Kilku bosych mężczyzn w postrzępionych *dhoti* wyprowadzało na spacer dobrze utrzymane psy — pudle, bernardyny i owczarki alzackie. Nieco lepiej ubrani mężczyźni krzatali się na rogach ulic, nie robiąc w zasadzie nic, nieliczne kobiety w jaskrawych, nylonowych sari niosły cały swój dobytek na głowach ozdobionych świeżymi gałązkami jaśminu. Zatrzymywały się przy nędznych straganach, sprzedających saszetki z proszkiem do prania, dawno przeterminowane chipsy i pęki pokurczonych, czarnych bananów.

Powoli zostawialiśmy za sobą dźwięk radiowych piosenek śpiewanych wysokim głosem w nieznanym dla mnie języku i wreszcie znaleźliśmy się, jak sądzę, całkiem przypadkiem, w Saraswathipuram, na spokojnym, zamożnym, wschodnim przedmieściu, gdzie mieściła się szkoła pana V. Recepcjonistka w Southern Star Quality Inn mówiła mi, że to zaledwie milę od hotelu, ale jazda riksą trwała ponad godzinę. Ledwo zdążyłam. Ale znalazłam się dokładnie w miejscu, które pan V. opisał — „naprzeciwko restauracji Nalpak, przy ulicy Kuvempunagar”.

Czekałam nerwowo na niskim murku przed mało atrakcyjnym budynkiem szkoły. Uprzedzono mnie, że pan Venkatesh jest nie tylko „gumowym joginem”, ale też trochę perfekcjonistą. Czy sprostam jego standardom? Czy okaże się kompletnym potworem? Poczulałam ulgę, kiedy po mnie wy-

szedł — był miły i uprzejmy, wyglądał jak szczupła wersja Clarka Gablea z czarnymi, wypomadowanymi włosami, oliwkową cerą i krótko przyciętymi wąsami.

Usiedliśmy po turecku naprzeciwko siebie na cementowej podłodze i pan V. wyjaśnił mi, że zacznę od zestawu dla początkujących i że będzie mi poświęcał dużo uwagi. Miałam bardzo bogaty rozkład zajęć: o szóstej czterdzieści pięć zajęcia z asan; o dziesiątej *kńja* (od czwartego tygodnia); o jedenastej siłownia i masaż; o wpół do piątej po południu *pranajama*.

Był dystygowanym, sumiennym i miłym człowiekiem i robił wszystko, żeby mnie uspokoić. Potem przeszedł do złych wiadomości. Miałam śpiewać pieśni na początku i na końcu każdego zajęcia, a także na początku każdej rundy powitania słońca. Rund miało być dwanaście. Nie byłoby tak źle, gdybym mogła śpiewać ze wszystkimi, ale chodziło o to, żeby robić to solo. I tu pojawiały się dwa problemy.

Po pierwsze, jestem kompletnie pozbawiona słuchu. Na prośbę kolegów z pracy tylko ruszałam ustami, śpiewając *Happy Birthday* klientowi od margaryny. Kiedyś nawet poszłam na kurs śpiewu dla osób bez słuchu, ale pojawił się facet z czwartego programu BBC i namawiał nas, byśmy na zakończenie wystąpili solo i na żywo w Albert Hall. Więcej się tam nie pojawiłam.

Po drugie, śpiewy były długie, w sanskrycie, a wyświetlano je na odległej ścianie. Nie dałabym rady ich odczytać. Uznałam, że wyjazd do Indii to świetna okazja, żeby zrobić sobie przerwę od soczewek kontaktowych, ale pan V. stwierdził, że zakładanie okularów na zajęcia nie jest dobrym pomysłem — zwłaszcza w zwisach głową w dół.

Kolejne złe wiadomości. Byłam przekonana, że w moim przypadku rozkładanie maty trzy razy w tygodniu już graniczyło z cudem, ale okazało się, że muszę się bardzo poprawić, jeżeli mam zadowolić pana V.

— Widzę, że wielu adeptów jogi ćwiczy tylko trzy razy

w tygodniu. Widzę u swoich uczniów dużo brakującej dyscypliny. Dlatego zaczynam zajęcia codziennie. Przychodzisz punktualnie, dziesięć minut wcześniej będzie dobrze. Czekasz przed salą ćwiczeń, powiem, kiedy masz wejść. Jak się spóźnisz, tracisz zajęcia. Przychodzisz o szóstej czterdzieści pięć codziennie oprócz sobót.

— W soboty mam wolne?

— Nie, w soboty zaczynasz o szóstej piętnaście, bo wcześniej kończę z dorosłymi adeptami. Po twoich zajęciach przychodzą dzieci; duży hałas i zamieszanie.

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby wstawać o świcie, ale obawiałam się, że nie znajdę riksarza, który będzie chciał wstawać ze mną. Temu, który mnie przywiózł do Saraswathipuram, nie bardzo się podobało, że się go budzi o dziewiątej. Nie miałam specjalnej ochoty szarpać go za ramię o szóstej.

Pan V. przeszedł do opisu tygodniowego planu zajęć. Wpadłam w panikę na samą myśl o *krija* — technice oczyszczania, polegającej na wciąganiu nosem słonej wody i picciu jej w dużych ilościach po to, żeby wywołać mdłości. Może był jakiś alternatywny plan. Może przybliżyłabym się do jedności z boskim pierwiastkiem, gdybym w te dni szorowała się mocniej mydłem i jadła tylko warzywa?

— Pamiętaj, jogi nie da się opanować w godzinę, dzień, miesiąc, a nawet w sześć tygodni — podsumował pan V. — Na to trzeba wiele lat życia. Nie próbuj iść na skróty.

Na zakończenie zaproponował mi zakup koszulki Atma Vikasa Centre of Yogic Studies. Zawsze byłam lizuską, więc natychmiast go posłuchałam, mimo że koszulka kosztowała dziesięć razy więcej niż na targu — zapewne dlatego, że dawała znaczne duchowe zabezpieczenie.

No i wreszcie ostatnia rada:

— Lucy, kiedy będziesz do góry nogami, to koszulka nie może ci opadać na głowę. Musisz ją mieć cały czas w spodniach.

A potem dał mi regulamin. W Atma Vikasa obowiązywały czterdzieści trzy zasady, niektóre bardzo użyteczne:

„Zasada numer 3: Kiedy pogoda jest chłodna i zimna, kiedy na dworze jest mglisto, nie należy ćwiczyć asan jogi.

Zasada numer 11: Podczas ćwiczeń jogi należy oddychać tylko przez nos, a nie przez usta. Trzeba pamiętać, że nos ma się do oddychania, a usta do jedzenia.

Zasada numer 34: Podczas czytania odległość między oczami a książką powinna wynosić czternaście cali.

Zasada numer 36: Przy praktykowaniu koncentracji umysłu konieczne jest powstrzymanie się od seksu. Należy unikać czytania książek i oglądania filmów, które wywołują seksualne reakcje”.

Niektórzy pewnie by się z tym nie zgodzili. Pamiętałam przecież, że według Osho, tantrycznego przyjaciela Richarda, orgazm mógł być doświadczeniem medytacyjnym.

No i była też nieszczęsna zasada numer 13: „Wystrzegać się palenia i alkoholi. Nie tylko są szkodliwe dla umysłu, ale mogą powodować wzbudzenie dolegliwości cielesnych”.

To mogło być trudne. Pochodzę z rodziny, w której za pięć piąta oznaczało za pięć (minut) gin. W dzieciństwie długo nie mogłam się nauczyć, że u koleżanek w domu powinnam prosić o sok porzeczkowy, a nie o czerwone wino.

Przez sekundę pomyślałam, że powinnam była przeczytać regulamin jeszcze przed wręczeniem pieniędzy. Uznałam, że gdybym w końcu złamała którąś z reguł, to powiem, że nie mogłam ich przeczytać, bo koza je zjadła.

Następnego dnia już o wpół do siódmej czekałam przed salą. Było ciemno i trzęsłam się z zimna. Punktualnie za kwadrans siódma pan V. zawołał mnie do środka i pokazał wolne miejsce. Na szczęście starsi studenci ćwiczyli już od godziny, więc

w sali było ciepło. Na nieszczęście patrzyła na mnie doświadczona publiczność. Pan V. usiadł na skraju mojej maty i pierwsze dwie pieśni zaśpiewał ze mną. Pierwsza mówiła o wychodzeniu z ciemności i wchodzeniu w szczęśliwą wieczność. Druga wychwalała słoneczne bóstwo:

*Oṃ sapthashva rudham Nakshatra Malam  
Chaya lolam chandra pama gagana sanchari  
Oṃ Bhaskaraya Namaha*

Miałam tak ściśnięte gardło, że o mało się nie udławiłam, ale z pomocą pana V. jakoś przebrnęłam do końca. Pan V. był bardzo uprzejmy, ale ja wyraźnie dałam plamę. Głosy dziewczyn śpiewających swoje końcowe czanty brzmiały jak trele wrózek unoszące się nad łąką skąpaną w porannej rosie.

Pan V. uważnie mi się przyglądał przez całe siedem rund powitania słońca. Było to dość denerwujące przeżycie — nikt przedtem nie obserwował z takim napięciem moich wyczynów na macie. Niestety, musiał dużo poprawiać.

— Nie jest idealnie, zrób to jeszcze raz — powtarzał.

Dziwne, ale im częściej mówił, że niedoskonale wykonuję poszczególne pozycje, tym bardziej niedoskonale je wykonywałam. Robiło mi się coraz bardziej gorąco i byłam coraz bardziej zdenerwowana. Od czasu do czasu jego uwagę przyciągały braki w technice innych osób, ale niestety, za każdym razem do mnie wracał. Już sama nie wiedziałam, czy przez ostatnie cztery lata wszystko robiłam źle, czy pan V. miał zawyżone standardy, czy też zniechęciła mnie nieznana kolejność ćwiczeń, obce otoczenie i pobudka o wczesnej porze. A może to z nerwów byłam taka sztywna i rozkojarzona? A może wszystko razem? Pan V. poprosił, żebym skończyła na powitaniach słońca — zwykle uważa się je za rozgrzewkę, więc czułam się dziwnie, kończąc w tym punkcie. Połowa mnie

czuła ulgę — w końcu zrobienie siedmiu rund zabrało mi ponad godzinę — ale druga połowa była sfrustrowana. Chciałam się posuwać dalej i nauczyć się całej serii ćwiczeń.

Przez cały pierwszy tydzień byłam głęboko rozczarowana swoimi postępami. Wyobrażałam sobie, jak demonstruję biegłość w uniwersalnym języku jogi — kiedy się już ten język opanuje, można rozłożyć matę w dowolnym zakątku świata i wszędzie czuć się jak w domu. Ale zamiast tego cofnęłam się do słownictwa dwulatki, jakbym czytała ze szkolnych plansz, za pomocą których mój tata uczył mnie mówić „kot siedzi na macie”.

Musiałam się z *tym* pogodzić. Cały pierwszy tydzień poświęciłam na doskonalenie powitania słońca. Pan V. obiecał, że kiedy już moje postępy go zadowolą, będzie mnie uczył codziennie trzech nowych asan. A kiedy opanuję całą serię złożoną z czterdziestu czterech pozycji, dostanę upragnioną planszę przedstawiającą wszystkie asany.

Zajęcia kulturystyczne też okazały się powodem do obaw. Podczas pierwszej sesji pan V. polecił mi stanąć w rozkroku, z lekko ugiętymi kolanami i jedną stopą wysuniętą do przodu.

— Zegnij łokieć i zwiń prawą dłoń w pięść. Połóż lewą dłoń na prawej... Nie, lewą na prawej... Tak, teraz dobrze... A teraz prawą ręką stawiaj opór lewej ręce, która naciska w dół. Spróbuj podnieść prawą rękę... Wcale się nie starasz, przecież widzę. Nie jest idealnie. Naprawdę się postaraj. Pchaj. Pchaj. Pchaj! Powtórz, ale tylko dziesięć razy.

W nocy śnił mi się koszmar, w którym szłam ciemną uliczką do dusznego pokoju, leżącego nad sklepem z meblami, daleko od ośrodka jogi, na bogatym Saraswathipuram. Ukrywali się tam dwaj byli gangsterzy, którym nie udał się napad na pocztę. Zabili człowieka i wyznaczono nagrody za ich głowy. Jones „Matador” stał nade mną, kiedy robiłam sto brzusków, a Jim Diamond, który wychowywał się w sierocińcu Barnardos

w Whitechapel\* kazał mi podnosić hantle trzy razy większe ode mnie.

Pozostali uczestnicy zajęć kondycyjnych, sami mężczyźni, prezentowali znacznie wyższy poziom. Był wśród nich sobowtór Cata Stevensa z Karoliny Południowej. Miał łagodne, brązowe oczy, sztywną brodę i nosił białą muzułmańską czapkę. U siebie był stolarzem. Nie wiedziałam, jak jego bicepsy prezentowały się na początku, ale teraz miały bardzo przyjemny zarys. Widziałam ich falowanie, kiedy podpierał ciało raz na jednej ręce, raz na drugiej, obracając przy tym złączone nogi o całe 360 stopni.

Joseph, maturzysta z Kentucky o cichym głosie i rozmarzonych oczach, nie osiągnął jeszcze tego poziomu, ale potrafił wykonać ćwiczenie wstępne — podpierając się na obu rękach, unosił nogi równoległe do podłogi i trwał tak przez kilka minut, najwyraźniej pogrążony w ekstatycznym stanie pełnej relaksacji.

Antoine, niski, muskularny paryżanin z ostrym nosem, podnosił się z „pozycji świetlika” — czyli *tittibhasany*, w której tyły kolan opierają się o ramiona — do *adho mukha wrksasany*, czyli stania na rękach. Powtarzał to pięć razy, chociaż pan V. mówił, że „wystarczy tylko raz”. Czasem przechodził z *garu-dasany*, czyli „pozycji orła”, do stania na rękach, z prawą kostką zawiniętą za lewą. Zdarzało się też, że w staniu na rękach czuł potrzebę rozłożenia nóg pod kątem 180 stopni; kiedy jednak w sali było tłoczno, brał to pod uwagę i ograniczał się do bardziej kompaktowej wersji — *baddha konasany w adho mukha wksasanie* — w której kolana są rozsunięte na całą szerokość, ale złączone stopy dotykają krocza. Patrząc na niego, zastanawiałam się, czy nie powinnam poznać go z Shanti. Uznałam

Barnardos — brytyjska organizacja charytatywna zajmująca się udzielaniem pomocy dzieciom z zaniedbanych środowisk;

\*Whitechapel — jedna z uboższych dzielnic Londynu.



jednak, że nie będę sobie zawracać głowy — na pewno jakoś się spotkają bez mojej pomocy.

Pod czujnym okiem pana V. zaczęłam od dość podstawowych ćwiczeń. Wzmacniałam mięśnie barków, napierając z całej siły dłońmi na ścianę, tak jakbym chciała ją przewrócić.

— Popychaj z większą siłą, Lucy.

Wykonywałam obroty ramionami, w przód i w tył. Stawałam w rozkroku, podnosiłam się na palce i robiłam przysiad.

— Nie podwijaj palców, żeby zachować równowagę. Równowaga przez cały czas przychodzi z pępka.

Próbowałam stać na jednej nodze, unosząc drugą i chwytając przy tym duży palec stopy palcem środkowym i wskazującym.

— Podnoszenie brwi nie pomaga w podnoszeniu nogi. Zajęcia z masażu wyglądały zupełnie inaczej, niż sobie

wyobrażałam — zamiast długich, posuwistych ruchów i dużych ilości olejków, które by zachęciły nasze ciała do jeszcze śmielszych wyczynów, pan V. kazał nam jedynie klepać, klepać i jeszcze raz klepać się po całej głowie kciukiem i małym palcem. Potem klepaliśmy się raz jednym, raz drugim palcem. I wreszcie zaokrąglonymi dłońmi klepaliśmy się trzy razy lekko i raz mocno.

Po południu zajmowałam się poważną kwestią nauki oddychania. Zajęcia z *pranajamy* odbywały się w sali wciśniętej za salę do asan i ćwiczeń kondycyjnych. Tak jak w całej szkole, tu też podłoga była z betonu, ale okna nie miały krat, a bambusowe żaluzje układały światło słoneczne w długie cienie. Popołudniowy upał dopadał wszystkich; rikszarze spali głębokim snem w swoich pojazdach przystrojonych złotą tasiemką, muchy zaprzestały gorączkowego brzęczenia, najadłszy się na straganach szerniałych bananów, i nawet krowy zrezygnowały z blokowania ruchu i poukładały się w mizernym cieniu zduszonych przez spaliny drzew.

Czekaliśmy, siedząc obok siebie. Wszyscy pojawili się co najmniej dziesięć minut przed czasem; nikt nie chciał sprawić panu V. zawodu. Cat Stevens zajął miejsce na początku kolejki. W oddychaniu i ćwiczeniach kondycyjnych był najbardziej zaawansowany. Obok niego siedział Antoine, którego muskularna klatka piersiowa unosiła się w rytm pracy pary potężnych płuc. Potem była pełna wdzięku Mea, stewardesa z singapurskich linii lotniczych. Wyraźnie przywykła do życia na pewnym poziomie i obsługiwała tylko pierwszą klasę. Przyjechała do Mysore zaledwie dwa tygodnie temu, a już zdążyła obrosnąć w kierowcę, dom i kucharza. Pogodny Joseph usiadł cichutko obok niej. Na końcu siedziałam ja.

Pan V. wyjaśnił nam, że *prana* oznacza siłę życiową, *jama* oznacza ekspansję, rozciąganie, a *arna* oznacza umiar i kontrolę. A zatem *pranajama* to rozciąganie, utrzymywanie i kontrolowanie siły życiowej.

— Będziemy pracować szczególnie nad wydychaniem — mówił pan V. — i usuwaniem tych dwudziestu procent, które zostają w płucach i przeszkadzają w pobieraniu energii. Nauczycie się zatrzymywania oddechu, które służy zwiększaniu pojemności. Wdychanie przychodzi bardziej naturalnie.

Wcześniej trochę ćwiczyłam *pranajamę* — głównie podczas wakacji z Simonem — ale nie aż tak intensywnie. Zwykle leżeliśmy, a jeżeli siedzieliśmy wyprostowani, to bardzo krótko. Pan V. kazał nam utrzymywać wyprostowaną pozycję przez dwadzieścia minut, co sprawiało mi dość poważne problemy. Po tylu latach siedzenia przed komputerem i wpatrywaniu się w wyniki sprzedaży margaryny mój kręgosłup miał sprężystość masła roślinnego w upale. Skręcał się najpierw w lewo, a potem w prawo. Przekrzywiałam się do przodu, a potem w tył. Kołysałam się na boki. A wszystko w desperackich próbach pozbycia się przeszywającego bólu pleców. Biedny pan V. pochylał się bez przerwy, poprawiając moją pozycję delikatnym uciskiem drewnianej laski.

Na szczęście pierwsze techniki nie były zbyt skomplikowane — chodziło jedynie o głęboki wdech i wypchnięcie brzucha, a potem klatki piersiowej, tak żeby nabrać do płuc jak najwięcej powietrza. Należało to wykonywać płynnie i bez przerw. Potem trzeba było zrobić wydech i pozbyć się ostatnich dwudziestu procent powietrza. Też bez żadnych przerw i gwałtownych ruchów.

Po dziesięciu minutach zaczęliśmy *anuloma wiloma*, czyli „oddychanie naprzemienne nosem”, żeby zrównoważyć w sobie słońce i księżyc. Jedną dziurkę od nosa naciskało się kciukiem i wciągało powietrze drugą. Potem zamykało się obie dziurki i zatrzymywało oddech. I wreszcie wydech dziurką przeciwną do tej, którą robiło się wdech. Następnie wdech tą samą dziurką i powtórzenie całej procedury dwadzieścia pięć razy. Łatwo było się pogubić. Którą dziurką teraz? Wdech czy wydech?

Zajęcia obejmowały też całkowite skupienie na *bandhach*, które były — jak tłumaczył nam pan V. — fizycznymi zaciskami, pomagającymi skierować *agni*, czyli „ogień”, do wszystkich zlogów materii blokujących przepływ *prany*. Szczególny nacisk pan V. kładł na *uddiyana bandhę* — zacisk brzucha nazywany „lotem w górę”. Jego moc jest tak wielka, że nosi on też nazwę „lwa, który zabija słonia zwanego śmiercią”. Na początek mieliśmy się uczyć *bandh* oddzielnie, a potem połączyć *uddiyanę bandhę* z *pranajamą* i pozostałymi dwiema *bandhami* (zaciśnięcie brody *jalandhara* oraz zaciśnięcie korzenia *mulad-hard*).

Cat Stevens powiedział mi, że według tradycji otwieranie *jalandhara bandhy* w kontrolowany sposób może uwolnić *amritę*, „nektar nieśmiertelności”, dzięki czemu osiąga się szczęście, zdrowie i siłę, a także osiem magicznych mocy. Ale jeśli się to zrobi, nie będąc jeszcze gotowym, to umiera się w ciągu dwudziestu jeden dni.

Nie wydawało mi się, bym mogła ją otworzyć zbyt

wcześnie, biorąc pod uwagę tempo moich postępów. Zwłaszcza że, jak mówił Cat Stevens, w normalnych okolicznościach samo uniesienie energii z *muladhara bandhy* do *uddiyany* zabiera dwadzieścia lat, a co dopiero dotarcie do brody.

Oczywiście utknęłam przy *uddiyana bandha*, więc nie ryzykowałam, że sobie w jakikolwiek sposób zaszkodzę przy *jali* albo *muli*. Musiałam podwijać do góry swój wielki T-shirt, żeby pan V. mógł obserwować moje wysiłki, ale nie było na co patrzeć. Miałam podnosić mięśnie brzucha do góry i do środka, w kierunku przepony, ale one stanowczo pozostawały na swoim miejscu, nie poruszając się ani o centymetr, no może trochę w dół i na zewnątrz. Pan V. próbował wszystkiego; nawet kazał mi się położyć, licząc, że w tej pozycji łatwiej mi będzie odnaleźć *bandhę*, ale skutek był mizerny. Po prostu żaden.

Kładłam to na karb swojego obciążenia genetycznego:

— Mam taki sam duży brzuch jak moja mama i babcia. Ale pan V. nie przyjmował żadnych usprawiedliwień.

— W takim razie masz szansę uwolnić się od tego obciążenia.

Patrzyłam z zazdrością, jak chłopcy pokazywali swoje idealnie ukształtowane *uddiyana bandhy*. Cat Stevens, Antoine i Joseph potrafili nawet zrobić *nauli*, wersję zaawansowaną, która pobudza trawienie i zapewnia wzorowe działanie organów płciowych. Stali w rzędzie w rozkroku i ćwiczyli zaciskanie mięśni raz z jednej strony pępka, a raz z drugiej. Skurcz przesuwał się z lewej strony do środka i dalej na prawo we wspaniałym, płynnym ruchu niczym spieniona fala.

Postanowiłam uczyć się pieśni przy basenie, gdzie mogłam natknąć się na innych studentów. Basen Southern Star Quality Inn był ulubionym miejscem spotkań po zajęciach. Hotel wprowadził specjalną opłatę dzienną dla adeptów jogi prag-

nących ogrzać obolałe mięśnie na leżakach rozstawionych pośród palm.

Zabrałam się za pierwszą pieśń, tę, którą śpiewałam na początku razem z panem V. W regulaminie było napisane, że pieśń „przeniesie mnie z (ulotnej, nietrwałej egzystencji) do *sat* (trwałej rzeczywistości), z ciemności do światła (znajomości Prawdy), od (przypadłości) śmierci do nieśmiertelności”.

*OM asatoma sadgamaya*  
*Thamasoma Jyotrigamaya*  
*Mrithyorma Amrithangamaya*  
*OM Shanthih Shanthih Shanthih*  
*Sri Gurave Namah.*

OM już znałam. Śpiewaliśmy to na zakończenie każdych zajęć w Londynie. Simon tłumaczył nam:

— OM to dźwięk czakry serca. Pierwotny dźwięk wszechświata, który przypomina nam, gdzie przynależymy, otwiera nas na boski pierwiastek, który jest w nas.

Ale jak zapamiętać resztę słów? Postanowiłam wykorzystać metodę, którą opracowałam jeszcze w szkole, gdy miałam nauczyć się jakichś nieznanych terminów z biologii. *Toma* brzmiało prawie jak *tama*, *sad* to był po prostu *sad*, a *gamaya* pasowało do *yamaha*. „OM asa tama sad yamaha” — nuciłam pod nosem.

Próbowałam wymyślić coś, co by się rymowało z *thamasoma*, kiedy pojawił się Ben. Jego twarde, opalone ciało, błyszczące od wodoodpornego olejku, wynurzyło się z basenu i ku mojej radości zajęło miejsce tuż obok mnie.

Przez kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu.

Zastanawiałam się, jak zagaić rozmowę, a wtedy on odwrócił się do mnie i zapytał z wyrazem pełnej bez troski:

— Podoba ci się Christina Aguilera? Ale jaja! Od razu zostaliśmy przyjaciółmi.

— A propos, jestem Ben. Miło cię poznać.

— Lucy. Wzajemnie.

Wprawdzie byłam trochę zawiedziona, że zostaniemy jedynie kumplami, ale mogłam się cieszyć, że jestem w jego paczce, nawet jeżeli chodził na zajęcia jogi tylko sporadycznie i za dwa tygodnie miał wyjechać z Mysore. Cudownie było pławić się we wspaniałym, głębokim technicolorze, który mu wszędzie towarzyszył.

Postanowiliśmy poszerzyć swoje muzyczne horyzonty i pewnego dnia zrobiliśmy sobie wypad do miasta. Trafiliśmy do małego sklepu z płytami, w którym było pełno nastoletnich chłopaków. W ciągu paru minut Ben przekonał sztywnego, otyłego właściciela, żeby puścił *Hit Me Baby One More Time*. Sklep eksplodował; dwudziestu nastolatków otoczyło Bena, jakby był samą Britney. Wszyscy doskonale znali słowa. Mieli skarpetki powyżej kolan, koszule związane na piersi i włosy związane w kitki. Strasznie chciałam się do nich przyłączyć, ale nie było miejsca. Wirowali, kręcili biodrami, spocone męskie ciała, jedna wściekła, połączona masa rozszalałych hormonów, kolorowy chaos jazdy na kwasie. Z jaką ulgą patrzyłam na ludzi, których nie obchodziły *uddiyana bandhy* — a którzy znaleźli swoją własną, niekonwencjonalną drogę do tak pożądanego stanu kosmicznej szczęśliwości.

Zanim dobiegł końca pierwszy tydzień naszej znajomości, między mną a Benem powstała głęboka więź. Mieliśmy swoje stałe miejsca nad basenem. Moje było po lewej, gdzie cień palmy osłabiał nieco blask bijący z białych kartek z pieśniami, Ben zaś siedział po prawej, na słońcu, skąd mógł obserwować basen i kąpiące się w nim osoby.

Pewnego popołudnia przesunął się nad nami cień, niemal tak duży jak cień palmy. Zanim Ben zdążył zaprotesto-

wać przeciwko chwilowej utracie czasu na opalanie, sąsiedni leżak zajęło niebieskookie ciacho rodzaju męskiego, które, jak się później dowiedziałam, było Norwegiem i miało na imię Erik.

Poznali się poprzedniego dnia w szkole jogi V. Shes-hadri. Sheshadri, złoty medalista wielu międzynarodowych, krajowych i stanowych konkursów jogi, miał niewielkie, ale za to wierne grono wyznawców, doceniających jego umiejętność dopasowania się i skłonność do osobistego demonstrowania najtrudniejszych pozycji.

Erik oznajmił, że nie poszedł na poranne zajęcia, bo czuł się „trochę księżycowo”.

— Energia księżycy jest dla mnie za mocna — powiedział. — Działa na moje *nadi* i za szeroko je otwiera. Za mocno reaguję na innych ludzi.

Pokiwałam mądrze głową.

— Co to jest *nadi*? — spytał Ben.

— Kanał energetyczny — wyjaśnił Erik. — Każdy z nas ma siedemdziesiąt dwa tysiące takich kanałów. Krąży w nich siła życiowa. A moje wyrwały się spod kontroli. Trochę słabo się czuję. Chyba muszę się położyć. Może wpadnę do Krishna B's, żeby mnie trochę podleczył. A propos, jutro jest impreza. Przebierana. Możecie się ze mną zabrać.

Erik dał Benowi adres i oddalił się powoli — powiewała za nim jego biała, lniana koszula, tworząca idealny kontrast z wytartymi, błękitnymi dżinsami i jasnymi włosami.

— Chyba mu się podobasz — zaryzykowałam, kiedy za rogiem zniknęła ostatnia fałdka białego lnu.

— No cóż, jest tylko człowiekiem — odpowiedział Ben.

Impreza odbywała się w Post Office House — najfajniejszym pensjonacie w Mysore. Nosił taką nazwę, gdyż mieścił się tuż

obok prawdziwej poczty, która musiała być jakimś wielkim przedsięwzięciem, bo pracowało tu chyba z pół miasta.

Wprawdzie był to bal kostiumowy, ale Pensjonat nie musiał się przebierać — i tak był przemyślnie zamaskowany. Ze swoimi daszkami nad oknami, wybieloną przez słońce balkonem i owczarkiem alzackim właścicielki mógł spokojnie uchodzić za melinę handlarzy narkotyków z *Policjantów z Miami*. Wyobraziłam sobie w środku białe, narożne kanapy i lusterka zasypane kokainą, ale zamiast tego labirynt pomieszczeń zaprowadził nas do pokoju z przyćmionym światłem. Na cementowej podłodze leżały poduchy i materace, na których malowniczo ułożyło się z dziesięcioro uczniów jogi. Poma-chałam Shanti, która przyjęła swoją ulubioną pozycję — nogi rozłożone pod kątem 180 stopni. Jadła daal\* i ryż z liścia bananowca. Nie odmachała mi.

Na pierwszy rzut oka było jasne, że wszyscy mieszkańcy Pensjonatu są młodzi, piękni i utalentowani. Ale na balach kostiumowych najgorsze jest to, że kiedy poznaje się nowych ludzi, to nigdy nie wiadomo, co należy do przebrania, a co nie. Erika poznaliśmy już wcześniej, więc wiedzieliśmy, że jest znacznie lepszą wersją Justina Timberlakea. Okazało się, że Kobietą Kotem jest Helen, nieśmiała, ale obdarzona żelazną siłą woli sprzedawczyni z księgarni w Connecticut. Mowgli, łącznie z drobną posturą, błyszczącymi, ciemnymi włosami, opalenizną i opaską na biodrach, tak naprawdę był studentem nauk politycznych z Berlina. Z kolei Ed, łysy olbrzym z Pensylwanii, wyglądał w sari niczym dobroduszny Michael Stipe. Ed studiował jogę i medycynę ajurwedyjską. Sari pożyczył od Heidi, urodziwej gospodyni. Miała tak doskonale natłuszczone włosy i tak idealnie namalowane na czole *bindi*, że w pierwszej chwili wzięłam ją za Hinduskę. Jednak do jej płynnych ruchów i manier indyjskiej księżniczki zupełnie nie

\* Daal (dal, dhal, dahl) — gęsta zupa z soczewicy.



pasował gardłowy niemiecki akcent. Pewnie dlatego mówiła bardzo niewiele, skupiając się raczej na obowiązkach bogini domowego ogniska i podawaniu ryżu z daalem.

Ben od razu pogrzebał moje nadzieje na sitar i tradycyjną hinduską muzykę. Przyniósł ze sobą cały zestaw kawałków Britney i Christiny, co bynajmniej nie dotknęło naszej gospodyni, Heidi, a wręcz okazało się, że ona, Kobieta Kot i Ed zgodnie i całkiem udanie naśladowują ruchy Britney. Po paru godzinach cała trójka była nadal nierozdzielna i w regularnych odstępach czasu udawała się do sypialni Heidi na krótki odpoczynek. Zapewne Kobieta Kot pomagała im poprawić sari. Nawet po powrocie na przyjęcie nie mogli ich do końca na sobie ułożyć.

Taneczne próby dotrzymania kroku najlepszym adeptom jogi w Mysore mocno mnie wyczerpały, więc usiadłam na poduszce. Patrzyłam, jak Erik z Benem wykonują układ Britney i Justina — mniej więcej z początków ich znajomości, kiedy Britney była jeszcze dziewicą — gdy ktoś zaczął gładzić mnie po włosach. To był Bill. Zauważyłam go już wcześniej. Wprawdzie miałam wątpliwości co do jego włosów, długich i podobnych do słomy, ale uznałam, że są częścią jego przebrania pirata. Właśnie wrócił z dwutygodniowych wakacji jogowych w Aśramie Sivananda w Kerali (to tam moja przyjaciółka z Londynu, Caroline, doznała duchowej epifanii podczas czyszczenia kibla) i miał mnóstwo opowieści o rozkoszach, jakie można tam znaleźć. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, więc zaproponowałam, że wpadnę na kubek gorącego *chaiu* za parę dni, kiedy będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Kiedy następnego dnia (po co tracić czas?) pojawiłam się w Pensjonacie, z ulgą odkryłam, że Bill miał złotą czuprynę pluszowego misia. Zauważyłam też — bo włosy przestały

przyciągać całą moją uwagę — że miał błękitne oczy ze spojrzeniem typu „chodźmy do łóżka” oraz kołyszący krok. Zaprosił mnie do swojego ogromnego hamaka, który przywiózł sobie z Kerali. Powiedział, że podróżuje od siedmiu lat za pieniądze, które zarobił jako strażak w Kolorado. Pojechał do Aśramy Sivananda, bo potrzebował odpoczynku po ogromnym wysiłku, jakiego wymaga się od ucznia *aśtangi*.

— Kurczę, tam jest naprawdę pięknie. Podnóże Ghatów Zachodnich, kompletna cisza, no, może poza lwami po drugiej stronie jeziora. One się bzykają na okrągło. Podniecałem się od samego słuchania. Ćwiczyliśmy jogę i medytowaliśmy nad jeziorem, a potem pływaliśmy, omijając krokodyle. Poza tym kapitalni ludzie. Naprawdę super. Zwłaszcza ci z Brazylii. Kurczę, byli naprawdę rewelacyjni. — Bill odpłynął w myślach w jakieś odległe miejsce.

— Aśramę prowadzą Brazylijczycy? — spytałam, próbując ściągnąć go z powrotem na ziemię. — To chyba dość dziwne.

Bill roześmiał się.

— Prowadzi go Włoch, zasłużony uczeń założyciela aśramy, Swamiego Vishnu-devanandy. A Vishnu-devananda był uczniem Swamiego Sivanandy, który miał swą aśramę w Ryszikeś i nauczał syntezy różnych ścieżek jogi. W latach 50. wysłał Vishnu-devanandę z misją zanieśienia jogi ludziom Zachodu. Więc Vishnu-devananda pojechał do Stanów, a potem do Kanady, gdzie wpadł na pomysł wakacji z jogą. Dla mnie te zajęcia były za mało wymagające, ale miejsce okazało się rewelacyjne.

Dopisałam je do swojej listy. Kolejny cel mojej podróży, o ile Richard się nie pojawi, co było dość prawdopodobne, zważywszy na pogłoski o barmance z koktajlbaru.

Spytałam Billa, jak mu się mieszka w Pensjonacie.

— Kurczę, rewelacja. Mam kilka siostr, więc czuję się jak we własnym domu. Tutejsze kobiety dbają o mnie pod każ-

dym względem. Helen pomaga mi w jodze, Heidi troszczy się o moje zdrowie, bo jak wiesz, jest studentką ajurwedy, a Lisa, ta stewardesa, organizuje mi życie.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że jedno stanowisko pozostało nieobsadzone, i zdziwiłam się, że nikt go jeszcze nie zajął. Postanowiłam postarać się o tę posadę. Wiedząc, że może być cała masa chętnych, wepchnęłam się bez kolejki i wydobyłam swoją tajemną broń — *Rocky Mountain Collection* Johna Denvera. Ułożyliśmy się tak, żeby każde miało w uchu jedną słuchawkę od walkmana, i wsłuchiwaliliśmy się w nostalgiczne wspomnienia Johna o wiejskich drogach, słońcu palącym ramiona i skalistych szczytach. Oczy Billa zaszły mgłą, przyciągnął mnie do siebie. W tym momencie doszłam do wniosku, że uwielbiam chłopaków ze wsi. Pojadę za nim do Kolorado. On zbuduje dom na ranczo, a ja będę hodować konie i wychowywać silnych synów, chłopcy będą psocić w kuchni, a ja będę smażyć im placki kukurydziane z ostrym sosem i naleśniki z jagodami.

Potem Bill odwiózł mnie swoim skuterem do Southern Star Quality Inn. Kiedy obejmowałam ramionami jego kojąco silną pierś, pomyślałam sobie, że to nie jest szczególnie dobry moment na przyjazd Richarda.

Niepotrzebnie się martwiłam. Następnego dnia sprawdziłam pocztę.

**Do** Kochana!

**Od:** Richard

Kotku, w bojlerze trzeba wymienić jakąś część, którą muszę zamówić z Niemiec. Będę za jakieś trzy tygodnie. Przyrzekam.

I pamiętaj — Shakti górą!

Bom Śiwa!

R.X

Hmmm. Był tylko jeden problem — naprawdę chciałam się przeprowadzić. Richard miał mnie zabrać do jednego z takich odosobnionych pensjonatów dla studentów jogi i nie mogłam się już doczekać. Ben był zupełnie zadowolony z Southern Quality Inn, ale mnie coraz bardziej zawstydzalo życie w luksusie. Miałam dość puchatych ręczników, gorącej wody i europejskich sedesów. Chciałam poznać prawdziwe Indie.

Niestety, w Post Office House był komplet, nie słyszałam też o wolnych pokojach w pozostałych ulubionych miejscach studentów jogi. Został mi zatem Kaveri Lodge. Nie zamierzałam zamieszkać w kolejnym hotelu na dłużej, ale ten plasował się nieco bliżej prawdziwych Indii niż Southern Star Quality Inn, więc stanowił dobrą odskocznnię. Podobno warto było się tam zatrzymać przed znalezieniem sobie stałego lokum. Przeprowadziłam się następnego dnia.

Mój pokój przypominał państwowy szpital o niskim standardzie. Stało w nim żelazne szpitalne łóżko, miał szpitalne ściany — cegły pokrywała wyblakła, odłaząca farba w kolorze fabrycznej zieleni — i nawet pachniało szpitalem, pomimo dwudziestu czterech dymiących kadzidełek Nag Champa. Moje ubrania, prane w przepisowym wiadrze, pachniały już nie mandarynkowo-melonowym proszkiem do prania dla podróżnych Jo Malone, ale blachą.

Próbowałam zawrzeć znajomość z innymi studentami jogi, ale wszyscy mieli przeróżne zajęcia — kurs skłonów w tył dla zaawansowanych, opalanie w Southern Star Quality Inn, smarowanie obolałych członków grubą warstwą olejków, żeby na kolejnej sesji rozciągnąć się o jeszcze jeden cal. Byłam rozczarowana — wyobrażałam sobie, że będziemy przesiadywać w dużym salonie pokrytym poduszkami, palić skręty i omawiać aktualne osiągnięcia na macie, ale w Kaveri Lodge bra-

kowało miejsca na takie spotkania, a mieszkańców albo nie było, albo spali, odrabiając zaległości po pobudkach o piątej rano i trzech godzinach intensywnych ćwiczeń fizycznych, które kończyli, zanim jeszcze świat Zachodu zdążył sięgnąć po swoją pierwszą miseczkę płatków kukurydzianych.

Próbowałam się nie przejmować. W końcu to i tak nie miało znaczenia — ściany były tak cienkie, że znałam wszystkich, i to całkiem blisko, nie musząc wcale z nikim rozmawiać. Najlepiej poznałam Harjita. Był hotelową złotą rączką oraz podawał do pokoi letni *ćai*. Zrobił sobie łóżko na stercie ośmiu starych materacy tuż pod drzwiami mojego pokoju. Niby nic strasznego, tylko że Harjit był mistrzem chrapania. A jeśli już jakimś cudem udawało mi się zasnąć, o czwartej nad ranem odzywał się meczet, który pełnił rolę miejskiego budzika i wyrywał ze snu wszystkich, oprócz Harjita i rikszarzy, którzy byli na te dźwięki całkowicie odporni.

Pan V. zauważył, że podczas zajęć walczę ze snem, i zaproponował, żebym obejrzała pokój wynajmowany przez zamożnego gospodarza, u którego zatrzymał się Cat Stevens. Dom był położony na cichej, zadrzewionej ulicy, więc powinnam się dobrze wysypiać.

Pan i pani Sharma przeprowadzili ze mną rozmowę kwalifikacyjną na oczach czwórki nastoletnich dzieci i kilku bezimiennych ciotek.

— Skąd pani jest, panno Lucy?

— Gdzie jest pani mąż, panno Lucy?

— Dlaczego nie wyszła pani za mąż? Nie może pani zwlekać w nieskończoność, panno Lucy. Powinna pani mieć bardzo dużo dzieci. Ale może już być za późno.

— Proszę się nie martwić, mamy dla pani miłego hinduskiego dżentelmena. Z dobrej rodziny. Lubi angielskie kobiety. Postawimy horoskop, żeby sprawdzić, czy do siebie pasujecie.

— Które ciasteczka w Anglii są pani zdaniem najlepsze?

— Ma pani ochotę na ciasteczko? Ciotka właśnie powróciła z Southall. Przywiozła całe pudło. Bardzo nas tym ucieszyła. Może pani rodzina mogłaby nam wysłać?

O co tym Hindusom chodziło z tymi ciasteczkami? Patrzyłam zafascynowana, jak celnicy na Heathrow prowadzili akcję „zero tolerancji dla hinduskich rodzin z bagażami ponad normę”. Kiedy zaczynał się powolny proces decydowania, co wyjąć z walizek, na ladzie pojawiały się nie paczki bielizny z Marks and Spencer, lecz stosy biszkoptów, herbatników, kruchych ciasteczek i wafelków.

Poproszono mnie, żebym zaczekała na zewnątrz, zanim podejmę decyzję. Na moją korzyść przemawiał fakt, że mój tata był inżynierem — ojciec pana Sharmy pracował na kolei. To podobno przeważało szalę. Dali mi klucz i skierowałam się w głąb ogrodu, ale tam uznałam, że musiałam ich źle zrozumieć. Wróciłam biegiem, lecz zapewnili mnie, że pokój mieścił się po prawej stronie, naprzeciwko huśtawki dla dzieci i różanego ogrodu pani Sharmy. Rzeczywiście, po prawej stronie był pokój. Rzeczywiście, miał cztery ściany i drzwi. Rzeczywiście, służył kiedyś jako komórka na węgiel.

Węgiel wyniesiono, ale w ciemnościach nie dało się ocenić, czy warstwa białej farby w sposób istotny odmieniła wnętrze. Wróciłam do rodzinnego salonu i powiedziałam, że się zastanowię; rzeczywiście było bardzo cicho, a bliskość różanego ogrodu pani Sharmy stanowiła poważną zaletę.

Plan B. Na imprezie w Pensjonacie poznałam Mohana, przystojnego szesnastolatka ze skłonnością do hawajskich koszul. Jako dziecko wygrał wiele konkursów jogi, a teraz jakaś para z Nowego Jorku opłacała mu zajęcia u Sheshadriego, nauczyciela Bena i Erika. W ciągu dnia Mohan pracował w sklepie z jedwabiami, a w ramach własnego programu *karma jogi* popołudniami zajmował się wyszukiwaniem mieszkań dla innych studentów. Odwdzięczali mu się dużymi zakupami w sklepie i zamówieniami u miejscowego krawca.

Pod Kaveri Lodge Mohan podjechał z rykiem silnika riksą ożywianą różową tasiemką i głosem Elvisa. Towarzyszyło mu dwóch kolegów i teraz trzech chudych chłopaków zajmowało miejsce przeznaczone dla jednej osoby.

Mohan zaprosił mnie do środka „czuuudnego pojazdu” i ruszyliśmy przy wtórze *Jailhouse Rock*.

Popołudnie mijało, a ja byłam coraz bardziej rozczarowana. Wreszcie zatrzymaliśmy się pod jednym z domów w dzielnicy Lakshmipuram. Serce zabiło mi żywiej. Z pewnej odległości dom wyglądał jak poważny i szanowany członek Imperium Brytyjskiego. Farba powoli łuszczyła się ze ścian. Skrzypiąca, zardzewiała brama prowadziła do ogrodu — niegdyś zapewne pięknego, ale teraz kompletnie zdziczałego. Gospodyni szła nam na powitanie. Weszliśmy na pierwsze piętro, mijając po drodze rząd zamkniętych na kłódki drzwi.

— Żeby mały nie wchodzić — wyjaśniła gospodyni. Nareszcie miałam przed sobą prawdziwe Indie. Gospodyni zapukała do drzwi numer 19 i powiedziała:

— Sean kończyć kurs jogi. Za bardzo pracować z joga asana, teraz wracać do Irlandii. Bardzo chory.

Przed nami stanął drobny, jasnowłosy chłopak. Jego twarz była równie biała jak włosy. Przytrzymał się drzwi i z trudem łapał oddech. Od trzech miesięcy cierpiał na biegunkę i miałam wrażenie, że za chwilę umrze. Z łazienki w rogu pokoju sączyły się brunatno-brązowe plamy. Coś się tam ruszało — Sean potrzebował porucznik Ellen Ripley z „Nostromo”, a nie Lucy i ozdobionej girlandami rikszy.

Miałam dość.

— Do Southern Star Quality Inn! — krzyknęłam i rzuciłam się biegiem w kierunku wyjścia.

— Tak jest, madam — zawołali Mohan, Ashkay i Tareh, zmieniając muzykę na *Celebration Kool and the Gang*.

Całą czwórką udaliśmy się do ozdobionego końskimi motywami hotelowego baru Derby. Dołączył do nas Ben, po

czym strasznie się upiliśmy kingfisherem i baileysem. Alkohol spłynął wprost do siedemdziesięciu dwóch tysięcy naszych *nadi*, przez co wszystkie wymknęły się spod kontroli. Mogę z dumą powiedzieć, że jako jedyna do końca utrzymałam się w siodle. Zapewne było to zasługą surowego wychowania na czerwonym winie (nie soku porzeczkowym) oraz wynikało z faktu, że miałam na pupie więcej tłuszczu niż wszyscy moi kompani razem wzięci.



„Posiadać tylko to, co konieczne”

Pogodziłam się z koniecznością powrotu do Southern Star Quality Inn. Miałam wyrzuty sumienia z powodu puchatych ręczników i bałam się, że prawdziwe Indie mnie omijają, ale mój plan dnia był bardzo napięty, nie miałam najmniejszej ochoty mieszkać w komórce na węgiel, no i chciałam do końca wykorzystać czas z Benem. Spotykaliśmy się codziennie w porze obiadowej, przy *panine* i coli light serwowanych na srebrnych tacach przez kelnerów w pingwinich garniturach, noszących na sobie ślady dawnych posiłków. Po obiedzie zajmowaliśmy pozycje przy basenie. Ja ćwiczyłam oddechy przed popołudniowymi zajęciami, a Ben wypatrywał talentów. Erik zaglądał często, żeby sprawdzić, co u nas słychać. Zauważyłam, że zawsze wybierał leżak po stronie Bena.

Czasem przysuwali też do nas swoje leżaki Madge

i Guy, tak samo wytworni i wielkoświatowi jak ich imiennicy\*. Madge była tancerką jazzu nowoczesnego, a Guy dyskdzokejem i producentem płytowym z Walthamstow. Szybko stali się naszymi ulubionymi dodatkami basenowymi, gdyż mieli najmodniejsze okulary przeciwsłoneczne i pozwalali nam słuchać muzyki ze swoich iPodów.

Przyjechali do Mysore na miesiąc, żeby Madge mogła popracować z Gurudźim i wyleczyć swoją kontuzję kostki, która poważnie zagrażała jej karierze. Guy w dzień odpoczywał, w nocy pracował na swoim laptopie, a rano wysyłał ogromne pliki — sitar zderzony z rytmem Balearów — do studia w Camden. Zajmowali dwupokojowy apartament, żeby sobie wzajemnie nie przeszkadzać; Madge musiała wstawać o szóstej rano, a Guy właśnie wtedy szedł spać.

Tworzyliśmy Basenową Piątkę. Byłam szczęśliwa.

I nagle, pewnego dnia, zostałam Basenową Singielką.

Guy i Madge dali się uwieść staromodnemu urokowi odległego Lalitha Mahal Pałace Hotel. Bollywoodzka gwiazdka, którą Madge poznała na swoich zajęciach, bardzo polecała ogromne apartamenty z marmurowymi tarasami, kabiny prysznicowe, gdzie woda tryskała ze wszystkich stron, jadalnię z zastawą Wedgwood, w której po ścianach wspinały się białe figurki w empirowych sukienkach, a po suficie wśród winorośli biegały cherubiny.

Ben też postanowił się wynieść. Zawarł bliższą znajomość z Erikiem podczas jednodniowej wycieczki do Chamundi Hill. Razem pokonali tysiąc schodów prowadzących do świątyni i jak prawdziwi pielgrzymi zrobili sobie zdjęcie z lodami obok trzystuletniego byka zwanego Nandi. Chcieli spędzić ze sobą więcej czasu, „żeby przekonać się, dokąd to nas zaprowadzi”, więc postanowili wyruszyć do Kerali. Mieli dotrzeć do

\*Chodzi o Madonnę (w Wielkiej Brytanii ma przezwisko Madge) i jej byłego męża Guya Ritchiego.

Kołam, wynając tam jednopokojową barkę z męską obsługą i popłynąć po obrośniętych palmami rozlewiskach. Zamierzali zatrzymać się w Aśramie Amrithapuri, żeby w liczącej dwadzieścia tysięcy osób kolejce czekać na sesję u Przytulającej Matki\*. Przyjaciółka Bena, Janet, opowiadała, że po uścisku Matki zrobiło jej się bardzo gorąco, ale była tak szczęśliwa, że płakała przez kilka dni. Wszyscy wyjechali tego samego dnia, a ja siedziałam sama na leżaku w ponurym nastroju. Z radością pojechałabym do Kerali, ale na barce nie było dla mnie miejsca, a poza tym skończyłam ledwo połowę mojego sześciotygodniowego kursu u pana V. Nie mogłam teraz zrezygnować. Gdzieś niedaleko było ponad stu uczniów jogi — wystarczyło ich znaleźć i się z nimi zaprzyjaźnić.

Jeszcze tego samego wieczora zajrzałam do Pensjonatu, żeby pogadać z Lisą i Billem. Billa nie było — Lisa powiedziała, że wysłała go na Goa, żeby na dwa tygodnie rozwiesił swój hamak pomiędzy palmami. Był bowiem wykończony. A jeżeli Gurudźi uzna, że może już wykonywać pozycje z drugiej serii, to jego codzienne ćwiczenia będą trwały ponad trzy godziny.

Przy filiżance *ćaiu*, na balkonie, na którym z Billem słuchaliśmy piosenek Johna Denvera, Lisa powiedziała mi, że Gurudźi był uczniem ojca założyciela nowoczesnej jogi, Sri Tirumalai Krishnamacharyi. Kiedy Gurudźi rozpoczął naukę w 1927 roku w wieku dwunastu lat, joga była uważana za zajęcie nieodpowiednie dla głowy rodziny, która mogła pod jej wpływem stracić zainteresowanie światem i powędrować gdzieś w góry. Na przekór tym oczekiwaniom Gurudźi nie stracił kontaktu z rzeczywistością, ożenił się, ma troje dzieci

\* Przytulająca Matka — Mata Amrytamandanaji, indyjska guru i filantropka, zwana też „przytulającą świętą”.

zachęca do największych poświęceń uczniów *przyjeżdżających*, do niego z całego świata. Pomimo podeszłego wieku nadal wczesnie wstaje — podobno zaledwie czterdzieści pięć minut po swoim trzydziestoparoletnim wnuku Sharacie, który pomaga mu w szkole. Wypija filiżankę kawy, prowadzi zajęcia od piątej rano do drugiej po południu, a po krótkiej przerwie ma spotkanie z uczniami. W sali do ćwiczeń, jak mi powiedziała Lisa, jego słowo było prawem:

Bołą cię kolana? „Twoje ego się odzywa”.

Masz słabą motywację? „Ćwiczyć może każdy — z wyjątkiem leniwych”.

Przestałeś robić postępy? „Ćwicz pilnie, a skutki przyjdą same”.

Nie umiesz przybrać właściwej pozycji z powodu nieuwagi? „Zła kobieta”. (To już akurat znałam).

Zanim Gurudzi przeniósł się do przestronnego Gokulam, jego uczniowie musieli udowodnić swoje oddanie, czekając w kolejce na lodowatych stopniach, jako że w sali mieściło się tylko piętnaście osób. Wydawało mi się, że te poranne godziny powinny być im upływać na lekturze albo spokojnym omawianiu którejś ze stu dziewięćdziesięciu pięciu sutr Patań-dżalego. Ale nie. Atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca, do tego stopnia, że pewnego dnia Lisa o mało nie stała się ofiarą napadu „schodowej furii”, gdyż pewien Amerykanin uznał, że wpycha się bez kolejki.

Ale to poświęcenie przynosiło efekty. Studenci *aśtangi* codziennie wygrywali odbywające się przy basenie nieoficjalne zawody na „Najlepsze ciało”. Ubrani w skąpe i podejrzanie dobrze skrojone kostiumy kąpielowe przechadzali się pomiędzy leżakami. Zdobycie pierwszego miejsca stanowiło nie lada osiągnięcie. Konkurencja była zabójcza i dodatkowe 0)1 procent tłuszczu mogło kosztować zwycięstwo. Shanti często wygrywała pierwszą nagrodę; bujne loki i zielone oczy były umiejscowione na wzorcowym ciele, pięknie umięśnio-

nym i tak szczupłym, że dało się na nim zobaczyć *uddiyana bandhę*. Jej ulubioną nagrodą był masaż ramion z dużą ilością olejków wykonywany przez zwycięzcę w konkurencji męskiej. Greg, którego mizerna postura wykluczała jakąkolwiek szansę na przypięcie do szortów czerwonej rozetki, siedział przygnębiony po przeciwnej stronie basenu.

Otoczenie basenu było też wymarzonym miejscem na doskonalenie nowych pozycji. Na płaskim podłożu można było ćwiczyć równowagę w staniu na palcach w półlotosie albo w pozycji gołębia na jednej nodze, czyli — jakby to powiedziała Shanti — w *ekapada rajakapotasanie*. Dodatkową zaletą było to, że inni studenci mogli ci się uważnie przyjrzeć, o ile potrzebny był ci alternatywny punkt widzenia.

— Popatrz na moje biodra, dobrze?

— Na pewno nie zaciskam pośladków?

— Brzuch mam może płaski, ale czy udało mi się wciągnąć *uddiyana bandhę*?

Nadal miałam kłopoty z *uddiyana bandhą* oraz kilkoma innymi rzeczami. Pan V. zachowywał ogromną cierpliwość, ale było jasne, że nie jestem jego najlepszą uczennicą.

— Lucy, skup się. Robisz to poprawnie, ale nie idealnie.

Koledzy z klasy znacznie mnie wyprzedzali, z dumą prezentując swoje genetyczne skłonności do preclowatego ciała. Moje skłonności nadal pozostawały ukryte. Po trzech tygodniach wciąż nie umiałam stać na prawej nodze, przyciskając lewą do czoła, jednocześnie oddychając lekko pełną piersią i zbliżając się do jedności z boską szczęśliwością. Przy takim braku postępów nie miałam szans zostać szczęśliwą zdobywczynią masażu pleców z dużą ilością olejków, w każdym razie nie w ciągu najbliższych paru tygodni.

Ale co gorsza, nie udawało mi się poznać ani jednej osoby, której życie nie kręciłoby się wokół prezentowania genu preclowatości i startowaniu w basenowych zawodach. Przyszło

mi do głowy, że skutkiem podróżowania może być zarówno poszerzenie, jak i skurczenie umysłu — konkurs piękności ciała przy basenie nie tylko nie zmniejszył rozmiaru ego i nie łączył go z kosmiczną szczęśliwością, ale stwarzał poważne niebezpieczeństwo rozděcia „Zachwyconego Sobą” ego, zniewolonego przez niezwykłość fizycznych dokonań.

Potrzebowałam kolejnego przyjęcia — okazji do uwolnienia się od gonitwy za doskonałością ciała i poznania kogoś, przed kim mogłabym się całkowicie odkryć i kto byłby gotów odkryć się przede mną. Ale był jeden problem. Nikt nie organizował żadnych imprez. Pobudka o piątej rano pozwalała jedynie na wieczorny kubek parującego *ćaiu* i krótki rozdział *Bhagawadgity* przez zgaszeniem światła o dziewiątej. Zabawa w Pensjonacie okazała się wyjątkiem — odbyła się w wigilię „księżycowego dnia”, który był dniem wolnym dla studentów *aśtangi*.

Erik wytłumaczył mi wszystko przed wyjazdem do Kerali:

— Istoty ludzkie są niczym morze, mamy w sobie tyle wody, że czujemy oddziaływanie Księżyca. Też podlegamy przyptywom, tyle że to są przyptywy energetyczne i emocjonalne. Przy pełni, kiedy Księżyc jest w opozycji do Słońca, nie jesteśmy ugruntowani. Stajemy się uparci i pobudliwi. Powinniśmy wtedy leżeć albo pójść na masaż. Skutki ćwiczeń w taki dzień mogą być bardzo bolesne. Podczas nowiu, kiedy Księżyc jest w koniunkcji ze Słońcem, wysiłek fizyczny też może być bardzo groźny. Jesteśmy dużo bardziej ugruntowani niż w czasie pełni, i to czasem do tego stopnia, że czujemy się ospale i ociężale, jakbyśmy nie mogli się podnieść z ziemi.

— I co należy wtedy robić? — spytałam.

— To najlepsza pora na sadzenie warzyw — powiedział Erik ze śmiertelną powagą. — Mają wtedy szybciej korzenie.

Studenci *aštangi* mieli przynajmniej dwie okazje w miesiącu, żeby się zabawić, nawet jeżeli z nich nie korzystali. Studenci pana V. nie mieli księżycowych dni, bo pan V. w to nie wierzył. Załoga *Nauli* poświęcała resztki wolnego czasu na doskonalenie technik poprawiających funkcje trawienne i seksualne, a Mea, stewardesa, nie miała czasu na życie towarzyskie — była zajęta szukaniem nowego kierowcy, bo poprzedniego wyrzuciła za niepunktualność i niestosowną mowę ciała.

Być może jakaś impreza w ciągu dnia, z dala od rygorów maty czy leżaka, bardziej by sprzyjała znalezieniu podobnie myślących przyjaciół. Dowiedziałam się, że Gurudzi ma pobłogosławić Ortario and Magdali's Café. Postanowiłam wziąć w tym udział.

Gurudzi, charyzmatyczny jak zawsze, podjechał limuzyną i zasiadł na wielkiej, starej kanapie. Uśmiechał się od ucha do ucha i wyglądał tak, jakby — chcąc nie chcąc — rozdzielał wokół błogosławieństwa. Jednak jego wzbudzająca respekt obecność zamknęła wszystkim usta. Nikt nic nie mówił. Niezbyt sprzyjająca okoliczność na nawiązywanie znajomości.

Wyszłam na zewnątrz i usiadłam na schodku. Ogród był w pełni zimowego kwitnienia i aż huczał od śpiewu czerwonych ptaków, ale nic nie poprawiało mi humoru. Wpatrywałam się w furtkę. Była pusta, koza musiała zjeść wszystkie plakaty. Wróciłam myślą do dnia mojego przyjazdu, kiedy szłam ścieżką i otwierałam drzwi do miejsca, które wydawało mi się niebiosami jogi. Miałam takie wielkie nadzieje — że znajdę pokrewną duszę (albo dusze) oraz guru, który poprowadzi mnie od mroku do światła, a po paru tygodniach wciąż błądziłam w czarnej jak smoła ciemności. Byłam bardzo rozczarowana.

Wtedy usiadł koło mnie ogolony na łyso mężczyzna z wytatuowanym smokiem na piersi. Tłumaczyłam mu, co mnie dręczy, jedząc babeczki czekoladowe, upieczone na cześć Gurudziego, który jednak nie mógł ich docenić, ponieważ jadł

tylko pożywienie przygotowane przed zaprzyjaźnionego bramina. Mężczyzna ze smokiem spytał, czy czytałam *Jogasutry Patańdzalego*.

— No, niektóre. Na przykład tę, która mówi, że joga to jest *ćitta writti nirodhah*.

— Jeżeli wyjdiesz poza drugą sutrę, to zobaczysz, że Patańdzali pisze także o *jamach* — nakazach moralnych, które regulują nasze zachowanie wobec innych ludzi. Jedną z nich jest *apańgraha* — wyrzeczenie się pragnień i posiadanie tylko tego, co konieczne. Bycie szczęśliwym z tego, co się ma, i z tego, kim się jest. Patańdzali mówi, że przywiązanie jest źródłem cierpienia, a ty właśnie cierpisz. Odetnij się od potrzeby posiadania przyjaciół, a przyjaciele sami się znajdą, zobaczysz.

W tym, co mówił, było dużo prawdy, a on sam miał w sobie coś niezwykłego. Może chodziło o tatuaż ze smokiem, może o turkusowe oczy, a może nawet o mądrość Patańdzalego. Tak czy inaczej, rzeczywiście powinnam skupić się tylko na tym, co jestem w stanie zmienić — czyli na swoich przekonaniach i oczekiwaniach. Zanim się zorientowałam, obiecałam mu, że przeczytam pozostałe sto dziewięćdziesiąt trzy sutry i od dziś będę „posiadać tylko to, co konieczne”.

Dobra, będę posiadać to, co konieczne, od jutra. Pucharu lodów czekoladowych z owocami i bitą śmietaną zapewne nie było na liście przedmiotów akceptowanych przez Patańdzalego, ale co tam. Musiałam poprawić sobie nastrój. Widziałam, jak ta specjalność Southern Star Quality Inn doprowadzała do łez prawdziwych mężczyzn. Ed, sobowtór Michaela Stipea z przebieranej imprezy w Pensjonacie, zjadał trzy porcje za jednym razem, no, ale on miał ponad metr dziewięćdziesiąt.



Myślałam, że przyjdzie mi jeść w samotności, ale w barze pojawił się sam mistrz pucharu lodowego w towarzystwie Helen i Heidi. Jak się okazało, był to ostatni deser lodowy Helen. Późnym wieczorem wyjeżdżała z powrotem do Connecticut. W pewnym momencie Heidi zaproponowała:

— Lucy, a może byś tak spakowała rzeczy i przeniosła się do nas? Mogłabyś zająć pokój po Helen.

Facet ze smokiem miał rację. Zaledwie godzinę temu porzuciłam wszelkie myśli o posiadaniu przyjaciół i oto proszę, płynęli do mnie szeroką rzeką. Zaoferowano mi pokój w Pensjonacie. Ostatnie dwa tygodnie przyjdzie mi spędzić w samym centrum studenckiego życia, najmodniejszym miejscu w Mysore, jeżeli idzie o klimaty jogi. Trafiłam główną wygraną. I miałam dzielić apartament z Billem.

Po godzinie wręczałam pieniądze za dwutygodniowy czynsz właścicielce z owczarkiem. Nawet nie chciała przeprowadzać ze mną rozmowy kwalifikacyjnej.

— Przyjaciółka Heidi to moja przyjaciółka — oznajmiła, a szeroki uśmiech zdradził jej wieloletnie upodobanie do *paanu*. Mieszanka orzechów betelowych, przypraw korzennych i soku z limonki zabarwiła jej zęby na czarno i czerwono.

Wieczorem odbywała się w Pensjonacie druga w tym sezonie impreza. Jedliśmy słodkie kulki *laddu* oraz *czapati* zrobione przez Heidi. Jako specjalny poczęstunek przyrządziła też napój imbirowy. Tak mi smakował, że wypiałam chyba z litr. A na koniec, jakby tego było mało na jeden dzień, do pokoju wszedł Bill. Wrócił z Goa.

Uśmiechał się od ucha do ucha, tak samo zresztą jak ja, kiedy położył się obok mnie na poduszce i zaczął mnie głaskać po włosach.

— Ej, stary! — zawołał do niego Ed. — Dla takiego uśmiechu mogą być tylko trzy wytłumaczenia. Kogoś bzykałeś, kogoś bzykałeś albo kogoś bzykałeś. To jak?

— Bzykałem — potwierdził Bill z zadowoleniem.

Na szczęście siedziałam do niego tyłem.

— I kim była ta szczęściara? — drążył Ed.

— Miucha, ta seksowna brunetka z Brazylii, o której ci opowiadałem. Rzuciłam kątem oka na swoje brązowe włosy; to znaczy na kosmyk, który Bill trzymał w palcach.

— Poznałem ją w Kerali, w Aśramie Sivananda. Mówię ci, była niezła. Wynajęliśmy sobie domek na plaży. Kompletna bossa nova, idealna harmonia. Jej nogi ciągnęły się w nieskończoność. Ale było gorąco w nocy... pociliśmy się jak nie wiem. Jak ona ruszała biodrami, jak się przeżyła... mówię ci, stary, dzika kotka.

— Mrrrr — zamruczał Ed, po czym zaczął się kotłować z Billem w udawanej walce.

W obawie, żeby mnie nie zgnetli, poszłam do swojej sypialni i zamknęłam drzwi.

A niech to szlag! Byłabym całkiem zadowolona, mając jedną bratnią duszę. A tymczasem inni przechodzili sobie od jednej do drugiej z oczywistą łatwością. Jak oni to robili?

Następnego dnia wstałam wcześniej z jasnym umysłem. Wyszłam z domu przed Billem ze stanowczym postanowieniem. Ukończę kurs dla początkujących u pana V. Przez następne dwa tygodnie będę pracować podwójnie, a potem pojedę do Kerali. Potrzebna mi była zmiana otoczenia. Richard przysłał mi maila, że nadal nie zreperował bojlera, a jedna z Kawowych Guru doniosła mi, że krążą plotki, jakoby Richard brał na Boże Narodzenie ślub z barmanką od koktajli. Ślub w święta? Przecież święta mieliśmy spędzać razem, w naszymi koszulach z muszelek i opaskach z kory! Nieważne. Jakoś przestało mi zależeć. Sylwestra mogę spędzić w hamaku w Aśramie Sivananda. I kto wie? Może też poznam jakiegoś Brazylijczyka?

Pan V. nauczył mnie trzech ostatnich pozycji. Po raz pierwszy udało mi się stanąć na głowie. Dość mocno się chwiałam, ale byłam pewna, że pan V. pomoże mi to udoskonalić.

Wyglądał na umiarkowanie zadowolonego i zgodnie ze swoją obietnicą dał mi planszę ze wszystkimi czterdziestoma czterema pozycjami.

Uszczęśliwiona, poszłam do sklepu z jedwabiem, żeby podzielić się dobrą wiadomością z Mohanem i zamówić jakieś nowe ubranie. Moją niewielką kolekcję szerokich hinduskich spódnic i podkoszulków z hinduskimi boginiami wyglądała dość niechlujnie, a w Aśramie Sivananda na pewno będę potrzebować czegoś nieco bardziej konserwatywnego.

Wieczorem leżałam już w szpitalnym łóżku, mając na sobie jedynie koszulkę firmy Porn Star „Nice Pear” i kawałek różowego materiału zawiązany w stylu *dhoti* wprowadzaczy psów.

Popełniłam błąd, którego o mało nie przypłaciłam życiem.

Uznałam, że do napoju imbirowego, który piłam poprzedniego dnia na imprezie, Heidi używała wody Evian albo przynajmniej wody przegotowanej i filtrowanej. Kompletnie błędne założenie. Heidi tak mocno wierzyła w ajurwedyjską zasadę jedności z wszechświatem, że piła wodę z kranu, a picie wody jedynie z plastikowych, fabrycznie zamkniętych butelek uważała za niepotrzebną przesadę.

Po wyjściu ze sklepu z jedwabiami zauważyłam, że mój brzuch powiększa się w zastraszającym tempie. Po południu przypominał wielkością arbuza. Zostawiwszy Heidi w Pensjonacie przy wykonywaniu wzmacniających pozycji jogi w rytm piosenek Dido, rzuciłam się do stóp doktora Kumara w przychodni w Saraswathipuram. Świat już zaczął wirować.

— Ja chcę do domu — płakała Lucy, lat sześć i dziewięć miesięcy.

— Jesteś w domu, Lucy. Jestem przy tobie — odpowiedział doktor Kumar.

Spojrzałam w jego łagodne, brązowe oczy. Na jego ramionach tańczyły anioły.

Przywołał riksę i po półgodzinie byłam na ajurwedyjskim oddziale miejskiego szpitala. Trochę mnie to zaniepokoiło, gdyż Heidi uczyła się medycyny ajurwedyjskiej, ale okazało się, że jej entuzjazm znalazł sobie niewłaściwe zastosowanie praktyczne. Lekarze ajurwedyjscy rzeczywiście są zwolennikami życia w harmonii z wszechświatem i leczenia opartego na prawach natury, ale nie są zwolennikami picia wody z indyjskich kranów.

Lekarze ajurwedyjscy są również przekonani, że każdy organizm ma w sobie moc samowyleczenia. A co to oznacza w przypadku osoby z zatruciem wodą? Żadnych leków. Tylko sok z granatów i osobisty egzemplarz *Harry'ego Pottera* doktora Kumara.

Osunęłam się w gorączkę. Arbuz ciągle się powiększał. Czas chyba się zatrzymał. W którymś momencie mojego delirium pojawił się doktor z oddziału medycyny zachodniej i niczym wcielenie diabła podsunął mi antybiotyki i powieść Jeffreya Archera.

— Weź to, a jutro będziesz zdrowa — powiedział.

Trzymałam się Harry'ego i soku z granatów tylko ze względu na anioły tańczące na ramionach doktora Kumara.

Wreszcie arbuz pękł. Straciłam kontrolę nad swoim umysłem i swoim ciałem, które działało tylko wtedy, gdy musiało mnie doprowadzić do łazienki. I wtedy przypomniałam sobie Seana w starym domu w Lakshmipuram. Ja przynajmniej miałam zachodni sedes, a z łazienki nie wyciekały brunatno-zielone plamy. Nie potrzebowałam pomocy porucznik Ellen Ripley z pokładu „Nostromo”. Byłam przypięta do kroplówki (nieważne, że ograniczała moje ruchy). No i wreszcie miałam Regę i Indirę, cudowne pielęgniarki, które zaglądały do mnie, pytając: „No i jak?”.

Na ogół nie musiałam używać słów.

Traciłam i odzyskiwałam świadomość, zastanawiając się, w najbardziej dramatycznych momentach, czy przyjdzie mi umrzeć w samotności i bez testamentu. Komu przypadną moje maty do jogi? A moja Calmia Meditation Mist? Podkoszulek Nauli? W czasach Kompanii Wschodnioindyjskiej, kiedy przeciętny angielski emigrant wytrzymywał w tym kraju nie dłużej niż trzy monsuny, Kompania bardzo rozsądnie wymagała od swoich pracowników sporządzenia przed wyjazdem ostatniej woli.

Po trzech dniach odzyskałam zainteresowanie światem zewnętrznym. Na szczęście kierowniczka sklepu z pamiątkami w Southern Star Quality Inn wypożyczyła mi swój telefon komórkowy (wyglądał jak jeden z pierwszych prototypów). Zadzwoiłam do pana V., żeby mu powiedzieć, gdzie jestem, a potem do Bena. Może przyjechałby z Kerali, żeby się mną opiekować? Przynosiłby mi do szpitala posiłki, jak Hindusi swoim chorym krewnym.

Niestety, jego związek z Erikiem nie przetrwał. Zdarzył się jakiś incydent z jednym z chłopaków na łodzi i postanowili się rozstać. Bill był teraz o kilkaset mil stąd i rozkoszował się turkusowymi wodami Andamanów w towarzystwie Australijczyka, którego wiedza o twórczości Christiny Aguilery była imponująca. Ben obiecał, że przekaże wiadomość Erikowi, który był chyba w drodze do Mysore.

Erik pojawił się następnego dnia. Jak zwykle miał na sobie rozpiętą do pępka lnianą białą koszulę i jasne dżinsy z obciętymi nogawkami. Wyciągnął swoje długie i opalone kończyny na kanapce dla gości, po czym oznajmił, z oczami przepelnionymi wzruszeniem, że znów czuje się trochę „jak podczas pełni”. Przyjął na siebie cierpienie wszechświata, otwierając za bardzo serce w Kerali.

Widok znajomej twarzy Erika doprowadził mnie do łez. Studenckie życie w Pensjonacie straciło cały urok; nie miałam ochoty tam wracać. To był w sumie dość duży wysiłek — moje

ciało bez mojej woli wsiadło do kapsuły czasu i powróciło do pierwszych wakacji z jogą sprzed czterech lat, kiedy byłam sztywna jak deska. Nie widziałam nadciągającego połączenia z kosmiczną szczęśliwością, nie przybliżyłam się też do odkrycia sensu życia czy znalezienia mężczyzny, z którym mogłabym to życie dzielić. Byłam bardzo przygnębiona.

Nadszedł czas, żeby ruszyć w dalszą drogę. Może zarabianie niezłej kasy za debatowanie nad śpiewem słończników nie było najgorszym pomysłem? Mam wrócić do pracy w reklamie albo przynajmniej pojechać na święta do domu? Chciałam do mamy, tęskniłam za tatą, poza tym w domu miałabym mnóstwo alkoholu. A może jechać na inny kontynent? Podobno w Byron Bay, australijskiej stolicy jogi, jest siedem plaż i ogromna populacja surferów. Może tam będę się lepiej bawić?

Erik chciał mi postawić tarota, żeby obudzić mój umysł. Widocznie „księżycowe” samopoczucie rzuca na karty jakiś niezwykły czar, bo okazało się, że Sukces, Integracja, Beztroska i Odrodzenie będą moim losem. Musiałam jedynie spakować rzeczy i jak najszybciej złapać pociąg do Kerali.

Wyciągnęłam też kartę Kompromis. No cóż, sztuka kompromisu nigdy nie należała do moich mocnych stron. Byłam raczej dość zawzięta w dążeniu do celu — dlatego właśnie równowaga, którą joga mi czasem daje, jest mi tak bardzo potrzebna. Może powinnam pogodzić się z tym, że moja droga do oświecenia wcale nie będzie taka prosta, jak mi się wydawało. Może powinnam zmienić nieco swoje oczekiwania. Może Indie przygotowały dla mnie jeszcze parę innych niespodzianek.

No cóż, mimo wszystko nie było aż tak źle. Nie zdobyłam wprawdzie oceny celującej, ale udało mi się spełnić niektóre marzenia. Dyskutowałam o naukach *Jogasutr Patańdzalego* z facetem ze smokiem i leżałam na hamaku ze strażakiem z Kolorado. Przekonałam się, że w czasie pełni 72 tysiące *nadi*

może się wymknąć spod kontroli. I wiem, że nie wolno pić wody z kranu.

Prawdę mówiąc, teraz była najlepsza pora, żeby pojechać do Aśramy Sivananda — 21 grudnia zaczynał się specjalny „Program kulturalny joga i ajurweda”, który obejmował pokazy klasycznego tańca i muzyki południowych Indii, masażu ajurwedyjskiego i gotowania. Poza tym kto by chciał spędzać Boże Narodzenie w Mysore? Próbowałam nie myśleć o tym, co planowaliśmy z Richardem — chodziło o Andamany i Nikobary — nie, dwa tygodnie w aśramie są zdecydowanie lepsze dla mojego rozwoju duchowego niż biały piasek i turkusowe morze.

Wróciłam do szkoły, żeby się pożegnać z panem V. Doskonale rozumiał moją decyzję. Ja żałowałam jedynie, że nie będę chodzić na zajęcia z *krija*, technik oczyszczających. Pan V. jednak powiedział, że po wodzie, którą Heidi mnie poczęstowała, nie są mi już potrzebne.

Zapłaciłam 25 funtów za pobyt w szpitalu, czyli głównie za papier toaletowy i granaty, dałam Redze swoją szczęśliwą maskotkę, uścisnęłam Erika i wyjechałam z Mysore w białym ambasadorku oraz — i kto by się tego spodziewał — z zawartością tłuszczu w organizmie w granicach osiemnastu procent.

„Przychodzić duży seks, przychodzić duże pieniądze”

Matthew, mój kierowca, miał pięćdziesiąt kilka lat i był dumny z dwóch swoich rzeczy: lśniąco białego ambassadora i chrześcijaństwa. Na wstecznym lusterku kołysał się Jezus, obdarzając pokojem i życzliwością swojego wyznawcę oraz jego brązowe welwetowe siedzenia.

Ośmielona znajomym wizerunkiem świętej postaci przyjąłem zaproszenie Matthew, żeby usiąść z przodu. Spytał, jak mam na imię, a potem długo i uważnie przyglądał się mojej twarzy. Zbyt długo i zbyt uważnie, bo o mało nie wpadliśmy na znak drogowy.

— Masz bardzo dobra twarz. Dużo cię czeka. Dużo szczęścia. Ty dać mi rękę, a ja ci powiedzieć przyszłość.

Utknęliśmy w korku, więc i tak nie mieliśmy nic do roboty. Wyciągnęłam do niego dłoń.



— Nie, nie. Zaczekać pusta droga. Droga do Bangalore bardzo dobra. Bardzo szybka. Wtedy ja mówić.

Kiedy rozpędziliśmy się do stu mil na godzinę, Matthew się rozluźnił. Wziął mnie za rękę i zaczął się jej przyglądać.

— Tak, idzie dużo pieniądze. Nie mało pieniądze. Dużo pieniądze. Pieniądze żaden problem. Za rok od teraz, żaden problem.

Jeszcze raz spojrział na moją twarz.

— Przyjść bardzo dobry mężczyzna. Dobre ciało. Dobra twarz. Dobre serce. Ty wyjść za mąż. Bardzo niedługo. Bardzo dobry człowiek.

Ucieszyłam się niezmiernie i chciałam się upewnić, że będę o właściwej porze we właściwym miejscu.

— Gdzie go poznam?

— To nie Anglik. Nie w Anglii. Ręka nie mówić. Ale nie Anglik.

— Kiedy go poznam?

— Ręka nie mówić. Bardzo dobry seks. Bardzo dobry. Ty bardzo zadowolona. Twoja rozkosz sześćdziesiąt cztery razy.

— Sześćdziesiąt cztery razy?

— Sześćdziesiąt cztery sposoby. Jeden dzień jeden sposób. Drugi dzień drugi sposób. Bardzo dobrze. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Dobra, idźmy dalej.

— Dzieci?

— Ślub w lutym. Siedem miesięcy i ty w ciąży. Najpierw dziewczynka, bardzo piękna dziewczynka, podobna do ojca. Twój ojciec bardzo szczęśliwy. Potem chłopiec. Bardzo ładny chłopiec. Podobny jak ty. Dobrze się uczyć. Bardzo dobrze. Bardzo dobry seks. Bardzo dobry.

— Gdzie będziemy mieszkać?

— Po ślubie ty dostać samochód. I duży piękny dom. I wszyscy będą razem. Tata. Mama. Bracia. Siostry. Wszyscy

bardzo szczęśliwi. Twój ojciec bardzo szczęśliwy. Wszyscy razem.  
— A moja rodzina? Będziemy mieć jakieś problemy?  
— Wszyscy OK. Żaden problem. Bardzo dobry seks. Dobre twoje nerwy. — Wskazał na moje krocze. — Bardzo dobry seks.  
Już miałam wyskakiwać z pędzącego samochodu, kiedy Matthew przeszedł na bardziej bezpieczny teren.  
— Ty pić dużo wody. Bardzo dużo. Cytryna, miód, mało wody, razem wymieszać. Położyć na twarz, na szyję i na piersi. Mężczyzna popatrzeć i bardzo dobrze. — Nadał z całej siły policzki. — Robić tak trzy razy, razem sześć minut. Twarz się zrobić jak jabłko. — Bardzo chciał mnie przekonać i pocieszyć. — Bardzo dobre życie. Najpierw syn, potem córka.  
— Wydawało mi się, że pierwsza miała być córka.  
— Tak, pierwsza córka. Dwóch synów. Dwie córki. Jeden syn. Jedna córka. Bardzo dobrze. Dobry seks. Bardzo dobry seks.  
Przyjechaliśmy na dworzec w Bangalore. Dzięki Bogu. Matthew podsumował wszystko jeszcze raz.  
— Bardzo dobre życie. Bardzo dobry mąż. Bardzo dobry seks. Duże pieniądze. Bardzo duży napiwek.  
Nagle wszystko stało się jasne.

Pociąg numer 6525, odjeżdżający o 21:00 Express Kanyaku-mari z Bangalore do Trivandrum, stał na peronie jeszcze godzinę po wyznaczonej porze odjazdu. Dopisek na rozkładzie jazdy mówił prawdę — pasażerów uprzedzono, że podana na tablicy godzina oznacza „nie wcześniej niż”.

Wyjeżdżając z Mysore, czułam się jak skazaniec wypuszczony z więzienia — jakbym widziała świat po raz pierwszy. Stałam w drzwiach pociągu i wszystkie dźwięki wydawały mi

się wyraźniejsze: syk odjeżdżających lokomotyw, nawoływania sprzedawców *ćaiu*, radosne okrzyki dzieci. Z zachwytem patrzyłam na bogactwo wschodnich kolorów i faktur. Jak to się stało, że wcześniej ich nie zauważyłam? Życie w Mysore było bardzo ograniczone, niemal wszyscy studenci pochodzili z Zachodu i w zasadzie nie mieli ochoty na poznawanie świata poza salami do ćwiczeń jogi. Patrzyłam na drobne szczegóły zwykłego życia w Indiach jak zahipnotyzowana. Na peronie tłoczyli się krewni i znajomi odjeżdżających. Młode kobiety w zielonych jak papugi i różowych jak flamingi sari próbowały jakoś zapanować nad rozbrykanymi dziećmi, starsze kobiety patrzyły surowo — poprawiały sobie okulary i narzekały na brak dyscypliny, ważni mężczyźni obarczeni ważnymi sprawami przyglądali się temu ze zniecierpliwieniem. Pomędzy nimi przemykali żebracy i sprzedawcy *ćaiu*; pracownicy kolei i bagażowi w brudnych czerwonych mundurach z mosiężnymi guzikami i epoletami czujnie wyglądali najmniejszych oznak słabości u pasażerów bez służby czy rodziny, za to z najcięższymi walizkami. Bezpańskie psy były tak samo czujne, licząc, że trafi im się jakaś *samosa*\* spadająca z tacy ulicznego sprzedawcy.

Miałam jechać sama nocnym pociągiem i czułam w związku z tym pewien niepokój. Gazety pisały o przecinanych walizkach, o rabunkach przy użyciu noży, a nawet o oblewaniu kobiet kwasem. Nie kupiłam biletu pierwszej klasy, bo podobno często zdarzało się, że w dwuosobowym przedziale zamykano Europejkę i Hindusa. Nie widziałam w tym wielkiego problemu, ale widocznie zdarzały się jakieś nieprzyjemne incydenty. Powiedziano mi, że dużo bezpieczniejsza jest podróż „Second AC”, czyli drugą klasą z klimatyzacją. W tych wagonach przedziały były czteroosobowe, oddzielały je zasłony, a nie drzwi zamykane na klucz. To wszystko okazało

\* *Samosy* — pierożki nadziewane warzywami.

się prawdą jedynie w części -oraz cztery miejsca do spania nie wsiadł nikt.

— były biało-niebieskie zasłony

— ale poza mną do przedziału

Zajęłam się ścieleniem górnego łóżka — był to plastikowy niebieski materac wciśnięty między dwie tyczki i przymocowany do sufitu płóciennymi pasami. Kolejowa torba na bieliznę pościelową głosiła: „Bieliznę uprano w pralni mechanicznej. Jeżeli jakaś część okaże się w stanie postrzępionym, podartym, poplamionym albo będzie wydzielać nieprzyjemny zapach, należy zwrócić się do konduktora, żeby wydał nową”. Nie było to jednak potrzebne — pościel była idealnie czysta. Przypięłam bagaż do haczyków przymocowanych pod dolnym łóżkiem i próbowałam się zrelaksować.

Pociąg wreszcie ruszył. Światła miasta powoli zniknęły. Jechaliśmy na południe. Mijaliśmy małe stacyjki, których istnienia domyślałam się jedynie za szybami pokrytymi żółtym brudem, ale w końcu, zachęcona przez stukot kół połączony z moim zmęczeniem (zaledwie dwa dni wcześniej wyszłam ze szpitala), zapadłam w niespokojny sen.

Obudziłam się wczesnym rankiem. Jakaś duża rodzina z hałasem pakowała się do pociągu. Szybko zdobyli moje terytorium i ogłosili swoje zwycięstwo. Nie przeszkadzało mi to, zwłaszcza po filiżance mocno osłodzonej herbaty roznoszonej w pociągu przez gościa od *caiu*. Reszta poranka upłynęła mi przy masie *różnych* zajęć wymyślanych przez czwórkę dzieci jadących ze swoją mamą do Kadakavur na urodziny cioci. Dmuchałam balony, kołysałam niemowlę, pozowałam do zdjęć i ku rozbawieniu dzieciaków okrzykami „Shanti!” starałam się zagłuszyć hałas.

Żałowałam, kiedy musieli już wysiadać, ale po półgodzinie pociąg wjechał do Trivandrum. Obiecałam sobie, że już nigdy nie usiądę w taksówce z przodu — przynajmniej przez parę najbliższych dni — więc nawet byłam zadowolona, kiedy okazało się, że mój kierowca przyprowadził ze sobą ko-

legę. Zostawiliśmy za sobą zatłoczone Trivandrum i zaczęliśmy wolno pokonywać trzydzieści kilometrów wysadzonej palmami drogi prowadzącej do Neyyar Dam, gdzie mieściła się Aśrama Sivananda Yoga Dhanwantari.

W wilgotnym popołudniowym powietrzu unosiły się zapachy keralskiej wsi — dym drzewny, jaśmin, eukaliptus i przyprawy. Wzdłuż drogi szły kobiety z trzymetrowymi irokezami chrustu na głowach, mijali je na skuterach wąsaci, pyzaci mężczyźni w złotych okularach przeciwsłonecznych i powiewających marynarkach z czarnej skóry. Stopniowo znikwały domki kryte strzechą i stragany z grubymi, czerwonymi bananami, a w ich miejsce pojawiły się wzgórza i drzewa uginające się pod ciężarem mango, papai i owoców drzewa chlebowego. Od czasu do czasu zza zakrętu wyłaniały się szmaragdowe plamy pól ryżowych wykopanych w zboczach wzniesień. Samochód poruszał się w leniwym rytmie wyznaczanym przez łagodne zakręty drogi, łagodzącym kołysanie się plastikowego różowego Ganeśy (bóstwa z głową słonia, które usuwa wszelkie przeszkody i zapewnia powodzenie) na desce rozdzielczej i chroniącym dwie syreny— zamknięte w stojącej obok plastikowej kuli — przed utonięciem w śnieżnej burzy. Spokojną atmosferę psuł jedynie dźwięk klaksonu, którego kierowca używał co pół minuty, bez względu na to, czy *coś* stało mu na drodze, czy nie.

Skręciliśmy z głównej drogi i zaczęliśmy stromy podjazd w kierunku aśramy. Po prawej stronie ukazała się gładka, błyszcząca tafla jeziora. Minęła nas cała masa dzieci z czerwonymi pomponami National Cadet Corps. Z ożywieniem pokazywały palcem na ambassadora i na cały głos wrzeszczały: „Cześć, ciociu!”.

I wreszcie pojawiła się tablica z napisem: „Witajcie w Aśramie Sivananda”. Na innej tabliczce proszono kierowców, żeby nie trąbić, więc mój szofer zatrąbił natychmiast, i to trzy razy. Nieco pokłóciliśmy się o cenę za przejazd — należ-

ność została wcześniej ustalona i zapłacona, ale mimo to zdążyła wzrosnąć o 200 rupii.

— Bardzo duża walizka, madam. Zużywać dużo benzyna.

Weszłam po schodach tak szybko, jak pozwalała mi bardzo duża walizka, i usiłowałam powstrzymać się od krzyku na widok uzbrojonych strażników przy wejściu. O nie, nie zepsują mi dobrego nastroju. W oddali widziałam bujny ogród i szczęśliwych ludzi w jaskrawożółtych koszulkach z napisem OM. Poszłam za podkoszulkami do ich źródła — czyli zatłoczonego biura, w którym na szczęście były też normalnie wyglądające osoby.

Usiadłam i czekałam, żeby się zameldować. Patrzyłam na małą grupkę, wpisującą do jakiegoś zeszytu swoje wyjście nad jezioro. Widocznie obowiązywały tu ściśle zasady bezpieczeństwa, ale chyba nie było z tym problemów. Wysoki Anglik z twarzą, na której usiłowały się bezładnie pomieścić zmarszczki, nos i rozjaśnione szczęściem niebieskie oczy — co tworzyło w sumie dość zniewalający efekt — zajmował się organizacją.

Zapytał chłopaka imieniem Jusep, czy ma flet. Jusep skinął radośnie głową i dał krótki pokaz tego, co może ich czekać nad jeziorem. Publiczność stała jak zahipnotyzowana, nie byłam jednak pewna, czy to z powodu obcisłej białej kamizelki i luźnych bawełnianych spodni, spływających po jego idealnie ukształtowanym złotym ciele, czy też długich, ciemnych włosów, dużych oczu i podobieństwa do Jezusa. Wszyscy zaczęli klaskać.

Facet ze zniewalającą twarzą zwrócił się teraz do dziewczyny z niesfornymi włosami, szerokim uśmiechem i rumianymi policzkami z pytaniem, czy pamiętała o „kanapkach”.

Wychyliłam się do przodu, żeby ukradkiem spojrzeć na to, co trzymała na wyciągniętej dłoni. Wydawało mi się, że były to stożkowate paczki zatwierdzonych przez Kryszenę *bidi*, tytoniu zawiniętego w liście.

— Mam też termos. — Dziewczyna puściła do niego oczko, pokazując na schowaną w kieszeni piersiówkę.

— Świetnie. Zatem mamy wszystko. A ty, Cartier — teraz zwrócił się do dziewczyny w długim, białym kaftanie, z pomarańczową torbą przewieszoną przez ramię i długimi, ciemnymi włosami starannie zebranymi w koński ogon pod okularami YSL — na pewno chcesz z nami iść? Tam mogą być krokodyle.

— Hmmmm... No to na razie, chłopaki. — Cartier obróciła się na bosych, idealnie wypielegnowanych piętach.

— Nie dajcie się krokodylom — rzuciłam, zupełnie bez sensu, w kierunku mężczyzny ze zniewalającą twarzą.

— Dzięki. Postaramy się. — Wyglądał na lekko zaskoczonego. — Idziemy, chłopaki.

Patrzyłam za odchodzącą grupą piknikową, mając nadzieję, że następnym razem do nich dołączę. A tymczasem zajęłam się stertą formularzy, które musiałam przeczytać i wypełnić. Musiałam się zobowiązać do przestrzegania zasad obowiązujących w aśramie: nie wolno wychodzić poza teren bez przepustki; nie wolno odwiedzać miejscowych restauracji; nie wolno swoim zachowaniem przynosić ujmy aśramie; nie wolno pić; no i pod żadnym pozorem nie wolno jeść czosnku.

Miałam nadzieję, że znajdzie się jakieś pole manewru, sądząc zwłaszcza po zawartości kieszeni dziewczyny z niesfornymi włosami. Ale kiedy weszłam do swojego pokoju, okazało się, że reguł jest więcej. W aśramie należało „jak najczęściej zachowywać milczenie, a w razie konieczności rozmawiać tylko po cichu. Swami Vishnu-devananda mówi: *cisza jest muzyką duszy*”. Miałam także „nosić włosy czyste i porządnie uczesane, myć zęby i codziennie zakładać czyste ubranie”. Cartier na pewno przeczytała regulamin.

Podkreślono, że stali mieszkańcy aśramy zachowują celibat, będący częścią ich praktyki duchowej, więc gości proszono o to samo. Ale to nie wszystko: niedozwolone były wszelkie

formy kontaktu *fizycznego* pomiędzy płciami, żadnego „trzymania się za ręce, przytulania, całowania ani masażu na terenie aśramy”. Wydawało mi się, że w masażu ajurwedyjskim nie ma nic złego, zwłaszcza że za to płaciłam. „Mężczyźni i kobiety mają zakaz brania prysznic w tych samych kabinach”. Wyglądało na to, że i tak nie będę tam spędzać za dużo czasu — ogłoszenie zalecało odkręcanie wody tylko na czas zmożenia ciała. Potem należało się namydlić i ponownie odkręcić wodę, żeby się opłukać. No i na koniec: żadnych suszarek do włosów. Moja nadzieja na znalezienie w pokoju kontaktu nie trwała długo.

Usiadłam na łóżku, starając się nie zwracać uwagi na blaszane wiadra w łazience i materac o grubości dwóch centymetrów. Lepiej było zająć umysł jakimiś praktycznymi kwestiami, na przykład co włożyć na pierwsze zajęcia jogi. Regulamin aśramy zabraniał kobietom noszenia szortów i koszulek bez rękawów, a mężczyznom — bardzo intrygujące — „prześwitujących *dhoti*”. Zaczęłam przymierzać górę od piżamy — o ile w wystarczającym stopniu przykryje mi ramiona, w ostateczności mogłam sięgnąć po którąś z koszulek pana V. — kiedy do pokoju weszła moja współlokatorka. Popatrzyłam na nią z ulgą — była drobnej postury, więc na pewno nie chrapała. Przedstawiłam się z uśmiechem.

— Cześć, skarbie, jestem Millicent — powiedziała. Pomimo mocnego uścisku dłoni wyglądała na zmęczoną.

— Miałaś długą podróż? — spytałam.

— Nie, tylko parę godzin autobusem z Trivandrum. Niezła zabawa. Złapaliśmy gumę, więc musiałam wyjąć swoje narzędzia i udało się nam założyć prowizoryczną łąkę, żeby dotrzeć do Neyyar Dam.

Millicent spojrzała na mnie ponad grubymi szklami okularów w okrągłych oprawkach. Ubrana była w prosty, niebieski *śalwar kamiz*, a gęste, ciemne włosy miała zebrane w kok. Musiała mieć jakieś pięćdziesiąt kilka lat, ale zachowywała się jak osoba, która żyła i umarła w dziewiętnastym wieku.



— Wygląda na to, że już od jakiegoś czasu jesteś w Indiach.

— Prawdę mówiąc, skarbie, przyjechałam zaledwie kilka miesięcy temu. Prowadziłam obserwacje ptaków na słonych bagnach Wielki Rann w okręgu Kaćh w Gudżaracie, a potem pojechałam w Himalaje. Odwiedziłam mały klasztor, jakieś osiem godzin marszu od Ryszikeś. Trochę zimno, ale ludzie fantastyczni. Masz ochotę na herbatę?

Trzymała w ręku butlę gazową i herbatę z imbirem.

Jej mały plecak wydawał się nie mieć dna: mieścił się w nim metalowy kubek, trzy zamykane menażki, pół kilo pomarańczy i czerwonych bananów kupionych rano na targu w Trivandrum, sznur do bielizny, klamerki do bielizny, proszek do prania w jednorazowych opakowaniach, dwie kłódki, filtr do wody, śpiwór, dwa komplety *śalwar kamiz* oraz najbardziej seksowna bielizna, jaką w życiu widziałam.

— Musiałaś płacić za pobyt w klasztorze? — spytałam, postanowiwszy odłożyć temat bielizny na później.

— Tylko co łaska, skarbie. Wykonywałam oczywiście różne drobne prace, na przykład sprzątałam oborę i naprawiałam ogrodzenie. Nic specjalnego. A ty, skarbie? Skąd jesteś?

Wyjaśniłam, że uczyłam się jogi w Mysore, ale rozmyślnie wycięłam fragment z Southern Quality Star Inn, a zamiast tego wstawiłam Kaveri Lodge oraz krótki okres w pokoju Se-ana w Lakshmipuram.

— Bardzo słusznie, skarbie. Kiedy jesteś w Indiach, wiadomo. Za pokój nie warto płacić więcej niż sto rupii, no chyba że masz ciepłą wodę. Ale wtedy i tak nie więcej niż sto dwadzieścia.

Powoli wcisnęłam mój ostatni rachunek płacony kartą kredytową na sam spód sterty papierów.

Po zrobieniu herbaty Millicent zajęła się następnym zadaniem. Zgniotła w kulkę swój egzemplarz dziennika „The Hindu”, z niespenetrowanej dotychczas kieszeni plecaka wy-

jęła ocet i zaczęła wszystko szorować. Po paru chwilach ja też byłam na kolanach, wymiatając pająki i ich pajęczyny miotłą zrobioną z kilku związanych gałązek. Kurz był wszędzie. Jak Cartier mogła być taka czysta? Millicent mówiła dalej:

— Ta łazienka to wielki postęp w porównaniu z tym, co było na pierwszym jogowym obozie Swami Vishnu-devanandy w 1959. Obóz odbywał się w górach w St. Hippolyte, niedaleko Val Morin w Kanadzie. Nie było bieżącej wody, więc zrobili dziurę w koszu na śmieci, umieścili go na drzewie i napełnili wodą. Czytałaś może o tym, skarbie, w książce Gopala Krishny *Jogin. Portret Vishnu-devanandy*?

Musiałam przyznać, że nie.

— To, że ludzie Zachodu gotowi byli porzucić wszelkie wygody, przepełniło serce Vishnu-devanandy wielką radością. Wyglądało na to, że uda mu się wprowadzić jogę na Zachód i tym samym wypełnić obietnicę, jaką dał swojemu guru Swami Sivanandzie. Skoro oni wytrzymali, to my nie powinniśmy narzekać. Żyjemy niemal w luksusie, prawda, skarbie?

— Prawda — przytaknęłam niechętnie. W końcu widziałam gorsze rzeczy.

— No cóż. — Spojrzała na mnie ponad okularami. — Rozweselmy serce Vishnu Sivanandy jeszcze raz.

Podczas popołudniowego szorowania dowiedziałam się, że Millicent podróżowała po całych Indiach z dwójką małych dzieci, które wychowywała sama po tym, jak jej mąż zostawił ją w Katmandu w latach siedemdziesiątych.

— Trzymaj się mnie, skarbie — powiedziała. — A na pewno nie zginiesz.

Sygnałem wzywającym na kolację był gong. Po szorowaniu nabrałyśmy z Millicent apetytu, więc nie *tracąc* czasu, przy-

łączyliśmy się do długich rzędów śpiewających pieśni aśramitów siedzących na podłodze w niewiarygodnie niebieskiej sali Dhanwantari. Pod koniec śpiewaliśmy już refren „Jfli”, co, jak mi wyjaśniła Millicent, znaczyło „Niech będzie chwała”. Pieśń wychwalała niejakiego *Hare OM*, którego uznałam za kucharza i dopiero Millicent oświeciła mnie, patrząc z pewną surowością, że było to jedno z imion Boga.

Jedzenie wniesiono w dużych, cynowych wiadrach. Na moim podzielonym na kilka części talerzu do *thali* wylądowały wkrótce duże kupki ryżu, *papadamów\**, curry z ciecierzycy i świeżej fasolki, a ja zaczęłam powolny proces nauki jedzenia palcami. Upuściłam mnóstwo ciecierzycy na swoje białe spodnie, ale zauważyłam, z pewną satysfakcją, że ubrani na pomarańczowo mężczyźni z końca rzędu, którzy jako jedyni stosowali się do nakazu „OM proszę nie rozmawiać”, robili nie mniejszy bałagan niż ja — chociaż kolor ich szat stanowił bardzo przydatny kamuflaż.

Millicent próbowała mnie pocieszyć:

— Nie martw się, skarbie. Kiedy jakiś uczeń chciał wytrzeć pomidory, które wypadły z kanapki na sweter Vishnu-devanandy, ten uśmiechnął się i powiedział: „Widzisz, nawet pomidory do mnie ciągną. Chcą być bliżej mnie”. Śmieszne, prawda? On był bardzo dowcipny.

Zgodziłam się z nią z nadzieją, że pociąg ciecierzycy do mojej osoby dobrze wróżył mojemu rozwojowi duchowemu.

Jedzenie, które udało mi się donieść do ust, było dość nijakie w smaku — ale zapewne zgodne z „Właściwą dietą”, jedną z pięciu zasad jogi przedstawionych w *Podręczniku Sivanandy*, niewielkiej broszurze, którą kupiłam po południu w dobrze zaopatrzonym sklepiku w aśramie. Tak samo jak samochód wymaga „systemu smarowania, akumulatora, systemu

\* *Papadamy* — cienkie, chrupkie naleśniki przyrządzane z mąki z ciecierzycy albo soczewicy.

chłodzenia, właściwego paliwa i odpowiedzialnego kierowcy", tak samo ciało potrzebuje „właściwych ćwiczeń”, „właściwego oddychania”, „właściwego odpoczynku”, „właściwej diety” oraz „pozytywnego myślenia i medytacji”.

Nie widziałam na kolacji uczestników pikniku nad jeziorem, ale z zadowoleniem zauważyłam, że większość osób też była dość wyluzowana — na jakichś dwustu stołowników tylko kilku siedziało w pełnym lotosie, widać też było szeroki wachlarz stylistyczny. Błada, wytatuowana dziewczyna w nylonowej sukience i rybaczkach, z pękiem jasnym dredów zwiniętych w kulę na czubku głowy rozmawiała cicho ze zwałistym Australijczykiem w koszulce z bumerangiem i koalą. „Boskie dziecko” ze złotymi włosami i w koszulce z napisem JEDEN ŚWIAT chowało się za filarem, wyraźnie ukrywając się przed mamą i ciecierzycą. Potężny Hindus — jak się później dowiedziałam, miał na imię Ravi — aż trząsał się cały po jakimś dowcipie opowiedzianym przez sąsiada, a Cartier sączyła mleko kokosowe, nie roniąc ani jednej kropli na swój idealnie biały kaftan.

Po kolacji cała aśrama zamiast odpoczywać przed telewizorem, udawała się do Sali Pamięci *satsang samadhi* Swami Vishnu-devanandy, nazywanej salą Śiwy. Była udekorowana złotymi żyrandolami oraz wielkim, złotym OM — tak samo krzykliwymi jak reklamy proszku do prania w Mysore. Czy moje życie duchowe zostanie wyprane do białości? A może przybiorę jasnopomarańczowy odcień?

Usiadłyśmy z przodu, pod sceną ozdobioną upomnieniami Swami Sivanandy, żeby „służyć, kochać, dawać, oczyszczać, medytować i urzeczywistniać”. Po obu stronach ogromnego OM widniały obwieszane pomarańczowymi girlandami portrety Swamiego Sivanandy oraz Swamiego Vishnu-devanandy — mężczyzny o otwartym, bezpośrednim wyrazie twarzy, który wyglądał tak, jakby miał za chwilę wybuchnąć śmiechem. Było też jego zdjęcie obok kolorowego, dwusilnikowego

„samolotu pokoju”, pomalowanego przez malarza kosmicznych lat 60., Petera Maxa. Millicent powiedziała mi później, że Vishnu-devananda stał się znany jako „Latający Swami” po swoich pokojowych lotach nad obszarami ogarniętymi wojną lub konfliktem, podczas których bombardował kwiatami i pokojowymi ulotkami wschodnie i zachodnie Niemcy czy arabsko-izraelskie pozycje. Podróżował z paszportem „Planety Ziemia”, w którym jego wzrost określono jako „niezmierzony”, oczy jako „intuicyjne”, a miejscem zamieszkania była „Ziemia”. Miałam nadzieję, że jego uczniowie wykazywali się podobnym poczuciem humoru.

Jakoś nie mogłam się w *satsandze* skoncentrować. Zapytałam Millicent, co to słowo znaczy, a ona wyjaśniła mi, że pochodzi z sanskrytu.

— *Sanga* to bractwo albo braterstwo, zaś *sat* oznacza pobożność. Jesteśmy bractwem poszukiwaczy prawdy, skarbie.

A prawda była taka, że byłam zmęczona. Po godzinie medytacji i śpiewów — prowadzonych przez bladego, chudego, przygarbionego *swami* z Ameryki grającego na fisharmonii — marzyłam, żeby położyć się do łóżka. Zostałam jednak dłużej i z przyjemnością wysłuchałam słodkiego, łagodnego śpiewu modlitwy *Arati*, „Modlitwy światła”, po której następowało machanie lampą *Arati* przed ołtarzem, co miało oznaczać, że Pan jest w świetle słońca, księżyca i ognia. Potem siwowłosa kobieta w białej sukni zniosła lampę ze sceny, a aśramicy kolejno ogrzewali sobie dłonie nad płomieniem i przykładali je do serca i głowy.

Wróciłyśmy do pokoju. Wyjaśnwszy mi, że ten ostatni gest oznaczał oczyszczenie ja i spalenie ego, Millicent położyła się do łóżka w czarnej bieliźnie seksbomby, po czym zaczęła chrapać niczym kawalerzysta.

Gdzieś o piątej nad ranem udało mi się wreszcie zasnąć, ale już o piątej trzydziści obudził mnie gong i dochodząca z pobliskiej wioski zawodząca świątynna muzyka, która brzmiała jak taniec Myszki Minnie na rozżarzonych do czerwoności węglach. Millicent robiła już imbirową herbatę.

Dzień od razu zaczynał się na wysokich obrotach — o szóstej rano była *pudża*, czyli nabożeństwo. Kiedy wchodziłam do sali Dhanwantari było jeszcze ciemno i widziałam jedynie rzędy białych szali. Usiadłam między nimi i dowiedziałam się, że *pudżę* odprawiano w hołdzie dla Ganeśy. Oddawanie mu czci miało usunąć wszelkie przeszkody, jakie w ciągu najbliższych paru tygodni mogły się pojawić na naszej drodze. Okazało się, że ceremonia wymaga udziału wszystkich zgromadzonych. Byłam przerażona, że zrobię coś źle, więc przykleiłam się do uśmiechniętej, pachnącej jaśminem Hinduski, która poprzedniego wieczoru nakładała curry z ciecierzycy. Uklękliśmy razem przed odzianym na pomarańczowo *szuamim*, złożyliśmy pokłon i z dużej kupki wzięliśmy garść czegoś, co wyglądało jak kukurydza. Przyłożyliśmy to na moment do serca, po czym wrzuciliśmy do ognia. To nie była kukurydza, bo nie uprzyżyła się na popcorn. Nieważne. Złożyliśmy kolejny pokłon i bezpiecznie wróciliśmy do pozycji modlitewnej.

Historia była zupełnie inna, kiedy miał nas błogosławić cały rząd *swamich* i *sadhu* — świętych mężów, którzy wędrują po Indiach, mając jedynie żebraczą miskę i okrycie na grzbiecie. Ci asceci, przywiązani do wielowiekowych zasad pustelniczego życia, często wprowadzają się do aśramów na kilkudniową regenerację. U nas było ich trzech — zostali zaproszeni na święta, oczywiście bez żadnych opłat.

Wyciągnęłam obie dłonie po błogosławieństwo wodą.

— Tylko prawa ręka, za każdym razem — pouczył mnie ostro *sadhu* z trzema poziomymi kreskami na czole namalowanymi pastą z drzewa sandałowego.

Millicent wyjaśniła mi później, że lewej ręki używa się tylko w toalecie.

— To ważne rozróżnienie, kiedy człowiek je i podciera się gołą ręką. Staraj się obserwować różne miejscowe obyczaje, skarbie. Kiedy wejdiesz między Hindusów i tak dalej...

Wyjaśniła mi też znaczenie trzech poziomych linii — *sadhu* był *śiwaitą*, wyznawcą Siwy, a linie symbolizowały potrójną naturę Boga jako stwórcy, obrońcy i niszczyciela wszechświata. Z kolei *wisznuici*, wyznawcy Wisznu, mają na czołach linie pionowe, które są symbolem boskiej ochrony. Wisznuici z odłamu *vadagalai* szkoły Ramanujacarya noszą biały znak w kształcie litery U z czerwoną linią pośrodku. U jest prawą stopą Wisznu, a środkowa linia symbolizuje jego małżonkę Lakszmi.

Najlepszym fragmentem *pudzi* było znalezienie się twarzą w twarz ze *swamim* pełniącym obowiązki naczelnego — którego od tej chwili nazywałam Mdlejącym Swamim. Stał na samym końcu kolejki z błogosławieństwami. Zrobił mi moje pierwsze *kumkum*, przywołujące najwyższą moc Dewi, matki wszechświata. Byłam tak zauroczona jego wyglądem kierowcy wyścigowego — silne, szczupłe ciało, krótkie, ciemne włosy, przenikliwe niebieskie oczy i długi, szlachetny nos — że przez dwa dni nie zmywałam czerwonego znaczka, który odcisnął mi na czole. Millicent mówiła, że dopiero niedawno został *swamim*. Włoch Swami Mahadevananda, głowa aśramy i najstarszy uczeń Vishnu-devanandy, przebywał obecnie w Kanadzie, ale przed wyjazdem zdążył odprawić skromną ceremonię, która pociągała za sobą życie w celibacie. Spóźniłam się sześć tygodni. Psiakrew.

Niestety, Mdlejący Swami prowadził zajęcia z jogi jedynie dla uczniów zaawansowanych i tych, którzy już od jakiegoś czasu mieszkali w aśramie. Jako świeżo przybyła musiałam na parę dni dołączyć do początkujących, mimo że znałam całą serię Sivanandy, chodziłam na ich kurs wstępny

prowadzony w Londynie — w oazie kadzidełek, pomarańczowych szat i wielobarwnych bóstw wymalowanych na ścianach, a wszystko wśród wiktoriańskich klimatów Putney na poziomie klasy średniej. Byłam zawiedziona, że nie uda mi się spędzać więcej czasu z Mdlejącym Swamim, ale grupa początkująca miała swoje zalety. Mijaliśmy strażników i przechodziliśmy na drugą stronę drogi, bo zajęcia odbywały się na platformie do jogi w idyllicznym miejscu nad brzegiem jeziora. Nawet na początku *-wyjście* poza aśramę było bardzo ekscytujące.

John, nasz nauczyciel, podawał lakoniczne instrukcje, a od czasu do czasu przerywały mu odgłosy bzykających się lwów, o których wspominał Bill i które zabawiały się w parku safari po drugiej stronie wody. John przeczesywał palcami włosy i prowadził nas przez dwanaście podstawowych asan serii Sivanandy. Przeleżałam dużo czasu w *sawasanie*, „pozycji trupa”, ale połączenie lwów z upałem i oddychaniem *kapala-bhati*, czyli „oddechem świecącej czaszki”, przyprawiło mnie o zawroty głowy. Nie tylko mnie. Jedna z dziewczyn zemdląła. Na szczęście Millicent, dzięki swoim umiejętnościom udzielania pierwszej pomocy i solom trzeźwiącym, przywróciła jej przytomność.

Dan — jego jasne pasemka zauważyłam już podczas *pudzi* — wracał ze mną do aśramy. Obwieścił mi, że jest potwornie zmęczony.

— Ci cholerni pomarańczowi goście przez całą noc nie dali mi spać. Każdy chodził do łazienki po pięć razy, Bóg wie po co, a potem palili w kącie *bidi* i Bóg wie co jeszcze. A w Wigilię pójdziemy spać dobrze po północy z powodu Bóg wie jakiej *pudzi*. Chyba w pierwszy dzień świąt możemy po-leżeć sobie dłużej, nie?

— Najchętniej z kawą i rogalikami — podsunęłam.

— Jeszcze trochę seksu i byłoby idealnie.



Po śniadaniu złożonym z *iddly* — ryżowych racuchów — i warzywnego curry przyszedł czas na ciężką pracę: *karma jogę*, czyli bezinteresowne uczynki. Millicent opowiadała mi, jak to Swami Sivananda za pomocą takiej jogi pomagał swoim uczniom w rozwoju duchowym, wyznaczając Vishnu-devanandę do prania ubrań w rzece, co było zajęciem znacznie poniżej jego kasty. Caroline, moja przyjaciółka z Londynu, miała tu duchowe objawienie podczas mycia toalety. Gotowa byłam podporządkować się każdemu poleceniu Johna, który teraz występował w charakterze „Szefa od karmy”.

Kazał mi umyć podłogę w ogromnej sali Siwy wraz z dziewczyną z niesfornymi włosami — jak się później okazało, miała na imię Astrid — Jusepa oraz kilku gałązek, które w poprzednim wcieleniu miały przyjemność być miotłą. Żeby ulżyć sobie w pracy, zaczęliśmy śpiewać *Like a Virgin*, ale szybko nam się znudziło, więc sięgnęliśmy do śpiewnika *Live in Satsang* i po raz pierwszy wykonaliśmy *wesoi* utwór, który miał zostać hymnem aśramy — *Jay a Ganeśa*.

*Jaya Ganeśa, Jaya Ganeśa, Jaya Ganeśa Pahimaam Sri Ganeśa, Sri Ganeśa, Sri Ganeśa Rakśamaam.*

Byliśmy w stanie zapamiętać jedynie dwie pierwsze linijki, więc powtarzaliśmy je w kółko, a Astrid dołączyła do tego słoniowe ruchy, kołysząc ręką między nogami. W pewnym momencie *Jaya Ganeśa* zamieniliśmy na „wolny Ganeśa”. Pieśń służyła nam jako metronom, który pomagał w rytmicznym uderzaniu gałązkami o podłogę. John był nieco zaskoczony szybkim tempem, ale powiedział, że moglibyśmy to pokazać na świątecznym przedstawieniu talentów.

Kiedy uporaliśmy się już z ciężką pracą, usiedliśmy w ogrodzie pod figowcem, miodłą indyjską i drzewem popularnie nazywanym kulą armatnią. Machały do nas długie liście pielgrzana, nazywanego palmą podróżników, dając tak bardzo

upragniony cień. John przyjął swoją ulubioną pozę — leżenie w oparciu na jednym łokciu pomiędzy dwiema Pięknościami Aśramy. Dziś były to akurat dwie Izraelki — Ronit i Ronit — szczupłe osiemnastolatki w bawełnianych spodniach opuszczonych nisko na biodra, obcisłych koszulkach bez rękawów i małych sweterkach, co w aśramie było największym krzykiem mody.

Żeby zostać Pięknością Aśramy, należało dysponować naturalną urodą. Tylko nieliczne dziewczyny miały makijaż, drakońskie reguły korzystania z elektryczności wykluczały używanie suszarek, przez co najlepiej sprawdzały się naturalne loki, ewentualnie długie, proste włosy związane w szykowny koński ogon albo upięte w stylu „w ogóle się tym nie zajmuję”. W milczeniu opłakiwałam dzień, w którym pozwoliłam swojemu fryzjerowi na postrzępioną fryzurę, wymagającą pracowitego układania. Rano próbowałam pomóc sobie suszarką, zagłuszając hałas głośnym śpiewem, ale przerwa w dostawie prądu — ręka boska? — nie pozwoliła mi dokończyć. Nie pozostało mi nic innego, jak związać włosy w kucyki. Wydawało mi się, że obeszałam jakoś nieoficjalną regułę „żadnego makijażu”, nakładając naturalne, „niewidoczne” kolory, ale Millicent już nazywała mnie Królową Makijażu.

Rozmowa zeszała na regulamin aśramy. Zapytałam Astrid, czy łatwo jest dostać przepustkę.

— Nie, dają je tylko w niedziele — powiedziała. — Ale możesz zabrać matę i udawać, że idziesz ćwiczyć jogę nad jeziorem. Jak cię nie będzie przez dwie godziny, to nikt nie zauważy. Czasu wystarczy, żeby zejść do kafejki przy tamie i napić się coli.

— I wypalić *bidi*? — dopytywałam.

— Na pewno będziesz miała czas na *bidi*, a nawet na lody. — Uśmiechnęła się.

Też się uśmiechnęłam.

Na trawniku pojawił się długi, ciemny cień Millicent.

— Cześć, Królowo Makijażu!

Moje oszustwo zostało zdemaskowane.

— Cześć, Millicent. — Skrzywiłam się.

Astrid nie zdążyła jeszcze poznać mojej współlokatorki, więc zdradziła jej temat naszej rozmowy.

— No cóż, dziewczęta. Chyba nie powinnam tego akceptować. Ale znalazłyście się w dobrym towarzystwie. W biografii Vishnu-devanandy można przeczytać, że kiedy mistrz był w aśramie w Val Morin, spotykał się ze swoimi sekretarzami w miejscowej jadłodajni. Siadał w szortach i T-shircie, zamawiał frytki i szarlotkę z lodami, a potem dzielił się tym z wymykającymi się z aśramy kursantami. Wesoły był z niego gość.

— Super — powiedział Jusep, którego znajomość angielskiego ograniczała się do kilku słów.

Byłam ciekawa, czy Mdlejący Swami podąży śladami swojego guru.

Odwróciłam się do Cartier, która siedziała pod palmą nieco na uboczu, pogrążona w lekturze jakiegoś czasopisma. W białych lnianych spodniach i okularach YSL wyglądała nieskazitelnie.

— Co czytasz? — spytałam.

— Na pewno nie „Yoga Journal”. — Pokazała mi ukradkiem okładkę. Był to ostatni numer amerykańskiego „Vogue'a”. Regulamin mówił wyraźnie, co jest odpowiednią lekturą: tylko książki o duchowości, żadnych powieści. „Vogue” z pewnością był przestępstwem.

Podszedł do nas Charlie, facet ze zniewalającą twarzą, i szybko przekonał obie Ronity i Astrid do swojego najnowszego planu — chodziło w nim o coś, co się nazywało Chatka Zdrowia. John został pozbawiony obu piękności, więc zaczął się przesuwać w kierunku Cartier. Jednak coś w jej spojrzeniu kazało mu porzucić ten plan. Po chwili wstał i też sobie poszedł.

Odrzuciłam wszelkie skrupuły i opowiedziałam Cartier o rozmowie, jaką odbyłam z nim rano. Tłumaczył mi, że zimą uczył jogi w ośrodkach Sivanandy, bo z daleka od domu łatwiej mu było podążać ścieżką rozwoju duchowego. Spytałam, czy nie zamierza nałożyć pomarańczowych szat na pełen etat. „Przez cały czas myślę o seksie — wyznał. — Nie zostanę *swamim*, chyba że krokodyl odgryzie mi jaja”.

Miałam nadzieję, że tej nocy uda mi się wyspać. Byłam wykończona po drugich tego dnia zajęciach jogi, które przypominały bardziej *bikram jogę*, bo temperatura znacznie przekraczała 30 stopni, przez co wyglądałam jak spocony burak. Widziałam Cartier po jej zajęciach dla zaawansowanych — wciąż nienaganna, każdy włoszek na swoim miejscu — jej długi koński ogon kołysał się nad idealnie dopasowanym dressem Juicy Couture, skórzana torba do jogi miała doskonale zharmonizowany miodowy kolor. Niekwestionowana królowa aśramowej elegancji.

Wieczór spędziłam w transie w sali Siwy, która wyglądała niesamowicie, bo światła świec rzucały na złote OM cienie bóstw oraz doktora Anandy Padmanabhana. Doktor był mistrzem gry na *wina* i brzmiał zupełnie jak Ry Cooder, czy może raczej Ry Cooder brzmiał jak on. Jedyłą rzeczą, która powstrzymała mnie przed zatraceniem się w księżycowym krajobrazie meksykańskiej pustyni z Travisem\* ubranym w prze-pocony tani garnitur i sandały przytrzymywane bandażem, był przeszywający ból kolan i bioder, wynikający ze zbyt długiego siedzenia na podłodze po turecku.

Pomimo zmęczenia upałem i kołysanek na lutni kolejną

\*Travis — tu: bohater filmu *Paryż-Teksas*, do którego muzykę, m.in. z pięknym motywem gitarowym, napisał Ry Cooder.

noc przewracałam się z boku na bok. Wentylator chodził na fuli, ale jego uporczywy szum w połączeniu z bólem kolan i bioder oraz chrapaniem Millicent sprawił, że o piątej rano nadal nie spałam i byłam wściekła.

Ale chyba wszyscy przyszli na śniadanie w kiepskim nastroju. Zanosilo się na bunt w szeregach. Dan też się nie wyspał — przez ablucje *swamich*, a Charlie był wkurzony na Dana za to, że mył jaja w umywalce. Poranne racuchy wyglądały przepysznie, ale nie miały żadnego smaku. Astrid tęskniła za świeżymi warzywami. Cartier odebrała z pralni ubrania i znalazła na nich plamę. Jedynie Jusep zachował pogodę ducha i poszedł pod palmę podróżnika grać na flecie.

— Proponuję strajk o lepsze warunki — obwieścił Dan wojowniczo.

Wszyscy się z nim zgodzili, oprócz Charliego, który miał ochotę go zamordować.

Przez jakiś czas wcale nie było lepiej. John wyznaczył mnie do mycia damskich toalet i łazienek. Może uważał, że poprzedniego dnia za dobrze się bawiliśmy, chociaż zauważyłam, że Astrid i Jusep zostali wysłani do sali Siwy, gdzie mogli nadal ćwiczyć układ z miotłą. Nieważne. Zająłam się swoją robotą. Znalazłam mop, który miał więcej niż trzy postrzępione sznurki, i zaczęłam bardzo się starać. Naprawdę. Próbowалаm śpiewać sobie *Wolny Ganeśa*, jednak bez tamtej dwójki to już nie było to samo. Nie pojawił się też nawet najmniejszy przebłysk duchowego objawienia, a jedynie kupa włosów w odpływie umywalki.

Bardzo się też starałam na popołudniowym *satsang*, ale medytację psuła mi niezdolność do uciszenia tak dobrze znanych zawirowań umysłu, czyli *ćitta writti*. Instrukcje do medytacji, wymalowane z przodu sceny, pod nakazami „służenia, miłości, dawania, oczyszczania i urzeczywistniania”, były bardzo precyzyjne i chcąc zmaksymalizować swoje szanse na osiągnięcie *samadhi* oraz „wiecznej szczęśliwości”, wypełnia-

łam je co do joty. Ale ani obserwowanie umysłu z pozycji milczącego świadka, ani znalezienie sobie punktu koncentracji, ani wizualizacja przyjemnych przedmiotów czy powtarzanie mantry OM nie przybliżyły mnie do celu.

Określenie „wieczna szczęśliwość” nie najlepiej opisywało moje doświadczenia. Należałoby raczej powiedzieć „wieczna tortura” — w więzieniu własnych myśli i bez możliwości ucieczki. Czemu nie robiłam żadnych postępów w tej dziedzinie? Dlaczego tak trudno było mi wyłączyć nieustanną gadaninę? Nie myślałam już wprawdzie o tym, czy poprosić szefa o podwyżkę ani czy ktoś pójdzie ze mną po zajęciach na wino, ale tylko dlatego, że pieniądze i alkohol nie były częścią życia w aśramie. W miejsce tych myśli pojawiły się nowe śmiecie mentalne — jak się dostać na zajęcia dla zaawansowanych do Mdlejącego Swamiego, jak się stać uosobieniem aśramowej elegancji, mając do dyspozycji jedynie zawartość własnej walizki (podczas zakupów w sklepie z jedwabiami w Mysore nieco przesadziłam z konserwatyżmem, a sklepik w aśramie nie oferował w tej kwestii żadnych rozwiązań — wszystkie koszulki zaliczały się raczej do dużych, a spodnie były zbyt workowate). Z radością uwolniłabym się od tych drażliwych kwestii, ale im bardziej starałam się o nich nie myśleć, tym strumień myśli był szerszy.

Na szczęście nadeszła pomoc. Po południu Mdlejący Swami miał wykład o medytacji. Powiedział, że „wolność to jest umiejętność nierobienia tego, co podsuwa nam umysł. Zwykle to pojęcie jest opacznie rozumiane właśnie jako możliwość robienia tego, co się chce i kiedy się chce”.

Wszyscy się śmiali. Byliśmy urzeczeni.

— Szczęście to prawo każdego człowieka — ogłosił, cytując Swamiego Sivanandę. Zapewnił, że „przyszliśmy na ten świat, żeby cieszyć się szczęściem i osiągnąć spełnienie, a nie, żeby cierpieć”. Zachęcał nas, byśmy „poszukiwali szczęścia w sobie. Medytacja jest jednym z najskuteczniejszych spo-

sobów docierania do wewnętrznego szczęścia — nie tylko wtedy, kiedy je się lody w jakimś przyjemnym miejscu".

A w sprawie instrukcji wypisanych na froncie sceny Mdlejący Swami zaproponował, żebyśmy zaczęli praktykować./^: „skupienie i powtarzanie mantry, która jest mistyczną energią zawartą w dźwiękach".

— Mantra ma specyficzny, oczyszczający, uspokajający i uwznioślający efekt — mówił dalej. — Wyobraźcie sobie, że w swoim umyśle wciskacie guzik, tak jak w odbiorniku radiowym. Nieważne, jaką mantrę wybierze, chodzi o to, by w was rezonowała. Ale — ostrzegł nas — dla rozwoju duchowego wybierajcie jedynie mantry *satwiczne*, na przykład *OM Namó Narajanaja*, która jest jednocześnie modlitwą o pokój na świecie.

Uznałam *OM Namó Narajanaja* za swoją i od razu wypróbowałam ją na wieczornym *satsangu*. Z początku zadziałała dobrze — przez kilka sekund była mentalną blokadą dla innych myśli. Ale potem robiła się coraz szybsza, a w końcu weszła na wysokie tony muzyki świątynnej. Czy naprawdę pisk Myszki Minnie na rozżarzonych węglach nie mógł mieć efektu oczyszczającego? Próbowałam wyobrazić sobie, że słucham łagodnego śpiewu Mdlejącego Swamiego, ale Minnie, która już zdążyła zamienić się w wiedźmę z hiperwentylacją, uparcie powracała. Może ta technika nie była dla mnie.

Odbywający się po *satsangu* występ doktora Janarthanana na sitarze postawił moje biodra i kolana wobec kolejnego wyzwania. Naprawdę chciałam zachować swoją duchową energię i usiadłam ze skrzyżowanymi nogami, jak zalecił Mdlejący Swami, ale musiałam je w końcu wyciągnąć przed siebie. Całe moje ciało chciało się wyciągnąć, więc wyszłam na korytarz z zamiarem oparcia nóg o jeden z filarów. Na zewnątrz był taki tłum, że znalezienie wolnego filara okazało się dość trudne. Charlie spał głęboko, leżąc pomiędzy jedną z Ronitek i Astrid. Cartier znów czytała „Vogue'a" i wyglądała tak, jakby

palila papierosa. Zerknęłam do sali. Pozostało tam zaledwie kilku entuzjastów, wśród nich Millicent, z prostymi jak struna plecami, dzięki czemu energia duchowa mogła jej swobodnie dopłynąć aż do koka.

Następnego dnia wypadała Wigilia. Mogłabym powiedzieć, że dzień zaczął się miło, nie licząc oczywiście morderczych myśli po chrapaniu Millicent, które mnie dopadły o szóstej rano podczas spaceru nad jezioro. Dzieci z National Cadet Corps były już tam w pełnej liczbie. Czerwone pompony podskakiwały im w górę i w dół, kiedy mijały nas biegiem, chichocząc i wrzeszcząc: „Cześć, ciociu!”. Zrezygnowały wobec naszych ślubów milczenia i zajęły się energicznym robieniem pompek na kamiennych ławkach. Usiedliśmy nad brzegiem, z plecami w kierunku pompkowych działań, i zaczęliśmy śpiewać modlitwę *Arafi*, a w unoszącej się mgle wieśniacy myli w jeziorze siebie i swoje krowy.

Wróciliśmy na zajęcia jogi, śniadanie i na mój bezinteresowny uczynek — dalsze mycie toalet. Po tym wszystkim potrzebna mi była „chwila dla siebie”, więc wymknęłam się do Chatki Zdrowia, ukrytej na tyłach aśramy. Usiadłam na pomarańczowej, drewnianej ławce z sałatką owocową, serwowaną oczywiście przez Cartier, która odrabiała w ten sposób swoje pół godziny bezinteresownych uczynków. Patrzyłam na daleki widok Gathów Zachodnich oraz, nieco bliżej, *sadhu* palących skręty na platformie za męskimi sypialniami.

Rzeczywiście potrzebny był mi dzień odpoczynku. Rozkład zajęć w aśramie nie zostawiał wiele czasu na wytchnienie, więc postanowiłam darować sobie wykład i popołudniowe zajęcia jogi — może pójdę do pokoju i trochę się prześpię, korzystając z nieobecności Millicent, która odbywała jedną ze swoich, coraz częstszych, rozmów z Mdlejącym Swamim.



Nagle zostałam otoczona. Po prawej miałam Charliego, po lewej Astrid, a Cartier zajęła bezpieczny punkt obserwacyjny przy wyciskarce do soków.

— Wszystko w porządku, laleczko? — spytał Charlie z błyskiem w niebieskich oczach.

— W porządku — odpowiedziałam nerwowo. Co się tutaj...

— Mam dla ciebie zadanie — oznajmił Charlie.

— Chciałam właśnie trochę odpocząć...

— Napiszesz aśramowe jasełka, wystawimy je jutro wieczorem na przedstawieniu talentów. Ja będę reżyserem, Astrid moją asystentką, a Jusep zagra Józefa. Musimy jeszcze znaleźć Marię. Zgoda?

— Właściwie...

— Super, dzięki, zobaczymy się później. Wybierasz się po południu na wykład o *Kathakalil*

— Nie, chciałam się położyć. Czuję się trochę...

— Super, w takim razie spotkamy się o drugiej i omówimy twoje propozycje. Nie martw się, chodzi mi jedynie o pierwsze pomysły. Dzięki, Lucy. Nara.

Patrzyłam na odległe góry i żałowałam, że nie mogę być teraz na którymś szczycie, najchętniej w jaskini, w pomarańczowych szatach i po złożeniu ślubów piętnastoletniego milczenia.

Dan pojawił się w chatce, żeby wypić imbirową herbatę z miodem i cytryną, więc poprosiłam jego i Cartier, która akurat skończyła bezinteresowną obsługę, żeby mi pomogli.

Po godzinie mieliśmy zarys ogromnego przedstawienia, złożonego z ośmiu scen, które rozgrywały się na stadionie Wembley, w bezcłowym sklepie na lotnisku w Maladze, w fabryce *dhoti* w Bombaju, w górskiej jaskini, w zbiorowej damskiej sypialni, w salonie piękności na Piątej Alei, w nowojorskim klubie oraz w stajence.

Charlie stwierdził, że ograniczenia budżetowe zmuszają

go do wycięcia czterech scen (wraz z przypisanymi do nich miejscami), ale na szczęście podstawowy zarys fabuły pozostał nietknięty. Mieliśmy przed sobą długą i ciężką pracę.

Scena pierwsza: Józef spotyka Marię w salonie piękności na Piątej Alei i zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia. Maria i jej koleżanki zajmują się głównie omawianiem aśramowej mody — w tym sezonie wchodzi pomarańczowy — oraz dyskutowaniem, który *swami* powinien się znaleźć w tym miesiącu na rozkładówce. Kiedy jednak Józef wpada do środka i wyznaje dozgonną miłość, Maria ulega jego czarowi. Szczęśliwa para odlatuje na miotle zrobionej z kilku gałązek.

Scena druga: Józef i Maria są już małżeństwem, robią zakupy w sklepie bezcłowym na lotnisku w Maladze. Ich związek zaczyna się rozpadać, ponieważ skłonności Józefa do kingfishera i *bidi* nie da się już dłużej ukryć, podobnie jak brzucha Marii.

Scena trzecia: pod tablicą „Aśrama Deluxe” siedzi Odźwierna Suka — prawdopodobnie występ gościnny Cartier — która nie wpuszcza do środka Marii i Józefa, ma bowiem zamkniętą listę gości oraz przestrzega zasady „żadnych sandałów”.

Józef i Maria przesuwają się więc pod tablicę „Bardzo porządna aśrama”. Strażnik mówi im jednak, że będą mogli wejść do środka, jeżeli zaśpiewają *Jaya Ganeśa* albo *Arati*. Oczywiście z powodu problemu alkoholowego Józef ma problemy z pamięcią, więc zostają za bramą.

Wyczerpani przychodzą do aśramy Sivananda, gdzie Mdlejący Swami przyjmuje ich z otwartymi ramionami, pod warunkiem że będą przestrzegać regulaminu. Przechodzi do punktu o *karma jodze*, kiedy zaczyna się akcja porodowa. Poród jest ciężki i długi, z dużą ilością jęków i krwi. Pomaga dopiero oddychanie *kapalabhati*, za to Józef wszystkich wkurza i jest kompletnie nieprzydatny, więc Maria każe mu się wynosić. Dziecko przychodzi na świat i zostaje ułożone w ko-

łysce w pozycji jogi, która otwiera biodra. Józefowi zostaje wybaczone.

Scena czwarta: Trzej Królowie, prowadzeni przez Gwiazdę Betlejemską, klękają przed Marią i wypowiadają słowa mądrości — na które czekał cały wszechświat i które są ich darem dla dzieciątka Jezus.

— Jest jedna rzecz, Charlie — powiedziałam ostrzegawczo. — Nie wiemy jeszcze, co to będą za słowa, ale nie martw się, ostro nad tym pracujemy.

— W porządku, kotku, ale zakończenie jest za słabe. Potrzeba jakiegoś uderzenia, czegoś z jajem, może udziału publiczności. Najlepiej wspólne śpiewanie.

Jakimś cudem zgodziłam się skończyć scenariusz do południa następnego dnia, czyli pierwszego dnia świąt.

Zadowolony z przebiegu fabuły Charlie zajął się kwestią obsady. Lata pracy w telewizji miały być dowodem, że nikt lepiej od niego nie zdecyduje, kto ma kogo grać.

W sposób naturalny rola Józefa trafiła do Jusepa. Nikt nie zgłaszał żadnych sprzeciwów. Dalej Maria. Tu już pojawiła się pewna rozbieżność zdań. Od zawsze chciałam zagrać najśłynniejszą dziewicę świata. Miałam wsparcie Astrid i Cartier, lecz moja osoba nie przysłała Charliemu do głowy. Najpierw wybrał jedną z Ronitek, ale ona miała wątpliwości co do scenariusza. Może teraz moja kolej? Otóż nie. Charlie zaproponował Mitzy, śliczną Tajkę, która była kosmetyczką i mieszkała w Sztokholmie — jej opalenizna i doskonale wyrzeźbiona figura idealnie pasowały do Józefa. Nawet ja musiałam przyznać, kiedy już przestałam się cofać do wieku siedmiu lat, że Charlie miał rację — tworzyli piękną parę. Ravi, ze swoimi bujnie rozbudowanymi płucami, znalazł udział w przedstawieniu jako dzieciątka Jezus. Nie pojawiał się na scenie (na szczęście, gdyż cały był bujnie rozbudowany), pierwsze okrzyki noworodka miały dobiegać zza kulis.

Mnie i Cartier Charlie wyznaczył role koleżanek Marii

— ja zostałam fryzjerką, jako że miałam suszarkę, a Cartier miała siedzieć obok i malować sobie paznokcie. Poza tym została też odzwierciadla w „Aśramie Deluxe”. Charlie ogłosił, że strażniczką w „Bardzo porządnej aśramie” będzie Millicent

— wszyscy byli zgodni, że urodziła się do tej roli — oraz że zagra także położną, skoro w prawdziwym życiu zawsze udzielała pierwszej pomocy. Dan sam przyznał sobie rolę narratora. Charlie nie bardzo mógł się temu sprzeciwić, ponieważ co najmniej jedna trzecia sztuki była pomysłem Dana, ale widziałam, że miał na to ochotę.

Charlie już wcześniej wpadł na pomysł, że role Trzech Króli powinni objąć *sadhu*, więc poszedł to z nimi omówić. Schroniłam się w Chatce Zdrowia, żeby dokończyć scenariusz, a Dan udał się do swojego pokoju, żeby skompletować kostium

— najchętniej widział się w słonecznych okularach, metalicznych szortach i białej kamizelce. Millicent zniknęła, żeby robić rekwizyty, przypomniawszy mi, bym zabrała suszarkę i kosmetyki potrzebne do sceny w salonie piękności („To świetnie, że jesteś Królową Makijażu, prawda, skarbie?”). A Maria i Józef poszli na masaż, żeby się rozluźnić przed jutrzejszym wielkim występem.

Spotkałam Charliego późnym popołudniem. Kucał przed małą szopką, należącą do Boskiego Dziecięcia, i dawał trzem *sadhu* krótki pokaz tradycji chrześcijańskiego Bożego Narodzenia. Trzej Królowie, zebrani wokół szopki, kiwali zafascynowani głowami, a Charlie, wspomagając się „pidgin English”\* oraz zawartością szopki (trzy figurki Marii, dwóch Józefów, czterech Jezusków, rozliczne zwierzęta gospodarskie plus małpka), odgrywał przed nimi jasełka w pełnej wersji.

\* Pidgin English — tu: prosty angielski, o ubogim słownictwie i bez przestrzegania reguł gramatycznych.

Wigilia zaczęła się z wielkim hukiem. Tancerze *Kathakali*, będący jedną z większych atrakcji turystycznych Kerali, włożyli tyle wysiłku w swój wygląd, że odpadała przy nich każda drag queen. Publiczności aż zakręciło się w głowie na widok mężczyzn w jaskrawozielonym i czerwonym makijażu, z powiększonymi policzkami i gałkami od szafek kuchennych na nosach. Poruszali się kołyszącym krokiem, mieli na sobie spódnice na rusztowaniach i trzywarstwowe nakrycia głowy w tęczy kolorach. Nie bardzo rozumieliśmy, o co chodzi, ale emocje były bardzo silne: oczy tancerzy obracały się, wyrażając pełną gamę uczuć, od złości, przez miłość, do strachu, a potem znów do złości.

Kiedy po dwóch godzinach niechętnie schodzili ze sceny, publiczność była kompletnie odurzona. Rzuciliśmy się do śpiewania kolęd z takim zapałem, że nawet poważny *swami* z Ameryki, który akompaniował nam na fisharmonii, musiał się uśmiechnąć. Wzięliśmy szturmem wszystkie klasyczne kawałki, a potem, w ramach niewielkiego odstępstwa od kościelnego repertuaru, doszliśmy do *Fm Dreamingofa White Christmas*.

Na wyżyny swoich możliwości wspięliśmy się przy *Jingle Bells* i wciąż to śpiewaliśmy, kiedy pojawił się tutejszy lekarz ajurwedyjski, doktor Nedungadi, przebrany za Świętego Mikołaja. Nie tylko Boskie Dziecię, jedyne dziecko w aśramie, rzuciło się, żeby go objąć. Napędzany śpiewanym w kółko *Jingle Bells* tłum oszalał. Dobry doktor został kompletnie obłożony z powodu zawartości swojego worka — w górę powędrowały autentyczne plastikowe lampki *arati* i podstawki do świec. A Charlie i Jusep poprowadzili taką sesję pogowania z udziałem *sadhu*, *swamich* i wszystkich gości, że nie powstydziliby się jej nawet Sex Pistols w Notre Dame Assembly Hall.

Tłum podskakiwał przy wtórze kolęd, a *sadhu* z dread-łokami, które zwykle leżały w węzowych splotach na czubku jego głowy, wyjął nagle szpilkę utrzymującą fryzurę na miej-

scu. Liny o długości 120 centymetrów wirowały wokół niego i wbrew wszelkim regułom grawitacji porwały ze sobą Boskie Dziecię, Mdlejącego Swamiego, *swamiego* z Ameryki, Astrid, Cartier, Dana, Charliego, dwie Ronitki, Jusepa i każdego, kto znalazł się w ich zasięgu. Wszyscy poddali się nastrojowi. Millicent klaskała z takim zapałem, że aż jej zaparowały okulary. Nawet Ravi, zwykle mocno stąpający po ziemi, kołysał się na nogach, śmiał się, śpiewał i klaskał radośnie.

Po godzinie — rozgrzani, spoceni i z uginającymi się ze zmęczenia kolanami — poszliśmy do sali Dhanwantari, gdzie dwóch *swamich*, Mdlejący i Amerykanin, wspólnymi siłami pokroili ogromny czekoladowy biszkopt, na którym brązowy i biały lukier głosił: „Wesołych Świąt”.

To była najlepsza Wigilia w moim życiu. Szłam do łóżka lekko oszołomiona, ale i szczęśliwa, bo udało nam się wymyślić kwestie na wielki finał jasełek.

Obudziłam się rano z przyspieszonym tętnem i kacem wartym co najmniej kilku butelek wina. Aż trudno uwierzyć, że nic nie piłam. Przespałam szum wentylatora, chrapanie Millicent, Myszkę Minnie tańczącą na rozżarzonych węglach oraz gong. Psiakrew! Jak miałam skończyć scenariusz do południa? Obawiam się, że tego dnia czystość damskich toalet pozostawiała nieco do życzenia, ale uznałam, że w obecnych okolicznościach Bóg i Mdlejący Swami okazaliby mi zrozumienie.

Prawie mi się udało. Spóźniłam się zaledwie godzinę. Siedziałam w Chatce Zdrowia i przy wzmacniającej sałatce owocowej omawiałam z Cartier i Danem ostatnie szczegóły spektaklu, kiedy pojawiła się Astrid. Czy mogłabym pójść natychmiast do sali Śiwy? Charlie i wszyscy aktorzy, łącznie z trzema mędrkami, czekają na mnie i na scenariusz.

— Spóźniłaś się — powiedział Charlie.

— Dałeś mi niewiele czasu.

— Cholerni scenarzyści — mruknął Charlie, nie do końca żartując.

Astrid poszła skserować scenariusz, Cartier poszła po *cai* dla mnie, a Dan został, żeby poprowadzić ze mną krótką sesję oczyszczających oddechów *kapalabhati*.

Później pogadam z Charliem. Mieliśmy kupę roboty, a Józef z Marią zamówili sobie kolejny masaż o trzeciej.

Byłam na niego wściekła, ale musiałam przyznać, że facet wiedział, co robi. W ciągu godziny udało mu się zamienić kompletny chaos w coś, co nawet przypominało przedstawienie. Maria i Józef wyglądali na zakochanych, w czasie dziewczynskiej rozmowy w salonie piękności Mdlejący Swami został ogłoszony „Swamim Miesiąca”, a *szczegóły jego* muskularnej sylwetki omawialiśmy pochylone nad egzemplarzem „Vogue'a”. Ravi wydobywał z siebie płacz nowo narodzonego dziecka, a Millicent znalazła gdzieś pomarańczową farbę, która miała posłużyć do stworzenia tylko trochę drastycznej sceny porodu. Jedynym problemem był Dan, którego narracja nie nadążała za rozwojem akcji. Charlie zabrał go na bok i kazał mu „skupić się, na miłość boską”. Poprosił go też o zdjęcie słonecznych okularów, a przynajmniej założenie ich na czubek głowy, żeby mógł dobrze widzieć tekst. Jego narracja natychmiast się poprawiła, więc mogliśmy wreszcie zrobić sobie fajrant (Maria i Józef spóźnili się na masaż zaledwie piętnaście minut). „Damy sobie radę” — powtarzaliśmy, poklepując się po plecach.

Nasze jasełka miały być ostatnim punktem wieczornego pokazu talentów, więc usiedliśmy spokojnie i podziwialiśmy jak zawsze pełną energii Astrid, która w charakterze konferansjera przedstawiała publiczności oszałamiająco wielką liczbę uzdolnionych aśramitów. Paul z Birmingham, który przez cały dzień ćwiczył deklamację poezji sufickiej, przerwał w połowie swojego występu — „Rumi nie tak wyobrażał sobie interpreta-

cję tego utworu" — i zaczął od nowa. Charlie zrobił mu owację na stojąco. Claude, przygarbiony paryżanin po osiemdziesiątce, wykonał drżącym głosem francuską kolędę. Bardzo charyzmatyczna kobieta z RPA zaśpiewała negro spiritual, po którym wszyscy, a zwłaszcza Carrier, mieliśmy łzy w oczach. Taniec Sally miał w sobie to seksownie-dziewczyńsko-wirujące-coś, które często można zobaczyć na plażach na Ibizie. Ravi zademonstrował mało znaną chińską sztukę walki, a sobowtórka Joni Mitchell śpiewała słodkie piosenki o rodzinnym domu w Alabamie.

Przed naszym przedstawieniem była krótka przerwa. Aktorzy wraz z personelem technicznym wyszli na świeże powietrze, żeby przedyskutować najnowsze problemy. A pojawiło się ich parę.

Mdlejący Swami, z wyrazem niepokoju na twarzy, zdążył już przyprzeć Charliego do muru.

— Czy *sadhu* nie zostali wprowadzeni w błąd? Są świadomi tego, co mają robić?

Na szczęście zdolności negocjacyjne Charliego były nie mniejsze niż Kofiego Annana. Łagodnie zapewnił Swamiego, że osobiście dopilnował, by *sadhu* wiedzieli, co czynią.

— Naprawdę, nie mają żadnych obiekcji — mówił. — Wszystko rozumieją i bardzo chętnie biorą w tym udział.

Mdlejący Swami, nie wyglądający na zbyt przekonanego, przeszedł do kolejnej kwestii — sposobu przedstawienia aśramy.

— Ludzie nie przychodzą do aśramów, żeby mieć dzieci. Musisz powiedzieć, że przyszli tutaj po schronienie.

Charlie skinął głową.

— Jasne, nie ma problemu.

Mdlejący Swami był także zaniepokojony publiczną sceną porodu.

— W Indiach to sprawa bardzo prywatna.

Charlie zgodził się na usunięcie pomarańczowej krwi,



zapewnił też, że Maria nie będzie jęczała z bólu, a płacz dzieciątka będzie umiarkowany. Ravi wyglądał na rozczarowanego, ale powiedział, że da się zrobić.

Przez chwilę wydawało nam się, że wciąż zmartwiony, *swami* znacznie wszystko od nowa, ale Charlie, z niewiarygodną cierpliwością, po której nie dałoby się poznać, że mieliśmy wejść na scenę za trzydzieści sekund, jeszcze raz przedstawił proponowane przez siebie rozwiązania do „bardzo słusznie zasygnalizowanych problemów”.

Mdlejący Swami ustąpił z cichym OM przyzwolenia. Mogliśmy zaczynać.

Po drodze na scenę uznałyśmy z Cartier, że lepiej będzie pominąć wszystkie uwagi na temat seksownego ciała Mdlejącego Swamiego, a także jego wybór na „Swamiego Miesiąca”, a zamiast tego rozbudować nieco dyskusję na temat aśramowej mody i elegancji. Przyszło to nam z zadziwiającą łatwością i cały spektakl potoczył się bez najmniejszego zgrzytu — do chwili, gdy Mdlejący Swami zapomniał wspomnieć o *karma jodze* przy omawianiu regulaminu. A to miał być dla Marii sygnał rozpoczęcia porodu. Zapadło krótkie milczenie, a Charlie, który stał za kulisami, wyglądał tak, jakby sam miał za chwilę urodzić. Na szczęście Maria wiedziała, po co się tam znalazła, i zaczęły się skurcze. Poród poszedł bardzo łatwo, Maria nie musiała krzyczeć z bólu, nie było kłótni z Józefem. Ravi dotrzymał umowy i Jezus pojawił się na scenie grzecznie i cicho, bez najmniejszego śladu czerwonej krwi.

Zbliżyliśmy się do punktu kulminacyjnego. Trzymałam Gwiazdę Betlejemską. Wydawało mi się, że Charlie kazał mi nią machać i nie ruszać się z miejsca. On się jednak potem upierał, że miałam przejść z gwiazdą na drugą stronę sceny i poprowadzić mędrców do dzieciątka Jezus. Nieważne. Sami znaleźli drogę na scenę i odegrali swoją rolę tak, jakby robili to już co najmniej ze trzy razy. Byli naturszczykami — zwłaszcza *sadhu* z dreadlokami, który po wigilijnej akcji upiął znów swoje

sploty na głowie i przymocował je dwoma półksiężycami. On wiedział, co działa na publiczność.

Uklękli przed Marią i kolejno wypowiadali słowa mądrości, na które czekał cały wszechświat:

— Jingle bells.

— Jingle bells.

— Jingle bells.

Dan, któremu przypomniał się cały narracyjny zapał, przeszedł na środek sceny i doprowadził cały zgromadzony tłum do zbiorowego wykonania znanej już wszystkim kolędy. *Sadhu* tańczyli w wigilijnym stylu, a aktorzy i ekipa techniczna mieli przyjemną świadomość dobrze wykonanej roboty.

„Potrzebni mi są dobrzy ludzie”

Przez drugi dzień świąt, oraz kilka następnych dni, byliśmy wykończeni, ale pojawiła się między nami głęboką więź. Chatka Zdrowia stała się naszym nieoficjalnym klubem, spotykaliśmy się tam nieustannie — pomiędzy zajęciami jogi, *satsangami*, curry z ciecierzycy i bezinteresownymi uczynkami.

Z podziwem wspominaliśmy występ Charliego przed Mdlejącym Swamim.

— Charlie jest bardzo inteligentny — powiedziała Astrid z westchnieniem.

Kiwnęłam głową potakująco i obie westchnęłyśmy.

Zachwycaliśmy się też naszymi włosami i paznokciami i uznałyśmy, że jedzenie w aśramie musi być jednak zdrowe. Z przyjemnością chodziłyśmy na zajęcia jogi — chociaż było na nich za dużo stania na głowie. Astrid nie lubiła pozycji

wymagających zachowania równowagi na rękach, ale Cartier twierdziła, że doskonale wzmacniają mięśnie. Astrid postanowiła się nie poddawać. Ravi najbardziej lubił *sawasanę*.

Jedynym miejscem, w którym źle się czułam, był nasz pokój. Pomimo stoperów, które dostałam od Cartier, nadal słyszałam chrapanie Millicent, poza tym, szczerze mówiąc, nie układało się nam najlepiej. Czułam jej dezaprobatę wobec mojego zwyczaju używania suszarki do włosów i malowania się — fakt, że robiłam to znacznie rzadziej ze względu na napięty plan dnia, nie osłabił jej upodobania do nazywania mnie Królową Makijażu.

Pewnego dnia napięcie sięgnęło zenitu. Było parne popołudnie, wróciłam z zajęć jogi, marząc o prysznicu. Wiedziałam, że dziś ona kąpie się pierwsza — kolejność wchodzenia pod prysznic została jasno ustalona na początku naszej relacji — ale nie było jej w pokoju, więc radośnie wskoczyłam pod lodowaty strumień. Po chwili zza drzwi łazienki rozległy się słowa potępienia. Moim zdaniem posunęła się nieco za daleko, nazywając mnie „egoistyczną suką”, ale musiałam przyznać, że stanowiło to pewną odmianę po „skarbie”.

Jedynie Dan nie przychodził z nami do Chatki Zdrowia. Drugiego dnia świąt, podczas *fiudzi* na cześć Boskiej Matki, wydarzyła się dziwna rzecz. Kobiety z menstruacją nie mogły brać udziału w zgromadzeniu, co zakrawało na ironię w obliczu faktu, że to właśnie Matka miała być przedmiotem nabożeństwa. Mogłam skłamać i pójść, ale czułam się skonana. Astrid i Cartier, zobowiązane więzami siostrzeństwa, też się wymigały. Siedziałyśmy na tarasie na dachu, jedząc orzeszki i kulki sezamowe. Tematem naszej rozmowy był Dan. Astrid sądziła, że mu się podobam, i spytała, co o tym myślę. Wyjaśniłam, że metaliczne szorty nieco mnie zniechęciły, ale widziałam go też na tarasie na dachu w plażowych slipkach, co było dość mocną przeciwwagą.

Dan akurat wychodził z ceremonii, więc Astrid natych-

miast zaprosiła go, żeby „*przyłaczył* się do dziewczyn”. Ale okazało się, że właśnie przeżył duchowe objawienie — toaleta nie była potrzebna, jak w przypadku Caroline, wystarczyły jedynie kadzidełka i *kumkum*. Zastanawiałam się, czy przypadkiem do *prasadu*, pobłogosławionego jedzenia wręczanego na końcu *pudzi*, nie dodawano czegoś więcej niż cukier. Nieważne jednak z jakich przyczyn, transformacja była natychmiastowa i całkowita — Dan się nawrócił. Pretensjonalny gospodarz telewizyjnych talk-show, którego każde zdanie musiało kryć w sobie aluzję seksualną, odszedł w siną dal. Dan siedział jak w transie, z oczami tępo utkwionymi w dal, i odrzucał wszelkie propozycje rozmowy i sezamowych kulek.

Zobaczyłyśmy go następnego dnia, jak stoi przy automacie do wody i patrzy głęboko w oczy innemu aśramicie. Niepokoiliam się o niego, więc próbowałam z nim porozmawiać przy kolacji. Ale on tylko położył palce na ustach, prosząc o zachowanie milczenia.

— Pogłębiając swoją duchową praktykę, Lucy. To moja duchowa chwila — powiedział. — Proszę, uszanuj to.

Roześmiałam się, myśląc, że żartuje. Nie żartował.

Po dwóch dniach wyjechał z aśramy. Początkowo zamierzał wrócić do domu via Singapur, gdzie chciał kupić trochę elektroniki — na liście świątecznych prezentów miał kamerę cyfrową, iPoda oraz iMaca — ale podejrzewam, że zmienił plany. Nigdy się tego nie dowiedziałam. Ostatnim rzutem na taśmę próbowałam przywrócić do życia naszą przyjaźń w Chatce Zdrowia, ale Dan powiedział mi tylko:

— Potrzebni mi są dobrzy ludzie.

Dawny Dan, którego znaliśmy i kochaliśmy wszyscy (no, może z wyjątkiem Charliego), zniknął na zawsze.

Millicent powiedziała mi, że Vishnu-devananda był wspaniałym nauczycielem i „wszędzie, gdzie się pojawił, zostawiał za sobą obłok kojącej energii”. Chyba Mdlejący Swami też zostawiał za sobą taką chmurę. Wielu z nas czuło jej działanie. Prawdę mówiąc, już sama obecność *swamiego* wytwarzała pokojowe wibracje. Wszyscy chcieli być z nim albo przynajmniej blisko niego, żeby czerpać z niego siłę i energię, czuć tę energię.

To chyba z powodu owych magnetycznych mocy zdecydowałam się pójść w góry. Nie umiem znaleźć żadnego innego wytłumaczenia dla swojej decyzji — nienawidzę wysokości. Należy tu wspomnieć, że umknęła mi doniosłość owej wyprawy. Nie dotarło też do mnie, że będziemy wracać po ciemku, bo inaczej na pewno zabrałabym latarkę.

Zacząło się całkiem przyjemnie — łagodne stoki, łąki, zapach wieczornych kwiatów — i kiedy zaczęłam zastanawiać się, jaki mamy plan na wieczór poza wchodzeniem pod górę, ścieżka zaczęła się wznosić pod coraz większym kątem. W idealnej symfonii (można by nawet powiedzieć, że w idealnej zmowie) zaczęła się też zmieniać powierzchnia ścieżki, zamiast wyschniętego piasku i drobnych kamieni pojawiło się coś bardziej skalistego. W końcu stałam naprzeciwko głazów tak wielkich, że wyglądały jak sztuczne — jakby zostały tu przeniesione z planu *Ben Hura*. Niestety, nie pojawił się ani Charlton Heston\* z nieugiętym spojrzeniem, ani jego rydwan. Na koniec wszystkie bloki skalne połączyły siły i stały się jedną dużą skałą, bez żadnego oparcia dla stóp. A żeby było jeszcze gorzej, ostatni kawałek musieliśmy przejść na bosaka, jako że góra okazała się święta. Dopiero zaczynało zmierzchać. Zdjęłam adidas, zastanawiając się, czyje jeszcze kiedykolwiek zobaczę, a na sam szczyt wczołgałam się na czworaka — tak się wstydziłam, że nie przyjąłam wyciągniętej ręki Mdlejącego Swamiego.

Byłam sparaliżowana ze strachu. Mdlejący Swami

\*Charlton Heston — odtwórca tytułowej roli w filmie *Ben Hur*.

uśmiechnął się łagodnie i obiecał, że zejdziemy na dół, jak tylko odśpiewa modlitwę *Arati*. Nie wiedział jednak, że miejscowi wieśniacy zorganizowali tu niespodziewaną pudzie. Rozpalono ognisko i rozpoczęło się nabożeństwo z bananami i graniem na bębenkach. Potem wszyscy otrzymali dzieło sztuki kulinarnej w postaci ryżowego puddingu z gęstym, słodkim syropem, które smakowało jak bożonarodzeniowe ciastko z bakaliami. Pudding i sos wieśniacy wnieśli na sam szczyt w cynowych wiadrach i podawali na gorąco na bananowych liściach. To zimowe angielskie danie było bardzo na miejscu, jako że po raz pierwszy od czasu mojego przyjazdu do Indii temperatura spadła znacznie poniżej 30 stopni. Potem był pokaz fajerwerków, który rozświetlił ciemną zwykle dolinę leżącą daleko pod nami. Powietrze wypełnił zapach spalonej gumy, a ja znów z niepokojem pomyślałam o swoich butach.

Po trzech godzinach zaczęliśmy schodzić w dół. Astrid i Cartier wzięły mnie z obu stron za ręce i we trzy, z pomocą strażaka z Nebraski o imieniu Dave, stawiałyśmy na zmianę jedną stopę przed drugą, i tym sposobem stanęłyśmy wreszcie bezpiecznie przed bramą aśramy. Z radością donoszę, że podczas zejścia żadna z nas nie została ranna, ale byłyśmy wkurzone na Charliego, który gdzieś zniknął. Plotka głosi, że w połowie drogi na dół on i Jusep znaleźli naturalną jaskinię, leżącą poza szlakiem, w której zatrzymali się na *bidi* i parę łyków z piersiówki.

Następnego dnia poszłam na drugi wykład Mdlejącego Swamiego. Wyjaśniał na nim znaczenie dwóch pierwszych spośród „ośmiu stopni” jogi opisanych w *Jogasutrach Patańdzalego*. Byłam zaintrygowana. Ów traktat o ośmiu stopniach wyzwolenia od cierpień, których zwieńczeniem jest osiągnięcie *samadhi*, zachował zadziwiającą aktualność — powstał dwa tysiące lat

temu, mniej więcej w czasach, gdy Rzymianie wkroczyli do Brytanii — a dziś jego wymowa była głębsza niż kiedykolwiek. Zapewniał adeptom dostęp do studni z duchowym pokarmem, z której mogli czerpać, stając wobec materialistycznych wymagań życia w dwudziestym pierwszym wieku.

*Jamy* to „zasady etyczne, które stanowią duchowy fundament w codziennym życiu”, pięć praktyk ukierunkowujących nasze zachowanie wobec innych ludzi. *Swami* zapisał je na tablicy.

*Ahimsa* — wyrzeczenie się przemocy — odnosi się nie tylko do działań fizycznych, ale także do uczynków mentalnych i werbalnych. Każda negatywna myśl przynosi niszczące skutki, mówił *swami*, gdyż „szkodzi osobie, która myśli w ten sposób, nieświadomie wpływa na osobę, która jest tej myśli obiektem, i wraca rykoszetem do pierwszej osoby”.

— *Satja* to prawdomówność. — Mdlejący *Swami* spojrział ze smutkiem. — Wszyscy jesteście kłamcami, zawsze gotowymi się usprawiedliwiać. Podajemy tę wersję prawdy, która jest dla nas korzystna.

Wszyscy spuściliśmy ze wstydem wzrok i z ulgą powitaliśmy następny punkt, czyli *apańgrahę* — „posiadanie tylko tego, co konieczne”, jak mówił facet ze smokiem.

Kolejną praktyką jest *asteja*, którą Mdlejący *Swami* określił jako niekradzenie.

— Nawet mówienie więcej, niż jest to potrzebne, stanowi formę kradzieży. Musimy pamiętać, że tak naprawdę nie posiadamy niczego, nawet własnego ciała, którego jedynie jesteśmy tymczasowym opiekunem.

— *Brahmaćarja* oznacza czystość i powściągliwość seksualną. — Publiczność przesunęła się do przodu. Co też Mdlejący *Swami* powie nam o seksie? Czy jego też nachodzą seksualne myśli? — Nie chodzi o wyparcie, ale o wzniesienie się ponad instynkt. Popęd seksualny to tak naprawdę nasz umysł, genitalia nie mają żadnego popędu, więc możemy go kontro-



lować. Seks powinien być wyrazem miłości i drogą do powołania nowych istot ludzkich. Marnowanie go dla chwilowej satysfakcji jest nadużywaniem boskiego daru.

— Czy to dotyczy także masturbacji? — zapytał ktoś z widowni.

— Tak. Powiedzenie, że masturbacja oślepia, jest w zasadzie prawdą. Oślepia nie w sensie fizycznym, ale duchowym.

Potem *swami* zaczął omawiać *nijamy*, czyli praktyki, które pomagają nam osiągnąć dyscyplinę ciała i umysłu.

*Sauća* oznacza czystość ciała i umysłu — spożywanie higienicznego pokarmu, regularne kąpiele, czystość myśli i utrzymywanie porządku i czystości w domu.

*Tapas* — co znaczy gorąco, żar — to uczynki, które zwiększają nasz duchowy zapal, czyli na przykład „wstawanie

0 wpół do szóstej, siedzenie na twardej podłodze, medytowanie przez pół godziny. Robimy je, bo wiemy, że są dla nas dobre, a po sześciu miesiącach zaczynają nam sprawiać przyjemność. Za każdym razem, kiedy nam się to udaje, wzmacniamy siłę woli”.

*Swadhjaja* wymaga od nas pilnego studiowania, abyśmy lepiej zrozumieli siebie. „Jeżeli ktoś nie ma guru, powinien inspirować się książkami o świętych”.

*Santosza* to samozadowolenie. Mdlejący Swami zachęcał nas, byśmy byli zadowoleni z siebie i nauczyli się „odróżniać to, czego potrzebujemy, od tego, czego chcemy”. W aśramie możemy zobaczyć, że nie potrzebujemy aż tak wiele. Życie w terażniejszości i zwracanie uwagi na to, co się ma, ogranicza pragnienia. Na tym właśnie polega *santosza*.

I wreszcie „*is'warapranidhana*, czyli ograniczanie ego

1 poddanie się najwyższej rzeczywistości — Bogu i boskiej mocy”.

Chyba wszyscy byliśmy nieco onieśmieleni, ale Mdlejący Swami powiedział, że skala przedsięwzięcia nie powinna nas zniechęcać.

— Opanowanie jednej z tych praktyk wystarczy, żeby zostać świętym — powiedział, cytując Swamiego Sivanandę: „Rozwinięcie jednej cnoty w życiu to wielkie osiągnięcie”.

Zaproponował, żebyśmy na początek wybrali sobie jedną praktykę, a potem przez cały dzień notowali myśli, które nam się w związku z nią pojawiają.

— Obserwujcie naturę umysłu, bądźcie jej świadomi, bo to pozwala na zmianę. W ten sposób zaczynamy poznawać siebie i zaczynamy się zmieniać.

Którą miałam wybrać? Wszystkie wyglądały na bardzo trudne, z wyjątkiem *brahmaćarji*, w której całkiem nieźle sobie radziłam, chociaż nie do końca była to moja zasługa. Stałam w okropnie długiej, złożonej głównie z kobiet, kolejce osób chcących porozmawiać ze Swamim osobiście i skorzystać z jego rad dotyczących *jam* i *nijam*. Chciałam mu też podziękować za uratowanie mi życia na szczycie góry, no, w każdym razie za ofiarowanie pomocnej dłoni.

Zanim jednak doszłam na początek kolejki, czas Swamiego się skończył, więc umówiliśmy się później w recepcji. Charlie bez przerwy wchodził i wychodził, mrugając do mnie porozumiewawczo, co mnie wkurzyło. Spojrzałam na niego piorunująco. Poszedł sobie wreszcie, ale wcześniej nie oszczędził mi podniesionych kciuków i ostatniego potężnego mrugnięcia.

Miałam nadzieję, że Mdlejący Swami niczego nie zauważył. Zapytałam go, czy tęskni za swoim życiem na Zachodzie i dawną pracą w charakterze pediatry. Powiedział, że zajmowanie się duchowym zdrowiem ludzi sprawia mu równą przyjemność.

— Lubię przebywać z ludźmi — mówił — którzy tworzą odpowiednią energię, bo w aśramie to ludzie tworzą wibracje.

Zapewniłam go, że świetnie się tu bawię i jestem naprawdę szczęśliwa z powodu wibracji.

— To prawda, Lucy, wyglądasz na szczęśliwą, jest w tobie lekkość istnienia. — Znów na mnie popatrzył. — Twarz ci jaśnieje.

Nie chciałam mu mówić, że moja „lekkość bytu” była dość przelotna i osiągała najniższy poziom podczas rozmów z Millicent ani że jasność twarzy zniknie zapewne wraz z jego wyjściem.

Podniósł się. Jasność rzeczywiście znikła. Poczułam się podle. Zwłaszcza po tym, co mówił o tworzeniu dobrej energii w aśramie, zrobiło mi się przykro, że przyjeżdżali tu głównie ludzie, którzy robili sobie malinki i spędzali w nocy mnóstwo czasu na tarasie na dachu. A prawda, czyli *satja*, była taka, że znalazłabym się wśród nich, gdybym tylko znalazła chętnego do robienia mi malinek. Ale naprawdę chciałam się zmienić. Przestać uważać, że znalezienie mężczyzny jest odpowiedzią na wszystko. Chciałam znaleźć w życiu głębszy sens, niezwią-zany z drugą osobą. Mdlejący Swami sprawił, że zapragnęłam być lepszym człowiekiem. Podejmę zobowiązania w sprawie *jam* i *nijam* — stanowiły zupełnie dobry początek — ale gdy w końcu zostaną Boginią Jogi, będę musiała żyć jedynie 195 su-trami.

Na początek nowego rozdziału w życiu postanowiłam wybaczyć Charliemu — po pierwsze za to, jak niegrzecznie się do mnie odezwał, gdyż tylko trochę spóźniłam się ze scenariuszem, po drugie, za nieudzielenie mi pomocy przy schodzeniu z góry, a po trzecie, za mruganie do mnie w recepcji. Najlepiej oddzielić przeszłość grubą kreską i zacząć wszystko do nowa. Charlie, Cartier i Jusep kończyli już swój pobyt w aśramie. Jusep jechał na pełniową imprezę na Goa; Cartier i Charlie jechali do Varkali, odległego o kilka godzin morskiego kurortu. Cartier chciała zrobić trochę zakupów, a Charlie chciał poczuć piasek pod stopami. Na początku stycznia musiał wracać do Londynu, bo zaczynał zdjęcia do jakiegoś fabularyzowanego dokumentu z udziałem gwiazd porno.

Ja i Astrid miałyśmy ochotę zostać jeszcze trochę w aśra-mie, więc umówiliśmy się z Cartier i Charliem za parę dni. Zrobimy sobie noworoczne spotkanie na plaży. A potem — no cóż, nie miałam jeszcze sprecyzowanych planów. Korciło mnie, żeby pójść w ślady Bena i Erika i spotkać się z Przytulającą Matką, zwaną czule Ammą, a w pełnej nomenklaturze Mata Amritanandamayi Devi, co znaczy „Boska Matka, która osiąga szczęśliwość w nektarze nieśmiertelności”. Jej aśrama mieścił się zaledwie o kilka godzin jazdy samochodem od Var-kali. Przeczytałam *Holy Cow*, której autorka nie tylko dostała od Ammy uścisk, ale też większe cycki, o które poprosiła. To przekonało Astrid i Cartier. Przez kilka godzin zastanawialiśmy się, o co poprosić. Charlie był wielkim zwolennikiem większych cycków.

Ostatnie trzy dni pobytu w aśramie poświęciłam na aktywności poszerzające umysł. Zaliczyłam wszystkie ajurwedyjskie wykłady doktora Nedungadi i odkryłam kilka użytecznych rad, między innymi sposób na zaparcia, które były powszechnym problemem w aśramie w powodu diety opartej głównie na ryżu.

— Kiedy ten mały gość nie chce wyjść — mówił doktor — zamiast napinać się i przyciskać dłonie do czoła, należy ucisnąć punkt *marma*\* leżący na środku brody i zaśpiewać ładną piosenkę, na przykład *Amazing Grace*.

Zachęcał nas też do czyszczenia języka gorzką pastą o nazwie *triphala*.

— Jeśli będziecie to robić codziennie, nie będą wam ob-

\* *Marma* — w medycynie ajurwedyjskiej specjalne punkty na ciele (porównywalne z meridianami w akupunkturze).

wisać policzki i nie będziecie się starzeć aż do sześćdziesięciu pięciu lat.

Przypomniał mi się kierowca taksówki — wolałam jego ćwiczenia, po których „twarz zrobić się jak jabłko”.

W przerwach na reklamy dobry doktor odsłaniał przed nami zalety *panćakarmy* — „wyrzuca na zewnątrz toksyny, prawda?” — oraz masaż w cenie czterystu rupii, który pozwala ocenić proces starzenia, zapobiega zmęczeniu, poprawia wzrok, rozjaśnia cerę, ożywia ciało i umysł oraz przywraca doskonałe zdrowie.

Wieczory wypełniał bogaty program artystyczny. Artyści sztuki walki Kalaripayattu bawili się ogniem. Piękne dziewczęta ze szkoły Gayathri, które przyjechały autobusem z napisem „Podróże z Jezusem”, wykonały klasyczny taniec Bharatanatyam z dzwoneczkami na stopach i jaskrawoczerwonymi kropkami na środku dłoni. Towarzyszyły temu przesadne ruchy gałek ocznych, intensywne strzelanie palcami i pobrzękiwanie złotych nakryć głowy. Mieliśmy też koncert na *santur*\* — Śri Harida, czcigodny mistrz „stustrunowej lutni”, zachęcił nas do dogłębnego poznania tej muzyki:

— To była zaledwie kropla z oceanu hinduskiej muzyki klasycznej. Skosztujcie nektaru indyjskiej muzyki. Życzymy wam melodyjnego Nowego Roku.

Nic dziwnego, że przy takiej stymulacji włosy urosły mi o kolejne dwa centymetry. Prawdę mówiąc, czułam się rewelacyjnie. Prowadzony w aśramie nieoficjalny detoks — żadnych środków pobudzających, pięć godzin jogi dziennie, ekstremalne górskie wędrówki — spokojnie mógł konkurować z kliniką Betty Ford\*\*, tyle że za nieporównywalnie niższą cenę.

\* *Santur* — strunowy instrument perkusyjny, na którym gra się dwoma pałeczkami.

\*\* Ośrodek leczenia alkoholików i narkomanów założony przez Betty Ford, żonę byłego prezydenta USA Geralda Forda. Leczyło się tam wiele gwiazd.

Początek był trudny, ale opłacało się. Nabrałam sił, mięśnie wyraźniej mi się zarysowały, zrzuciłam też kilka lat na stole do masażu. Sam masaż był tak gruntowny, że nie docierał jedynie do narządów ukrytych głęboko w środku. Poprawiła mi się nawet koordynacja. Nauczyłam się jeść curry z ciecierzycy bez ochlapywania siebie i sąsiadów, a moje kubki smakowe zrobiły się tak delikatne, że rozróżniałam smak poszczególnych warzyw.

John uznał, że w bezinteresownych uczynkach należy mi się awans, więc zostałam aśramową herbaciarką — pomagałam Astrid roznosić wśród spragnionego tłumu cztery ogromne czajniki z herbatą. Astrid podawała herbatę słodką, a ja „bez cukru”. Szybko poznałyśmy upodobania naszych klientów: niektórzy chcieli duże porcje; Mdlejący Swami brał sobie mały kubek; Millicent dochodziła do trzech kubków bez cukru i narzekała, kiedy herbata już się skończyła; Niemcy powtarzali każdego dnia, że jest za mało gorzkiej. Uważali mnie za kretynkę? Doskonale znałam prawo podaży i popytu — była to jedna z rzeczy, jakich nauczyłam się w reklamie. Źródło problemu tkwiło w kuchni, gdzie panował kompletny brak zrozumienia dla faktu, że można lubić coś, co nie jest słodkie. Pewnego dnia kazałam szefowi kuchni obiecać, że na obiad przygotuje dodatkowy czajnik gorzkiej herbaty — co ogłosiłam gościom podczas śniadania — ale on o wszystkim zapomniał, bo przed południem pokłócił się z żoną. Na obiad była więc herbata z cukrem albo herbata z cukrem. Wybaczyłam mu, ale wyjący tłum nie był dla mnie tak łaskawy. Napięcie sięgnęło zenitu, kiedy jedna z Niemek próbowała wyrwać mi z ręki czajnik z wrzącą słodką herbatą. Na szczęście tylko pokrywka spadła na podłogę, ale skorzystałam z okazji, żeby powiedzieć: „Dość tego” i już do końca rozlewałam herbatę po swojemu. Po powrocie do pokoju rozmyślałam nad swoimi postęпами w *ahimsie*, wyrzeczeniu się przemocy. Jak dalece udało mi się rozwinąć umiejętność powściągnięcia agresywnych

uczynków fizycznych, mentalnych i słownych? I jak dalece inni studenci zbliżyli się do stanu *aparigrahy*, braku pożądliwości?

Przez cały czas miałam nadzieję, że Mdlejący Swami zobaczy, jak bardzo się staram — bez wytchnienia chodzę z kuchni do sali Dhanwantari, gdzie podawano herbatę — ale z organów władzy spotkałam jedynie pewną kobietę, która zrugła mnie za noszenie podkoszulka niedostatecznie zakrywającego pępek. Poprosiłam ją, żeby mi darowała, dopóki nie zaniosę dwóch wielkich czajników do sali, ale nie miała litości. Musiałam się zatrzymać i obciągnąć T-shirt tu i ówdzie o jakieś pół centymetra.

I nagle nadszedł czas wyjazdu. W sylwestra o świcie poszliśmy z Astrid w milczeniu nad jezioro. Tym razem kadetów nie było, ale wieśniacy jak zwykle wykonywali swoje poranne rytuały — wskakiwali na krowy i szorowali je porządnie za uszami.

Spojrzałam na Mdlejącego Swamiego. We wczesnych promieniach słońca wyglądał na bardzo spokojnego, jakby lekko wibrował. Kusilo mnie, żeby zostać dłużej. Tutaj byłoby mi znacznie łatwiej podążać ścieżką *jamy* i *nijamy*, poza tym niewątpliwie życie w aśramie dobrze mi służyło, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Przeżyłam najcudowniejsze Boże Narodzenie, poznałam nowych przyjaciół. I świetnie się bawiłam. Moja duchowa podróż wyglądała zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam — nie musiałam się umartwiać, ale z drugiej strony, nie przeżyłam żadnych objawień. Szczerze mówiąc, jedyną duchową atrakcją okazał się Mdlejący Swami. Czy w dłuższej perspektywie mam szansę zostać jednym z jego promyków? Zdaje się, że powielalam stary schemat ludzi z Zachodu — zakochałam się w swoimi nauczycielu duchowym.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że zwykła codzienność w aśramie jest czymś zupełnie innym niż rozrywkowy obóz duchowy, na jaki trafiłam. W końcu życie w aśramie oznaczało wyrzeczenie się wszystkich światowych przyjemności,

nie? A gdyby miało do tego dojść, to czy rzeczywiście chciałabym już na zawsze poświęcić się robieniu aśramowej herbaty? Poza tym nie zniosłabym chrapania Millicent nawet o jedną noc dłużej. W ramach walki z moim używaniem suszarki nabrała okropnego zwyczaju wyłączania głównego bezpiecznika na korytarzu i udawania, że to „przerwa w dostawie prądu”. Zaniepokoiła mnie też rozmowa w ojcem w pierwszy dzień świąt. W związku z moim brakiem spożycia alkoholu zarzucił mi świętoszkowatość. Niedobrze. Nie mogłam zawieść swojej rodziny — musiałam się wreszcie napić. W końcu był sylwester.

Sylwester w Varkali okazał się dość kameralną imprezą. Przez całe popołudnie chodziłam smutna, tęskniąc za aśramą i Mdlejącym Swamim. Najpierw siedzieliśmy na plaży i patrzyliśmy na orły unoszące się w prądach termalnych, potem przeszliśmy się po ozdobionych flagami kafejkach rozłożonych wzdłuż wąskiej drogi na szycie czerwonych klifów, wreszcie zajrzałam z Cartier, moją osobistą stylistką, do tybetańskich sklepów. Ale nawet turkusowa torba nie poprawiła mi nastroju. Wieczór spędziliśmy w Brown Indian, ustronnej kafejce, gdzie podawano rum z colą dla niepoznaki rozlewany do imbryków, kontemplując morze w świetle księżyca i jedząc parmezan z oliwkami, przezornie przywieziony przez żonę pewnego Włocha z aśramy. O północy Włosi otworzyli z hukiem kilka butelek Veuve Cliquot i wznieśliśmy toast za zdrowie Mdlejącego Swamiego i Charliego.

Dzień przez naszym przyjazdem Charlie poszedł na kurs ajurwedyjskiego gotowania i był pełen entuzjazmu dla własnych dokonań i dokonań współkursantów. Na dodatek jego instruktor stwierdził, że dla złagodzenia żaru wynikającego z *pitty*, nadmiernej aktywności organizmu, Charlie powinien włączyć do swojej diety dużo melasy i miodu. Charlie natych-



miast pobiegł do najbliższego straganu ulicznego, gdzie znacznie przesadził z nasączonymi syropem kulkami *rasagolla*\*, które od kilku dni leżały w pełnym słońcu. Rezultat był jeden: jeszcze większy żar w postaci 40 stopni gorączki oraz konieczność przebywania w niewielkiej odległości od toalety.

W Nowy Rok obudziły mnie kacowe wyrzuty sumienia. Gdybym została w aśramie, mogłabym się zbliżyć do kosmicznej szczęśliwości, zamiast szukać paracetamolu. Włączyłam telefon i wytarłam oczy, na których wciąż znajdował się tłusty cień do powiek. Wśród zalewu noworocznych SMS-ów od jeszcze bardziej wkurzonych znajomych i przyjaciół była wiadomość od Charliego. Także potrzebował lekarstw: „Lucy, jestem strasznie chory. Przynieś paracetamol i wodę. Pospiesz się!”.

SMS został wysłany o piątej rano. Teraz dochodziła jedenasta. Cholera jasna! Wspomnienia Mysore i soku z granatów nadal były świeże — wiedziałam, co to znaczy. Nie było czasu do stracenia. Razem z Astrid i Cartier wskoczyłyśmy do rikszy, zabrawszy ze sobą wszystkie antybiotyki, jakie udało nam się znaleźć, i wpadłyśmy do Charliego. Jeszcze żył. Na szczęście jego gospodyni była bardziej troskliwa od nas i zawiozła go do szpitala na zastrzyk obniżający gorączkę. Wyznaczyłyśmy sobie trzygodzinną pokutę — na zmianę ocierałyśmy mu czoło, nalewałyśmy wodę i zmieniałśmy płyty w discmanie. W ten sposób narodziły się Aniołki Charliego.

Najlepszą formą rekonwalescencji wydała nam się spokojna wycieczka barką po rozlewiskach. Gdy tylko Charlie poczuł się lepiej, zapakowałyśmy jego i siebie do ambassadora i ruszyliśmy do Alappuzha, gdzie mieliśmy odebrać barkę wraz z załogą. Dość szybko odzyskaliśmy dobry nastrój, zwłaszcza gdy okazało się, że kierowca ma płytę Kylie z bardzo stosownym kawałkiem *Fever*. Trzy Aniołki podwinęły *sarongi*, które mogły teraz udawać pielęgniarzki fartuszek Kylie, i za pomocą

\* *Rasagolla* — kulki z sera i kaszy manny gotowane w syropie.

idealnie dopracowanych ruchów rąk odtworzyły układ z wi-deoklipu, który wywoływał uśmiech na twarzach tylu mężczyzn. Charlie też uśmiechnął się z uznaniem i zapytał, czy nie miałybyśmy ochoty przyjechać na jego czterdzieste urodziny, które miały się odbyć latem na południu Hiszpanii. Zgodziłyśmy się.

Humory nam nieco opadły na widok barki — bardziej przypominała mieszkanie zastępcze niż Beckingham Pałac. Na zdjęciach, które pokazywano nam w biurze podróży w Varkali, widzieliśmy wiklinowe fotele, białe łóżka plażowe i uśmiechniętą obsługę w uniformach, serwującą drinki na srebrnej tacy. Nasza łódź była pokryta niebieskim brezentem, na dziobie leżał materac, a za fotele robiły plastikowe krzesła. W skład obsługi wchodził jeden młody gość i dwóch bezzębnych sterców, ubranych w kraciaste, podciągnięte do kolan *lungi* i brudne T-shirty. Jedynie Harish z dumą prezentował koszulkę z napisem „Ray-Ban Made in USA”. Na barce nie było alkoholu, ale zaproponowali, że podczas postoju na obiad kupią kingfishera i spritea — oczywiście za nasze pieniądze.

Próbowaliśmy dodzwonić się do naszego człowieka w Varkali, ale nagle przestał rozumieć po angielsku. Inne łodzie były zarezerwowane. Nie pozostało nam nic innego, jak zamknąć usta i pogodzić się z losem. Prawdę mówiąc, zaczęliśmy odzyskiwać spokój, jak tylko wypłynęliśmy z przystani. Charlie odkrył niezwykły talent Cartier do robienia skrętów, więc posadził ją na taśmie produkcyjnej, a efekty jej pracy wkrótce pokryły całą długość białego plastikowego stołu.

Przez całe popołudnie Aniołki opalały się na materacu, a Charlie — z głową rekonwalescenta osłanianą przed słońcem przez Harisha, dumnego posiadacza czarnego parasola — dowodził statkiem. Prowadził nas przez wodorosty, podczas gdy Pradeep, majtek pokładowy, ryzykował obcięcie kończyn, usiłując wyplatać najbardziej nieustępliwe pędy z turbinki podczas pracy silnika. Charlie bardzo zręcznie przeciskał się pomiędzy

licznymi *wallamami*, tradycyjnymi dżubankami, które pływały w tę i z powrotem, przewożąc pasażerów siedzących w cieniu wszechobecnych czarnych parasoli. Dzieci bawiły się na starych dętkach albo spychały się nawzajem do wody z porośniętych palmami brzegów. A za drzewami panowało ogromne ożywienie — preparowanie włókna kokosowego ze skorup, pranie, uprawa ryżu, a przede wszystkim zbieranie soku na *toddy*, wino palmowe. Charlie przekonał Harisha, żebyśmy zatrzymali się i kupili trochę *toddy* — sfermentowanego soku z kokosów. Smakował obrzydliwie, więc oddaliśmy go załodze, która wyraźnie miała inne zdanie w tej kwestii. Przez całe popołudnie paliliśmy skręty i wieczorem byliśmy już kompletnie ujarani.

Chciałabym powiedzieć, że wieczór upłynął nam na lekturze dzienników słynnego indyjskiego poety Rabindranatha Tagorea, który miał duchowe przeżycia na barce skąpanej w świetle księżyca. Niestety, pamiętam raczej niewiele, z wyjątkiem tego, że graliśmy w „Zabić, bzyknąć, poślubić”. Miałyśmy różne zdanie na temat tego, kogo zabić, ale wszystkie chciałybyśmy bzyknąć Jusepa i wyjść za mąż za Mdlejącego Swamiego. Charlie chciał bzyknąć jedną Ronitkę, a ożenić się z drugą.

Skończyło się tak, że wylądowałam z Charliem w łóżku. Wiem o tym, bo się tam obudziłam, mgliście pamiętając, że do późna w nocy czytaliśmy sobie nawzajem fragmenty *Siddharthy* Hermanna Hessego. Sądząc jednak z rozmowy, którą odbyliśmy następnego dnia w ambasadzie, a w której Charlie przez długi czas opowiadał o swoich randkach internetowych oraz rozwodził się nad urodą Izraelek, z całą pewnością nie przekroczyliśmy granic przyjaźni. Co za wstyd. Szczerze mówiąc, z wielką przyjemnością zabiłabym Charliego, bzyknęła się z nim i wyszła za niego za mąż — za jednym zamachem.

„Durga, Durga, Durga”

Dwugodzinna jazda do Przytulającej Matki upłynęła w bardziej przygnębiającej atmosferze niż podróż na barcę; wszyscy mieliśmy koszmarne kaca — tak koszmarne, że widok wschodzącego słońca i pięknego poranka w Kerali był wręcz bolesny.

Dotarliśmy do małej wioski Vallikkavu, zamieszkaney jedynie przez wyczekujących taksówkarzy, gdzie wsiedliśmy na prom płynący na drugą stronę rzeki. Popychał go mężczyzna tak długi, chudy i czarny jak jego drąg. Jako pierwsze z całej aśramy ujrzeliśmy dwa różowe wieżowce, które wyłoniły się z bujnych kęp kokosów. Potem zobaczyliśmy Cath, znajomą z Sivanandy. Wpadliśmy na nią na nabrzeżu. Błada i wychudzona, była cieniem beztroskiej dziewczyny, która jeszcze dwa dni temu skakała wokół Brown Indian z kieliszkiem Veuve Cliquot w ręce.

— Muszę się stąd wydostać — powiedziała stanowczo. — Fatalnie się czuję.

— Może coś zjadłaś? — zapytałam. Umiałam już dostrzegać pierwsze symptomy.

— Nie, chodzi o to miejsce. Czuję się kompletnie wyssana. Tu wszyscy marnie wyglądają, są mizerni i bladzi. Nawet nie patrzą ci w oczy.

— Przytulałaś się już? — spytała Astrid z troską. Cath spojrzała na nią ze smutkiem.

— Tak, ale nic nie czułam.

Próbowaliśmy ją namówić na filiżankę *ćaiu*, ale nie dała się przekonać.

— Sorry, muszę lecieć. Będziemy w kontakcie. Na razie. Podniosła plecak i wskoczyła na prom, który właśnie wracał na drugi brzeg.

Spojrzeliliśmy po sobie. Coś się musiało wydarzyć, na pewno nie powiedziała nam wszystkiego. Jakim cudem jedna noc u Przytulającej Matki mogła przynieść tak fatalny skutek?

Charlie trochę się spieszył, bo musiał wracać do Londynu i organizować zdjęcia z gwiazdami porno, dlatego postanowił stanąć w wieczornej ekspresowej kolejce do przytulania. Podobno ta sama jakość, ale bez ozdób. Zaraz potem miał wyjechać. Ruszył w kierunku wielkiej, różowej świątyni, strzeżonej przez dwa czerwone, aksamitne parasole ze złotymi frędzlami oraz pięć gipsowych koni, które ciągnęły za sobą szaleńczo kolorowe bóstwa. Uznałyśmy z Astrid i Cartier, że postawa Cath nas nie zniechęci — zgodnie z planem pójdziemy na wieczorną ceremonię i zostaniemy na noc.

*Darśany* — widzenia publiczności z mistrzem — odbywały się w aśramie Ammy cztery razy w tygodniu, ale niedzielne spotkania były największe. Nazywały się *Dewi Bhawa Darśan*. Dwadzieścia tysięcy gości oraz dwa i pół tysiąca stałych mieszkańców aśramy było świadkami, jak Amma wchodzi w stan *bhawa* — szczególnie stan emocjonalny, w którym

kompletnie zatracą siebie i łączy się ze swoją umiłowaną imienniczką *Devi*, czyli Boską Matką. Oto *bhaktijoga*, joga miłości i oddania, w najlepszym wydaniu.

Aśrama była bardzo zatłoczona. Pospiesznie mijali nas biali wyznawcy Ammy w białych szatach i z wygolonymi głowami. Ich szybki krok i osobliwy, monochromatyczny wygląd kontrastował z widokiem długowłosych, kolorowych, hinduskich rodzin, które przechadzały się powoli w upale wysypanego żwirem dziedzińca. Mali chłopcy, nieprzyzwyczajeni do garniturków, stali sztywno, a ich siostry, z oczami umalowanymi czarną kredką i z uszami ciężkimi od złotej biżuterii, chowały żółte, nylonowe sukienki i dopasowane do nich spinki i kokardy w fałdach niedzielnych sari swoich matek.

Amma była wszędzie. Jej okrągła twarz, uśmiechnięta, niewinna twarz dziecka, po której nie było widać jej pięćdziesięciu lat, patrzyła z breloczków do kluczy, kaset i widokówek wyłożonych na straganach z pamiątkami na dziedzińcu, a także z naklejek „Śpiewaj swoją mantrę” oraz „Zachowaj niewinność” sprzedawanych w oficjalnym sklepiku. Była też sala, w której sprzedawano lalki o wyglądzie Ammy, wyrabiane przez rezydentów aśramy. W każdej postaci i w każdej formie przedstawiała sobą doskonale zdrowie i młodzieńczą witalność — z jej oczu, skóry i włosów bił blask, szeroki uśmiech odsłaniał idealne hollywoodzkie zęby. Z perfidnym zadowoleniem zauważyłam, że brylant w jej kolczyku w nosie był dużo większy niż brylant Shanti i dużo fajniejszy.

Astrid stała z naszymi paszportami w kolejce do rejestracji, a ja i Cartier przeglądałyśmy kartki przyklejone do ściany na górnym balkonie świątyni. Jedna z nich głosiła: „W epoce egoizmu jedynym mydłem, które może nas oczyścić, jest bezinteresowna służba”. Amma prosiła wszystkich o dwie godziny bezinteresownej pracy dziennie. Sama była najlepszym wzorem bezinteresowności. Artykuły przypięte na tablicach opowiadały o ogromnej liczbie charytatywnych przedsięwzięć, za

które Amma otrzymała wiele nagród, między innymi Gandhi-King Award za wyrzeczenie się przemocy. Podczas jej wręczenia powiedziano, że „stoi przed nami boska miłość w ludzkim ciele”.

Cartier kupiła styczniowy numer indyjskiego magazynu dla kobiet „Sawy”, w którym na okładce pojawiała się Amma obok hollywoodzkiej aktorki i „Panny młodej do wzięcia” Raveeny Tandon. Cartier przeczytała, że Amma kieruje imperium biznesowym wartym 250 milionów funtów, które planuje uruchomienie kanału telewizyjnego i nawiązanie współpracy z multinarodowymi korporacjami — trudno więc się dziwić, że wysocy rangą urzędnicy rządowi na wyścigi wspierali działalność aśramy.

— Ta kobieta — oznajmiła Cartier, pokazując nam dwustronicowy materiał z tytułem „Świętość czy dobra marka” — jest bardzo inteligentna.

Budowa miasteczka, do którego rozrosła się Aśrama Amritapuri, pochłonęła ogromne pieniądze. Były w nim dwa różowe wieżowce z pokojami dla gości i stałych rezydentów, kwatery dla tych, którzy praktykowali *brahmaćarję* i prowadzili życie w celibacie, hostele dla całej populacji uczniów, kuchnie, sklepy, biura, AmritaNet, agencja turystyczna, dwie biblioteki, basen, plaża, obora, zagroda dla dwóch słoniątek, dwie stołówki — jedna europejska i jedna hinduska — oraz największa w południowych Indiach sala do *darśanu*. Na powierzchni ponad 2700 metrów kwadratowych — i przy braku zasłaniających widoczność filarów — 20 tysięcy wiernych miało dość miejsca, żeby kołysać złożonymi ze 108 koralików *malami*.

Znikome pieniądze wydano natomiast na wyposażenie pokoi. Warunki były krańcowo spartańskie.

— Przynajmniej jest czysto — powiedziała Astrid pogodnie. — I przynajmniej jesteśmy tylko we trzy.

To była prawda. Trzy plastikowe materace leżące na wy-

kładanej kafelkami podłódze nie zostawiały miejsca na nasze plecaki i walizki, trudno więc było mówić o jeszcze jednej osobie.

— No i przynajmniej mamy piękny widok — dodała Astrid, pokazując na ciągnące się po horyzont korony palm, wśród których stał jedynie siostrzany różowy wieżowiec.

Po drodze na dół z piętnastego piętra natknęłyśmy się na Charliego. Nie musiał długo czekać na przytulenie, w kolejce stało tylko kilka osób, a porządkowi wykazywali się dużym rozsądkiem. Charlie był w sumie zadowolony, ale powiedział, że równie dobrze mógłby go przytulić jakiś przechodzień na ulicy.

— A potem co?

— Nic. Aha, szepnęła mi coś na ucho, chyba jakieś „trak, trak, trak”, zrobiło mi się gorąco, ale to wszystko.

Byłyśmy rozczarowane.

— A o co poprosiłeś, Charlie? — spytała Astrid.

— O nic, zapomniałem — powiedział ponuro. Nadszedł czas pożegnania z Charliem. Po jego mocnym

uścisku rzeczywiście zrobiło mi się gorąco, ale byłam zadowolona, że szybko sobie poszedł. Patrzyłam za nim ze smutkiem. Pomimo dzielących nas różnic bardzo go polubiłam w ciągu ostatnich paru tygodni i chętnie pojeździłabym z nim dłużej. Niestety, musiał wracać do Londynu i zająć się angażowaniem porno gwiazd. Przyłączyłam się do Astrid i Cartier, które siedziały na parapecie przy stoisku z *caiem*, wciśnięte pomiędzy dwie połowy hinduskiej rodziny. Przez kilka minut nic nie mówiłyśmy, kontemplując nasz nowy status po wyjeździe Charliego. No cóż, bez niego nie byłyśmy już Aniołkami, prawda? Dziwnie się czułam bez skrzydeł.



Pizza w Western Café szybko poprawiła nam humor, pomimo piorunującego wzroku białych w białych szatach. Melinda też nosiła białe szaty, ale na tym jej podobieństwo do reszty się kończyło. Miała czarne loki i błyszczące, niebieskie oczy dziesięciolatki, chociaż, jak nam później powiedziała, miała lat pięćdziesiąt trzy. Kiwnęła na nas z szerokim uśmiechem. Włosy otaczały jej głowę w takiej obfitości, że miałam wrażenie, jakby się tam nie mieściły. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Mogłabym przysiąc, że rosną w oczach.

— Dlaczego wszyscy są tu tacy nieszczęśliwi? — spytałam głośno.

— Oj, nie zwracajcie na to uwagi. Intrygi i konflikty. Ludzie, którzy siedzą tu za długo, zaczynają ze sobą walczyć, żeby być bliżej Ammy. W takiej energii trudno wytrzymać, nie mogłabym tutaj żyć.

Melinda przyjęła pierwszy uścisk w swoim rodzinnym Sydney podczas jednego ze światowych tournée Ammy. Okazała się prawdziwą skarbnicą wiedzy.

— Dlaczego Amma przytula tylu ludzi? — spytałam.

— Ona jest ucieleśnieniem bezwarunkowej miłości. Mówi, że jej jedynym pragnieniem jest obejmować innych, pocieszać ich, przytulać do serca i ocierać im łzy, aż do końca życia. Przytuliła już ponad 20 milionów ludzi na całym świecie. Jest niezmordowana. Niesamowita kobieta.

— Podobno przytuliła nawet trędowatego — powiedziała Cartier, krzywiąc się.

— To prawda, miał wrzody na całym ciele. Na jego widok wszystkim zrobiło się niedobrze. Wierni chcieli go wygonić, ale ona kazała go przyprowadzić i, mówiąc wprost, zlizwała ropę sączącą się z jego ran. Przez sześć miesięcy opatrywała go, aż rany całkiem się zagoiły.

Przyłączyłyśmy się do okrzyku Cartier:

— Blee.

Melinda uśmiechnęła się.

— Wiem, że to trudno zrozumieć, ale ona uważa każdego, nawet premiera Indii, za swoje dziecko.

— A ile ma dzieci? — spytała Astrid, z radością podchwytyjąc nowy temat.

— Amma nie jest biologiczną matką, nigdy nie miała nawet okresu. Co pół roku ma robione badania krwi i technicznie rzecz biorąc, powinna nie żyć. Ma w sobie wszystkie choroby znane pod słońcem.

Perspektywa przytulania jakoś przestała mi się podobać. Widziałam, że Cartier czuje się podobnie.

Melinda zobaczyła nasze miny i roześmiała się.

— Nie martwcie się. Ammy nie można oceniać według naszych standardów. Ona nie jest człowiekiem w normalnym rozumieniu tego słowa. Już jako dziecko była zupełnie inna. Jej matka nie miała podczas porodu żadnych bólów, ona sama przyszła na świat z uśmiechem od ucha do ucha i z tą dziwną, ciemnoniebieską karnacją, karnacją Pana Krysny. W wieku pięciu lat komponowała religijne pieśni i medytowała w lesie.

— A co na to jej matka?

— Rodzina była kompletnie przestraszona jej medytacjami i śpiewami. Jej nieustanne ruchy ust brali za oznakę szaleństwa, a tymczasem ona się po cichu modliła. Przestali posyłać ją do szkoły i została służącą. Ale nic jej nie powstrzymało. Śpiewała podczas pracy, zapadała w stan dziwnego snu na jawie, wynosiła z domu jedzenie i rozdawała we wsi niedotykalnym. Dopiero wtedy zaczęła przyciągać uwagę świata, który zrozumiał, że ma do czynienia z osobą urzeczywistnioną. Pozwolono jej prowadzić *darśany* w części obory. Ta obora nadal istnieje, chociaż wszyscy wyznawcy Ammy już by się w niej nie zmieścili.

Włosy Melindy urosły o kolejne dwa centymetry, oczy jej rozbłysły. Wyraźnie uważała Ammę za świętą i chciała, żebyśmy myślały tak samo.

— Wiecie co, ponieważ jesteście tu pierwszy raz, mo-

żęcie wieczorem wejść na scenę i siedzieć koło Ammy. A jeżeli będziecie grzeczne, to będziecie mogły stanąć w kolejce z *prasadem*.

— W kolejce z *prasadem*? — spytała Cartier. (Ona nie stała w kolejkach).

— To wielki zaszczyt, tylko dla ludzi Zachodu — powiedziała Melinda ciepło. — Wręczacie *Aramie prasad*, słodczyce zawinięte w papier, a ona daje je swoim wyznawcom.

Cartier uznała, że dziś może stanąć w kolejce.

Przez godzinę bezinteresownie robiłyśmy *czapati*, starając się nie zwracać uwagi na patrzących wilkiem białych w białych szatach, a potem popędziłyśmy do pokoju, żeby wziąć chłodny prysznic i zastanowić się, co mamy na siebie włożyć. Kiedy pojawiłyśmy się w ogromnej sali, mając na sobie swoje najlepsze białe sukienki, Amma zdążyła już się rozkręcić. Siedziała na środku sceny, ubrana na biało, w otoczeniu mężczyzn ubranych na pomarańczowo. Przed nią, u stóp sceny, zajęli miejsca muzycy i śpiewacy. Wszyscy śpiewali *bhadżany* przy akompaniamencie *tabli i* fisharmonii. Kobiety siedziały po prawej stronie sali, mężczyźni po lewej. Dołączyłyśmy do naszych sióstr, które na zmianę klaskały, OM-owały i przesuwwały się do przodu, żeby mogły pomieścić się kolejne fale hinduskich matek, ciotek, babek i wnuczek. Od czasu do czasu ręce Ammy wystrzeliwały w górę, co być może było znakiem zbliżania się do stanu emocjonalnej ekstazy, w którym osiągała jedność ze swoją umiłowaną Dewi. Poruszała się wolno jak w transie, z zamkniętymi oczami. Już wyglądała na zmęczoną, a była dopiero siódma. Po godzinie zeszła ze sceny i od tej chwili zaczęło się wyczekiwanie. Stałyśmy w kolejce następną godzinę, a białe kobiety w białych szatach omawiały przez ten czas kwestię zasady otrzymywania mantr — czy

osoby, które chciały otrzymać od Ammy zarówno mantrę, jak i uścisk, powinny stać w tej samej kolejce co osoby czekające jedynie na uścisk? Kolejka dzieliła się i przestawiała wielokrotnie po każdej zmianie ich decyzji. Podejrzewani o wpychanie się bez kolejki stawali się najpierw obiektem szeptanej kampanii, a potem otwartej konfrontacji. Emocje rosły. Było już o krok od poważnej awantury, kiedy zajęliśmy przydzielone nam miejsce. Jedenasta wieczorem. Na początku niektórych kolejek widniały znaki z numerami, których czas miał nadejść dopiero około czwartej, piątej rano. Tam było już niewielu Europejczyków. Czy bycie człowiekiem z Zachodu uprawniało nie tylko do dawania *prasadu*, ale i do krótszego oczekiwania? Widocznie tak. Podziały na Wschód i Zachód były w aśramie bardzo głębokie — różne ceny jedzenia, różne kantyny, inna praca. Goście z Zachodu mieli przywileje, ale już rezydentom z Zachodu nie było tak łatwo. Biali w białych szatach pracowali bardzo ciężko — nadziewali pierożki, robili pizzę i wyrabiali ciasto na *czapati* tak samo białe jak ich twarze. Melinda tłumaczyła nam, że musieli pracować ciężiej niż Hindusi, bo mieli większe ego. No cóż, biali w białych szatach nie mieli przez to lepszego nastroju, a wysyłanie Europejczyków na początek kolejki i dawanie im przywileju wręczania *prasadu* jedynie łechtало ich i tak rozdęte ego.

Amma pojawiła się po godzinie. Tym razem usiadła na wspaniałym tronie pod zielono-złotym jedwabnym parasolem. Miała na sobie jedwabne sari, pasujące do parasola i ozdobione grubym, złotym pasem. Jej długie, ciemne, falujące włosy były zebrane w koński ogon pod złotą koroną. Usiadliśmy na chwilę na podłodze i patrzyliśmy na pierwszą grupę przyjmującą uścisk. Kobiety i mężczyźni podchodzili z przeciwnych stron sceny, więcej jednak nie dało się zobaczyć, bo zrobiło się tłoczno i wszyscy byli odwróceny do nas plecami. Od czasu do czasu ukazywał się czubek korony Ammy. Wreszcie znalazłyśmy się na scenie, skąd miałyśmy lepszy widok. Wyciągając

szyje, mogliśmy zobaczyć tłum posuwający się do przodu centymetr po centymetrze. Widziałam twarze tych ludzi i najbardziej poruszyła mnie ich determinacja. W większości byli to biedacy, posiadający jedynie nędzne ubrania, a mimo to nieśli ze sobą miseczkę owoców, a nawet jedno jabłko, w darze dla ukochanej Ammy.

Wiele kobiet płakało. Serce mi pękało, kiedy patrzyłam na te drobne, podobne do ptaków, ciemnoskóre istoty, nienagane w swoich najlepszych sari, z kwiatami wplecionymi w gładko uczesane włosy. Mówiły coś do Ammy błagalnym, zduszonym głosem, a kiedy je od niej odrywano, wyciągały ręce, żeby choć jeszcze przez chwilę być ze swoją umiłowaną. Mężczyźni lepiej panowali nad sobą i z większą determinacją walczyli o swoje. Amma przyjmowała wszystko z pogodą ducha. Jeden z mężczyzn przez dobrych kilka minut opowiadał jakąś historię, która wywołała u Ammy śmiech. Dopiero stanowcza interwencja kilku porządkowych przekonała go, że jego czas dobiegł końca. Inny przez dłuższy czas mówił coś do niej po cichu, przyciskając usta niemal do jej ucha, a ona kiwała głową, wzdychała i głąskała go po plecach.

Ludzie próbowali zyskać kilka dodatkowych chwil z Ammą na różne sposoby— jedni prosili ją o pobłogosławienie jakichś zdjęć, inni przynosili listy albo girlandy nagietków, które usiłowali udrapować na swojej ukochanej, ale dobrze naoliwiona maszyna z tyłu sceny szybko usuwała kwiaty. Najlepszą sztuczką było podanie naszyjnika, by Amma założyła go właścicielowi na szyję — co trwało nieskończenie długo; kiedy próbowała uporać się z tandetnym zapięciem, można było spoczywać w jej ramionach.

W przeciwieństwie do sali scena była dość mała. A w każdym razie za mała, żeby pomieścić tron Ammy zajmujący niemal połowę miejsca z przodu, stojących po obu stronach wiernych, coraz większą ilość koszyków z owocami i girland z nagietków oraz taśmę produkcyjną *prasadu*, złożoną

z kilkuset wiernych, którzy byli tu po raz pierwszy, a także trzech ex-Aniołków niecierpliwie czekających na swoją kolej. Wszystko to wymagało uważnego zarządzania przestrzenią. Kobieta, która się tym zajmowała — „Ta Której Należało Być Posłusznym” — była ucieleśnieniem wytwornej elegancji. Puszyste, siwe włosy, ogromny pierścionek z brylantem oraz wspaniałe białe sari ze złotym haftem, które znacznie wykraczało poza poziom standardowego wyposażenia aśramy. Miała licznych pomocników, starsze kobiety i mężczyzn z Zachodu (młodszy pracowali przy pieczeniu pizzy w europejskiej kantynie), którzy pod jej czujnym okiem i w rytm dokładnych instrukcji przemieszczali ludzki ładunek wokół sceny. Wiernych, którzy przekraczali dopuszczalny czas, proszono o zejście. Kiedy uprzejma prośba nie skutkowałą, usuwano ich siłą. Kolejka z *prasadem* była pilnowana ze szczególną uwagą — nie tolerowano żadnego przepychania się. Przesuwałyśmy się wolno na przód sceny pod wyjątkowo ścisłym nadzorem: „Stop”, „Przesunąć się w to miejsce”, „Nie, proszę chwilę zaczekać”, „Dobrze, można iść”.

Wreszcie znalazłyśmy się na przedzie, gdzie poinstruowano nas, na czym polega sztuka dawania *prasadu*. Palcem wskazującym prawej ręki miałyśmy podsuwać Ammie zawinięte w papier paczuszki, tak by łądowały płasko na jej lewej dłoni i by mogła je podawać przytulonym osobom. Nadeszła moja kolej. Cały Amma World spoczywał na moich drżących palcach — nie chciałam niczego schrzanić. Dostałam dziewięć paczuszek i trzy podałam zgodnie z instrukcją. Na razie szło mi nieźle. Patrzyłam, jak pierwsza trafia do rąk Hinduski, która była kompletnie oszołomiona, szlochała w sposób niekontrolowany i ofiarowała Ammie cały chyba swój zbiór cytryn. Przez chwilę sytuacja zrobiła się niezręczna, bo jak zahipnotyzowana gapiłam się na cytryny — które szybko zaniesiono na tył sceny — i nie zauważyłam, że Amma zdążyła już przytulić kolejne dwie osoby, a teraz czekała z wyciąg-

niętą ręką na kolejną porcję zawiniątek. Dostałam porządnego szturchańca od dyżurnego pilnującego podawania *pra-sadu*, co mnie szybko przywróciło do rzeczywistości. Po tym wstrząsie uznałam, że najbezpieczniejszym rozwiązaniem jest patrzeć jedynie na rękę Ammy. Mimo to udało mi się spojrzeć na dwie wyznawczynie, które siedziały tuż obok niej — jedna masowała jej uda, a druga przykładła chłodne kompresy. Podczas swoich maratonów przytulania Amma w ogóle nie wstawiała i zapewne cierpiała z powodu skurczów mięśni. Nie wychodziła nawet do toalety. Może, jak twierdziła Melinda, naprawdę miała nadludzkie moce, a może wynikało to z faktu, że nic nie piła.

Kiedy Astrid i Cartier podawały *prasad*, miałam łzy w oczach, jakbym patrzyła na ślub własnych sióstr. Teraz my mogłyśmy się przytulić — kompletnie o tym zapomniałam, tak byłam wzruszona patrzaniem, jak inni przytulają się do Ammy.

Stanęłyśmy w kolejce i wolno posuwałyśmy się do przodu. Za chwilę ja, już za chwilę, za chwilę... i nagle poczułam, jak jakiś gorliwy wyznawca rzuca mnie na ziemię. Lewą rękę przycisnął mi do podłogi, a głowę zmusił do skłonu. Amma oparła dłoń na moim lewym ramieniu, słuchając jednocześnie gadatliwego, młodego mężczyzny, który mamrotał coś w lokalnym języku malajalam, i przyciskając go do swoich bujnych piersi drugą ręką. Wreszcie nadeszła moja kolej. Amma przyciągnęła mnie do siebie i wtuliła moją głowę w fałdy swojego sari. Powiedziała mi do ucha: „Durga, Durga, Durga” niecierpliwym, *donośnym* szeptem, po którym ciepło rozlało mi się po karku i nie mogłam złapać tchu. Podziękowałam za *prasad* i poprosiłam o bilet, który uprawniał do otrzymania mantry na końcu *darśanu*, ale Amma patrzyła na mnie bez wyrazu — mówiła tylko w języku malajalam, a ja tylko po angielsku. Zapadło niezręczne milczenie. Po chwili ktoś mnie pociągnął w tył i podniósł do pozycji stojącej — wtedy właśnie uświado-

miłam sobie, że zapomniałam wypowiedzieć życzenie. Służba porządkowa zaczęła się naradzać, czy powinnam dostać bilet po mantrę. Tymczasem Cartier już się znalazła w ramionach Ammy, a Astrid została przyszpilona do podłogi w oczekiwaniu na swoją kolej. Na dobre doszłam do siebie dopiero wtedy, gdy znalazłyśmy się na parapecie przy opustoszałym stoisku z *ćaiem*. Ścisnęłyśmy w dłoniach bilety na mantrę.

Byłyśmy oszołomione, dezorientowane i było nam trochę gorąco. Przytulanie okazało się przyjemne, ale żadna z nas nie widziała błysków oślepiającego światła. Cartier i Astrid wypowiedziały swoje życzenia — nie chciały mi powiedzieć jakie, ale mogłabym się założyć, że zgadnę. Amma wyszeptała do ucha Astrid: „Dewi”, czyli imię samej Boskiej Matki, natomiast Cartier, podobnie jak Charlie, nie mogła się zorientować, o jakie bóstwo chodziło. Zapytałam Melinę, co znaczy „Durga”.

— Naprawdę tak cię nazwała? Niesamowite. Durga to wyjątkowo piękna i gniewna bogini. Jeździ na lwie, ma złote ciało i dziesięć rąk, w których trzyma broń, klejnoty i różaniec. Za pomocą trójzębu, miecza i strzał unicestwiła całe armie wrogów. Była groźną wojowniczką dziewczicą. Świetnie, dziewczyno!

Z zadowolenia włosy Melindy urosły o kolejne dwa centymetry. Cartier i Astrid zaczęły klaskać i wznosić radosne okrzyki. Nie zdążyłam wypowiedzieć życzenia, więc moje cycki nie stały się większe, ale czułam się fantastycznie.

O siódmej rano wróciłyśmy do sali *darśanu*, ale Amma nadal przytulała wiernych i okazało się, że będzie dawać mantry nie wcześniej niż o jedenastej. Sala opustoszała — w kolejce czekało zaledwie kilkaset osób — a zamiast gorączkowego podniecenia wyczuwało się jedynie zmęczenie.



Poszliśmy coś zjeść do jednego z hinduskich straganów na dziedzińcu.

— Czy ktoś oprócz mnie jest zmęczony? — spytała Astrid, ziewając nad swoimi *iddly*.

Też czułam się wypruta, a Cartier, normalnie ucieleśnienie pogodnej elegancji, teraz wyglądała na brudną i zmęczoną. Gdy dwie duże łyżki cukru w herbacie nie poprawiły nam nastrojów, zaczęliśmy się niepokoić. Czułam się tak jak wtedy, gdy w wieku osiemnastu lat chorowałam na mononukleozę — byłam jak ogłuszona, nie umiałam wykrzesać z siebie żadnej energii ani nawet się uśmiechnąć. Zrozumialiśmy, że tak samo musiała się czuć Cath. Rozejrzałyśmy się — zdaje się, że uścisk Ammy jakoś nikogo nie uszczęśliwił. Amma mogła tyrać jak wół, mogła mieć nadludzkie moce, ale i tak nie była w stanie wypełnić ogromnej otchłani ludzkich potrzeb. W aśramie Sivananda organizowano przyjemne obozy duchowej rozrywki dla zestresowanych Europejczyków, poszukujących wypoczynku z jogą, natomiast aśrama Ammy spełniała zupełnie inną funkcję — dostarczała nadziei i miłości biednym i potrzebującym emocjonalnego wsparcia. Już samo zetknięcie się z taką ilością nieszczęścia było wyczerpujące, a co dopiero mieszkanie tutaj. Nic dziwnego, że wyznawcy byli bladzi i zmęczeni.

My też byliśmy zbyt wykończone, żeby ustawić się w kolejce po mantrę. Poczekaliśmy do dziewiątej, kiedy otwierano biuro, żeby odebrać paszporty, wpakowałyśmy swoje nędzne tyłki na prom, po raz ostatni spojrzaliśmy na różowe wieżowce i odwróciłyśmy się plecami do aśramy.

Opadłyśmy na siedzenia ambassadora i spałyśmy trzy godziny, aż do samego Kochi. Ja i Cartier przespałyśmy też resztę popołudnia w trzyosobowym pokoju w tanim hoteliku, a Astrid, u której poziom energii zdążył już wrócić do normy, wybiła wszystkie komary w łazience i poszła pojeździć rowerem wokół Żydowskiej Dzielnicy. Po powrocie opowiedziała

nam o swoim upadku z roweru, o synagodze z podłogą wykładaną płytkami z chińskiej porcelany, o wieży z zegarem, sklepach z antykami i o zapachu przypraw — cynamonu, kardamonu i pieprzu — dochodzącym z sal, gdzie odbywały się aukcje, oraz o tym, że jutro wczesnym rankiem będzie pomagać rybakom przy wyciąganiu sieci.

Na dworcu, gdzie kupowała sobie bilet na Goa, poznała Jacka, nauczyciela jogi, malarza i projektanta wnętrz z hrabstwa Antrim. Jack zaprosił ją na kolację i był tylko trochę wkurzony, że przyszła razem ze mną i Cartier. Siedzieliśmy przy ogromnym półmisku frytek, ryb i krewetek w restauracji Europa mieszczącej się przy plaży, tuż obok porozwieszanych sieci rybackich, które Astrid miała jutro wyciągać. Jack też był u Ammy i nasze opowieści wcale go nie zaskoczyły.

— Dla mnie to oczywiste. — Pociągnął kolejny łyk „herbaty” nalewanej ze stojącego pod stołem imbryka. — Amma prowadzi międzynarodową wymianę energii. Pobierają od bogatych Europejczyków i przekazuje biednym. Coś w rodzaju duchowego Robin Hooda. Ale nie mam jej tego za złe, w końcu nas na to stać, inaczej by tego nie robiła. Czujecie się już lepiej, prawda? — Potwierdziłyśmy. — No właśnie. — Napełnił nasze filiżanki. — Za Dewi, Durgę i...?

— Cartier — powiedziała Cartier z pewnością siebie.

Wiedziałałam, że będzie mi ich brakowało. Cartier musiała zdążyć na samolot do Nowego Jorku, więc wyjechała wcześniej rano następnego dnia, bredząc coś o spotkaniu ze swoją pralką automatyczną i ekspresem do kawy. Ja i Astrid zjadłyśmy razem ostatnie śniadanie. Była nieco zmęczona, bo wstała o świcie i poszła pomagać rybakom przy sieciach, ale nie mogła się już doczekać spotkania z Jusepem na Goa. Ja uznałam, że potrzebuję zmiany tempa, czegoś zupełnie nowego.

Nadal nie miałam żadnej wiadomości od Richarda — podejrzewałam, że albo zamierza się ożenić, albo jest zbyt nawalony, żeby napisać maila. Nie miało to znaczenia, bo i tak był już historią. Nie chciałam jednak wylewać dziecka z kąpielą. Postanowiłam polecieć do Pune i zaczerpnąć trochę od jego „guru od seksu”, czyli Osho. Według słów Richarda, Osho, leworęczny\* tantryk, uważał, że seks pozwala rozbudzić duchowy potencjał ciała. Otwierając czakry, uwolnimy ogromne, niewykorzystywane zasoby witalnej energii, *kunda-lini Sakti*, która będzie mogła swobodnie płynąć od podstawy kręgosłupa do *sahasrary*, „tysiącplatkowej czakry korony”. To tę czakrę Shanti otwierała sobie za pomocą fioletowych wibracji szala. Gdy uda mi się ją otworzyć, poczuję, jak znikają wszystkie różnice między mną a innymi istotami, a także przekroczę ograniczenia fizycznego ciała. Kiedy siedzieliśmy przy basenie u Cat i Teda, Richard tłumaczył mi, że w tym momencie znikną granice i podziały; wszystkie energie, kolory, dźwięki, duch i materia, uczucia i myśli połączą się w większą całość, a ja zespolę się z kosmiczną szczęśliwością. No cóż, nie wiedziałam, czy uda mi się osiągnąć ten oszalamiający poziom, ale nacisk tantry na dążenie do dobrego samopoczucia wydawał mi się doskonałym antidotum na wyczerpującą jogę poświęceń w wersji Ammy.

\* „Tantra lewej ręki”, inaczej **Kaula Tantra** — jedna z trzech szkół tantry.

„Poczujcie tę wilgoć”

Musiałam czekać dwie godziny na otwarcie bramy do swoich czakr. Siedzący na wysokim krześle strażnik w czerwono--brązowym ubraniu grzecznie, lecz stanowczo wyjaśnił mi, że wielkie drewniane wrota wysadzone złotymi płytkami zostały zamknięte na czas spotkania Bractwa Białej Szaty i otworzą się najwcześniej o wpół do dziewiątej wieczorem.

Byłam naprawdę zmęczona. Zrezygnowałam z trzygodzinnej wygodnej jazdy klimatyzowaną taksówką po drodze szybkiego ruchu Bombaj-Pune, a zamiast tego najpierw przejechałam autobusem przez cały Bombaj, z lotniska na dworzec Dadar, a potem odbyłam pięciogodzinną podróż w wagonie trzeciej klasy, wciśnięta między dwudziestu pięciu mężczyzn, z których część zajęła półki na bagaże, a reszta siedziała obok mnie na drewnianych ławkach. To nie był pomyślny począ-

tek promocji tantrycznego zdrowia — połowa pasażerów miała kaszel, który spokojnie kwalifikował ich na oddział leczenia gruźlicy, a temperatura w wagonie dochodziła do 40 stopni. Ale przynajmniej całkowity koszt tej podróży wynosił zaledwie 55 rupii; samochód kosztowałby mnie sto razy tyle. W ten sposób zaoszczędziłam na pierwsze dwie noce w luksusowym Osho Guesthouse.

Okolica nie wyglądała do końca tak, jak sobie wyobrażałam. Spodziewałam się zgiełku wybuchających głośno czakr, okrzyków radości z powodu zanikania granic i podziałów, widoku fioletowych wibracji. Tymczasem trzypasmowa droga była pusta i po raz pierwszy w Indiach otaczała mnie kompletna cisza. Stanowiło to pewną ulgę po rygorach obowiązujących w zatłoczonym wagonie, ale czułam się dość dziwnie. Wpatrywałam się w zarysy postaci siedzącej na wysokim krześle i pilnującej bramy po drugiej stronie drogi, kiedy pojawiła się Gita Witająca Gości. Skinęła lekko głową w kierunku strażnika i wprowadziła mnie przez bramę do zupełnie innego świata — jakbym przekroczyła jakieś wrota z filmu science fiction. Temperatura spadła co najmniej o dziesięć stopni. Żadnych snujących się krów, uporczywych klaksonów, spalin i tłumów ludzi. Idąc chodnikami, które były tak czyste, że można by na nich przygotowywać jedzenie dla niemowląt, minęłyśmy dwumetrowy, marmurowy posąg Buddy kontemplującego swój pępek oraz mnóstwo stolików pod czerwono-brązowymi parasolami.

Gita wskazała na Audytorium Osho, ogromną czarną piramidę otoczoną przez czarny basen *wypełniony* idealnie nieruchomą wodą.

— Wszyscy Umiłowani są w środku na spotkaniu Bractwa Białej Szaty — powiedziała tonem pełnym szacunku. — Nie możesz już dziś dołączyć do Buddhafield\*, bo musisz

\* Buddhafield (Pole Buddy) — termin stworzony przez Osho i oznaczający teren o specjalnej energii, gdzie każdy mógł z łatwością wejść w głęboką medytację.

zrobić sobie test na HIV i zarejestrować się w biurze, które będzie otwarte dopiero rano. Żeby dzielić się energią Buddha-field, musisz w ciągu dnia nosić szaty brązowo-czerwone, a na wieczorne spotkania białe. Po spotkaniach Bractwa wolno zakładać własne ubrania. Czyli dopóki zebranie się nie skończy, możesz posiedzieć w swoim pokoju, a potem wyjść, żeby coś zjeść. Mamy tu bardzo dobre jedzenie. — Ruszyła w kierunku ogromnego terenu, na którym stały błyszczące zlewozmywaki i sprzęt kuchenny najnowszej generacji, oświetlony niczym instalacja w Galerii Tate. — Najnowocześniejsza kuchnia w Indiach — obwieściła z dumą.

Przedstawiła mi jeszcze ostatnie instrukcje dotyczące jutrzejszego powitalnego obchodu i zostawiła mnie, bym mogła się rozkoszować zaletami pensjonatu, który mieścił się tuż obok kuchni w spokojnym, zarośniętym drzewami zakątku. Lobby wyglądało jak z najlepszego pisma architektonicznego — idealnie czyste i ciche ucieleśnienie nienachalnej elegancji. Cartier na pewno podobałyby się kremowe podłogi, krzesło Barcelona — zaprojektowane przez Mięsa van der Rohe, wykonane z ciemnej skóry naciągniętej na wygięte, srebrne listewki, dopasowany do niego taboret, szklany stolik, kwadratowe, marmurowe filary, rząd książek w twardej oprawie oraz przystojny recepcjonista z wypiełgnowanymi paznokciami.

Moja sypialnia stanowiła kontynuację tego tematu — oczyszczane powietrze, fotel z ciemnej skóry, woda mineralna z Himalajów (najbardziej ekskluzywna woda butelkowana), wysmakowane grafiki, a przede wszystkim ogromne, podwójne łóżko ze sprężynowym materacem i bielizną z egipskiej bawełny. Łóżko wprowadziło mnie w stan hipnozy. Usiadłam w fotelu i wpatrywałam się w aranżację brązowych i kremowych poduszek ułożonych tak obficie, że chcąc wsunąć się pod prześcieradło przed pierwszą w nocy, musiałabym wysłać specjalną ekipę na poszukiwanie swojej piżamy. Żadnego telewizora, telefonu ani stereo, ale co tam, dla kogoś, kto przez

ostatnich kilka tygodni spał na materacach o grubości dwóch centymetrów, to był szczyt luksusu.

Po długim, gorącym prysznicu, pierwszym od trzech tygodni, wyruszyłam do Meera Café na poszukiwanie odzianego na biało towarzystwa.

Tego wieczoru samoobsługowa kuchnia serwowała cały zestaw pięknych ludzi oraz do wyboru: *erbazzone*, *broccoli aglio e olio*, *warzywa* po bhopalsku, *cole* po peszawarsku albo brązowy ryż z warzywami. Z czego większość była organiczna. No dobrze, wszystko kosztowało dwa razy więcej niż *iddly* w aśramie Ammy, ale dostawało się za darmo nóż i widelec, brązową plastikową tacę oraz możliwość obcowania z cudownymi ludźmi. Zanim jednak wpadłam w przesadny zachwyty, zostałam pouczona:

— Madam, trzymać naczynia na tacy. Kłaść jedzenie na naczynia. Za dużo wszędzie chlapać. Nie ma dokładka.

Ta ostatnia uwaga była adresowana do wielkiego, brodatego Amerykanina, który sięgnął przeze mnie i zanurzył swoją łyżkę oraz białą szatę w warzywach po bhopalsku. Nie tylko on. Nakładaniu jedzenia towarzyszyło zniecierpliwienie i przepychanie łokciami — każdy myślał tylko o swoim *czapati*. Próbowałam zobaczyć w tym pocieszający dowód, że wbrew pozorom nadal jestem na ziemi wśród zwykłych ludzi, ale tylko się wkurzyłam — co za chamstwo.

Zaledwie kilka osób miało na sobie cywilne ubrania. Na oświetlonym świecami dziedzińcu znajdowało się co najmniej trzysta białych szat, a pod nimi wszystkie możliwe narodowości — zwłaszcza Japończycy. Przedstawił mi się Pramsu, tokijczyk z kwadratową twarzą.

— Ładne imię, ale chyba niespotykane w Japonii — powiedziałam.

Pramsu roześmiał się. Złote oprawki jego okularów migotały w świetle świec.

— To nie jest moje prawdziwe imię, ale imię *sannja-*

*sina*. Dałem im swoje zdjęcie i datę urodzenia, a oni nadali mi imię.  
— Jacy „oni”? Wzruszył ramionami.  
— Tajemniczy ludzie w małej chatce. Podoba mi się to imię. Oznacza „uczony” — powiedział z dumą.  
— Pasuje do ciebie — zgodziłam się. Pramsu był niezwykle podobny do sowy. — A co oznacza *sannjasin*?  
Pramsu poprawił okulary i zamrugał.  
— Zwykle oznacza wyrzeczenie się świata, ale dla Osho znaczy wyrzeczenie się starej drogi. Nowe imię to nowe życie, nowy początek. Jeśli pobędziesz tu dwa tygodnie, to też dostaniesz takie imię. Tutaj jest Buddhafield, pole energetyczne dla wszystkich nowo narodzonych, gdzie mogą spotkać innych Buddów. To bardzo ładne miejsce — powiedział radośnie.  
— Aleja nie mogę tam wejść do jutra, dopóki nie zrobię sobie testów na HIV — wyjaśniłam.  
Pramsu znów się zaczął bawić okularami.  
— Teraz jesteś tutaj, więc zostań tutaj — powiedział mądrze. — Osho mówi: jeżeli żyjesz tylko przyszłością, zostajesz zablokowana przez ego. Jeżeli żyjesz tu i teraz, ego znika.  
— Co jeszcze Osho mówił? — Mdlejący Swami byłby na mnie zły, zaniedbywałam praktykowanie *nijamy swadhjaja*. Nie odrobiłam duchowej pracy domowej, bo byłam zbyt zajęta przytulaniem, pływaniem na barce i jasełkami.  
— Szczerze mówiąc, Osho nie sformułował żadnej filozofii, żadnych zasad. Czerpał ze wszystkich systemów i religii, od Buddy, Jezusa, Kryszny, Laozi i Greka Zorby.  
— Coś w rodzaju duchowego potpourri? Wyglądał na nieco zmieszanego, ale mówił dalej:  
— Powiedział swoim *sannjasinom*, żeby nie wierzyli w nic, czego sami nie spróbują. Żeby nie szli za żadnym systemem, od nikogo się nie uzależniali.



Teraz ja byłam zdezorientowana.

— Podobno powiedział, że każdy, kto podąży drogą *radża jogi* sformułowaną przez Patańdźalego, osiągnie oświecenie.

— Tak, uważał Patańdźalego za jednego z największych myślicieli hinduskich, ale nie powiedział: „Dobra, idźcie tylko za nim”. Mówił, że oświecenie każdemu zdarza się inaczej. Błąd religii polega na tym, że jednostki narzucają swoje doświadczenia całej ludzkości. — Pramsu coraz bardziej się zapalał. — Czy każdy musi być chrześcijaninem tylko dlatego, że Jezusowi się to sprawdziło? Osho mówi, żeby znaleźć swoją własną drogę do oświecenia. Dla jednej osoby może to być medytacja dynamiczna, dla innej taniec, dla jeszcze innej muzyka albo śmiech. Dobre jest wszystko, co uspokaja umysł i pomaga ci osiągnąć stan „braku umysłu”, jak mówił Osho.

— Czyli nie ma tu zajęć z asan? — spytałam rozczerowana. Wydawało mi się, że skoro Osho był wielkim fanem Patańdźalego, to powinno tu być mnóstwo kursów jogi.

— Nie, ćwiczenie asan wymaga dużo czasu, a my nie mamy tylu dni ani nawet godzin do stracenia. Poza tym jest to zbyt usystematyzowane. Osho uważał, że do uciszenia zachodniego umysłu potrzebujemy kataraktycznych technik medytacji, ale...

Wielki Amerykanin z warzywami po bhopsku na białych szatach wpadł mu w słowo:

— Skarbie, oprócz jogi jest wiele innych zajęć fizycznych. — Zaczął ciężko oddychać. — O ile masz na nie ochotę.

Chyba jednak nie miałam.

Mężczyzna w rudych szatach flirtuje z dziewczyną w rudych szatach. Takie sceny można było zaobserwować każdego dnia, w każdej godzinie i minucie. Zjawisko to zauważyłam po raz

pierwszy w Centrum dla Przyjezdnych, gdzie poszłam się zapisać na test HIV.

— Super wyglądasz — powiedział mężczyzna w rudościach siedzący przed biurkiem w recepcji.

— Dzięki — powiedziała złotowłosa bogini seksu w radościach, siedząca za biurkiem w recepcji.

— Tak się cieszę, że wróciłaś. Może moglibyśmy się połączyć później przy kawie? — spytał z nadzieją.

Odpowiedziała uśmiechem, który zdradzał, że to już trzecia tego ranka propozycja „połączenia”. Było sześć po dziewiątej.

Po teście na HIV nadszedł czas „wybierania rudych szat”. Nie dostałam jeszcze wyników testu — miały być gotowe przed południem, razem z przepustkami — więc byłam trochę niespokojna. Zrobiłam się jeszcze bardziej niespokojna, kiedy zobaczyłam wybór szat w wypożyczalni: bezkształtne, niezgrabne albo nieforemne. Po wyjściu z przebieralni nie wyglądałam jak uwodzicielska bogini seksu z recepcji, ale jak początkująca czarownica z *Harry ego Pottera*.

Obchód powitalny zaczynał się pod Centrum dla Przyjezdnych obok zachodniej bramy, po przeciwnej stronie drogi niż czarna piramida i hotel.

— Proszę za mną — oznajmił nasz przewodnik, Włoch, machając nad głową butelką wody mineralnej. Otoczył go tłum i więcej go już nie widziałam.

Najpierw Woda Mineralna pokazał nam automat do cappuccino stojący w Plaza Café, który podobno osobiście sprowadziła z Włoch. Wśród bujnej roślinności siedział tłum pięknych ludzi w kasztanowych szatach, gawędząc i popijając wyglądające-na-pyszne cappuccino. Poszliśmy dalej za Wodą Mineralną, który opowiedział nam, że ośrodek kupiono w 1974 roku, że miał wówczas sześć akrów powierzchni, rozrósł się do czterdziestu akrów i przyczynił się do ożywienia północnych przedmieść Pune. Chyba niezbyt dużo osób tego

słuchało — niektórzy niewiele rozumieli, więc zaczęli rozmawiać między sobą, a reszta przyglądała się sobie nawzajem z wielką uwagą. W grupie było niewielu „plecakowych turystów”, wszyscy wyglądali raczej na nieźle nadzianych, ale największą uwagę zwracali na siebie trzech szalenie przystojni Izraelczycy. Niestety, były też dwie szalenie seksowne Izraelki, więc trzeci wolny Izraelczyk znalazł się nagle pod dużą presją. Jakoś dawał sobie z tym radę. Niestety, moje szaty w stylu Harry'ego Pottera zapewniały mi całkowitą niewidzialność.

Woda Mineralna zaprowadził nas do Multiwersytetu, po prawej stronie Plaza Café, gdzie na tablicach wisiała niewiarygodna ilość ogłoszeń o przeróżnych kursach i zajęciach. Na przykład zajęcia Róża Mistyczna, które Osho opracował na kilka dni przed opuszczeniem swojego ciała. Przez pierwszy tydzień mieliśmy się śmiać po trzy godziny dziennie, przez drugi tydzień mieliśmy płakać po trzy godziny dziennie, a w trzecim tygodniu planowane były codziennie trzy godziny milczącej medytacji. Kurs zachwalano jako „najważniejszą i najbardziej fundamentalną medytację” oraz „największy przełom od czasu powstania *wipaśany* dwa i pół tysiąca lat temu”. Przy takiej reklamie musiała być chyba największą atrakcją. Jeden kurs już się rozpoczął. W ciągu najbliższego tygodnia widywałam mnóstwo kobiet z podpuchniętymi oczami i nowymi najlepszymi przyjaciółkami. W czasie posiłków siedziały obok siebie — trzymały się za ręce i patrzyły sobie badawczo w oczy, od czasu do czasu sięgając po leżące na talerzu warzywa po bhopsku.

Bez względu na rodzaj kursu czy punkt wyjścia ogłoszenia zapewniały, że zostawimy za sobą cały chaos poprzedniego życia, a zaczniemy życie nowe, wypełnione radością i świętowaniem. Jakoś mnie to nie przekonywało. Dziwiło mnie, że taki nonkonformista jak Richard mówił o tym z zachwytem. Dla mnie wszystko wyglądało dość podejrzanie, jak jakaś sekta.

Obchód trwał dalej. Odwiedziliśmy Gaj Buddy, gdzie grupka siwowłosych Umiłowanych w kasztanowych szatach

ćwiczyła łucznicstwo zen, pierwszą z Pięciu Bram Zen, która, jak mi powiedziała idąca obok mnie Niemka, „pozwała na doświadczenie mocy własnej *hary* — umiejscowienie duszy i centrum świadomości — oraz odkrycie swojej pionowej linii”. Mijaliśmy Umiłowanych obejmujących się na chodnikach, Umiłowanych płaczących jeden drugiemu na ramieniu, Umiłowanych w okularach słonecznych najlepszych marek siedzących na ławeczkach i gapiących się w przestrzeń, Umiłowanych na kortach „zenisa” — sędzia zwracał im uwagę, gdy za ostro ze sobą rywalizowali — oraz Umiłowanych w czerwono--brązowych kostiumach opalających się w Club Med, czyli Klubie Medytacyjnym — kompleksie wypoczynkowym z basenem olimpijskim, sauną i jacuzzi.

Wszyscy byliśmy oczarowani otaczającą nas perfekcją, i nie chodziło jedynie o pięknych Umiłowanych w kasztanowych szatach. Każdy budynek, podobnie jak hotel, wyglądał tak, jakby wyskoczył ze stron „Architectural Digest”. Nawet księgarnia — błyszczący, szklany projekt ze stolikami i precyzyjnie rozstawionymi taboretami, na których można było przeglądać tysiące książek Osho, kaset, płyt i kart tarota. A pomiędzy budynkami można było poczuć powiew orientu — tu pnąca jaśminu, tam bambusowy zagajnik oraz Budda wszędzie. To było pięciogwiazdkowe duchowe spa. Osho nie był zwolennikiem zaniżania standardów — chciał, by jego wyznawcy stworzyli raj na ziemi. Dlaczego ma być brudno i niechlujnie, tłumaczył, skoro może być czysto i pięknie?

Następnie Woda Mineralna zaprowadził nas do Piramid Mirdad — czterech budynków położonych w zacienionej części ośrodka. Weszliśmy do pokoju bez okien, Woda zamknął drzwi na klucz i zaatakował nas regulaminem. Przede wszystkim — jak mamy się zachowywać podczas spotkań Bractwa Białej Szaty: żadnego kichania, kasłania, puszczenia bąków ani bekania. Jeżeli należysz do osób, którym takie rzeczy się zdarzają, to lepiej od razu idź do Omar Khayyam, gdzie

będziesz mógł do woli kichać i kasłać z osobami o podobnie paskudnych nawykach. Jeżeli pojawisz się w głównym audytorium i nie uda ci się opanować owych z reguły mimowolnych funkcji, zostaniesz natychmiast wyrzucony. Na nic ci też przyjdzie tłumienie kaszlu — konstrukcja piramidy i marmurowa podłoga stukrotnie wzmacniają siłę każdego dźwięku.

Byłam zdezorientowana. Przecież kaszel i kichanie, tak samo jak śmiech i seks, zawieszają myślenie, a zatem przybliżają do pożądanego stanu „braku myśli”. Na pewno Osho by się z tym zgodził. No cóż, nie było czasu na pytania. Woda Mineralna przeszedł już do następnego punktu — nie wolno nigdzie chodzić podczas spotkań Bractwa. Jak mogłam się już wczoraj przekonać, w czasie tych spotkań w ośrodku obowiązywała ścisła godzina policyjna. Poza tym bez specjalnych przepustek, które trzeba odnawiać codziennie za 300 rupii, nikt nie zostanie wpuszczony do środka ani z niego wypuszczony, no chyba że ktoś jest Hindusem, wtedy cena jest niższa. (Zniżka na krajowe przepustki widocznie była za mała, bo w ośrodku pojawiała się bardzo niewielu Hindusów). Za przepustki mogliśmy zapłacić w Centrum dla Przyjezdnych — było to jedyne miejsce, gdzie wolno było używać prawdziwych pieniędzy. Widocznie rupie uznano za nieczyste i zakazano ich rozprzestrzeniania po ośrodku tak samo jak wirusa HIV. Zamiast tego mogliśmy kupić sobie w ośrodku specjalne różowe karty dostępne w różnych nominałach.

Pod koniec sesji Woda Mineralna otworzył drzwi i rozdał nam przepustki — dowód na czyste konto zdrowotne. Jedna z dziewczyn przepustki nie dostała. Wstrzymaliśmy oddech, udając, że nikt nic nie zauważył. Po pełnym zażenowania przeszukiwaniu papierów okazało się, że wdał się pewien bałagan — przepustka się znalazła na dnie pudełka. Uff...

Zjadłam obiad w Meera Café w towarzystwie Tamsin. Też zatrzymała się w Osho Guesthouse i zdążyłyśmy rano wymienić uśmiechy w supernowoczesnej windzie. Zachwyciły

mnie jej czerwone drewniaki i bardzo pasiaste skarpetki. Rozglądała się za terapiami, które mogłaby przenieść do swojego spa na Karaibach.

— Powiem ci, dlaczego doradztwo psychologiczne jest nieskuteczne — mówiła. — Chodzi o światopogląd doradcy, po prostu zamieniasz jeden punkt widzenia na inny. Terapie oparte na katarskiej konfrontacji są wielką radością Osho, naprawdę działają. Wprowadzę u siebie Różę Mistyczną i Konstelacje Rodzinne.

Pięćdziesięcioletnia Tamsin wiodła olśniewające życie.

— Po spotkaniu w Londynie miałam wolne dwa tygodnie, więc pomyślałam sobie: „Po co mam siedzieć w tym ponurym mieście?”. Umówiłam się z przyjaciółkami na Goa, potem wpadłyśmy do Kerali, no i teraz przyjechałam tu na tydzień, żeby przyjrzeć się nowym terapiom. — Przysunęła się do mnie konspiracyjnie. — Wiesz, że Osho był oszustem, nie? — spytała szeptem.

Przyznałam, że miałam pewne podejrzenia.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

Wygłosiwszy to wszystko, Tamsin musiała już iść — umówiła się na Masaż Psychiczny oraz chciała zrobić trochę zakupów.

Wydawanie pieniędzy u Osho było w zasadzie dobrze widziane. Większość Umilowanych miała znakomite posady, robili tu sobie krótki urlop od prawa czy architektury i nie chcieli wydawać pieniędzy na zakurzone fotografie swojego guru czy tandetne laleczki i breloczki. Część wolnej gotówki topili w książkach, kartach tarota i kursach, ale zostawało im jeszcze całkiem sporo na markowe ciuchy. Dość często można było zobaczyć błysk Donny Karan na wewnętrznej stronie kaszmirowego szala, mgnienie Prądy na przechodzących obok sandałach czy metkę Calvina Kleina wystająca z koszulki noszonej pod szatą.

Obowiązywała też dość szeroka interpretacja ograniczeń kolorystycznych — brązowo-czerwony oznaczał także różowy, fioletowy, lawendowy i czerwony. A pomimo tabliczki w przebieralni głoszącej: „Szata musi być szatą”, szaty bywały obcisłe, bez pleców, miały też koronkowe wiązania. Próba z udziałem wyszczuplającej biodra sukienki i legginsów, które kupiłam na straganie przedsiębiorczej Hinduski przy drodze, zakończyła się niepowodzeniem — Umiłowani patrzyli na mnie zimnym wzrokiem. Poszłam więc na kompromis i zgodziłam się na bardziej konserwatywny ciuch z miejscowego butik Meera. Nie podkreślał tak kształtów jak sukienki innych dziewczyn i nie miał koronkowych wiązań, ale przynajmniej nie wyglądałam już jak Harry Potter.

No i wreszcie mogłam dołączyć do białego Bractwa w swoim nowym nabytku — długiej, ale wystarczająco przylegającej białej sukni. Tłum moich Umiłowanych współbraci zebrał się nieco wcześniej pod piramidą, żeby się zawczasu wykasłać. Wbiegłam po schodach, czując się czysto, niemal dziewiczo, i postawiłam swoje nowe, białe japonki — również kupione od Hinduski przy drodze (nabyłam też wersję kasztanową) — na specjalnych półkach obok setek markowych sandałów.

Wnętrze audytorium wyglądało tak samo spektakularnie, tylko że było białe. Marmurowa podłoga ciągnęła się w nieskończoność. Projekторы rzucały na sufit niebieskie i żółte obrazy gwiazd i prostopadłościanów. Bractwo się zebrało; wszyscy mieli na sobie szale, wielu przyniosło ze sobą składane krzeselka albo grube maty. Kiedy usiadłam, zrozumiałam po co. Podłoga była k...wsko lodowata.

Zespół zaczął grać, więc ruszyłam pod scenę, żeby potańczyć i jak najbardziej rozgrzać się przed medytacją. Miałam wrażenie, że trafiłam na kiepskie wesele — słaby rytm calypso był pretekstem do wykonywania falistych ruchów dłońmi i ramionami. Woda Mineralna poinstruował nas, że mamy „po-

zwolnić, aby energia świętowania" gromadziła się w nas i że nie powinniśmy tracić owej energii na patrzenie na inne osoby. Nikt go jednak nie słuchał. Wręcz przeciwnie, uważnie się sobie przyglądaliśmy. Kilku mężczyzn, na ogół dość tęgich, uśmiechało się z uznaniem przy kobiecych rytmach calypso. Od czasu do czasu muzyka milkła, co dla Bractwa było sygnałem do okrzyku „Osho” i wzniesienia rąk w górę — chociaż przed wezwaniem imienia Osho najlepiej było roztopić się „w oceanie doświadczenia”. Po trzech końcowych okrzykach „Osho” nastąpił powrót na kocyki i krzeselka, a w moim przypadku na podłogę. Podczas tańca porządnie się spociłam, więc podczas siedzenia w milczeniu lodowaty chłód do mnie nie dotarł. Poczułam jedynie drętwienie pupy po półgodzinie oglądania nagranych na wideo *darśanów* Osho.

Po raz pierwszy widziałam tego człowieka w działaniu. Dziwne wrażenie. Spodziewałam się, że „guru od seksu” będzie seksowny — czytałam, że wielbicielki mu nie brakowało, że udzielał specjalnych *darśanów* tylko dla wyznawczyń i był w wieloletnim związku z Ma Yoga Vivek (tak naprawdę Christine Woolf z Surrey), co najmniej 20 lat młodszą od niego. Ale Osho nie był wcale seksowny — chyba że ktoś kieruje swoje seksualne preferencje wobec bohaterów *Star Treka*. Dla mnie był idealnym przykładem intergalaktycznego bohatera, przybywającego w pokoju i w zwiewnej, kremowej szacie z jedwabiu. Szata stanowiła odzwierciedlenie swoich czasów — miała szerokie, kimonowe rękawy i watowane ramiona z naszyciami, tak typowe dla mody lat 80. Stosowne naszycia pojawiały się również na oparciu krzesła pokrytego kremowym jedwabiem. Osho siedział na nim z łokciami na oparciach; dłonie z niewiarygodnie szczupłymi, długimi i wypielęgnowanymi palcami trzymał odwrócone do góry jak do modlitwy, a jego uważnie dobierane słowa mądrości padały z ekranu jakby z odległego świata. Miał długą, siwą, spiczastą brodę, włosy skrywała ciepła, zimowa czapka. Jedynym wyraźnym szczegółem jego



twarży była para niesamowitych, trójkątnych brwi, których wierzchołki wystawały dwa centymetry ponad oprawki przyciemnianych okularów od Gucciego. Widocznie nosił je nie z próżności, lecz z powodu nadwrażliwości na światło. Tasmin wspominała mi, że Osho twierdził, jakoby agenci rządu amerykańskiego usiłowali go otruć, kiedy w 1985 roku został aresztowany za złamanie przepisów imigracyjnych, i od tamtej pory jego zdrowie znacznie się pogorszyło. Teorii krążyło zresztą mnóstwo — że przyczyną jego problemów zdrowotnych było uzależnienie od tlenu azotu, który mu podawał jego osobisty dentysta, że był uzależniony od Valium albo że, już całkiem prozaicznie, miał zespół przewlekłego zmęczenia, astmę i cukrzycę. Bez względu na przyczynę, na filmie wyglądał bardzo wiekowo — mimo że miał pięćdziesiąt kilka lat — i ponadczasowo, jakby mógł żyć w dowolnym stuleciu. Jedyne naszycia pozwalały umieścić go w konkretnej epoce.

Rozwodził się długo na temat życia w aśramie — jak to kobieca zazdrość przyczyniła się do upadku pierwszych komun

— ale w sumie niewiele rozumiałam. Z trudem nadażałam za jego wymowę. Miał skłonność do przeciągania początku wyrazu, spłaszczania całego środka i ucinania końcówek. Ale mimo że treść do mnie nie docierała, jak zahipnotyzowana słuchałam powolnego rytmu jego wypowiedzi. Mówił, że używa słów tylko po to, by móc stworzyć milczące przerwy

— ważne były jedynie chwile milczenia pomiędzy słowami, a nie same słowa. To miało pomóc słuchaczom w medytacji; Osho twierdził, że umysł chce słuchać, a w oczekiwaniu na coś, co ma nastąpić, także się ucisza. To tyle, jeżeli idzie o teorię. Zastanawiałam się tylko, czy uda mi się zrozumieć następną część zdania i czy w ogóle zorientuję się, że kolejne zdanie się zaczęło.

Po wykładzie socjologicznym pojawiły się dowcipy. Według Osho nawet dowcipy miały swój cel — utrzymywały naszą czujność. Śmiech był o niebo lepszy od ziewania. A jedno

i drugie, podobnie jak przerwy w zdaniach, miało nas powstrzymać od myślenia. Osho uważał, że nie da się jednocześnie śmiać i myśleć, a śmiejąc się, wchodzimy w głęboki stan medytacji. Opowiadanie dowcipów przychodziło mu dość łatwo — chyba wszystkie powyberał z „Playboya”. Najbardziej podobał mi się ten o astronautach i Marsjanach. Już myślałam, że idzie ku lepszemu. Ale na krótko.

Wydawanie z siebie nieartykułowanych dźwięków miało mi pomóc uwolnić się od *ćitta wriiti*. Z zaciekawieniem zauważyłam, że mój bełkot dość mocno zbliżył się do chińskiego, potem skręcił w kierunku rosyjskich toastów, posilił się kilkoma talerzami spaghetti o różnych nazwach, by wrócić wreszcie do domu. Muszę się jednak przyznać, że pomimo pozornego sukcesu bez przerwy myślałam o tym, jak głupio musimy wyglądać, mówiąc coś bez sensu, machając ramionami i śmiejąc się histerycznie. Nie mogłam się jednak odcinać. Woda Mineralna powiedział nam, że musimy w tym uczestniczyć, bo inaczej „staniemy się dla innych kosztem na śmieci”.

Po Bełkocie nastąpiło Odpuszczanie. Na dźwięk bębenka mieliśmy upaść niczym „worek ryżu” i leżeć kompletnie rozluźnieni. Trudno było się rozluźnić na lodowatej podłodze, ale najgorsze miało dopiero nadejść. Kiedy usiedliśmy, okazało się, że faceci w białych szatach nie noszą majtek, a techniki depilacji upowszechnione w Londynie przez kobiety, które domagały się, by ich mężczyźni znosili te same cierpienia, przez jakie one musiały przejść, by osiągnąć idealnie gładką strefę bikini, do Pune jeszcze nie dotarły. Starłam się nie widzieć zarysów kilku wyzwolonych penisów i jajek cieszących się wolnością w rytmie calypso, ale oto pojawiły się znowu, tym razem we włochatym zbliżeniu. Może regulamin wymagał załącznika na temat bielizny?

Mimo wszystko spotkanie Bractwa dość mi się spodobało, gdyż było pewną nowością. Ale siedząc w Plaža Cafe<sup>1</sup> słuchając wyznań spływających z ust innych Umiłowanych,

uznałam, że powinnam bardziej zaangażować się emocjonalnie. Podśledzałam, jak jeden z orędowników mówił z zażwionymi oczami: „Nigdy wcześniej nie było we mnie radości”. Musiałam wymyślić sobie jakiś program. Poszłam z powrotem do listy kursów wywieszanej na ścianie Multiwersytetu. Problem polegał na tym, że wszystko było koszmarnie drogie. Mistyczna Róża kosztowała 320 funtów za trzy tygodnie, ale nawet trzydniowe kursy nie schodziły poniżej 100 funtów. Osho chętnie przyznawał się, że jest guru dla bogatych, albowiem tylko oni będą umieli zrozumieć, że pieniądze nie dają szczęścia.

Wydałam już tysiąc dolarów u pana V., kolejny tysiąc miałam odłożony na miesięczny kurs jogi w Krishnamacharya Yoga Mandiram w Madrasie. Nie chciałam wydawać fortuny na śmianie się i płkanie. Mogłam robić to samo z Kawowymi Guru za cenę cappuccino, chociaż gdybym się trochę postarała, to szarpnęłabym się nawet na butelkę wina. Za jeden kurs warto było jednak, moim zdaniem, zapłacić: Energia Tantry. Pokaz był następnego dnia w porze obiadowej.

Umiłowani weszli po schodach Omar Khayyam do niewielkiej, ciemnej sali. Ochryply, seksowny głos instruktorki wzdychał do mikrofonu i łagodnie zachęcał nas do znalezienia sobie partnera.

— Spójrzcie sobie w oczy. Zagłębcie się w nie. — Westchnienie. — Poczujcie swoje genitalia. — Kolejne westchnienie. — Naładujcie je i wyślijcie energię do serca. — Głębokie westchnienie. — Zaczynjcie chodzić po sali i nawiązujcie kontakt wzrokowy, myśląc o seksie. Jak się z tym czujecie? — Znowu głębokie westchnienie.

Szczerze mówiąc, byłam bardzo zakłopotana.

— A teraz zamknijcie oczy i sprawdźcie, co czujecie,

ocierając się powoli o innych. Powoli. Nie podglądać. — Jeszcze jedno westchnienie.

Czułam gorące oddechy i gorące ciała, mnóstwo wzwie-dzionych członków i sterczących piersi. Nie tylko ja podglądałam — jak inaczej wszystkie ładne dziewczyny i wszyscy przystojni chłopcy mogliby się znaleźć w jednym rogu?

— Poczujcie tę wilgoć. Mmmm... — Powiedziała to tak, jakby właśnie zjadła coś pysznego.

Nigdy nie czułam się bardziej Angielką.

— Stańcie naprzeciwko drugiej osoby i weźcie się za ręce. Dotknijcie swojej energii płynącej od genitaliów do serca. Unieście się razem; to wasza wspólna zabawa.

Stałam naprzeciwko inteligentnie wyglądającego mężczyzny, który przypominał mi mojego młodszego brata. Spojrzałam w dół. Nie uda się. Na szczęście szybko przeszliśmy dalej.

— Zamknijcie oczy i znajdźcie sobie nowego partnera. Weźcie się za ręce. Oddychajcie razem. Otwórzcie oczy.

Nie mogłam uwierzyć! Przedemną stał wysoki, umięśniony mężczyzna z idealnym uzębieniem i oliwkową cerą. Jego wilgotne, ciemne oczy zniknęły w ciepłym uśmiechu.

— A teraz powiedzcie partnerowi, co czujecie w swoich genitaliach — westchnęła instruktorka.

— Czuję, że moje genitalia są na ciebie otwarte — powiedział mężczyzna, który później przedstawił mi się jako Miguel. Oczy znów mu zniknęły.

— Moje genitalia też są na ciebie otwarte — powiedziałam, czerwieniąc się i patrząc w podłogę.

— Teraz powiedz partnerowi, co czuje do niego twoje serce — westchnęła.

— Moje serce jest otwarte na ciebie — powiedział. Znów skinęłam głową, patrząc w podłogę.

— Cappuccino? — zaproponował Miguel.

Przy najlepszej włoskiej kawie, wśród orientalnej roślin-

ności w Plaza Café okazało się, że jesteśmy zupełnie niekompatybilni. Wystarczyło pięć minut.

Miguel był numerologiem. Wziął moją datę urodzenia i szybko obliczył, że jestem dwójką. Hmm.

— To znaczyć, że... jak to jest... ty zawsze upadać przez skała.

— Potykam się?

— Tak. Ale skała ciebie uczyć, jeśli ty słuchać.

— Mam słuchać skały?

— Skała mówić, co dawać.

— Skała coś mi daje i mam jej słuchać?

— Tak. Ten rok to rok sześć. Bardzo mocny dla ciebie. Dwa i osiem to najmocniejsze liczby. Ja jestem osiem. Ale ty być mocna w intencje, a nie w działanie.

— Nie rozumiem.

— Ty nie działać z siłą, tylko zrobić intencję, żeby być silna. A potem słuchać skała.

Kiwałam głową, udając, że rozumiem i że jestem mu wdzięczna. Na szczęście musiał zaraz iść na sesję medytacji, więc nie musiałam udawać zbyt długo.

Wstęp do tantry dał mi tyle energii, że nawet rozmowa z Miguelem nie była w stanie jej stłumić. Jeżeli się pospieszę, zdążę jeszcze na koniec południowej dyskoteki w Gaju Buddy. Kiedy byłam tam poprzednio, panowała kompletna cisza, bo łucznicy zen naciągali strzały w stanie braku umysłu i doświadczali mocy swojej *hara*. Tym razem jednak cały lasek kołysał się w rytmie Madonny, Kylie i Cher. Dwie dziewczyny tańczyły na podium, pozwalając, by „opętał je taniec”. Jedną z nich była Madonna na tournée *Like a Virgin* — miała nawet spiczaste piersi i podwiązki; druga wyglądała równie spektakularnie w siatkowanej, opalizującej błękitnej spódnicy, srebrnej koszulce na ramiączkach, srebrnych rajstopach i butach na platformach. Twarz też miała srebrną.

Najlepsze laski Osho wyległy tu masowo i wszystkie

były z Ameryki Południowej. Ze wszystkich sił próbowałam je naśladować, ale brakowało mi kilku żywotnych atrybutów — gęstych, falujących włosów, którymi można było machnąć w chwilach największego napięcia, jasnokawowej cery oraz kusego, czerwono-brązowego ciuszka z koronkowym sznurowaniem na głęboko wyciętych plecach. Patrzyłam zahipnotyzowana, jak facet z Ameryki Południowej, z długimi włosami związanymi z tyłu kawałkiem czarnej skóry i długim, szlachetnym nosem, tańczy tango z jasną blondynką. Jeszcze nigdy nie widziałam, by ktoś tańczył tango przy Cher, ale naprawdę szło im nieźle.

Dyskotekowy tłum odpuszczał sobie coraz bardziej, a ja zaczęłam się zastanawiać, ile jeszcze muszą sobie odpuścić. Wszyscy wyglądali na dość zrelaksowanych. Naprawdę chciałam bardziej się wyluzować — kurs tantry mógł mi w tym pomóc, ale coś czułam, że w grupie to ja nie bardzo lubię. Szkoda, że nie umiałam się pozbyć swojej angielskiej sztywności — na kurs zapisało się ośmiu facetów i tylko cztery kobiety.

Wieczorem w audytorium Osho odbywała się impreza pod nazwą Święto *Sannjas*. Kolację zjadłam w towarzystwie Risziego i Sargamy. Sargama właśnie otrzymała swoje nowe imię *sann-jasinki* od ludzi z chatki ukrytej gdzieś w ośrodku i niecierpliwie czekała na początek nowego życia u boku Risziego, którego poznała w zeszłym roku na kursie Braku Umysłu.

— To bardzo poważny krok. Jesteś pewna? — spytałam.

— Planowałam to już od jakiegoś czasu. Chciałam pracować nad swoim ego i uwarunkowaniami, chciałam się poczuć naprawdę wolna. Ale zawsze miałam wątpliwości: co zostawię za sobą? A potem przeczytałam Osho, który powiedział, że nawet jak się ma 49 procent wątpliwości, to trzeba się zdecydować, bo inaczej odmawia się prawa głosu swojej

większości, pozostałym 51 procentom. Poza tym, naprawdę chciałam pokazać swoje całkowite oddanie Osho, a to można zrobić tylko, przyjmując *sannjas*.

— Sargama jest już gotowa — powiedział Riszi, obejmując ją ramieniem i przyciskając mocno do siebie. — Zakochaliśmy się w sobie i w Osho. Osho mówi: „Moi *sannjasini* są czystą miłością i ja jestem czystą miłością. To romans”. — Jego oczy zwilgotniały.

Saragma też była bliska łez.

— Nie mogę się doczekać, kiedy zostawię za sobą zwykłą Dianę z Massachusetts, z jej lękami i obawami, że nie jest wystarczająco dobra. Dzisiaj się z nimi pożegnaj.

Ścisnęli się za ręce i poszli do audytorium.

Ceremonia była dużo bardziej kameralna, niż sobie wyobrażałam — nie wiem dlaczego, ale spodziewałam się, że będą zanurzani w otaczającą audytorium czarną, nieruchomą wodę, z której wyłonią się, kaszląc i krzycząc: „Alleluja!”. I coś mi mówiło, że trzeba się będzie przytulać.

Jak zwykle grała orkiestra, machaliśmy rękami, a następnie przemówił Osho — bezcielesny głos obwieścił w słynnych już przerywanych zdaniach, że „*sannjas* [przerwa] oznacza [przerwa] wolność”. Tłum otoczył kołem piątkę patentów. Osho wygłosił jeszcze kilka bezcielesnych słów, znów zagrała muzyka i wszyscy stanęli w kolejce, żeby uściskać nowych *sannjasinów* i podarować im girlandy kwiatów. Zaczęło się przytulanie. Ten kawałek miałam opanowany.

Następnego dnia zerwałam się z łóżka wcześniej, żeby zdążyć na szóstą rano do audytorium na Dynamiczną Medytację. Jeszcze w pokoju za zamkniętymi drzwiami Woda Mineralna przeprowadził z nami próbę. Nie chciał, żebyśmy popełnili jakieś błędy, kiedy będziemy robić to naprawdę z resztą Umi-

łowanych. Była to jedna z ulubionych technik kataraktycznej medytacji Osho — idealna dla opornych zachodnich umysłów. Przez pierwsze dziesięć minut oddychaliśmy chaotycznie, a przez następnych dziesięć wybuchaliśmy — piszczeliśmy, krzyczeliśmy, trzęśliśmy się i generalnie rzucaliśmy się dookoła. Bałam się, że wpadnę na kogoś z Umiłowanych, więc musiałam złamać zasady i od czasu do czasu podglądałam. Trzeci etap był najgorszy — dziesięć minut okrzyków „huuu, huuu, huuu” i podskoków w jednym miejscu, przy czym trzeba było pamiętać, że stopy mają być płasko na podłodze. Mięśnie łydek odmówiły mi posłuszeństwa, nie mogłam złapać tchu. Byłam wykończona. Przez następne piętnaście minut musieliśmy stać bez ruchu, „obserwując uważnie to, co się dzieje”. I na koniec piętnaście minut tańca — ten kawałek był akurat przyjemny. Do reszty wolałam się nie przyzwyczajać.

Prosto z Dynamicznej Medytacji poszłam na Milczącą Sesję *Samadhi*. Chyba wydawało mi się, że siedzenie przez godzinę w milczeniu przed sanktuarium Osho będzie ukojeniem. Miejsce rzeczywiście było piękne. Budynek Laozi otaczały skalne ogródki oraz rolls-royce'y w kolorze szampana. Osho miał ich 93, najwięcej na świecie. Chciał mieć jeden samochód na każdy dzień roku, ale niestety, „opuścił ciało”, zanim zrealizował swój cel. To, co miał, musiało mu wystarczyć — codziennie przez godzinę jeździł po prywatnej drodze, którą wybudowali mu jego *sannjasini*. Jak wyznał w swojej *Autobiografii duchowo niepoprawnego mistyka\**, rolls-roycey są najlepszym środkiem transportu dla medytacji i rozwoju duchowego.

Nie używał ich jednak tylko do medytacji. Mówił, że pierwszą sztukę kupił ze względów praktycznych — chciał przekonać banki, że wspólnota jest wiarygodnym kredytobiorcą. Strategia się sprawdziła. Następnego dnia wszystkie

\* *Autobiography of a Spiritually Incorrect Mystic* — polskie wydanie: Osho, *Autobiografia*, wyd. Kos, Katowice 2006.



banki w mieście przysłały swoje oferty, i to na najlepszych warunkach. Samochód stanowił też znakomite narzędzie PR-owe — w „The Times of India”, gazecie, która wcześniej nie napisała o Osho ani słowa, ukazał się duży artykuł. Prawdopodobnie rolls-royce przyczynił się też do pozyskania nowych *sannjasinów* — ludzie, którzy przychodzili obejrzyć auto, zostawali potem na *darían*.

Nałożyłam białe skarpetki, które dostałam od jednego z Umiłowanych, żebym bosymi stopami nie uszkodziła marmurowej podłogi, przeszłam przez znakomicie zaopatrzoną bibliotekę, minęłam importowane, staromodne krzesło dentystyczne (osobisty dentysta i lekarz Osho byli na dyżurze przez 24 godziny na dobę) i znalazłam się w sanktuarium *samadhi*. Pokój był oślepiająco jasny, miał okna od podłogi do sufitu, ogromny żyrandol oraz dziesiątki metrów kwadratowych jasnoszarego marmuru. Usadowiłam się na poduszce naprzeciwko sanktuarium, pod którym spoczywały prochy. Czułam jego obecność; jego oczy patrzyły wprost na mnie z portretu zawieszzonego nad świętym miejscem. Wokół panowała cisza i poczułam coś w rodzaju ulgi — być może jednak ulga wynikała z faktu, że nikt nie kazał nam krzyczeć „hu, hu, hu” i podskakiwać na płaskich stopach. Ale to nie trwało długo. Pojawiły się myśli o bananach i owsiance, czyli *ćitta writti*. Po skakaniu nabrałam apetytu i zaczęło mi burczeć w brzuchu. Głośno. Spod drzwi podszedł do mnie Umiłowany strażnik i poklepał mnie po ramieniu. Uznałam, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeżeli sama wyjdę, zanim mnie wyprowadzą.

Zjadłam porządne śniadanie z Belgiem Michaelem. Tłumaczyłam mu, że myśli o owsiance i bananach wygrały bitwę o władzę nad moim umysłem.

— Dlaczego bitwę? — zapytał. — Jeżeli będziesz próbować kontrolować umysł, on zawsze wygra; umocnisz go tylko w jego postanowieniu. Musisz puścić go wolno i jedynie obserwować.

— Udaje ci się Dynamiczna Medytacja? — Byłam tego bardzo ciekawa.

— Tak, chodzę na nią codziennie, kiedy tu jestem. A w domu wstaję o wpół do piątej, czasem o piątej, wypijam trochę gorącej wody i zaczynam medytację. A przed pójściem spać robię sobie przegląd całego dnia, tylko obserwując. Potem znów medytuję, żeby uspokoić umysł przed snem. Powtarzasz codziennie mantrę OM?

— Jakoś nie mam szczęścia do mantr.

— Pozwól, że ci pokażę, Lucy. Może ci się przydać. — Michael odsunął krzesło od stołu i zaczął oddychać wolno i głęboko. A potem z najgłębszego jądra *hory* wydobył głębokie „aaaaauuuu”, które unosiło się wraz z jego dłońmi i zakończyło przy trzecim oku na dźwięku „uummmmm”. Przyłożył dłonie do czoła i skłonił się. Nastąpiła mała przerwa. Z pewnością zasłużył na oklaski.

— Fantastyczne — powiedziała z uznaniem. Szczerze mówiąc, te rozmowy wymagały ode mnie pewnego wysiłku, ale postanowiłam dać szansę temu miejscu i tym ludziom. Wiedziałam, że długo nie wybiorę się w podobną podróż — jeżeli w ogóle — więc wolałam niczego z góry nie odrzucać. Czasem najbardziej wartościowe rzeczy znajduje się w najmniej oczekiwanych miejscach.

— Wiesz co — powiedział Michael — jeżeli potrzeba ci trochę ćwiczeń — zastanawiałam się, dokąd zmierza — to spróbuj tai-chi. Mają tu znakomitego mistrza.

Spróbowałam następnego dnia. Wiedziałam, że moje mięśnie łydek nie przeżyją kolejnej Dynamicznej Medytacji, więc pomyślałam, że łagodne ruchy tai-chi będą dobrym początkiem dnia. W Gaju Budcły panował poranny chłód, wszyscy mieli na sobie co najmniej trzy warstwy ubrań, z wyjątkiem mistrza — łysego mężczyzny w czarnej szacie. Pokazywał nam kolejne ruchy. Tworzyliśmy dłońmi piłkę, przenosiliśmy ją z prawej strony na lewą oraz w górę i w dół. Już

zaczęłam płynąć z wodami zen, kiedy z silnym amerykańskim akcentem kazał nam „wyprostować plecy, napiąć pośladki, używać mięśni brzucha”. Czar prysnął.

Tego dnia próbowałam jeszcze paru innych medytacji, ale przekonałam się, że ani *wipaśana* — 45 minut siedzenia i śledzenia oddechu oraz 15 minut *powolnego* chodzenia — ani medytacja *nadabrahma* — pół godziny mruczenia, a po tym okrężne ruchy ramion — nie bardzo mi pasują. Byłam coraz bardziej zmęczona i potrzebowałam odrobiny odpoczynku. Z radością zauważyłam, że wieczorem jest dyskoteka.

Muzyka była niezła, tańczyłam na podwyższeniu otaczającym parkiet, głównie dlatego, że miałam stąd dobry widok na innych Umiłowanych. Kiedy zobaczyłam Cudownego Georgea, musiałam spojrzeć drugi raz, a dopiero potem zeskoczyłam z podwyższenia, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Rzeczywiście był podobny do swojego imiennika Georgea Clooneya — miał jednak silny włoski akcent, przez który ledwo zrozumiałam, co do mnie powiedział:

— Trzeba było tam zostać, dobrze tańczysz.

Powinam była na tym poprzestać, w końcu powiedział, żebym wróciła na podwyższenie, skąd nie dało się rozmawiać. Ale nie, musiałam brnąć dalej. Okazało się, że Cudowny George od sześciu lat podróżuje po świecie. Z Indii miał już wracać do siebie do Rzymu.

— Czym się zajmujesz we Włoszech? — zapytałam.

— Restauracja biznes.

— Masz restaurację? Cudowny George pokręcił głową.

— Jesteś szefem kuchni? Cudowny George pokręcił głową.

— Jestem kelner.

Przedstawiłam pobieżnie zarys funkcjonowania londyńskiej gastronomii, wyjaśniłam, jak długo podróżuję po Indiach i gdzie już zdążyłam być. Cudowny George uśmiechał się,

kiwał głową i wyraźnie nie rozumiał ani słowa. Nie pozostało nam nic innego, jak tańczyć, co też robiliśmy przez kolejne trzy godziny. Nie mogę powiedzieć, że była to do końca udana sesja medytacji w tańcu — zbyt pochłaniały mnie myśli o Cudownym George'u zaplątanym w moje hotelowe prześcieradła i zrzucającym obfitość poduszek na podłogę. W końcu jednak wydawało się, że zbliżamy się w kierunku medytacji, dzięki której Osho zyskał swój przydomek „guru od seksu”. Wyobraźcie więc sobie moje rozczarowanie, kiedy po trzech godzinach rzucania mną po parkiecie Cudowny George nagle się zatrzymał. Powiedział, że musi skończyć jeszcze kilka kursów, zanim będzie gotowy. A wydawało się, że skończył ich wystarczająco dużo.

— Chodzić na kurs dziewięć miesięcy. Bardzo się starać, ale długo się oczyszczać. Nie wchodzić w żaden związek.

A kto mówił o związku? Objął mnie czule i pomachał na do widzenia. Niemal w tej samej chwili objął mnie owłosiony, tęgi *sannjasin*, który wykorzystał moje wciąż otwarte ramiona i wemknął się na szybki numer.

— Mmmm, cudownie — mruknął, przyciskając się do mojego rozgrzanego, spoconego ciała. Jakby powiedziała Cartier: „Bleee”.

Następnego dnia poszłam na obiad do Zorba the Buddha. Nazwa tej drogiej, wytwornej restauracji była wyobrażeniem Osho o ideale człowieka — kimś, kto cieszy się „całością istnienia” i czuje się dobrze w świecie zarówno duchowym, jak i materialnym. Siedziałam sama, obok gigantycznych doniczek, zastanawiając się, co zrobić z resztą popołudnia. Mogłam wybrać film z Osho, czytanie poezji sufickiej albo którąś z rozlicznych medytacji. Nic do mnie nie przemawiało.

Obok mnie miejsca zajęła jakaś para i zgodnie ze sta-

rym zwyczajem Umiłowanych zaczęła rozmawiać o swoich uczuciowych problemach. Sobowtór Billa Boba Thorntona, w czapeczce bejsbolowej odwróconej tył na przód, gapił się bezmyślnie w swoje crêpe z gruszką i gorgonzolą oraz sałatkę z grillowanych warzyw i pytał swoją towarzyszkę, dlaczego kobiety, które on kocha, nie kochają jego.

— Chcieć z tym skończyć i kochać, ale nie móc. Ciągłe to samo. Ja tu być tu siedem miesiące, dużo kursy, ale nic nie lepiej.

O mało się nie rozplakał. Piękna towarzyszka uśmiechnęła się współczująco i wzięła go za rękę. Ciepło jej dotyku musiało wyzwolić w nim całe pokłady smutku, bo rozległ się ciężki szloch.

Wszyscy tutaj nieustannie zastanawiali się, jak żyć — wszystko było strasznie skomplikowane, ludzie traktowali się ze śmiertelną powagą. Poczulałam nagle, że muszę się stąd wydostać. Szybko skończyłam swoją pralinę z figami i wyszłam na drogę do Sunderban, hotelu z lat 30. z rozległymi schodami i miękkimi, zielonymi trawnikami.

Mieścił się tu Barista Coffee House, kawiarnia należąca do prężnie rozwijającej się sieci. Podawano tu wszystkie chyba rodzaje kawy, babeczki i ciasto czekoladowe, znane dobrze klientom Starbucksa. Nic indyjskiego w karcie. Zamówiłam cappuccino i siedziałam, patrząc na pozostałych miłośników kawy. Ciekawe odwrócenie ról. Było tu zaledwie kilku Umiłowanych — rozmawiali ze sobą cicho i z przejęciem, zadzierając nosa z powodu czerwono-brązowych szat. Dwudziestoparoletni Hindusi w obcisłych dżinsach i jeszcze bardziej obcisłych T-shirtach palili jednego papierosa za drugim, trajkotali do swoich znajomych albo na cały głos rozmawiali przez super-high-tech telefony komórkowe, ku zgorszeniu brązowych mundurków. Rozbawiła mnie ironia tej sytuacji, ale mimo to poczułam smutek, że różnice kulturowe gdzieś się ulotniły.

Kiedy siedziałam na trawniku w cieniu drzewa, podszedł

do mnie Miguel, który właśnie miał za sobą pierwszy dzień kursu Energii Tantry. Ucieszyłam się na jego widok. Wprawdzie nie udało nam się „nawiązać kontaktu”, jak mówiono na warsztacie Osho poświęconym związkom, ale Miguel ładnie się prezentował na trawniku w upalny dzień. Co więcej, przyprowadził ze sobą kolegę z kręconymi włosami o imieniu Zack — mieszkańca Byron Bay w Australii. Zack zajmował się uzdrawianiem zmywarek za pomocą astrologii, kryształów i energii tantrycznej. Był na warsztacie tantry w Mullumbimby, niedaleko Byron, i efekty bardzo go zadowolily — zmywarki wyglądały na zachwycone. Miguel musiał już iść na spotkanie z Adrianą, dziewczyną z Ameryki Południowej, którą poznał na kursie, więc zostawił Zacka, żeby wprowadził mnie w tajniki tantry. Nie miałam nic przeciwko temu. Skoro działało na zmywarki...

— Dobra, Lucy, wciągniemy teraz twoją energię seksualną wzdłuż kręgosłupa, podniesiemy *kundalini*, otworzymy czakry i włączymy się w szczęśliwość tantry. Gotowa?

Skinęłam głową.

— Usiądź naprzeciwko mnie i podaj mi ręce. Zamknij oczy, oddychaj głęboko i przebudź swoją *kundalini Sakti*. Poczuj, jak ciepło przesuwa się w górę kręgosłupa i otwiera wszystkie *czakry* po kolei. Przepływa przez *muladhare*, skąd wywodzi się popęd seksualny. Wiesz, że każde pragnienie seksualne we wszechświecie jest kosmiczną sztuką?

Potrząsnęłam głową.

— Twoje ciało robi się coraz lżejsze, w miarę jak energia przesuwa się w ciemny błękit *swadhisthany*. Oddychaj. Wyobraź sobie czakrę *manipura* oblaną elementarnym żywiołem czerwieni. Czujesz, jak ciepło krąży w twoim ciele?

Uśmiechnęłam się uprzejmie.

— A teraz otwórz swoje serce przed cynobrowym lotosem w czakrze *anahata*. Dalej przenosimy się do szesnastopłatkowej czakry *wiśuddha*, siedziby twojej duszy, *dźiwy*. Wyobraź

sobie, jak rozlewa się tam kolor turkusowy i napełnia to miejsce uzdrawiającą energią. Nadążasz? Znów kiwnęłam głową.

— A teraz ta cała życiowa energia płynie w kierunku trzeciego oka. Widzisz białosrebrne światło czakry *adźña*? Stąd mamy już prosto do *iśwary*, Boskości, wewnętrznego guru, który mieszka w sercu każdego z nas, najlepszej naszej części. Teraz przesuwamy pożądanie do czakry *sahasrara*. Poczuj, jak otwiera się tysiąc płatków czakry korony, połącz się z kosmiczną szczęśliwością, poczuj, jak *otacza* cię miłość wszechświata. Czujesz energię pulsującą w twoim ciele?

Nie pozostało mi nic innego, jak udawać. Oddychałam głęboko, jak w wirze namiętności. Wyobraziłam sobie, że Cudowny George trzyma mnie w ramionach.

— Tak, tak, tak — krzyknęłam. Otworzyłam oczy. Nie za słabo?

Nie. Zack wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

— Skarbie — powiedział marzycielsko, widocznie upajając się moim widokiem. — Wyglądasz niesamowicie. Twoja *ojas Sakti* promieniuje z ciebie każdym porem. Otacza cię niezwykły blask, błyszczą ci oczy, masz zaróżowione policzki.

— Moja *ojas Sakti*?

— Tak — powiedział Zack, zarzucając mi z radości ramiona na szyję.

— Pomyśl tylko, wszystkie hormony, cała seksualna energia krążąca w twoim ciele zamieniła się w czysty duch.

Uśmiechnęłam się znowu i grzecznie mu podziękowałam.

Zapalił papierosa i położył się pod drzewem. Wkrótce zasnął. Zaraz potem zaczął chrapać.

Było coraz gorzej. Faceci, którzy każą mi słuchać skały. Faceci, którzy nie mają ochoty na seks. Faceci w bejsbolowych czapczkach, którzy płaczą przy stole. Faceci, przed którymi muszę udawać i tak udawany orgazm. W kiepskim humorze i bez kontaktu z blaskiem mojej *ojas Sakti* zostawiłam śpiącego

Zacka i poszłam w kierunku ośrodka. Zapadał zmierzch. Na każdym kroku można było zobaczyć spokój i doskonałość — piękna para siedziała na ławeczce, wpatrując się w nieskończone czarne baseny otaczające audytorium Osho, obcy ludzie przytulali się do siebie na marmurowych chodnikach, w przerwach między warsztatami terapeutycznymi grupki ludzi siedziały na trawie z uśmiechem w zmęczonych łzami oczach, cały tłum leżał na poduszkach i patrzył na młodą tancerkę, która ruszała brzuchem i dzwoneczkami na kostkach w rytm *bania* — muzyki hinduskich mistyków z Bengalu.

Usiadłam na ławce z widokiem na Gaj Buddy. Obok mnie usiadła Hinduska w średnim wieku z policzkami jak u chomika. Uśmiechnęłyśmy się do siebie i powiedziałyśmy sobie cześć. Byłam zadowolona z obecności kogoś z Indii. Taki widok to rzadkość w ośrodku. Zauważyłam, że na przegubie lewej ręki miała tatuaż Osho, więc zapytałam, jak go sobie zrobiła.

Ma Prem Satya przez większą część swojego dorosłego życia mieszkała we wspólnotach Osho, gdzie wychowała dwoje dzieci. W 1972 roku, kiedy Osho był jeszcze znany jako Sri Bhagwan Rajneesh, pojechała na jeden z jego pierwszych obozów medytacyjnych. Wspominała go jako prostego, ale bardzo charyzmatycznego człowieka — pojawiał się na polach w zwykłej, białej szacie i czarnych kapciach, gdzie godzinami przemawiał do zgromadzonych Hindusów. Po paru latach zamieszkała w jego pierwszej komunie w Pune.

— To były piękne czasy — mówiła. — Całymi dniami tańczyłam i medytowałam. Moje dzieci miały kilkuset rodziców. Nie musieliśmy się o nic martwić.

Wielką zmianę zauważyła po powrocie Osho z USA, gdzie spędził pięć lat, zakładając komunę w Oregonie. Został stamtąd deportowany za rzekome złamanie przepisów imigracyjnych. Wrócił do Pune w 1987 jako guru w okularach od Gucciego.

Za jego życia wszystko było jedną wielką zabawą



— wyznała Satya. — Osho uwielbiał żarty. Ile my się śmialiśmy z tych roleksów i rolls-royce'ów. Przyciągały uwagę prasy i Osho właśnie o to chodziło. Kiedy kupił kilka pierwszych rolls-royce'ów, cały świat zaczął go zauważać. Zawsze szedł za nim jakiś dziennikarz, przeprowadzali z nim wywiady, filmowali nas. Bawiło nas to zainteresowanie i to, w jaki sposób Osho żartował sobie z poważnych dziennikarzy.

— To dlaczego stąd odeszłaś? — spytałam.

— Kiedy Osho opuścił swoje ciało, kontrolę przejęli młodzi ludzie żądni seksu i pieniędzy. Nie mogłam tego znieść, chociaż serce mi pękało, gdy wyjeżdżałam. — Satya wyglądała na nieszczęśliwą.

Żałowałam, że nie mogłam być na tamtym polu i słuchać, co mówi Osho w czarnych klapkach. Bo chyba nie chodziło mu o udawanie orgazmu przed Australijczykiem, który wyczyniał cuda ze zmywkami. Zdałam sobie sprawę, że tym, co mnie wyklucza z kasztanowego Buddhafield, jestem ja sama. Miałam już dość tego spa osobistego rozwoju dla bogatych Europejczyków, tryskającego newagebwym żargonem. Nieustanne terapie jakoś nie działały. Zwolennicy Osho byli lepiej ubrani i lepiej odżywieni niż wielbicieli Ammy, ale też żyli w stanie ciągłego niezaspokojenia. Nie potrzebowałam ich uścisków ani figowych pralinek. Nie chciałam snuć się po marmurowych chodnikach o kontrolowanej temperaturze. Chciałam wrócić do indyjskiego bałaganu. Byłam tu zaledwie tydzień, a wydawało mi się, że całe życie.

Następnego dnia pojechałam rano riksą do Pune. Dość szybko zostawiliśmy za sobą chłodne przedmieścia i wypielegnowane ogrody Koregaon Park\*. Wciągnęłam mocno powietrze. Ach,

\* Koregaon Park — dzielnica Pune.

słodki zapach spalin, chaos indyjskiego miasta, bezlitosny upał. Prawdę mówiąc, miasto wyglądało na bardzo kosmopolityczne — kawiarnie Barista niemal na każdej ulicy, trzy oddziały HSBC, mnóstwo młodych ludzi w nowiutkich samochodach, ale niewątpliwie były to Indie. Wokół nas płynęły strumienie samochodów, śmieci i krów, klaksony trąbiły bez przerwy. Wlekliśmy się w korku i kierowca dręczył mnie, byśmy zajrzeli do „bardzo dobry sklep” za „połowa cena”. Uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Byłam bardzo szczęśliwa.

Wysiadłam przy Ramamani Iyengar Memoriał Yoga Institute, otwartym w 1975 roku i nazwanym tak na cześć ukochanej żony Iyengara. Budynek, podobnie jak ciało Iyengara, był świątynią jogi. Swoją konstrukcją w kształcie półkolistej piramidy nawiązywał do ośmiorakiej ścieżki jogi Patańdzalego: miał 88 stopni, a osiem promieni padało na osiem zewnętrznych kolumn. Stały przed nim dwie figury Patańdzalego; wewnątrz jedyną władzą był srogo patrzący Iyengar. Jego poorana bruzdami twarz — krzaczaste brwi, kwadratowe szczęki i zaciśnięte usta — wyłaniała się z ogromnego olejnego malowidła i dominowała nad wejściowym holem. Błysk w jego oczach był tak samo ostry jak światło odbijające się w licznych medalach wyłożonych wokół sali.

Dobrze było znaleźć się znów na znajomym terenie. W recepcji znajdowali się jedynie uczniowie czekający na przybycie Pandu Rao, sekretarza Instytutu. Żadnych kasztanowych szat, żadnego przytulania, żadnych cudownych ludzi. Jedynie poważne miny, mocne ciała, silne nogi w staromodnych białych szortach z zaszewkami i mankietami. W szklanych szafkach leżały pamiątki z życia całkowicie poświęconego jodze.

Iyengar zajął się jogą w 1934 roku w wieku szesnastu lat, jako uczeń swojego szwagra, Sri Tirumalai Krishnamacharyi, który był także nauczycielem królewskiej rodziny w Mysore. W dzieciństwie Iyengar cierpiał z powodu niedożywienia, chorował na malarię, tyfus i gruźlicę, więc Krishnamacharya

nauczył go podstawowej praktyki asan ze względów zdrowotnych. W 1937 roku wysłał go do Pune, gdzie Iyengar musiał nie tylko radzić sobie z brakiem pieniędzy, ale też podjął niewiarygodny wysiłek fizyczny, dzięki czemu stał się, jak napisano w broszurce, „legendą swoich czasów”: jego uczniem był Yehudi Menuhin, belgijska Królowa Matka, indyjska drużyna krykieta, policja (prowadził specjalne zajęcia dla komandosów) oraz zwykli mieszkańcy Pune.

Pandu wreszcie się pojawił i zajął swoje miejsce przy biurku obok wejścia. Wyglądał na bardzo surowego. Spytałam, czy mogę zapisać się na jakieś zajęcia. Odpowiedzią było stanowcze nie. Kursy były niewiarygodnie obleżone — studenci z zagranicy musieli się zgłaszać trzy lata naprzód i trenować wcześniej u wykwalifikowanych nauczycieli Iyengara. Nie spełniałam ani jednego, ani drugiego warunku. Pandu był uprzejmy, ale widziałam, że nie da się nic wynegocjować. Zgodził się jednak pokazać mi jedną z sal na parterze.

Wyglądała jak z lat 50. — duża, jasno oświetlona przestrzeń, tłum ludzi w białych szortach i pomoce, z których Iyengar był już znany. W latach 40. używał prawdziwych cegieł i metalowych wałków, żeby ułatwić sobie opanowanie najtrudniejszych asan. Obecnie wszystkie te pasy, liny i kostki produkowano specjalnie w tym celu.

W nagłym przyplwywie łaskawości Pandu pozwolił mi pójść do biblioteki. Była to bardzo przyjemna sala, choć nieco zatłoczona i wypełniona tysiącami książek. Wizyta tutaj, mimo świetnego księgozbioru, nie wzbudziłaby mojej ekscytacji, gdyby nie obecność samego Iyengara. Pandu pozwolił mi do niego podejść, ale zapowiedział stanowczo:

— Nie wolno ci z nim rozmawiać.

Chętnie się zgodziłam. Nie miałam pojęcia, o czym mogłabym rozmawiać z żywą legendą jogi.

Iyengar wyglądał na grubszego i starszego niż na olejnym portrecie, ale nie był taki srogi. Miał te same krzacza-

ste brwi, pomarszczoną twarz i rzadkie włosy do ramion, ale jego oczy błyszczały światłem kogoś, kto przez całe życie robi to, co kocha; często się uśmiechał albo wybuchał śmiechem. Rozmawiał z jakimś mężczyzną o mającej się ukazać książce o jodze, podpisując jednocześnie certyfikaty o ukończeniu kursu. Z niezwykłą cierpliwością znosił trajkotanie mężczyzny. Uśmiechał się, kiwał głową, wtrącał jakieś uwagi z entuzjazmem dwudziestolatka. Miał 85 lat i nie widać było po nim śladu chorób, na które cierpiał w dzieciństwie. Przeglądałam półki, zdejmowałam z nich książki pisane w sanskrycie i hindi, rzucając ukradkowe spojrzenia na tego wielkiego człowieka, a bibliotekarz obserwował mnie niczym jastrząb. Zająłam miejsce obok innych studentów przy długim stole, udawaliśmy pogrążonych w lekturze, ale tak naprawdę patrzyliśmy na niego. Jego obecność działała na wszystkich uspokajająco. Moje *ćitta writti* zaczęły się uciszać, a jedynym powodem zawirowań w umyśle była niesamowita ilość biżuterii u mistrza. Biała *kurta padżama* stanowiła doskonale tło dla medalionu, bransoletki i kilku pierścionków ze złota.

Wychodząc, uśmiechnęłam się nieśmiało do Żywej Legendy. W odpowiedzi otrzymałam ciepły uśmiech. Może kiedyś pozbędę się obaw przed tymi wszystkimi pasami i kostkami. Może po powrocie do Anglii znajdę sobie nauczyciela ze szkoły Iyengara i za trzy lata przyjadę do Pune. Może.

Zajrzałam jeszcze do Pandu, żeby mu podziękować. Przy wyjściu spotkałam Sue z Edynburga. Powiedziałam jej, że jestem bardzo rozczarowana, nie mogąc zapisać się na zajęcia w Instytucie. Sue dobrze mnie rozumiała i poradziła mi spróbować u któregoś z uczniów Iyengara. Wielu z nich osiadło z Ryszikeś — tam gdzie beatlesi i ciotka Grega odkryli Mahariszi Mahesz Jogi.

— Chyba najlepszy będzie Bramacharya Rudra Dev — powiedziała Sue. — Prowadzi tam ośrodek kursów jogi. Podobno preferuje dość wojskowy dryl, ale warto do niego zaj-

rzeń. A na początku lutego zaczyna się w aśramie Parmarth Niketan Międzynarodowy Festiwal Jogi. Nie wiem, ile masz czasu, ale tam mogłabyś znaleźć coś dla siebie.

Od razu poszłam do biura podróży i kupiłam sobie bilet na samolot do Delhi, skąd najszybciej mogłam dojechać do Ryszikeś położonego u stóp Himalajów. Wyjechałam następnego dnia, bez żalu zostawiając za sobą raj Osho. Z radością w sercu wracałam do indyjskich krów, brudu i hałasu.

„Rozciągnijcie górne powieki”

Obudziłam się bardzo podniecona. Wreszcie byłam w Ryszikeś — „światowej stolicy jogi”. W Delhi miałam wylądować rano, co dawało mi dość czasu, by pokonać 220-kilometrową drogę do Ryszikeś. Niestety, przez trzy dni nad miastem wisiała gęsta mgła i wszystkie loty były opóźnione. Wylądowałam późnym popołudniem, kiedy drogi były tak samo zakorkowane jak niebo. Mój ambassador włókł się wzdłuż slumsów pokrywających obrzeża miasta. Patrzyłam na dzieciaki rozgrzebujące śmietniki i na małych chłopców grających w krykieta drewnianymi listewkami, obok nas wlekły się błyszczące hondy należące do przedstawicieli 300-milionowej indyjskiej klasy średniej.

Im dalej na północ, tym częściej towarzyszyły nam jaskrawo wymalowane ciężarówki, przewożące buraki cukrowe,

bańki na mleko, woły i robotników rolnych. Zapadł zmierzch i podróż, do tej pory powolna, stała się przerażająca, gdyż Eka-vir, mój kierowca, postanowił nadrobić stracony czas i zaczął jechać jak wariat. Tego dnia trzy razy miałam wrażenie, że ocieram się o śmierć — ostatnim razem byliśmy wciśnięci pomiędzy krowę a przyczepę z burakami, co o mały włos nie skończyło się tragicznie. Kiedy po ośmiu godzinach dotarliśmy wreszcie do Ryszikeś, był już środek nocy. Uznałam, że jest zbyt późno i zbyt ciemno, żeby przechodzić z walizką przez most na Gangesie, prowadzący do aśramy Parmarth Niketan, która przez najbliższe trzy tygodnie miała być moim domem. Za radą Ekavira wylądowałam w Great Ganga (Hindusi mówią na swoją wielką rzekę Ganga), dużym, nowym hotelu naprzeciwko Parmarth Niketan. Miałam tam przenocować i następnego dnia przenieść się do aśramy.

Kiedy rano wyszłam na balkon, różowa wieża Parmarth była ledwo widoczna we mgle unoszącej się znad szerokich, wolno płynących szarych wód Gangesu. Zadrżałam w chłodnym, wilgotnym powietrzu. Do najbliższej palmy miałam jakieś dwa tysiące kilometrów. Dużo bliżej wyłaniały się z mgły himalajskie pasma Garwhal oraz Char Dham, cztery sanktuaria pielgrzymów, skąd biorą swój początek cztery święte rzeki. Na balkonie pojawiły się trzy szare małpy z czarnymi, lśniącymi pyskami. Usiadły na barierce i unosząc w górę brwi i naśladując ciemnymi dłońmi moje ruchy, patrzyły, jak jem śniadanie.

Jeszcze więcej małp przyglądało mi się, kiedy szłam przez 225-metrowy wiszący most Ram Jhula do Swargashram\*, gdzie mieścił się Parmarth. Most był takim samym centrum handlowym jak dochodzące do niego uliczki. Chłopcy i dziewczynki o bystrym spojrzeniu i splątanych włosach sprzedawali

\* Swargashram (albo Swar Ashram) — niewielka osada położona 5 km od Ryszikeś, w której znajduje się wiele świątyń, aśram i świętych jaskiń.

nakręcane blaszane łódki, monety, orzechy i pokarm dla ryb. Małpy polowały na każdy nadający się do jedzenia towar. Śledziły mnie przez cały most, a potem zajęły miejsca obok żebraków powtarzających: *Hare OM* i potrząsających metalowymi puszkami.

Swargashram znaczy „święta siedziba”, ale gdy tylko wyszłam poza czyste powietrze unoszące nad Gangesem, uderzyła we mnie nie niebiańska zgoła mieszanka woni. Ostry, kwaśny smród małpiej sierści, wychudzonych psów, krowiego łajna, kóz, starych niepranych ubrań, starych niemytych ludzi, brudu i kurzu dominował nad zapachem prażonych orzechów, kukurydzy, *papadamów*, *czapati*, pierożków *samosa* i pączków.

Wydawało mi się, że w Ryszikeś, którego nazwa znaczyła „miasto mędrców”, będzie panować odwieczny spokój. Nic z tego. Najwięcej hałasu robiły konkurujące ze sobą sklepy z płytami —*Jay a, Jay a, Shiva Shambo, Ma Devi Shambo* w wykonaniu Namaste walczyło z *Patanjalim, Patanjalin, Patan-jalim* Patali, Ravi Shankarem, Krishna Das i Mystic India. Druga nagroda przypadła Myszce Minnie tańczącej na rozżarzonych węglach, której głos dochodził ze świątyni. Trzecie miejsce zajęły ubrane na biało Amerykanki tłoczące się wokół sklepików i domagające się „świętych pieśni Dewi i Siwy dla rodziny i znajomych” i zastanawiające się głośno, „jak się nazywa ten kawałek, który zaczyna się od OM”. Dopiero na ostatniej pozycji znaleźli się sklepikarze ze swoim nieustannym trajkotaniem: „Madam, bardzo dobra cena”, „ty obejrzyć”, „ty kupić”. Mieli u siebie cały zestaw towarów, które pozwalały nabywcy dojść na skróty do duchowego świata: rzeźbione wizerunki Kryszny i Siwy rywalizowały o portfel poszukiwacza duchowości z T-shirtami z OM oraz *malami* z drewna sandałowego, nasion i kryształków.

Po chodniku wałęsały się stada małp i bezpieczne krowy z wydętymi brzuchami wypełnionymi tekturą i plastikiem, mężczyźni sikali tuż obok wózków załadowanych kalafiorami



i marchewką, ślepe, zgięte w pół kobiety w białych wdowich szatach i z cierpieniem wypisanym na twarzach wyciągały błagalnie dłonie, a wśród tego wszystkiego przewijała się jakaś część z setek obecnych w Ryzikeś siwowłosych *sadhu* w pomarańczowych szatach. Jedni wyglądali czysto i świeżo, inni tak, jakby nie kąpali się od ostatniego spotkania z Georgem Harrisonem i Ringo Starrem w 1968. Ich szafranowe ubranka stanowiły dla mnie znajomy widok, ale mimo to nie utracili nic ze swojej egzotyki. Stanowili dowód na to, że potrzeba pustelniczego życia była w Indiach wciąż bardzo silna. Ci ludzie podróżowali do Char Dam autobusami, często mieli skrzynkę e-mailową, a nawet konto w banku, ale próbowali wcielić w życie stare ideały, o których mówił Mdlejący Swami — praktykowali *bramaćarję*, *tapas* i *santoszę*, mieli ze sobą jedynie *kamandalu*, czyli żebraczą miskę, i kij. Stanowili inspirujący, ale i trochę przerażający widok.

Szłam wolno wśród tego zgiełku, kiedy zaczęło padać. Ale nic nie zdołało ugasić ducha Parmarth Niketan. Oto stał przede mną, przywołując wspomnienia Happy Mount Park w Morecambe Bay, gdzie w dzieciństwie spędzałam wakacje: gipsowe króliczki metrowej wielkości dzierżyły niebieskie kosze na śmieci; wzdłuż chodników wykładanych nieregularnymi, różowymi płytkami stały jaskrawozielone ławki; całe rodziny chroniły się przed deszczem pod parasolami. Jedyna różnica polegała na tym, że tutaj posągi przedstawiały „boską miłość Mirabai i Kryszny”, a w Happy Mount Park różnokolorowy gips przyjmował postać zamków i wiatraków.

Podążyłam śladem biało ubranych Amerykanek, które kupowały płyty w sklepiku, i znalazłam się w biurze aśramy.

— Dzień dobry, mam na imię Lucy. Przyjechałam na festiwal jogi. Dzwoniłam, żeby zarezerwować pokój, ale nie udało mi się dotrzeć wczoraj. Przepraszam.

— *Hare OM*— odezwał się cichym głosem mężczyzna z recepcji.  
—Ja też przepraszam. Zrobić się pomyłka.

— Przecież przysłałam mail z potwierdzeniem rezerwacji. —  
Zaczęłam szukać w torbie wydruku.

— Tak, pokój jest, ale joga festiwal mamy w marzec, a nie luty.

— Co? — powstrzymałam się od krzyku. Chyba.

— Madam, niech usiądzie. Usiadłam.

— Idą kłopoty — powiedział, patrząc na moją twarz.

Nie mogłam uwierzyć. Przyjechałam ponad tysiąc kilometrów na festiwal, a tymczasem festiwal miał się odbyć nie wcześniej niż za sześć tygodni. Nie mogłam czekać tak długo, musiałam być ósmego lutego w Madrasie, bo wtedy zaczynał się kurs jogi Krishnamacharya Mandiram. Chyba powinnam się była upewnić, kiedy rezerwowałam pokój, ale wydawało mi się, że Sue z Edynburga wie, co mówi. Uczniowie Iyengara zawsze mieli w sobie taką pewność. Mężczyzna uprzejmie zaproponował mi wczesny obiad z nadzieją, że to rozchmurzy moją twarz. Jadłam palcami. Byłam tak wytrącona z równowagi, że nie zauważyłam, że siedząca obok mnie para Hindusów używa noża i widelca.

Poszłam zobaczyć pokój. Może i miał widok na dalekie góry, ale było w nim lodowato zimno, nie mówiąc o tym, że nigdy nie tknęła go ręka sprzątacza — w umywalce widziałam ohydne włosy. I kazali sobie za to płacić 30 dolarów za noc. Pokój w Gandze, z ogrzewaniem, ciepłą wodą, czystą łazienką, balkonem i wygodnym łóżkiem kosztowałby jedną trzecią tego, gdybym została co najmniej dwa tygodnie. Ale tutaj o targowaniu się nie było mowy.

— To najlepszy pokój. Tobie się nie podobać, to ty iść — powiedział mi inny mężczyzna przy recepcji, dłubiąc w nosie.

Więc poszłam. Tylko gdzie?

Od razu przyszła mi do głowy ciotka Grega i aśramy Mahariszi Mahesz Jogi. Zapytałam jedną z biało odzianych

Amerykanek, gdzie to jest. Powiedziała, że o jakiś kilometr stąd wzdłuż rzeki. Ruszyłam więc w drogę, w deszczu i bez kurtki. Było jasne, że to nie jest mój najlepszy dzień. Owszem, trafiłam na miejsce, ale brama aśramy była zarośnięta chwastami/Postanowiłam schronić się przed deszczem w jednej z setki dziwnych, okrągłych chatek pokrytych tynkiem z drobnymi kamyczkami. Niestety, wybrałam chatkę, która miała już swojego lokatora. Na szczęście Jo nie była zła, że przerywam jej Transcendentalną Medytację. Powiedziała, że można nauczyć się jej także w Anglii, ale wychodzi dość drogo.

— Każą sobie słono płacić, żebyś podeszła do tego poważnie — tłumaczyła. Dowiedziałam się później, że jest to jedna z najbogatszych organizacji religijnych na świecie\*.

Jo zaproponowała, że mnie oprowadzi po okolicy, a jej entuzjazm okazał się zaraźliwy. Na zmianę siadałyśmy na krzyżyku oznaczającym środek górnego pokoju w chatce numer 9, gdzie — jak mówiła Jo — na pewno medytował jeden z beatlesów. Dość szybko cofnęłyśmy się do roku 1968, wyobrażając sobie, jak zespół równoważy swoje energie w domkach w kształcie *jin-jang* w towarzystwie swoich ówczesnych lasek: Paul z Jane Asher, George z Pattie, Ringo z Maureen, a John z Cynthią. Chichotałyśmy na myśl, że szukali egzotycznych dróg do oświecenia, a budzili się w chatkach pokrytych ka-myczkowatym tynkiem.

Z niektórych domków wciąż roztaczały się wspaniałe widoki na Ganges, ale tylko to pozostało im z czasów dawnej świetności. Z chwastami wyrastającymi spomiędzy kamieni \* wyglądały niczym włochate orzechy kokosowe. Ogromna sala, w której odbywały się medytacje, była wręcz niebezpieczna — nie dlatego, że nieprzenikalne pola energii wyrzucały joginów

\* Chodzi o Maharishi Foundation Ltd., mającą prawa do znaku towarowego Transcendental Meditation.

w powietrze, ale dlatego, że na środku wałały się kupy potłuczonego szkła, a dach groził zawaleniem. Nawet dom Maharisziego był ruiną — po jego tronie pozostał jedynie kawałek drewna, służący obecnie jako stopień prowadzący na taras.

Deszcz przestał padać, więc przysiadłyśmy z Jo na chwilę, wdychając świeże powietrze i podziwiając wspaniały widok świątyni Hare Kryszna po drugiej stronie Gangesu. Jo powiedziała mi, że aśrama została zamknięta sześć lat temu, kiedy Maharishi ulotnił się do Holandii, mając dość rozrastającego się Ryszikeś i naruszania jego spokoju. (Później dotarły do mnie pogłoski, że Komisja Leśna nie przedłużyła mu dzierżawy z powodu oskarżeń o używanie narkotyków w aśramie). Tak czy inaczej, jedynymi stałymi gośćmi były tu teraz słonie — przechodziły o świcie przez aśramę, żeby napić się wody z rzeki.

Patrzyłam na to z wielkim smutkiem. Pojawiła się we mnie chęć, żeby popędzić do banku po pożyczkę i zrobić z tego elegancki, wytworny hotel. Już widziałam te reklamy: „Duchowe spa dla zmęczonych światem”. Niestety, wyglądało to zbyt podobnie do ośrodka Osho i zrobiło mi się niedobrze. Po chwili doszłam jednak do wniosku, że najlepiej jest tak jak teraz, nawet jeśli nie mogę tu przenocować. O ile oczywiście nie zamierzam zostać *sadhu* i spać pod gołym niebem. Na razie jednak nie byłam gotowa na takie rozwiązanie.

Musiałam poszukać sobie noclegu, więc pożegnałam się z Transcendentalną Jo i ruszyłam w powrotną drogę przez kołyszący się most Ram Jhula. Nie wiedziałam, gdzie się skierować, więc ucieszył mnie widok znajomej nazwy — Sivananda. Mdlejący Swami mówił mi, że aśramę Sivananda w Ryszikeś prowadzi Divine Life Society, niezwiązane z ośrodkami Yoga Vedanta założonymi przez Vishnu-devanandę. Jednak Vishnu-devananda mieszkał tu przez dziesięć lat od 1947 roku na polecenie swojego guru i założyciela aśramy, Swamiego Sivanandy. Chyba trochę liczyłam, że spotkam kolejnego Mdle-

jącego Swamiego, ale *swami* w pikowanej pomarańczowej kurtce, wełnianej czapce, rękawiczkach i z wystającą górną szczęką nie przypominał go ani wyglądem, ani zachowaniem. Uprzedził mnie, że przez najbliższy miesiąc nie będą się odbywać żadne zajęcia z jogi, a miejsce trzeba sobie zarezerwować z wyprzedzeniem, i to w formie pisemnej.

Czułam, że opadam z sił, ale słońce zaczęło przebijać się przez chmury, więc postanowiłam wybadać kilka innych możliwości, zanim poddam się zupełnie. Graham i Elizabeth, których poznałam podczas jogowych wakacji w Turcji, byli pod wrażeniem Swamiego Veda Bharati, ucznia Swamiego Ramy z Himalajów. Swami Veda Bharati był obecnie *Mahamandaleśwarem* — tytuł ten przynależał trzydziestu najlepszym *swamim* w Indiach. Organizacja Swamiego Ramy, Himalayan Tradition of Yoga and Méditation, prowadziła dwie aśramy w różnych częściach miasta. Skoro po swoim pobycie tutaj Graham i Elizabeth porzucili świetnie płatne posady (prawo i bankowość), żeby uczyć jogi i prowadzić ośrodek na Notting Hill, uznałam, że warto spróbować.

Swami Rama założył pierwszą aśramę, Sadhana Mandir, w 1969 roku. Inny *swami*, także w szafranowej pikowanej kurtce, udzielał tu *darśanów* w cichym, ukwieconym ogrodzie nad brzegiem Gangesu. Nie był to jednak Swami Veda, który do początku lutego przebywał w Kalifornii. Drobna, nieśmiała Hinduska pokazała mi pokój. Już prawie się zgodziłam, mimo że kosztował 20 dolarów za noc, ale zobaczyłam koniec szczerzego ogona znikający w dziurze w ścianie.

W siostrzanej aśramie, Swami Rama Sadhaka Grama, nie było wprawdzie szczerów, ale nie było też żadnego znanego nauczyciela. Wszystko wyglądało trochę jak wioska dla emerytów — 36 nowoczesnych bungalowów z cegły, schludnie utrzymane trawniki i dziwny, dość wiekowy gość, czytający coś w niepewnych promieniach słońca. Gdyby był tu Swami Veda, to zapłaciłabym nawet te 35 dolarów za noc, ale

tak chyba nie było warto, nie mówiąc o tym, że na obrzeżach miasta czułam się nieco odizolowana.

Wróciłam do Great Ganga z przekonaniem, że pojawiłam się w Ryszikeś o niewłaściwej porze roku. Lavenya, szefowa hotelowego spa z długimi włosami i spojrzeniem sfinksa, ulitowała się nade mną. Znała kogoś, kto mógłby mi udzielać prywatnych lekcji jogi.

— To świetny nauczyciel. Fantastyczny — mówiła. — Ja jestem *pitta* i trudno mi się uspokoić, ale on ma magnetyczne dłonie. Pisali o nim w „Elle” i „Marie Claire”. Staje się sławny, zwłaszcza w Londynie. I będzie sławny na całym świecie.

Godzinę później byłam już w magnetycznych rękach przystojnego Vinaya P. Menona. Okazało się, że Vinay jest mężem Lavenyi oraz nauczycielem jogi w szalenie eleganckim pięciogwiazdkowym spa Ananda, położonym na wzgórzach powyżej Ryszikeś. Lavenya pokazała mi odbitkę artykułu Zoe Williams w brytyjskim „Elle”, który opowiadał o jej poszukiwaniach spokoju ducha w ośrodku Ananda. Lavenya też tam pracowała i tam właśnie poznała Vinaya. Pokazała mi zdjęcie, na którym udzielała Zoe lekcji *Niramayayoga* — hinduskiego tańca połączonego z jogą (jej własny pomysł, opatrzony znakiem handlowym). Na drugim zdjęciu był Vinay w wykroch-maloney białej tunice, uczący Zoe asan w białym muzycznym pawilonie z ośmioma kolumnami i freskami w złote liście na suficie. Wokół ciągnęły się równo przystrzyżone trawniki.

Vinay uśmiechał się szeroko i z pasją traktował swoje zajęcia. Powoli pogłębialiśmy kolejne pozycje, a on popychał mnie łagodnie i zachęcał, bym dochodziła do granic swoich możliwości.

— Poczuj to głęboko. Jeszcze głębiej. W całym ciele.

— Pozwól na wszystko, co się dzieje w ciele.

— Oddychaj.

Był bardzo blisko mnie, na zmianę popychając mnie, naciskając, masując, głaszcząc moje mięśnie, aż w końcu osiągnę-

nęłam stan spokojnego oddania. Pod koniec godzinnej lekcji miałam wrażenie, że napięcie z całego dnia, oraz kilku poprzednich dni, zupełnie ze mnie zeszło. Postawił mi diagnozę:

— Jesteś *wata*. Dlatego nie możesz medytować. Masz ciągle rozbiegany umysł. Jesteś jak wiatr. Nie możesz tego zatrzymać. To nie twoja wina. Wolno ci medytować tylko po lekcji jogi — kiedy będziesz zmęczona, umysł się zatrzyma. Nie próbuj o innych porach, nie uda ci się. A teraz razem będziemy śpiewać OM. Połóż się, jesteś całkiem luźnia. Twoja stopa jest luźnia. Twoja broda jest luźnia.

Przeszliśmy przez całe ciało, aż wszystko było „luźnie”.

— Twój umysł jest spokojny, ciało jest spokojny. Jesteś Wieczna Jaźnią. Jesteś boska energia. Jesteś świadomość, absolutna szczęśliwość.

Po raz pierwszy od swojego przyjazdu do Indii poczułam, że to możliwe. Tego właśnie szukałam — kogoś, kto będzie mnie instynktownie rozumiał, kogoś, kto nie będzie mi narzucał swojego systemu ani wyobrażenia o doskonałości, kto zechce pracować z tym, co we mnie znajdzie, będzie we mnie wierzył i być może ułatwi mi zdzieranie kolejnych warstw z tej cebuli, pomoże mi znaleźć cel w życiu i moje miejsce na ziemi.

Następnego dnia otrzymałam bolesny cios. Okazało się, że moja absolutna szczęśliwość była bardzo krótkotrwała — w Anandzie nie byli zadowoleni z dodatkowej pracy pana Vinaya P. Menona. Musiałam sobie znaleźć nowego nauczyciela.

Pan Brajesh był poważnym mężczyzną w beżowej parce i z równo przyciętymi wąsami. Miał też niewiarygodnie duże pośladki. Poznałam go przypadkiem w recepcji Great Ganga

— był uczniem Rudry Deva, właściciela Yoga Study Center, o którym mi opowiadała Sue z Edynburga. Pana Deva, podobnie jak wielu innych, nie było w Ryszikeś do połowy lutego. Żeby mi to wynagrodzić, pan B. uprzejmie zaproponował, że sam pokaże mi, gdzie jest szkoła. Jechaliśmy przez centrum Ryszikeś, waląc głowami o dach *tempo*, nieco większej rikszy wynajmowanej przez kilku pasażerów, która podskakiwała na kolejnych wybojach. Mijaliśmy niezliczone warsztaty, w których młodzi chłopcy w pocie czoła wymieniali opony w zużytych motorowerach, a równie zużyci mężczyźni przyglądali im się z boku, od czasu do czasu wydając jakieś instrukcje, ale ogólnie koncentrując się raczej na paleniu *bidi* i gapieniu się w dal. Tutaj, z daleka od straganów duchowych poszukiwaczy, rozłożyły się biznesy, dzięki którym toczyło się życie miasta — banki, bazy, sklepy artykułów elektrycznych, sklepy z ciastkami i bombajską mieszanką\*.

Skręciliśmy w boczną uliczkę. Mała szkoła mieściła się za żelazną bramą na spokojnym terenie wychodzącym na Ganges. Pan B. pokazał mi liny, i to bardzo liczne. Były zaprzeczeniem widocznego za nimi radosnego, czerwonego napisu „Witajcie”. Białe linie oznaczały właściwe ułożenie mat na betonowej podłodze. O dziesiątej rano panował tu lodowaty chłód. Dostałam dreszczy. Słynne pomoce Iyengara — kostki, wałki i krzeselka — leżały w kącie, ale nawet ze swojego bezpiecznego punktu obserwacyjnego bałam się ich jak cholera.

Żeby się rozgrzać, skorzystaliśmy z lin. Pan B., ciągle w swojej parce, demonstrował. Zawisł na linach z rękami prostymi niczym kije od szczotki i z wdechem rzucił się mocno

\*Bombajską mieszanką (Bombay mix) — używana w Wielkiej Brytanii nazwa popularnej w Indiach przekąski, złożonej z przyprawionych prażonych orzechów, soczewicy, kukurydzy, płatków ryżowych, makaronu z mąki z ciecierzycy i smazonej cebuli.



przed siebie, a na wydechu stanął w skłonie do przodu. W ciągu dziesięciu sekund powtórzył to dziesięć razy.

— Ćwiczymy w zależności od pory roku. Przy zimnej pogodzie musimy być rozgrzani — oznajmił. Musiałam spojrzeć na niego niepewnie. — Dalej, do roboty! — Stanął niczym pułkownik w wojsku. — Pięć razy, dalej, do roboty. — Potem były przysiady z wyrzucaniem nóg do tyłu. — Wdech! Wydech! Mocniej! Dalej, Lucy. Co się dzieje? Tylko dziesięć? O, nie, minimum piętnaście.

Obóz dla rekrutów!

Nadeszła pora na stanie na rękach. Pan B. znów demonstrował — trzy razy zginał łokcie, zbliżając głowę do podłogi, a potem znów się unosił. Mnie musiał sam postawić do góry nogami, a kiedy spróbowałam ugiąć łokcie, ugięła się też cała reszta i walnęłam głową o ziemię. Auuu. Poczułam ulgę, kiedy sięgnął po krzesło — myślałam, że trochę odpocznę — ale nie, przecisnął mnie przez środek i kazał leżeć na plecach z głową i nogami na podłodze. Skończyłam z drewnianym klokiem pod pupą i poleceniem, że mam być „luźnia”.

Najchętniej wróciłabym do swojego pokoju, żeby odpocząć, ale pan B. miał inne plany. Wyznaczył sobie stanowisko mojego nieoficjalnego przewodnika i uprzejmie załatwił samochód, który miał mnie zawieźć do Vasišta Guha — jaskini leżącej o 20 kilometrów od Ryszikeś na drodze do Badrinath i Kedarnath, dwóch świętych miejsc wchodzących w skład Char Dham.

Droga wiała się nad piaszczystymi brzegami Gangesu. Rzeka płynęła tu trochę szybciej, a wzgórza usiane świątyniami, akacjami i palmami rysowały się miękko w zamglonym słońcu. Kiedy schodziliśmy stromą ścieżką, pan B. opowiedział mi legendę związaną z jaskinią. Jedną z pierwszych istot stworzonych przez boga Brahmę był mędrzec Vasišta. Kiedy w wyniku uroków rzuconych przez innego mędrca zginęło stu jego synów, Yasišta wpadł w taką rozpacz, że postanowił odebrać

sobie życie, skacząc w nurty Gangesu. Ale Rzeczna Bogini nie chciała dopuścić do śmierci takiego świętego męża, więc zniosła go bezpiecznie do jego żony, Arundhati, która postanowiła zabrać go na pielgrzymkę, by mógł zapomnieć o swoich synach. Po drodze zatrzymali się w jaskini na dość długo, konkretnie na jakieś kilkaset lat, praktykując *tapas* przed wyruszeniem w dalszą drogę na południe Indii.

Obecnie jaskinię zajmował Sri Chaitanyanandji. Kiedy się pojawiliśmy, siedział nad rzeką na niskim, drewnianym stoliku, jedząc obiad. Zawinięty w pomarańczowy koc i w wełnianej czapce na głowie udzielał *darśanu* i częstował *papadamami* trzy pełne szacunku Hinduski. Przyjrzał mi się badawczo przez grube okulary i mnie też poczęstował *papa-damem* i ciepłym *Hare OM*. Posiedzieliśmy przy nim kilka minut, a potem poszliśmy obejrzeć jaskinię, przed którą stał pomarańczowy baldachim ozdobiony falbanką oraz różowymi, zielonymi i złotymi wstążkami. Na podium przystrojonym kwiatami widniała dumnie wielka, kolorowa fotografia Gurudev Swami Purushottamanandji Maharaj, który wędrując po okolicznych lasach w 1928 roku, przypadkiem odkrył jaskinię. Mieszkał w niej przez 25 lat, a dopiero potem zbudowano mu w pobliżu chatkę.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam po wejściu do jaskini, był okrągły, podobny do kolumny kamień na podstawce. Wyglądało to, mówiąc łagodnie, jak męskie i żeńskie organy płciowe, ale w przewodniku wyczytałam, że jest to *Siwa linga*, symbol *jin-jang*, przedstawiający wieczne połączenie kosmicznej siły żeńskiej i męskiej. Pan B. pokazał mi z tyłu jaskini niewielką szczelinę w ścianie. Podobno za nią znajdowała się kolejna jaskinia, która ciągnęła się aż do Himalajów. Mieszkało w niej wiele *siddhi*, istot o ponadnaturalnych mocach, które w swoich subtelnym ciałach, niewidocznych gołym okiem, Praktykowały *tapas*. Prawdę mówiąc, niewiele rzeczy było tu widocznych gołym okiem z powodu ciemności. Usiedliśmy,

patrzając na migające płomyki świec. Miałam nadzieję, że ukaże się przede mną, tak jak przed paroma innymi osobami z Zachodu, sam Gurudev Swami Purushottamanandji Maharaj, który zmarł w 1961 roku. Podobno ukazał się pewnej Duncce, śmiał się jak dziecko, mówiąc jej, że nie jest złudzeniem, ale kiedy oświadczyła, że pragnie *gjan*, wiedzy duchowej, roześmiał się dziko i zniknął. Nie miałam na co liczyć.

W końcu miałam już dość ciemności, więc poszłam posiedzieć na skałach nad wodą. Pan B. ruszył za mną, po czym zaprezentował ukryte do tej pory poczucie humoru, stając na jednej nodze w pozycji drzewa. A może nie żartował. Wgra-molił się na skałę obok mnie i razem patrzyliśmy, jak w popołudniowym słońcu rzeka migocze turkusowym blaskiem. Odetchnęłam głęboko i uśmiechnęłam się. Słońce świeciło tak mocno, że można by się opalać, coś mi jednak mówiło, że rozebranie się byłoby nieestosowne. Siedzieliśmy tak chyba z godzinę, wdychając czyste powietrze, rozkoszując się promieniami słońca na twarzy i obserwując wieśniaków pracujących na wysoko położonych polach.

Uległam sugestii pana B. i poszłam do Parmarth Nike-tan na wieczorną modlitwę *Arati*, którą odprawiano na *ghatach*, czy *Yi* stopniach schodzących do Gangesu. Nasza znajomość miała mało obiecujący początek — obóz dla rekrutów niezbyt przypadł mi do gustu — ale w ciągu dnia stosunki znacznie się ociepliły. Życzyłam mu wszystkiego dobrego, zwłaszcza jeżeli idzie o poszukiwanie żony. Wyznał mi bowiem z rozbijającą szczerością: „Czekam, aż zobaczę piękną dziewczynę, a wtedy poproszę o nią swoich rodziców”.

Na miejscu modlitw siedzieli w trzech rzędach młodzi mężczyźni z *kumkum*, zawinięci w przepisowe szafranowe pledy. Przy dźwiękach kilku *tabli* śpiewali hymny wedyjskie, a ich głosy wzmacniało kilka strategicznie rozstawionych głośników. Na tle zmierzchu zapadającego nad szarymi wodami Gangesu stanowili malowniczy widok. Naturalnych rozmiarów

posąg Siwy na lwiej skórze, stojący w wodzie o kilka metrów od *ghatów*, rzucał na wszystko niesamowity, niebieski blask.

Ceremonię prowadzili dwaj *swami* — młodzi mężczyźni z wąsami i gładko przyczesanymi włosami rozdzielonymi równiutkim przedziałkiem. W czerwono-biało-niebieskim pojemniku rozpalili wielkie ognisko, a potem wybrali kilku szczęśliwców, którzy na czas modłów podeszli do ognia, a potem zanieśli do tłumu lampy *arati*, którymi machano w kształcie sylaby OM. Nie obyło się bez pewnych problemów, jako że lampy, znacznie większe niż te, których używaliśmy w aśramie Sivananda w Kerali, bardzo przypominały ciężkie, miedziane płonące rondle. Kilka starszych eleganckich Hindusek w szmaragdowych sari, ozdobionych bogatym haftem, miało poważne trudności, żeby je utrzymać i dopiero interwencja silnych ramion najstarszego syna zapobiegła katastrofie.

Wydawało mi się, że Hindusi powinni świetnie sobie radzić na wszystkich modłach i nabożeństwach, bo przecież duchowość była niejako ich przemysłem narodowym, ale te mieszcuchy z Delhi na trzydniowej pielgrzymce do Char Dam wiedzieli o tych pradawnych ceremoniach tyle samo, co turyści z Zachodu. A rezydenci aśramy znali je nawet lepiej niż weekendowi goście ze stolicy. Poczułam się nieco dziwnie na myśl, że ci rozczarowani uchodźcy z Atlanty czy Nowego Jorku mieli większą znajomość Wed niż delhijczycy, których rodzinne miasto na skróty pędziło ku nowoczesności. My, czyli tymczasowi goście, trzymaliśmy się razem, a *swami* przyglądali się wszystkiemu z wielkim skupieniem.

Przez kilka następnych dni padał ulewny deszcz, a ja starałam się znaleźć aśramę, nauczyciela, albo jedno i drugie. Nie rozumiałam, dlaczego jest to takie trudne — przecież przyjechałam do „światowej stolicy jogi”. Mury były wyklejone

resztkami ogłoszeń o najróżniejszych duchowych przeżyciach — wiele z tych przeżyć zostało zjedzonych przez wygłodzone krowy i kozy, które zapewne doświadczały teraz ich dobrodziejstw— ale udało mi się przeczytać, że kursy jogi odbywają się w Green Hotel i Yoga Hut, medytacje niemal wszędzie, są też kursy astrologii, „nauka hindi w 10 dni”, a nawet chiromancja — „Poznaj sztukę czytania z dłoni zaledwie w 7 dni. Po raz pierwszy w Świętym Mieście, w sposób jasny i zrozumiały”.

Postanowiłam sprawdzić Yoga Niketan — aśramę pokazano kiedyś w japońskiej telewizji i od tamtego czasu stał się drugim domem dla kształcących się tu nauczycieli jogi z Japonii. Zajęcia odbywały się w ogrzewanej sali wyłożonej czerwonym chodnikiem — już z tego powodu warto było się zapisać

— i nie były siłowe. Aśrama mieściła się na szczycie stromych kamiennych schodów; takie usytuowanie zapewniało wspaniałe widoki na Ganges oraz oddziało od ulicznego hałasu. Jedyne problem polegał na tym, że trzeba było tu zostać na co najmniej 15 dni, żeby regularnie chodzić na zajęcia. Poza tym trzeba było podpisać „uroczyste zobowiązanie” do przestrzegania 31-punktowego regulaminu. Do zwykłych zakazów spożywania alkoholu, mięsa, cebuli i czosnku dołączono obowiązkową obecność na wszystkich medytacjach i zajęciach z asan oraz ciszę nocną z zamknięciem bramy o 21.30. Poprosiłam o pokazanie pokoju — był ciemny i wilgotny, ale bez szcurów.

Pewnie bym tam została, gdyby nie to, że wszyscy wyglądali na chorych. Zajęcia z jogi, na które zajrzałam, przerywały ataki suchego kaszlu, a kilku uczestników miało na twarzach gorączkowe rumieńce. Zaniepokoił mnie też widok suszących się na dworze materacy, na których małpy urządziły sobie plac zabaw. Podziękowałam, mimo że pokój kosztował 200 rupii razem z jedzeniem i zajęciami. Zatrzymałam *tempo* i w towarzystwie kilkorga poważnych dzieciaków w wieku szkolnym skierowałam się na północ, przez Lakshman Jhula,

do nieco spokojniejszej części Ryszikeś, żeby spotkać się z Primodem w Yoga Hut. Po rozmowie wydał mi się idealny. Prowadził zajęcia w małych grupach, ale oczywiście do połowy lutego wszystkie miejsca miał zajęte.

Szłam w dół stromą ścieżką, wzdłuż której siedzieli lub stali pomarańczowo odziani *sadhu* wszelkiej maści, powtarzający: *Hare OM* i potrząsający żebraczymi miskami, aż znalazłam się na otwartym placu. Bosy chłopiec w pomarańczowej czapce z pomponem popisывał się za parę rupii jazdą na kole rowerowym po linie. Patrzyłam na zebrany wokół niego tłum. Tutejsi ludzie mieli jaśniejszą skórę niż ci na południu, patrzyli ufniej i z większą otwartością. Część pochodziła stąd albo z pobliskiego Haridwaru, inni byli góralami. Przez wysokogórskie hale, ośnieżone szczyty i czarne masyw Garhwalu wędrowali do Ryszikeś, żeby sprzedać wyrabiane we wsi szale, torebki z koralików, czapki z króliczej wełny i w ten sposób dorobić do nędznych dochodów, które mieli z kilku krów, kóz albo owiec. W porównaniu z mieszkańcami południa byli spokojniejsi, bardziej pogodzeni ze światem. Stan Uttarakhand, graniczący od północnego wschodu z Tybetem, a od południowego wschodu z Nepalem, był dość odległy, a w leżącym w jego zachodniej części Ryszikeś wciąż panowała dość staromodna atmosfera. Turystyka ograniczała się jedynie do zajęć jogi za niewielkie pieniądze i straganów z duchowymi pamiątkami. Charakter miasta pozostał niezmienny — nie było kawiarni Barista ani błyszczących samochodów, nawet telefony komórkowe były nieliczne. Turysty, których poznałam, zachowywali się jak tubylcy; dotarcie tutaj wymagało pewnego wysiłku, więc każdy, kto się już tutaj znalazł, chciał choć trochę odpocząć i nacieszyć się świeżym powietrzem i błękitnym (czasami) niebem z dala od zgiełku tego świata.

Schodząc jeszcze niżej w stronę Gangesu, natknęłam się na Cafe Devraj, znaną także jako German Bakery. Po deszczu wyszło trochę słońca i widok zielonej teraz rzeki,

czerwono-białych wieżyczek świątyni Rayambakeshwar po drugiej stronie oraz mostu Laksham Jhula, starszego i dłuższego, ale równie chybotliwego jak Ram Jhula, poprawił mi nieco humor. Zawsze było tu mnóstwo wyluzowanych turystów — siedzieli na drewnianych ławkach i wymieniali się radami. Gdzie jest najlepszy spływ pontonami? Kto jest chętny pójść w góry Garhwal, żeby zobaczyć śnieżną panterę? Czy ktoś chciałby się dołączyć do wyjazdu do Mussoorie? Pijąc gorącą czekoladę i pogryzając orzechowe ciastko, wdałam się w rozmowę z młodą Dunką, która chciała zorganizować wyprawę do Parku Narodowego Corbetta na podglądanie tygrysów. Potem omówiliśmy zalety ulubionego przez turystów hotelu w Ryzিকেś, czyli Swiss Cottage, który zawdzięczał nazwę wspaniałym widokom na ośnieżone szczyty. I nagle wszedł Erik.

Podszedł do mnie tym swoim rozkołysanym krokiem, uśmiechnął się, objął mnie tak, jakby spodziewał się mnie tu spotkać, i zamówił tosta z serem. A następnie podzielił się ze mną najświeższymi informacjami:

— Po Sheshadri próbowałem *astangi* u Sharata, wnuka Pattabhiego, ale to mi nie pasowało. Wyjechałem z Mysore zaraz po tobie i od razu przyjechałem tutaj, ale dopiero po miesiącu znalazłem sobie miejsce. Też próbowałem tu *astangi* i jogi Iyengara, ale te systemy na mnie nie działają. Za dużo w nich ciała, a ja i tak ciągle myślę o ciele, więc musiałem szukać gdzie indziej. Znasz Primoda w Yoga Hut? — Skinęłam głową. — Prowadzi medytacje i *pranajamę*, co mi się bardzo podoba. We trójkę jesteśmy na takim 24-dniowym cyklu. Chodzę jeszcze na lekcje śpiewu. To mi otwiera klatkę piersiową i jestem wolny. — Erik wykonał kilka szybkich powtórzeń „do, re, mi, fa, sol, la...”, żeby zademonstrować swoją wolność i spojrzał rozmarzonym wzrokiem na wody Gangesu.

Powiedziałam mu, że chciałam chodzić na zajęcia do Primoda, ale nie było miejsc. Może mógłby mi kogoś polecić?

— Niezły jest Pankash w Green Hotel. Uczył się u Ruchy Deva, ale ma poczucie humoru. Powinien ci się spodobać. Jak tam będziesz, to pozdrów ode mnie Kazu. To już tak późno? Muszę lecieć na lekcje śpiewu.

Więcej go nie spotkałam. Nasze drogi chyba się rozeszły. Widocznie jedynym spoiwem między nami był Ben.

Jeszcze tego samego dnia po południu poszłam na zajęcia Pankasha. Green Hotel mieścił się na tyłach Parmarth Niketan, a sala do jogi mieściła się na tyłach hotelu, za wielkim generatorem i bardzo wąskimi metalowymi schodami. Na podłodze leżały trzy kawałki wykładziny, z czego żadna nie była dopasowana rozmiarem. Na Pankasha czekało dwunastu uczniów, w tym Transcendentalna Jo i długowłosa, umięśniony Japończyk, którego uznałam za Kazu. Wykonywał akurat skłony w bok w pozycji siedzącej, obserwując się uważnie w lustrze biegnącym wzdłuż jednej ze ścian.

Zalotny loczek Pankasha pojawił się w sali na chwilę przed całą głową. Sam Pankash był wysoki, szczupły i przystojny, miał chłopięcy wygląd i nieco zagadkowy wyraz twarzy. Transcendentalna Jo powiedziała mi, że ma 29 lat, a jogą zajął się, gdy miał 14. Kiedyś ćwiczył siedem godzin dziennie, ale teraz tylko dwie — przed pierwszymi zajęciami, które zaczynały się o ósmej rano. Jego ciało z pewnością mogło stanowić dowód na niezwykłą moc jogi — było szczupłe, giętkie i silne, idealne narzędzie nauczania.

Zaczęliśmy od śpiewów, a potem od razu przeszliśmy do powitania słońca, żeby się rozgrzać — z powodu przerwy w dostawie prądu w sali było lodowato. Jednak on chyba tego nie zauważał, bo miał na sobie jedynie krótkie, nylonowe szorty i złoty medalion — zapewne na wzór Iyengara. My trzęśliśmy się w trzech warstwach ubrań.

Po powitaniu słońca zajęcia zamieniły się w warsztat ćwiczeń na biodra i kolana. Pankash od razu mnie namierzył. Transcendentalna Jo wyjaśniła mi później, że robił to wszyst-



kim nowym uczniom, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, więc poczułam się upokorzona, gdy krok po kroku dokonywał dekonstrukcji mojej *wirasany*, czyli „pozycji bohatera”. Wydawało mi się, że wyglądam nieźle, a nawet bohatersko. Myślałam, że mam proste plecy, uda ułożone równoległe do siebie, że siedzę między stopami z pupą przyciśniętą do podłogi.

— Chodźcie, chodźcie — powiedział Pankash. Wszyscy stanęli wokół mnie. — Popatrzcie. Spójrzcie na kostkę i stopę. Są nieprawidłowo. Połóż je obok ciała, dociśnij, no już!

Sądziłam, że to właśnie robię, ale próbowałam wykonać polecenia wykrzykiwane na cały głos.

— Teraz wywiń rzepekę i rozłóż małe palce u nogi. Gdzie pośladek?

Pośladek uniósł się nieco, kiedy palce u nogi się rozłożyły.

— A co się dzieje z bazą inteligencji?

Jak mogłam wiedzieć, co się z nią dzieje, skoro nie wiedziałam, co to jest?

— Skórę na prawym udzie obróć w lewo, a skórę na lewym udzie w prawo. Natychmiast! Rozumiesz?

Skinęłam głową jak ktoś, kto rozumie.

— Ha! — zawołał.

Potem przeszliśmy do serii skłonów w przód i skłonów w tył, motywowani przez nieustanny potok okrzyków:

— Tak, docisnąć, dalej!

— Ciśnij, ciśnij!

— Podnieś wewnętrzne krocze. W górę! W górę!

— Niżej, jeszcze niżej!

— Docisnąć, docisnąć!

— Wyciągnąć górne powieki!

— Rozciągnąć zmarszczę, jeszcze, jeszcze!

Moi towarzysze byli silni i dobrze rozciągnięci — bez problemu wyciągali górne powieki i rozciągali „zmarszczę” (czyli zmarszczki pod kolanami). Najlepszy był Kazu. Prze-

szkadzał mu tylko koński ogon, a chęć patrzenia w lustro groziła skręceniem karku.

Po *wirasanie* przyszła kolej na *adho mukha wrksasanę*. Do zademonstrowania tej pozycji Pankash wybrał smakowitą Lalitę, lekko pulchną, 25-letnią Amerykankę hinduskiego pochodzenia z włosami do pupy, wielkimi, ciemnymi oczami podkreślonymi czarną kredką, wydętymi ustami i kiepskim suwakiem przy spodniach.

— Nie staję na rękach — zaprotestowała Lalita.

— Wiem, dlatego masz to zrobić — powiedział władczo Pankash.

Przez ten czas, gdy Lalita stała na rękach, suwak powoli się rozpinął, aż wreszcie odsłonił bardzo seksowne majtki z różowej koronki. Pankash ruszył na ratunek. Wsunął się między ścianę a Lalitę, objął ją w talii, obrócił wokół osi do normalnej pozycji i zapiął suwak — wszystko jednym, swobodnym ruchem. Wróciliśmy do ćwiczeń jakby nigdy nic.

Po zajęciach poszłam z Transcendentalną Jo i jej znajomymi na kolację do Chotiwallah. Byliśmy wstrząśnięci zachwycającym widokiem Lality i Pankasha na motorze z rozwianymi włosami. Mogliby uchodzić za gwiazdy filmowe, gdyby nie jej różowe stringi wystające wysoko ponad opadające spodnie.

Chotiwallah, co oznacza „facet z włosami związanymi w kitkę”, jest w Ryszikeś instytucją. A raczej dwiema. Dwaj bracia nie mogli dojść ze sobą do porozumienia, komu ojciec zapisał spadek, więc sędzia, salomonowym wyrokiem, kazał im podzielić restaurację na dwie części. Więc teraz przed każdą restauracją siedział na tronie elegancki facet z włosami usztywnionymi żelem na kształt rogu nosorożca. Konkurencja między nimi gwarantowała niskie ceny i wysoką jakość usług.

Kolacja upływała w cudownej atmosferze, *thali* było wyborne, poznawałam nowych przyjaciół, dopóki nie wspomniałam, że właśnie wróciłam od Osho, który był guru od

seksu i miał 93 rolls-roycey. Na nic zdały się zapewnienia, że ani jedno, ani drugie nie było w moim guście — rozmowa padła. Towarzystwo podzieliło się na mniejsze grupy. Transcendentalna Jo powiedziała mi, że podobno Lalita była wielbicielką tak zwanego „tantrycznego Rumuna”. Jim, mój znajomy, poznał go w Ryszikeś kilka lat temu. Jim nie widział tego na własne oczy, ale krążyły pogłoski, że Rumun organizował konkurs Miss Shakti, w którym kandydatki na boginie testowały swoją boską kobiecą moc, tańcząc nago wokół pokrytego oliwą Ganeśy z głową słonia — widocznie ich seksualność służyła do osiągania wyższych stanów świadomości. Lalita miała niedługo wyjechać z Ryszikeś do nowej siedziby Rumuna w Tajlandii.

Następnego dnia tematem porannych zajęć było „chodzenie jak koń” i Pankash kazał nam pracować w trójkach. Transcendentalna Jo stała przy ścianie w *wirabhadrasanie II*, czyli „pozycji wojownika II” — jedna noga zgięta, druga prosta, ramiona rozciągnięte pod kątem 180 stopni. Ja jej naciskałam ugięte kolano, a trzecia osoba pilnowała, żeby wewnętrzne krocze było dociśnięte do ściany. Kiedy po wielu minutach Jo odzyskała *wolność*, musiała się przejść wokół sali i rzeczywiście zamieniła się w konia.

— Widzicie? — mówił Pankash. — Normalnie chodzicie z nóg, a konie chodzą z pośladków. Dlatego są takie silne. Rozumiecie. — Skinęliśmy głowami. — Ha.

Pod koniec zajęć Pankash miał już całą stajnię dumnie kroczących koni. Kazu rozpuścił koński ogon i chodził przed lustrem, rzucając grzywą jak prawdziwy folblut.

Wlekłam się przez most niczym kucyk w drodze do rzeźni. Tyle że szłam na spotkanie z astrologiem. Pułkownik, dystyngowany mężczyzna z siwymi włosami i równo przycię-

tymi wąsami, zobaczył mnie u siebie w księgarni, jak przeglądam książki o wedyjskiej astrologii, i zaproponował, że jego żona — która jest ekspertem w tej dziedzinie oraz medium — postawi mi horoskop. Powiedział mi, że kiedy była dzieckiem, „wiedziała, co się wydarzy. Rodzina mówiła, że ma »czarny język«. Nie podobało im się to, bo byli naukowcami”.

Pani P. oraz Pułkownik mieszkali w nowoczesnym, różowym bloku nad Gangesem, przy drodze prowadzącej do Great Ganga. Drzwi otworzyła pani domu z puchatym pieskiem na rękach — 12-letnim yorkiem o imieniu Topsy\*. Nazwano go tak dlatego, że jako szczeniak wypijał miskę ciepłego mleka i zapadał w głęboki sen. Coś w zachowaniu Pułkownika mówiło mi, że lepiej nie wyskakiwać z żartami o dolewaniu whisky do mleka.

Pani P. krzątała się wokół mnie, jej pulchne ciało otulał drogi, beżowy szal. Poczęstowała mnie słodkim *ćaiem*, ciasteczkami zrobionymi z sezamu i cukru trzcinowego, migdałami, pistacjami i nerkowcami. Rozumiałam już, dlaczego Hinduski są z reguły nieco tęższe niż Europejki. Po wypiciu *ćaiu* odprawiliśmy krótką *pudżę* — „Prosimy bogów, żeby nasze przepowiednie były trafne” — i pani P. przystąpiła do rzeczy.

— Twój siódmy dom związków jest pod wpływem Saturna, więc masz problem ze znalezieniem partnera. Znajdziesz go po 17 lutego tego roku. Nie szukaj go. On znajdzie ciebie. Zajmuje się jogą i sprawami duchowymi. Jest inny niż ty: albo starszy, albo nie z twojej kasty, albo nie jest Anglikiem. Potem małżeństwo. Z miłości. Dobre małżeństwo. — Co za ulga. Ale potem przyszło ostrzeżenie. Pani P. spojrzała na mnie poważnie. — Martwisz się, że ktoś będzie tobą rządził, ale dla harmonii w małżeństwie musisz powstrzymać swoją skłonność do uporów. Musisz ograniczyć swoje utarte poglądy. — O jakim uporze ona mówi?

\**Topsy* (ang.) — nietrzeźwy, zawiany.

— Interesujesz się sztuką i lubisz luksus. Lubisz towarzystwo. Lubisz przepych, ale też się od niego odwracasz. Twoim celem jest duchowe wyzwolenie. Zrezygnujesz z pracy zawodowej dla duchowos'ci. Masz dociekliwą naturę. Napiszesz książkę o jodze. Widzę też podróże zagraniczne.

Napisanie książki było bardzo nęcącą perspektywą, a pobyt w Indiach coraz bardziej mi się podobał. Już wyobrażałam sobie, jak bezinteresownie poświęcam się poznawaniu ośrodków jogi na całym świecie — Byron Bay, Kalifornia, Bali. A może Wyspa Złotego Buddy w Tajlandii? Ulpotha, ośrodek jogi na Cejlonie? Hawaje? Możliwości było nieskończenie wiele.

Pani P. wyrwała mnie z zamyślenia ostrzeżeniem.

— Wrogowie są, ale ich pokonasz. Z pomocą Byka pojawią się *owoce twojej pracy*. W tej księżycowej posiadłości może rozkwitnąć spełnienie twoich doczesnych pragnień i artystycznej ekspresji. Będzie dużo książek.

Pułkownik wciął się z dobrą radą:

— Musisz przeczytać wiele książek o jodze, żeby syntetyzować wiedzę dla innych. Musisz pisać o chorobach, które joga leczy. Książka Vishnu-devanandy jest bardzo dobra. Mam ją sklepie. Musisz przyjść.

Obiecałam, że przyjdę.

Pani P. dołączyła swoją listę zakupów:

— Musisz sobie kupić złoty pierścionek z żółtym szafirem, który wspomaga mądrość i małżeństwo. Musisz go nosić w czwartki na wskazującym palcu prawej ręki. Kamień musi ważyć co najmniej trzy i ćwierć karata. Pierwszy raz załóż go podczas nowiu, który wypada za czternaście dni. Kiedy będziesz odprawiać *pudzę* z żółtym kwiatem i zanurzać pierścionek w Gangesie, masz recytować mantrę do Jowisza. Poza tym musisz kupić srebrny pierścionek z koralem do noszenia we wtorki na palcu serdecznym. Ceremonia ta sama, tylko z czerwonym kwiatem. Na palcu serdecznym możesz też nosić pier-

ścionek z brylantem, to twój kamień urodzeniowy. Pamiętaj, żeby kupować kamienie w dobrym sklepie, najlepiej w tym koło Lakshman Jhula. Dam ci wizytówkę. Bardzo dobre kamienie. Bardzo dobre rezultaty.

Polecany przez nią sklep, wciśnięty pomiędzy sklepiki z koszulkami z OM i stragany ze świecidełkami, nie wyglądał na taki, w którym można kupić pierścionek z pięciokaratowym szafirem. Okazało się jednak, że na zapleczu ma ukryty pokój, niewidoczny z ulicy. Poproszono mnie o zostawienie butów przy wejściu i wpuszczono przez następne drzwi. Widok odebrał mi oddech.

Wokół tańczyło białe, migotliwe światło, odbite od setek brylantów, żółtych szafirów i rubinów. Na półkach stały tysiące złotych posążków bóstw — Tara, Ganeśa, Saraswati. Porcelanowy Krysna grał na flecie, a nefrytowa głowa Buddy naturalnych rozmiarów uśmiechała się do mnie z zadowoleniem. Taki sam uśmiech prezentował pulchny właściciel sklepu, pan M., który siedział za długą ladą mieniącą się taką ilością kolorów, jak stoisko ze słodyczami Pick'n'Mix. Pan M. zaproponował mi *cai* i nie tracąc czasu, przystąpił do interesów.

— To jest pięciokaratowy żółty szafir w 24-karatowym złocie. Zakładasz na zły palec. Dla Jowisza musi być na pierwszym palcu.

— Ale na tym źle wygląda — zaprotestowałam. — Proszę spojrzeć, jak się przekrzywia.

Pan M. spojrział na mnie surowo znad okularów.

— Kiedy lekarz przepisuje ci lekarstwo, ono ma cię wyleczyć, a nie dobrze smakować. Tak samo ten kamień. Nie wygląda dobrze, ale ci pomoże, zapewni małżeństwo i powodzenie.

— Ile kosztuje? — spytałam nerwowo.

— 29 tysięcy rupii. Patrz, idealnie pasuje.

— Lepiej, żeby za te pieniądze przyniósł mi bardzo dużo pomyślności.

Pan M. uśmiechnął się wyrozumiale. Zastanawiałam się, czy nie był przypadkiem spokrewniony z Pułkownikiem. Pierścionek z koralem kosztował znacznie mniej.

— Ten też pasuje idealnie. Niesamowite. Jakby były zrobione akurat dla ciebie.

W sklepie było tyle pięknych kamieni, że żałowałam, że muszę wybrać tylko jeden. Spytałam, czy ma coś, co przekazywałoby energię wszystkich dziewięciu planet.

— Rzeczywiście, mamy coś takiego — powiedział nie-zrażony pan M. — Oto bransoletka Navratan\*, dziewięć kamieni w złocie. 39 tysięcy rupii. Każdy kamień reprezentuje jedną planetę. — Z czułością wskazywał na nie po kolei: topaz, biały szafir, niebieski szafir, brylant, perła, kocie oko, koral, szmaragd i rubin pośrodku.

— To dużo pieniędzy — zauważyłam. — Pewnie ludzie kupują coś takiego tylko z okazji ślubu albo na dwudzieste pierwsze urodziny.

— Wcale nie — powiedział pan M., nieco zszokowany. — Kupują je dla siebie, jako lekarstwo. Chcą je mieć, bo im pomaga.

Zauważył, że patrzę na niebieski szafir z brylantami z Cejlonu.

— Ten dobrze działa na czakrę *wiśuddha*, wspomaga porozumienie i małżeństwo.

— Pani P. powiedziała jednak, że powinnam mieć koral i żółty szafir — zwróciłam mu uwagę.

— Powinnaś iść za swoim instynktem. To jest kamień dla ciebie — stwierdził pan M. stanowczo.

— Pani P. nie będzie się gniewać? '

— Nie, jej syn ożenił się z moją córką.

Pomimo tej informacji zdecydowałam się na pierścionek z niebieskim szafirem i brylantami. To tyle, jeżeli chodzi

\* *Navratan* (**hindi**) — „dziewięć klejnotów”.

o *aparigrahe*, posiadanie tylko tego, co konieczne. Z drugiej jednak strony mąż też jest konieczny, więc myślę, że to była opłacalna inwestycja.

Zaczęło padać, więc szłam pospiesznie przez most, zastanawiając się, czym zapłacę za samolot do Madrasu, skoro właśnie wydałam te pieniądze na pierścionek. Złapałam *tempo* do Ram Jhula. Droga biegła wzdłuż leżącej poniżej rzeki, teraz szarej i wzburzonej. Stojący pod drzewem *sadhu* próbował uchronić swój koc przed deszczem, skuleni przed wiatrem mężczyźni przyciskali do piersi jakieś pakunki, sprzedawcy pocztówek okrywali swoje stragany kawałkami plastikowej folii. Zamierzałam zjeść kolację w towarzystwie któregoś z Chottiwallahów, ale ulewa kazała mi się zatrzymać przed zaparowanymi szybami Madras Café — „Jedzenie zdrowe, picie czyste, dobra jakość, mały zysk”. Weszłam do środka i od razu wiedziałam, że już do końca pobytu w Ryszikeś będę jadła tylko tutaj. Nie chodziło o wystrój wnętrza — kamienna podłoga i stoły z brązowego laminatu — ale poczułam się tutaj jak w domu.

Może nie do końca słusznie. Krążyły pogłoski, że pierwszy właściciel restauracji, A.N. Manon z Kerali, został w ataku zazdrości zamordowany przez kochanka swojej żony, albo że zabito go w pociągu, kiedy wracał do Kerali, dla walizki zawierającej całoroczny zysk. Po tym pechowym początku restaurację przejął w 1981 roku pan Govinder Aggarwal z Radżastanu — zwolennik Sivanandy i Divine Life Society. I od tamtego czasu zyskała ona znakomitą renomę. Pan Aggarwal zachował menu z południowych Indii — była to pierwsza restauracja w Ryszikeś, w której podawano *masala dosa*, chrupiące naleśniki z ziemniakami, cebulą, kurkumą chilli — i rozbudował restaurację z małej dziupli na lokal



mieszczący dziesięć stolików. Nadal widoczne tu były oznaki oddania dla Divine Life Society — na ścianie wisiała biało-czarna fotografia samego Sivanandy, który uśmiechał się na myśl o ogromnym posiłku w Madras Café. Ścienny kalendarz Swamiego Chidanandy (obecnego szefa aśramy) wisiał obok prostego ołtarzyka, oświetlonego gołą czerwoną żarówką. Regularną klientelę stanowili wierni unikający nieco zbyt słonej kuchni prowadzonej w aśramie. Dołączali do nich turyści, kuszeni obietnicą — wypisaną na tablicy na zewnątrz — najwyższych standardów higienicznych. Siedzieliśmy wszyscy razem, przyjemnie otoczeni wilgotnym zaduchem, a przed rykiem generatora (ruszał do akcji przy każdej przerwie w dostawie prądu) chroniły nas ściany pokryte bambusowymi żaluzjami, na których wisiały migające, czerwono-zielone lampki, obrazek z Ganeśą i laminowana mapa świata.

W Madras Café można było poczuć się jak u przyjaciół przy kuchennym stole — kiedy drzwi się otwierały, wszyscy podnosili głowy w oczekiwaniu na kolejną uśmiechniętą twarz. Rozmowy między stolikami nawiązywały się łatwo, głównie dzięki pomocy MP — kelnera w pikowanej kamizelce i z ogromnym *kumkum* między oczami, które było dowodem na codzienną *pudzę* na cześć Ganeśy, którą odprawiał w domu przed 13-godzinną zmianą. MP był niezwykle oddany swojej żonie, która dochodziła do zdrowia po operacji i mieszkała z nim w jego małym mieszkanku w Ryszikeś. Dwójką dzieci zajmowali się dziadkowie w odległej wiosce w Himalajach. MP zarabiał na ich wykształcenie. Poza tym był bardzo oddany swoim rybkom, które trzymał w dwumetrowym zbiorniku — wyławiał je siatką, mył zbiornik od góry do dołu i wkładał je z powrotem. W jego wielkim sercu nie brakowało też miejsca dla klientów. Troszczył się o ich szczęście z takim samym oddaniem, jakie żywił wobec swoich ryb, swojej rodziny i Ganeśy. Miał też niezwykły dar: wiedział, czego ci najbardziej potrzeba, zanim jeszcze zdążyłaś o tym

pomyśleć. Był jednym z najszcześliwszych ludzi, jakich poznałam w swoim życiu — głównie dlatego, że potrafił się cieszyć naprawdę drobnymi rzeczami. Miał w sobie lekkość bytu, cechę właściwą dzieciom, dzięki której codzienność była dla niego cudem. Ten wielki dar widziałam też u Mohana, Akshaya i Taresha, nastolatków, którzy wpakowali się ze mną do rikszy, kiedy szukałam pokoju w Mysore. Dla mnie to była jedna wielka męka; dla nich zabawa wzbogacona Elvisem.

Widząc, że chcę się rozgrzać, MP odebrał ode mnie mój zielony płaszcz przeciwdeszczowy i powiesił go przy umywalce. Dał mi suchy ręcznik do wytarcia włosów i od razu przyniósł gorącą herbatę z imbirem i cytryną. A przy talerzu „zdrowego pilawu po himalajsku”, specjalności Madras Café, *ipanir tikka masala* rozmawiałam już z siedzącymi przy stoliku obok trzema stowarzyszonymi w Divine Life.

Alan był malarzem szyldów z Birmingham i w sanktuarium *samadhi* kończył właśnie fryz przedstawiający sceny z życia Sivanandy. Zajęło mu to cztery lata, ale było pracą życia:

— Jestem malarzem, a nie artystą, ale coś mnie do tego ciągnęło.

Był też Amerykanin z Karoliny Północnej, który chciał, żebym mu czytała książkę telefoniczną „z tym waszym akcentem Oxbridge”. No i wreszcie był Pan Gościnnie — łyśy, z rumianymi policzkami i wielkimi, zielonymi oczami rozświetlonymi oddaniem dla jego nauczyciela, Swamiego Chidanandy. Wychował się w Himalajach, jego rodzice byli dziennikarzami pracującymi dla szwajcarskiego radia i gazet, mówił płynnie w hindi, po angielsku i po niemiecku. Wrócił do Niemiec, żeby skończyć studia, a potem pracował w rozgłośni „Głos Niemiec”, gdzie był odpowiedzialny za audycje anglojęzyczne. Odwiedzał aśramę Divine Life Society od 1953 roku, kiedy był małym chłopcem, a ostatnio podjął decyzję, że zamieszka tu na stałe. Po Swamim Vimalanandzie, sekretarzu generalnym stowarzyszenia i samozwańczym „pierwszym słudze aśramy”,

przejął obowiązki oprowadzania gości po aśramie i obwożenia ich po świętych miejscach w Himalajach.

Spytałam go o Amerykanki w białych szatach, które widywałam w German Bakery. Wszystkie miały siwe, krótkie włosy i przypominały mi nieco ekipę Ammy, tylko wyglądały na dużo zdrowsze. Wyjaśnił mi, że były to wyznawczynie Shanti Mayi, oświeconej kobiety z Ameryki. Była teraz ze swoim guru Sri Swami, Hans Maharaji w Sacha Dam, aśramie, którą założył na cześć swojego nauczyciela Sacha Baby. A Sacha Baba, zgodnie z dawną tradycją guru, mieszkał w jaskini w pobliżu Lakshman Jhula. Umówiliśmy się, że następnego dnia spotkamy się w pobliskiej German Bakery i pójdziemy na popołudniowy *satsang* Shanti Mayi.

## „Ocean miłości”

— Jestem miłością — mówiła wysokim, monotonnym głosem, ściskając w zębach papierosa. — Światu potrzeba dziś miłości. Najchętniej pozbyłabym się wszystkich religii, kościołów, księży, kapłanów, modlitw, śpiewów, wszelkich form wychwalania Pana i zastąpiła je miłością. — Kłęby dymu z najprawdziwszego marlboro osiadły jej na włosach, które po wielu latach takiego traktowania zrobiły się szare. — Siedzę przed wami jako miłość, a wy też jesteście miłością. Musicie używać swojej miłości z korzyścią dla innych, rozrzucajcie ją jak najszerzej. — Pokazała gestem, że należy rozrzucić ją poza German Bakery, w kierunku Gangesu i odległych gór.

Publiczność, młoda para, przytaknęła łagodnie. Widocznie zarzucili już myśl o wszelkich próbach ucieczki.

— W moim hotelu (mieszkam w hotelu, bo w aśra-

mach nie ma miłości) czuje się miłość. Młodzi chłopcy, którzy tam pracują, i ja razem tworzymy miłość. Przyjechał kiedyś młody Duńczyk, miał 23 lata. Spotkaliśmy się na korytarzu i wystarczyło, mieszkaliśmy ze sobą przez następne trzy tygodnie. Był dla mnie jak syn. Mimo że między nami jest 30 lat różnicy, ja nie wiem, jak wejść na stronę internetową, a on zamiast książki wolałby sobie kupić grę na PlayStation, mimo tych wielkich różnic pokoleniowych można stworzyć miłość. Potem przyjechał Brazylijczyk. W tym samym wieku co mój „syn”. Teraz są nierozłączni. Rzadko ich widuję, ale nadal jestem miłością. Promieniuję miłością. Miłość jest w tych murach, bo ja tu jestem. — Przerwała, żeby zapalić następnego papierosa.

Para skorzystała z okazji i zmyła się natychmiast, zostawiając za sobą jedynie smugę kurzu i kamyków.

— Pamiętajcie, żeby rozsiewać miłość! — zawołała za nimi Miłość Marlboro i znów zniknęła za zasłoną dymu.

Para pojawiła się 20 minut później w aśramie Sacha Dam nad brzegiem Gangesu. Okna sali do *darśanów* stukały na wietrze, małe hałasowały na blaszanym dachu. Zaczął padać grad. Dwustuosobowy tłum wyznawców trząsł się pod białymi szalami. Większość z nich wyglądała jak wyznawczynie Ammy — białe kobiety w średnim wieku — ale te były zdrowe i zadowolone; chyba nie przewidywano tu żadnego programu międzynarodowej wymiany energii. Z tyłu sali stały może ze dwie zaciekawione Hinduski. Usiedliśmy z Panem Gościnnym obok nich i czekaliśmy.

Shanti Mayi wyglądała tak, jakby przed chwilą wróciła ze sklepu Sainsbury. Żadnej złotej biżuterii, korony ani tronu. Praktyczna i rozsądna do granic, usiadła na zwykłym, chociaż dużym krześle w przepisowym białym szalu narzuconym

na łososiowy sweterek. Jej zdjęcia z młodości — do kupienia w holu — wskazywały na przemianę w stylu Hillary Clinton: promienna blondynka z końskim ogonem i w okularach w cienkich, złotych oprawkach zastąpiła nijaką brunetkę chowającą się za grubymi szklami.

Początkowo jakoś nie umiałam poważnie traktować tej ładnej, białej kobiety z entuzjastycznym amerykańskim uśmiechem. Oświecenie kojarzyło mi się z widokiem starych, zasuszonych Hindusów, odczytujących z niezrozumiałym akcentem stare sanskryckie teksty, albo z nieco młodszymi Hinduskami, robiącymi to samo. Czułam się lekko nieswojo, rozumiejąc wszystko, co mówi guru, i słuchając dobrze znanych dyskusji o samoakceptacji, braku wiary w siebie i obrazie własnego ciała.

Zaczęliśmy spokojnie — od pieśni, które przy akompaniamencie ludowej gitary i tabli prowadziła kobieta o głosie Evy Cassidy. W odróżnieniu od Ammy, Shanti Mayi nie wyrzucała w górę rąk ani nie wchodziła w głęboki trans. Wszyscy kołysali się i klaskali do rytmu. Ale gdzieś po półgodzinie entuzjazm sięgnął szczytu, a Shanti Mayi zaprezentowała ekstatyczne wykonanie refrenu *Shiva shambo shankara*. Nawet nie zauważyłam, kiedy mój ledwo słyszalny, słaby głosik dołączył do chóru aniołów. Zastanawiałam się, czy jej wyznawczynie dobierano po wstępnym przesłuchaniu, czy też te, które nie nadażały, miały specjalne lekcje śpiewu.

Po raz pierwszy zauważyłam, że mantry pozwalają mi się zapomnieć. W aśramie Sivanandy w Kerali podczas modłów *Arati* dowiedziałam się od Millicent, że śpiewanie mantr tworzy *muditę*, „duchowe szczęście”. Opowiadała, jak w klasztorze w Himalajach doświadczała wtedy bezgranicznej miłości i znajdowała radość w zwykłych *rzeczach*, nawet w misce wodnistej zupy. Muszę *przyznać*, że podchodziłam do jej opowieści z pewną rezerwą, ale tutaj od *mudity* nie było ucieczki. Shanti Mayi powiedziała później, odnosząc się do „soków”

swojej *sangi*: „Wasze głosy uniosły mnie do nieba”. Zdziwiłam się, że Osho nikt nie wpadł na pomysł trzygodzinnej śpiewanej medytacji jako sposobu na osiągnięcie stanu „bez umysłu”. Wydawało się to bardziej oczywiste niż seks albo taniec, no i przy odpowiednim prowadzącym można było dać cenę 300 funtów za tydzień. Shanti Mayi w ogóle nie kazała płacić za swoją podróż do nieba, jedynie co łaśka.

Reszta *satsangu* przebiegała jak rozmowa między dobrymi przyjaciółkami — przez kolejne trzy dni patrzyłam na wzruszone wyznawczynie, które z płaczem opowiadały o swoich problemach i prosiły o radę. Shanti Mayi słuchała ich z uwagą i dawała odpowiedź zakorzenioną w jej filozofii „jedynym wyjściem jest miłość”, co można było przeczytać na koszulkach dostępnych w różnych kolorach i sprzedawanych w holu obok książek, kaset i zdjęć. Jej przesłanie o samoakceptacji, samodeterminacji i miłości do siebie znajdowało wyraz we wszystkich jej wypowiedziach.

— Musicie przyjąć siebie takimi, jakie jesteście.

— Nikt nie wypełni was miłością, dopóki wy same tego nie zrobicie.

— Każdy jest stworzony z miłości. Jesteśmy samą miłością.

— Przestańcie oczekiwać, że ktoś inny przyjdzie i zapali za was światło.

Dowiedzieliśmy się, że bez miłości do siebie trudno mówić o miłości do Boga.

— Nie możecie odrzucać samych siebie, bo wtedy odrzucacie Boga.

— Musicie zaakceptować same siebie. To podstawa. Bóg jest w was.

— Jesteście oceanem łaśki. Jesteście oceanem miłości.

W tym „oceanie miłości” należy się zanurzyć, nie oczekując niczego w zamian. Jedna z wyznawczyń spytała, czy jeśli zrobi wszystko, by koleżanki w pracy ją zaakceptowały, to ona

będzie mogła zaakceptować siebie. W odpowiedzi Shanti Mayi wygłosiła małą przemowę:

— W interesach rzeczywiście jest tak, że wykładasz dolara i spodziewasz się z tego więcej, jakiegoś zysku. W świecie duchowym zyskiem jest wszystko, co robimy dla samorealizacji, nic więcej. Nie wkładamy niczego do banku ani na lokatę. One [koleżanki z pracy] są twoimi guru, są twoimi duchowymi przyjaciółkami... zostały ci zesłane po to, żeby otworzyć ci serce. Czyli nic nie będziesz z tego miała. Żadnego cukierka. Nic tu nie można zyskać, chyba że się to odwróci na drugą stronę.

Pierwsza sesja bardzo mi się podobała, ale drugiego dnia Shanti Mayi zdenerwowała się na jedną z wyznawczyń.

— Czy ty kiedykolwiek otworzysz przede mną swoje serce? — spytała z zaczerwienioną twarzą i gniewnie błyszczącymi oczami.

Moja krucha wiara zachwiała się. Jak guru może być oświecona, skoro wpada w złość? Czy nie powinna raczej pozwalać, by emocje po niej spływały? Czy nie powinna być dla swojej wyznawczyni „oceanem miłości”?

Wieczorem jadłam kolację z Panem Gościnnym w Madras Cafe. Przyłączył się do nas Hans, czternastoletni wyznawca Ammy. Opowiadał nam, że Amma znana jest z tego, że za kulisami potrafi wpaść w złość.

— Czasem jest prawdziwą Kali, która niszczy ignorancję we wszechświecie za pomocą nienawistnego spojrzenia i wielkiego, czarnego języka. Amma zmienia się w zależności od tego, co jest ludziom potrzebne. Przy mnie jest ciepła i łagodna, a przy innych wymachuje krwawym mieczem.

— To prawda — potwierdził Pan Gościnnie. — Nauczyciel musi umieć się zmieniać. Raz będzie twardy jak skała, a raz miękki jak woda.

— To skąd wiesz, że trafiłeś na właściwego nauczyciela? spytałam, nie do końca przekonana.



— Jedynym sposobem, żeby się o tym przekonać, jest osiągnąć oświecenie. A to może długo potrwać — odpowiedział Hans. — A w międzyczasie musisz ufać i obserwować.

Pan Gościnny opowiedział nam historię przypisywaną Ramakrysznie, duchowemu przywódcy z XIX wieku.

— Zapytano Ramakrysznę: „Czym jest oświecenie?”. Guru odpowiedział: „Tak samo kropla wody pytała ocean: Kim jestem? Ocean powiedział jej: Podejdź bliżej, wejdź we mnie. Kropla wody wskakuje, a wtedy ocean pyta: Kim jesteś teraz? Na co woda mówi: Jam jest. Jestem Tobą i jednocześnie jestem tą samą kroplą wody”. Innymi słowy, Lucy, możesz albo siedzieć nad brzegiem oceanu i zadawać pytania, albo wskoczyć i rozpuścić się w oceanie. Już jesteś tym, kim masz się stać. Reszta zależy od ciebie. Tak, tak.

Hans dodał:

— Już jesteś Tym, tym, czego szukasz. Szukanie, zadawanie pytań, ciągłe oglądanie się za siebie oddala cię od tego, czym już jesteś. To bardzo proste. Musimy wrócić do samych siebie.

Następnego dnia zjawiłam się u Shanti Mayi, zastanawiając się, czy dam radę rozpuścić się w oceanie i wrócić do samej siebie.

Jeden z wyznawców zapytał:

— Czy gdy otworzę serce, to moje problemy znikną?

— Kiedy pracowałam jako strażniczka parku w Oregonie, najbardziej podobało mi się, że problemy mnie nie opuszczały. Rozwiązywałam jeden, a zaraz pojawiał się następny. Byłam ciągle zła. I pewnego dnia rozstałam się ze swoimi problemami i już ich nie miałam. — Zapadła chwila ciszy. — Kiedy dociera się do swojego serca, wszystko staje się jasne.

Bardzo obiecujące. Nie zwracałam już sobie głowy kwestią złości, coraz bardziej podobały mi się szlachetne rady i łososiowe sweterki. Pewnie podążyłabym ścieżką Shanti Mayi, gdyby nie to, że zaczynała właśnie dziesięciodniowe

odosobnienie medytacyjne. A po jej powrocie ja już miałam być w Madrasie. W związku z tym kupiłam sobie jej zdjęcie oraz taśmę z nagraniem jednego z *satsangów* i postanowiłam szukać informacji o niej w Internecie. Może wyjeżdżała na światowe tournee jak Amma? Chociaż jakoś nie umiałam sobie wyobrazić, że wynajmuje stadiony na maratonowe sesje przytulania.

Chodziłam również na zajęcia z Pankashem, ale określenie, że czuję się po nich jak kucyk prowadzony do rzeźni, było coraz bardziej trafne. Nie rezygnowałam z nich jednak, bo poznawałam wiele nowych szczegółów anatomii — nigdy jeszcze nie poświęcałam aż tyle uwagi wewnętrznemu działaniu palców u stóp, pośladków czy powiek. Nie dało się jednak powiedzieć, że ćwiczenia są przyjemnością albo że wprowadzają mnie w spokojny stan medytacyjny. Dla mnie były dość mechaniczne, a instrukcje wymagały takiego skupienia, że nie dało się wyłączyć *ćitta writti*. Brakowało mi w nich płynności, przepływu energii, przy którym mogłam się zapomnieć, przynajmniej na chwilę lub dwie, tak jak to było na zajęciach z Simonem, a ostatnio z Vinayem P. Menonem. Jedyną rzeczą, która wprawiała mnie rano w dobry humor, była perspektywa śniadania w Madras Café. „Muesli, tost i kawa”, mówił mi na powitanie MP, co brzmiało bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Któregoś razu wdałam się w rozmowę z Julie, Amerykanką mieszkającą w Anglii, która co roku przyjeżdżała na dwa miesiące do Divine Life Society — i do swojego przyjaciela Prasada. Prasad przeżył 25 lat w aśramie, ale opuścił ją półtora roku temu, „żeby być bardziej niezależnym”. Pracował jako nauczyciel jogi, a wielu jego uczniów pochodziło z Zachodu. Joga Iyengara zdążyła mnie trochę zniechęcić, więc

z dużą ulgą usłyszałam, że prawdziwa hinduska joga sięga dużo głębiej.

— Dla Hindusów joga jest częścią życia już od niemowlęctwa — tłumaczył. — Siedzimy na podłodze, w toalecie kucamy, dlatego nie mamy tych problemów zdrowotnych co ludzie z Zachodu. Możemy zacząć od wyższego poziomu.

— Na Zachodzie asany stają się celem. Ludzi Zachodu napędza niezadowolenie, stają się fanatyczni, chcieliby uwarunkować innych na swój sposób, podczas gdy chodzi o odwarunkowanie, o usunięcie barier. My, Hindusi, słyszymy: „Nie jesteś ciałem”, „Nie požądaj”. Ale na Zachodzie każdy jest ciałem. Ludzie z Zachodu, których uczę, myślą, że joga to ćwiczenia fizyczne, asany i *pranajama*; że jest to tylko *hatha*. Ale joga to harmonijny sposób życia. Na tym polega prawdziwa joga.

Prasad starał się poszerzyć świadomość swoich uczniów ponad asany i *pranajamę*, chciał, by wkroczyli na wszystkie ścieżki opisane w sutrach Patańdzalego. Dzięki Mdlejącemu Swamiemu wiedziałam o dwóch innych, *jamach* i *nijamach*. Prasad opowiedział mi o kolejnych. *Pratjahara* oznacza kontrolowanie zmysłów, tak by jogina nie rozpraszał świat zewnętrzny.

— Dalej jest *dharana*, koncentracja umysłu, skupienie na jednym punkcie. Skupiasz umysł na jednej rzeczy. To jak przelewanie oliwy z jednego naczynia do drugiego. Nic nie wolno uronić, jest jedna nieprzerwana myśl. Kolejny stopień to *dhjana*, medytacja. Można ją wykonywać jedynie po opanowaniu *dharany*. Ale tak naprawdę jest to wiele dróg prowadzących do jednego celu: *samadhi*. — Tłumaczył to, posługując się wątkiem wody Ramakryszny. — W *samadhi* ty i świadomość jesteście jednym, już nie jesteś osobą, ciebie już nie ma. Kropla deszczu, która wpada do Gangesu, nie może powiedzieć: „Ja jestem deszczem, a ty jesteś rzeką”. Razem tworzą jedność. W stanie *samadhi* zaczynasz widzieć Jaźń w każdej żyjącej istocie.

Potem znów wrócił do problemów Zachodu.

— Ale może asany są najlepszym punktem wyjścia dla umysłu, który nie może od razu usiąść i medytować. Asany przynajmniej przywracają energię, która otępia ciało i rozbudzają Ja do innych możliwości. Niektórzy ludzie wchodzą potem na następny poziom.

Chciałam wejść na następny poziom, i to natychmiast. Ale jakoś nie umiałam wyobrazić sobie, że pokrzykiwania nauczyciela i konieczność rozciągania górnych powiek doprowadzą mnie do szczęśliwości *samadhi*. Jednak Prasad powiedział mi, że „większość Hindusów w wieku powyżej 25 lat nie ćwiczy już tak dużo asan”. Tłumaczył, że dorosłe osoby powinny się skupić przede wszystkim *na pranajamie*, a po pięćdziesiątce najważniejszą praktyką jest *dhjana*. Czyżbym robiła się za stara na niebieską matę?

Jak najszybciej chciałam się pozbyć etykiety fanatycznej, niezadowolonej Europejki. Chciałam stać się „zwykłą” Hinduską, żyć harmonijnie, poszerzyć praktykowanie jogi poza matę, przejść na wyższy poziom. Szczególnie zależało mi na tym, żeby upewnić się, że chodzę na najlepszą jogę w mieście — jak to mówią: „Być w Rzymie i nie zobaczyć papieża...”.

— A w Ryszikeś? — spytałam Prasada. — Macie tu swój własny rodzaj jogi?

— Tak, to prastara joga miłości i oddania, *bhaktijoga*. Robimy to codziennie.

Rzeczywiście, pod powierzchnią komercji, która stwarzała wrażenie, że kupienie CD i koszulki z OM jest tak samo szybką drogą do kosmicznej szczęśliwości jak siedzenie na szczycie góry, Ryszikeś nadal był zwykłym, nieco staromodnym miasteczkiem. W pomarańczowych szatach czy bez, wszyscy z zapalem oddawali cześć Bogu ukrytemu pod różnymi hinduskimi postaciami albo pozbawionemu formy. W końcu byliśmy w leżącym u stóp Himalajów „mieście świętych”, pełnym pielgrzymów, *riszi* i *sadhu* zmierzających ku *sa-*

*madhi*. To były zupełnie inne Indie — różne od Delhi, Pune czy nawet Amritapuri.

Przez resztę pobytu w Ryszikeś postanowiłam poświęcić się jodze oddania. Wiedziałam już coś na ten temat, u Przytulającej Matki kupiłam sobie znaczki „Śpiewaj swoją mantrę”, podobały mi się *satsangi* Shanti Mayi. Ten Kościół był bardzo szeroki, dostępny w rozmaitych wersjach, a Pan Gościnny z radością podjął się roli mojego nauczyciela i przewodnika *bhakti*.

Ukryty Święty, energetyczny wyznawca Sivanandy, od 60 lat codziennie o trzeciej rano wspina się na stojącą za jego chatką górę — jakieś 24 kilometry. Kiedy ludzie pytają go, czy mogą mu towarzyszyć, odpowiada lekceważąco: — Nie nadążycie za mną.

Następnego dnia miał rozdawać jedzenie stu *sadhu* i zaprosił Pana Gościnnego z osobą towarzyszącą.

Niestety, pomimo obietnicy darmowego jedzenia pojawiło się zaledwie dziesięciu *sadhu*, a Ukryty Święty postanowił pozostać w ukryciu, mimo że, jak to ujął Pan Gościnny, „wyraźnie i bardzo stanowczo nas zapraszał — tak, tak”. Na początku wydawało się, że nie ma to znaczenia. Usiedliśmy z Panem Gościnny na ciepłym podwórku na tyłach domu, na którym sam Sivananda przez 12 lat praktykował *tapas*. Grzaliśmy się w słońcu i patrzyliśmy na *sadhu* w pomarańczowych szatach, będących ich znakiem firmowym. Jeden z *sadhu* był ubrany na czarno, chociaż miał pomarańczową torbę ze świecącymi, różowymi wstążkami. A jeszcze inny złamał wszelkie zasady dotyczące ubioru: nie miał na sobie nic. Pan Gościnny wyjaśnił mi, że nadzy *sadhu* charakteryzowali się pewnym poczuciem wyższości i uważali się za lepszych od *sadhu* przywiązanych do swojego odzienia. Nie bardzo wiedziałam, gdzie

podziac oczy, więc skupiłam się najedzeniu obiadu, złożonego z warzywnego curry z ryżem, podawanego na ekologicznym talerzu z wysuszonych liści, oraz ryżowego puddingu w miseczce z liścia. Kiedy skończyliśmy, nakarmiliśmy naczyniami krowę stojącą przy furtce.

Chciałam zrobić *sadhu* zdjęcie, stanowili bowiem szalenie interesujący widok. Na czołach mieli przeróżne znaki

— trzy poziome linie *śiwaitów*, odwrócony pomarańczowy trójkąt z pomarańczowymi kropkami albo dwie pionowe linie oddzielone czerwoną plamą. Mieli też rozmaite fryzury

— zauważyłam dwóch z grubymi, czarnymi linami upiętymi na głowie jak u *sadhu* w aśramie Sivananda w Kerali, kilku miało zmierzwiłone, szare loki, inni nosili pomarańczowe turbany. Nagi *sadhu* nie pozwolił się sfotografować — na szczęście, bo daleko mu było do modela — ale pozostali nie mieli oporów. Jeden poprosił o błogosławieństwo bogini Lakszmi. Urocze, pomyślałam. Ale Pan Gościnnie wyjaśnił mi, że była to zawołana prośba o pieniądze, jako że Lakszmi była boginią bogactwa. Dałam mu 10 rupii, a wtedy wszyscy zaczęli się domagać pieniędzy, i to dość agresywnie. Musieliśmy się ewakuować.

— Gdyby był tu Ukryty Święty, to by się tak nie zachowywali — powiedział Pan Gościnnie. — Jestem bardzo rozczarowany, tak, tak. Aśramy i klasztory troszczą się o nich, tak samo jak Ukryty Święty, co zresztą widziałas. Nie muszą prosić o pieniądze. Gdyby chcieli, mogliby jeść pięć razy dziennie. Większość z nich pochodzi z klasy średniej, są wykształceni, więc nie da się ich usprawiedliwić. No cóż, potraktujmy to jak lekcję. Swami Sivananda powiedział kiedyś: „Strzeżcie się tych w pomarańczowych szatach”.

Umówiliśmy się, że 26 stycznia pojedziemy do Haridwaru. Tego dnia wypadało indyjskie święto narodowe oraz dzień pomyślnej kąpieli według kalendarza — *Kumbh Mela*.

Haridwar, którego nazwa oznacza „brama do bogów”, leży zaledwie o godzinę jazdy od Ryszikeś i jest jednym z najświętszych miejsc w Indiach. Legenda mówi, że jest jednym z czterech miast, na które spadły krople *amrity*, kiedy demony i wrogowie walczyli o *kumbh*, czyli dzban, z nektarem. Tego dnia odbywał się *ardh kumbh*, wyznaczający połowę upływu czasu pomiędzy pełnymi *kumbhami*, które przypadały raz na 12 lat. Dobre miejsce na praktykowanie jogi oddania. Mieliśmy też zamiar zanurzyć się w Gangesie i odwiedzić najświętsze sanktuaria w mieście.

Zaczęliśmy od świątyni Maa Mansadevi, uznawanej za jedną z dwunastu najważniejszych świątyń w północnych Indiach. *Mansa* oznacza życzenia, a *Devi*, czyli bogini spełniająca owe życzenia, była — co raczej nie dziwi — czczona wyjątkowo. Wsiadliśmy do kolejki linowej (trzyminutowa jazda oszczędziła nam godzinnej mozolnej wędrówki po stokach Siwalik) i dołączyliśmy do tysięcy hinduskich pielgrzymów. Z każdego kąta świątyni wystawała pomarańczowa ręka, domagając się pieniędzy w zamian za błogosławieństwo i *kum-kum*. Po godzinie przesuwania się w tłoku, ograbieni z ostatniej rupii, dotarliśmy wreszcie do sanktuarium Mansadevi. Żeby uczcić ten szczególnie moment, zły człowiek w pomarańczowym ubranku wyrwał nam plastikowe torby, w których mieliśmy tanie dary dla bogini — kawałki kokosa i plastikowe bransoletki, kupione przed świątynią — i rzucił je bezceremonialnie na ziemię za siebie. Widząc ich los, poczułam zadowolenie, że nie szarpnęliśmy się na paczkę deluxe — różnaitość owoców i „złote” bransoletki zawinięte w czerwony błyszczący papier. Na koniec stanęliśmy przed dwoma drzewami, na których wisały tysiące żółtych i czerwonych nitek. Wierni zawiązywali nitkę na jednym drzewie, a jeżeli ich życzenie zostało

spełnione, wracali i odwiązywali nitkę z tego samego drzewa. Niestety, w tym zamieszaniu źle zrozumiałam wskazówki Pana Gościnnego i odwiązałam czyjąś nitkę, niweczając w ten sposób szansę na spełnienie moich i jego życzeń. Miałam jedynie nadzieję, że nie chodziło o nic ważnego.

Po depresyjnym obiedzie w centrum Haridwaru, w deszczu, wśród rozpadających się domów, kurcząt i żebraków, ruszyliśmy wąskimi, bocznymi uliczkami nad Ganges, mijając po drodze dzieci bawiące się w rynsztokach, targ z mnóstwem straganów z różnokolorowymi grzebieniami oraz mężczyźni demonstrujących zalety plastikowych maszynek do mielenia mięsa. Brzegi rzeki, pokryte rzędami beżowych namiotów, z których każdy mógłby pomieścić zastęp harcerzy, wyglądały jak małe, opuszczone miasteczko. Spodziewałam się zobaczyć tłum wiernych, pragnących zmyć grzechy przez zanurzenie się w uwielbianej świętej rzece, którą według hinduskich wierzeń zesłał na ziemię król Bhagiratha, żeby prochy jego krewnych zostały obmyte z grzechów i mogły wstąpić do nieba. Jak przeczytałam w książce Swamiego Sivanandy *Mother Ganges*, sprawy zaczęły się wymykać spod kontroli i król musiał poprosić Siwę, żeby powstrzymał nurty rzeki, która groziła zalaniem całej ziemi. Na szczęście Siwa sprostał zadaniu, przyjął rzekę na swoje włosy i pozwolił, żeby po nim spływała.

Wydawało mi się też, że do rzeki będą ciągnąć całe gromady *sadhu*. Widziałam w telewizji relację z pełnego *Kumbh Mela* — podobno tłum był tak wielki, że widać go było z kosmosu. *Sadhu*, odziani jedynie w szary popiół *wibhuti*\*, palili przy ogniskach gliniane fajki albo ochoczo wskakiwali do wzburzonej wody, wymachując trójzębami, flagami i bębenkami, z głośników rozlegały się ich okrzyki: „Rama, Rama!”

\**Wibhuti* — święty popiół z krowiego łajna spalanego w rytualnym ogniu, Wykorzystywany w hinduistycznych ceremoniach religijnych.



i „Jai Ganga!", a policja usiłowała zaprowadzić porządek w ogarniętym religijnym entuzjazmem tłumie.

Teraz nie było żadnych pielgrzymów, poza jedną damą, którą mąż i siostra zanurzali w pełnym ubraniu w wodzie, a ona próbowała zasłonić sobie bieliznę, oraz mężczyznę z bezwładnymi nogami, któremu z kolei kąpiel zapewniała grupka przyjaciół. Jedynym naszym towarzystwem byli policjanci, którzy wymachiwali pałkami nie wiadomo po co. Poszliśmy kawałek w górę rzeki i znaleźliśmy śliczne miejsce na skraju pól — kilka metrów dalej jakaś kobieta myła po obiedzie naczynia, a para krów okazywała żywe zainteresowanie dla mojej girlandy z czerwonych róż. Wcale nie chciałam im jej dać, bardzo się do niej przywiązałam, kupiwszy ją za 50 rupii od drobnej dziewczynki z mądrymi oczami w dzierganej chustce na głowie. Podziękowała mi z wielką powagą i wróciła do nawlekania girland.

Do wody schodziło się po stopniach, był też łańcuch, którego można się było przytrzymać. Pan Gościnny skropił sobie głowę, po czym wycofał się dyskretnie. Teraz ja się zanurzyłam — do samych kolan. Woda była lodowata, ale wytrzymałam kilka chwil, głównie za sprawą słońca, które nieoczekiwanie rozbłysło w wodzie. Roześmiałam się na cały głos. Nabrałam wody w dłonie i polałam sobie głowę. Kropelki wielkości brylantów tańczyły w słońcu. Było mi obojętne, że grupka gapiów patrzyła, jak dziwna biała lady w sukni Bractwa Białej Szaty zmywa z siebie grzechy. Odrywałam po kolei róże i wrzucałam je do wody, patrząc, jak Matka Ganga zabiera je nieubłaganie ze sobą. Krowy przyglądały się temu z żalem. Nie miałam wątpliwości, że rzeka działa na mnie kojąco. Przypomniałam sobie, co mówił Sonu, dumny właściciel niewielkiego sklepiku naprzeciwko Madras Café:

— Bardzo lubić Ganga. Siadać u niej i mieć umysł w spokoju. Boleć mnie głowa albo dużo hałasu w sklepie, ktoś mówić: „Puść mantry, puść Krishna Das, puść Deva Premal",

to ja iść do Ganga, a wtedy „ach, Shanti”, ja wachać mech i mieć pustą umysł.

Następnym przystankiem była aśrama Sri Śri Ma Anan-damayee, „Pełnej Błogości Matki”, urodzonej w Bengalu Wschodnim w 1896 roku. Kiedy miała zaledwie dziewięć miesięcy, zwrócił na nią uwagę przechodzący mędrzec. Ogłosił ją „Wcieloną Matką” i tak, nieco przedwcześnie, rozpoczęła się jej kariera. W dzieciństwie, podobnie jak Amma, głównie wyśpiewywała imię Pana, rozmawiała z roślinami, zwierzętami i niewidzialnymi istotami, wpadała w trans, miała ataki, które zniekształcały jej ciało, no i przypalała obiady. Później twierdziła, że od urodzenia była świadoma swojego Wiecznego Ja. Wydano ją za mąż w wieku 13 lat, za Bholonatha\*, ale związek nigdy nie został skonsumowany. Kiedy mężowi przychodziły do głowy myśli o seksie, ciało żony sztywniało i wysyłało wstrząsy elektryczne. Miał nadzieję, że to się z czasem zmieni, ale kiedy sytuacja się utrzymywała, w 1921 roku został jednym z jej najbardziej oddanych uczniów, mimo że rodzina nalegała, by znalazł sobie nową żonę. Dwa lata później Ma Anan-damayee przestała się odżywiać. Jej wyznawcy, bojąc się, że „opuści ciało”, zaczęli ją karmić. Jeździła po całych Indiach od 1932 do 1982 roku, kiedy weszła w *samadhi*. Wszędzie otaczała ją powszechna cześć. Nie zgadzała się jednak na tytuł guru, mówiąc, że jest jedynie „małą dziewczynką”. W rzeczywistości była zachwycająco piękną kobietą z ciemnymi, długimi włosami, wydatnymi kośćmi policzkowymi i dużymi, ciemnymi, łagodnymi oczami, jakby zapatrzonymi w odległy świat.

Usiedliśmy na stopniach i patrzyliśmy, jak popołudniowe słońce ogrzewa cichą świątynię z białego marmuru, w której mieściło się sanktuarium jej *samadhi*. Zza rogu wyłonił się stary człowiek w pomarańczowych szatach. Miał bladą, pergaminową skórę, niewielki garb, duży, haczykowaty nos i oczy

W hinduizmie tytuł osoby duchownej.

jak koraliki. Poruszał się z trudnością z powodu paskudnego oparzenia na nodze; pomarańczowe skarpetki i bandaż opadały mu na białych łydkach.

Twarz Pana Gościnnego rozjaśniła się.

— Swami Vljayananda — szepnął do mnie konspiracyjnie. — Widziałem go 10 lat temu i nie myślałem, że znów będę miał takie szczęście.

— Usiądźmy na chwilę — powiedział starzec. Rozdawał pomarańcze wśród małej grupki ludzi zgromadzonej wokół niego, opowiadając nam, jak to w wieku 36 lat przyjechał do Indii w poszukiwaniu duchowego przewodnictwa. Kiedy porzucił swoją praktykę medyczną we Francji, która przynosiła mu bardzo dobry dochód, jego sąsiedzi kręcili głowami i mówili: „Na pewno chodzi o kobietę”. Co w jakimś sensie było prawdą. Po raz pierwszy zobaczył Ma 2 lutego 1951 roku o godzinie szóstej po południu w jej aśramie w Waranasi. Później wspominał, że ta chwila była jak „rzucenie zapalanej zapalki na beczkę prochu”. Po kilku godzinach, kiedy był w swoim pokoju hotelowym, zrozumiał, że właśnie znalazł guru, którego szukał. To była miłość, ale nie miłość ziemską, która prowadzi do rozczarowań i cierpienia, lecz miłość wieczna, jaka zdarza się pomiędzy guru a jego wyznawcą — „miłość czysta i jasna”, zdolna uwolnić od doczesnych przywiązań. Nigdy już do Francji nie wrócił.

Byłam ciekawa, czy poglądy Prasada na temat jogi są w Indiach powszechne, więc zapytałam, czy nadal ćwiczy asany.

— Za czasów mojej młodości trudno było spotkać kogoś, kto dzielił moje rozumienie jogi i duchowości. Ale teraz interesuje się tym dużo ludzi. To ten wasz New Age. Rzeczywiście, ćwiczyłem, kiedy przyjechałem do Indii, ale teraz już nie, mam 89 lat. Uczyłem się u pewnego mistrza. Ćwiczyłem codziennie. Ale, wiecie, w Indiach asany mają drugorzędne znaczenie wobec reszty jogi. Na Zachodzie to przedmiot naj-

większej troski, ale tu nie. Wielu Hindusów, zwłaszcza tych wykształconych, praktykuje jogę, ale nie na sposób zachodni, nie poświęcają asanom tyle uwagi. Dla nich one nie są jakieś niezwykle. Traktują je jak codzienną czynność, którą się wykonuje samemu w domu.

— Coś takiego jak dla mojego ojca gin z tonikiem na koniec dnia? — spytałam.

Swami Vijayananda roześmiał się.

— Może. Dla Hindusów oprócz asan ważne są inne rzeczy: wegetariańska dieta dla zachowania lekkości i *ahimsa*. Ale na Zachodzie jest zimno, więc trzeba jeść mięso. — W skupieniu zjadł plasterk pomarańczy. — Jednak Zachód powoli się zmienia. Coraz powszechniejsza jest wiedza o tym, jak są traktowane i zabijane zwierzęta. Wiecie, Budda jadł mięso, ale tylko od zwierząt, które nie były zabijane specjalnie na pożywienie, czyli takich, które umarły ze starości albo zginęły w wypadkach.

— Czy w czasach Buddy było wiele wypadków? — spytał ktoś z tłumu.

Wszyscy się roześmiali, łącznie ze Swamim Vijayanandą.

Spędziliśmy blisko godzinę z uroczym Swamim, siedząc na marmurowych stopniach i patrząc na coraz dłuższe cienie padające na *samadhl mandir*. Nie mieliśmy ochoty odjeżdżać, ale nasz dzień poświęcenia dla Boskości powoli się kończył, nie mówiąc o tym, że z powodu mokrych włosów miałam już dreszcze z zimna. Zanurzenie się w Gangesie było ekscytujące, a spokój i łagodna inteligencja Swamiego Vijayanandy stanowiła przyjemną odmianę po „życzeniach za pieniądze” w świątyni Maa Mansadevi.

Caroline tłumaczyła mi, że według *Adwajtawedanty*, najważniejszego kierunku hinduskiej filozofii, Bóg jest wszędzie i we wszystkim. Ta koncepcja nigdy nie odzyskała dla mnie takiej oczywistości, jaką miała pod rozgwieżdżonym nie-

bem w Turcji, ale łatwiej mi się było do niej zbliżyć w Ryszikeś czy Haridwarze niż gdzie indziej. Miałam wrażenie, że zarówno MP, jak i Pan Gościnny mają w sobie coś niewzruszonego, jakąś wewnętrzną jasność i świetlistość. Podobał mi się pogląd, że zostaliśmy ulepieni z tej samej gliny — że mój *Atman* — moje Wieczne Ja — był esencją *Brahmana*, uniwersalnej kosmicznej świadomości. Nigdy nie umiałam pogodzić się z dualistyczną koncepcją Boga jako czegoś zupełnie różnego ode mnie. Czułam się wtedy mała i samotna. Myśl, że moje Ja jest częścią czegoś znacznie większego i że nie jestem w tym jedyna, stanowiła ulgę, jakby jakiś ciężar spadł mi z ramion.

Ostatni dzień pobytu w Ryszikeś postanowiłam poświęcić na inny rodzaj *bhaktijogi*: przyglądanie się, jak bogaci obdarzają miłością i oddaniem swoje ukochane bóstwo — pieniądze. Wynajęłam kierowcę, który zawiózł mnie do miejsca pracy Vinaya P. Menona. Ośrodek Ananda in the Himalayas leżał o pół godziny jazdy i kilka mil luksusu od mojego hotelu.

Wiele oczekiwałam po *tym* pięciogwiazdkowym spa, ale nie spodziewałam się, że podróż wzdłuż krętej, wyciętej w himalajskich zboczach drogi będzie tak ekscytująca. Akhil, mój kierowca, pokonywał wszystkie serpentyny z wielką werwą, w pełnym pędzie mijając tablice typu: „Piłeś, nie jedź” oraz „Życie jest piękne, warto żyć, żeby się o tym przekonać” i rozpędzając stada małych bawiących się na środku drogi. Szybujące nad nami orły trójkami przysiadły dla odpoczynku na gałęziach, ciesząc się widokiem zielonego dywanu lasu, zamglonego w porannym słońcu. W dolinie poniżej leżał Ryszikeś otoczony wstęgą świętej rzeki i cichy z tej odległości.

Vinay przywitał mnie w żółto-niebieskiej Wicekrólewskiej Sali do Herbaty, w której naturalnych rozmiarów portrety maharadży Tehri Garhwalu, lorda Mountbattena i In-

diry Gandhi spoglądały na różany ogród. Potem pokazał mi najstarszy w Indiach stół do bilardu — świadka bytności „najsłynniejszych politycznych osobistości” — obwieszony żyrandolami Wicekrólewski Hol, dawniej lodowisko maharadży, oraz Wicekrólewski Apartament, z prywatnym tarasem, łóżem z baldachimem, teleskopem, jacuzzi oraz oddzielną służbą.

Wskoczyliśmy w białe, luźne ubranka i popędziliśmy w kierunku nowoczesnego spa. Powitał nas kamienny Ganeśa obwieszony pomarańczowymi kwiatami, na każdym stoliku stały miseczki z różowymi płatkami, a ściany pokrywały misterne, geometryczne tantryczne *jantry* ze złotymi intarsjami, przedstawiające kosmiczną jedność. Vinay z dumą pokazywał mi ogromne, wpuszczane w podłogę wanny, z których patrzyło się na góry, płytki basen z kamieniami z Gangesu, który użytkownicy sauny obchodzili siedem razy zgodnie ruchem wskazówek zegara, piękne, mosiężne naczynie, z którego kapał olejek na trzecie oko w czasie luksusowego zabiegu *Sirodhara*.

— Co za cudowny zapach — zauważyłam, bo przypomniał mi się różany ogród obok Pałacu Wicekróla.

— W zasadzie mówimy na to „aromat” — odpowiedział.

Pokazał mi różne miejsca, które jego uczniowie, tacy jak Melinda Gates i bracia Barclay, mogą sobie wybrać na prywatne lekcje jogi. Był więc ośmiokolumnowy muzyczny belweder, gdzie miała swoje zajęcia Zoe Williams, był amfiteatr, wykładana drewnem weranda w Pałacu Wicekróla oraz mój ulubiony — taras wychodzący na drzewka mango, przylegający do prostej sali poświęconej Sri Sri Ma Anandamayee. Według oficjalnej wersji Anandy Ma mieszkała tutaj przez 25 lat, ale Akhil powiedział mi, że bywała tu z rzadka, żeby udzielać *darsanów* maharadży, a raz udzieliła audiencji Indirze Gandhi. Tak czy inaczej, sam pokój oraz taras miały w sobie spokój, który ciągnął się aż po widniejące w oddali góry.

Nie mogąc wydać 150 funtów za jedną noc w standardo-

wym pokoju, postanowiłam zadowolić się obiadem oraz krótkim przystankiem w barze Pavilion. Patrzyłam na dumnie wystawione francuskie wina i inne trunki najlepszych marek. Oczy mi rozbłyły.

Widząc moje spojrzenie, Vinay wyprowadził mnie łagodnie.

— Madam, tu ludzie przyjeżdżają dla zdrowia i tak dalej, nie zachęcamy naszych gości do picia.

Rzeczywiście, w barze było pusto, a ja nie byłam jeszcze w takim stanie, żeby pić w samotności. Zasiadłam do obiadu w restauracji Tree Tops, pogratulowałam sobie *saući* — czystości ciała i umysłu — i dodałam kolejny dzień do rekordowych w rodzinie Edge trzydziestu czterech dni bez alkoholu. A wtedy mężczyzna przy sąsiednim stoliku otworzył z trzaskiem puszkę zimnego heinekena. Jak zahipnotyzowana patrzyłam na spływający do szklanki bursztynowy płyn.

Poddałam się pokusie chwili, kompletnie i natychmiast, i zamówiłam dwie. Nawaliłam się w ciągu pięciu minut. Szczerze mówiąc, bardzo mi się to przydało, bo jakoś nie umiałam się rozluźnić wśród wykrochmalonych obrusów i wykrochmalonych kelnerów. Właściwie wszyscy (oprócz Vinaya) byli tu sztywni, zwłaszcza goście. Nikt się nie śmiał, nikt się nawet nie uśmiechał. Pomyślałam, że może są nieszczęśliwi z powodu diet, jakie im zalecano, ale mój szaszłyk z ryby oraz niewiarygodne połączenie lodów z guajawy oraz tartej marchewki ugotowanej w mleku były pyszne, mimo że niskotłuszczowe. Nie, chyba raczej nie docierało do nich, że płacą kupę kasy za życie w raj, a nadal są nieszczęśliwi.

Zauważyłam, że jestem całkiem zadowolona ze swojego prostego życia. Przywykłam do długiego siedzenia w aśramach na twardej podłodze, do śpiewania w rytm tabli albo gitary, do wysiadywania nad brzegiem Gangesu i patrzenia, jak wielka rzeka oczyszcza wszystko na swojej drodze, do chodzenia w beznadziejnych, ukrywających figurę ciuchach. Nie byłam

jeszcze gotowa zrezygnować z wygod pokoju w Great Ganga ani z makijażu, ale przez trzy tygodnie chodziłam po Ryszikeś z wełnianym poncho do kolan, zielonym płaszczu przeciwdeszczowym i wełnianej czapce, ze smugami *kumkum* na czole. Ewidentnie sobie odpuszczalam i było mi z tym dobrze.

Umówiłam się z Panem Gościnnym na ostatnią kolację w Madras Café. Lał deszcz, nie było prądu, generator warczał, jedliśmy na spółkę „zdrowy pilaw po himalajsku” *ipanir tikka másala*, a okna coraz bardziej zachodziły parą. MP dał mi pożegnalny prezent — torebkę podróżną z ukrytymi kieszonkami i haftem odstraszającym zło. Płakałam w swój ryżowy pudding z kokosem i rodzynkami, w ramię Pana Gościnnego, a na sam koniec w nocy w poduszkę.

Wyjeżdżałam z Ryszikeś, gdzie moją świątynią stała się Madras Café, a moimi bóstwami MP i Pan Gościny. Mogłam być zadowolona ze swojej pobożności — przez trzy tygodnie chodziłam do Madras Cafe dwa razy dziennie, w deszczu i gradzie. I być może udało mi się doświadczyć prawdziwej jogi Ryszikeś.



## II

„Tu jest garb jak u wielbłąda”

Wyjeżdżałam z Ryszikeś tak samo, jak przyjechałam — w głębokich ciemnościach. Mój ambassador posuwał się powoli w porannej mgle w kierunku dworca w Haridwarze, mijając niewyraźne kształty krów i rowerzystów. Na stacji zobaczyłam coś, co wyglądało jak stosy ubrań. A potem ubrania zaczęły się poruszać — w świetle nabierały ludzkich kształtów. Na peronach spały całe rodziny — stali mieszkańcy dworca. Powoli ustępowali miejsca rezydentom tymczasowym, którzy stali przy ścianach niczym widzowie oczekujący na spektakl. Pierwsza scena musiała być dla nich znajoma — stragany z *ćaiem* po trzy rupie za kubek, nastoletnie dziewczęta i brzuchaci mężczyźni próbujący dokonać dyskretnego pomiaru na czerwonej wadze, której wyświetlacz miał chyba metr szerokości,

bagażowi polujący na zamożnie wyglądających biznesmenów i kobiety zajęte gromadą dzieci.

Kiedy wsiedliśmy do pociągu, strumień *ćaiu* zamienił się w prawdziwą rzekę, płynącą korytarzem w obie strony i unoszącą ze sobą plastikowe miednice, podskakujące w górę i w dół w rytm okrzyków: „Czips, ciastkaaa, czeekolada”. Na śniadanie można było dostać albo wegetariański kotlet, albo niewegetariański omlet, do tego dwa kawałki białego chleba zawinięte w papier z uśmiechniętą buzią, która zapewniała: „Jedzenie umyte — zdrowie znakomite”. Pociąg włókł się niemiłosiernie przez 260 kilometrów i z sześciogodzinnym spóźnieniem zatrzymał się przed stacją w Delhi. Kilku biznesmenów z ważnymi walizkami, spóźnionych na ważne spotkania, wyskoczyło z wagonu i ruszyło wzdłuż torów na piechotę.

Gdy tylko pociąg wtoczył się na peron, rozpętało się piekło. Żaden z pasażerów nie mógł wysiąść, bo bagażowi, w swoich czerwono-złotych mundurach, przypuścili szturm. Wciśnięta gdzieś między ciotki, dzieci i rozsierdzonych biznesmenów mogłam tylko patrzeć, jak moja walizka, którą kazano mi zostawić na drugim końcu wagonu, unosi się i oddala. „Stać, złodziej!”, krzyknęłam, ale mój głos utonął w tym pandemonium. Wydostanie się na peron zabrało mi tyle czasu, że zdążyłam pożegnać się z walizką na zawsze. Dlatego gdy zobaczyłam ją na głowie bagażowego, nie posiadałam się ze szczęścia. Szczęście szybko zamieniło się w złość, kiedy jego towarzysz zbrodni, wygadany cwaniaczek, przedstawił mi swoje warunki: 100 rupii dla bagażowego, 500 rupii za taksówkę do miasta. Nie chciałam zapłacić, a bagażowy nadal trzymał walizkę na głowie. Impas trwał kilka minut. Stało się jasne, że nic nie wskóram, dopóki nie dam za nią pieniędzy. Ale 500 rupii za 3 kilometry to już była gruba przesada. Gdy tylko bagażowy postawił walizkę na ziemi, wcisnęłam mu należność w dłoń i popędziłam na oficjalny postój riksza.

Niestety, afera z bagażem nieco mnie przytrzymała i teraz zostałam osaczona, niczym łowne zwierzę, przez ujadający tłum — wszyscy mieli wściekłe oczy i groźnie gestykulowali. Chciałabym móc powiedzieć, że wobec takich przeciwności losu wzięłam kilka joginicznych oddechów, a tłum rozstąpił się przede mną, czując moje pokojowe vibracje. Ale to by było kłamstwo. Tak naprawdę powiedziałam, a właściwie krzyknęłam, a właściwie wrzasnęłam, co następuje: „Nie chcę żadnej pieprzonej taksówki! Odwalcie się i dajcie mi święty spokój”. Koniec z *ahimsą* — brakiem przemocy. Mdlejący Swami na pewno byłby rozczarowany i zaniepokojony, że taki wybuch spowoduje efekt bumerangu, ale ja przynajmniej uzyskałam efekt chwilowej dezorientacji — gdy tylko tłumaczenie trochę się rozeszło. Dzięki temu mogłam kupić w kasie kupon za 32 rupie, który uprawniał mnie do przejazdu na Karol Bagh, i wskoczyłam do czekającej rikszy.

Delhi nie miało czasu. W swoim pędzie ku nowoczesności nie zatrzymywało się nawet, żeby zaczerpnąć oddech — wyrzucało w niebo estakady i drapacze chmur, poszerzało linie metra. Czułam się maleńka, siedząc w rikszy i wdychając spalinę trzypasmowej autostrady. Co za kontrast w porównaniu ze spokojnym, staromodnym Ryszikeś. Brakowało mi czystego powietrza, wspierających Himalajów, pogody ducha MP i przyjaźni Pana Gościnnego. Musiałam gdzieś się schronić do czasu odjazdu pociągu do Madrasu. Jeden ze znajomych z Divine Life opowiadał mi o restauracji Angan Vegetarian na Karol Bagh; brał ją za delhijski odpowiednik Madras Café. Wydawała się dobrym miejscem na obiad i odpoczynek przed czekającą mnie podróżą — 36 godzin jazdy, o ile pociąg się nie spóźni.

Kiedy zostawiliśmy za sobą ruchliwe, wypełnione spalinami ulice i wjechaliśmy na Karol Bagh, zaczęłam się rozluźniać. Tu, w starszej części Delhi, życie toczyło się wolniej. Poprosiłam rikszarza, żeby wyrzucił mnie na rogu zatłoczonego

ulicznego targu ze wszystkim — obok *lungi* wisały tu dresy amerykańskich marek i dziewczęce nylonowe sukienki w kolorach jasnego różu i żółci. Szczupłe dziewczęta, przyuczane do zawodu sprzedawcy ulicznego, demonstrowały na ramionach zalety krzykliwych torebek i brzęczących bransoletek. Ich bracia, zbyt szczupli w pasie, żeby założyć sprzedawane paski, też zawieszali je sobie na rękach niczym ogromne, splątane bransoletki. Kierując się mapą, którą dostałam od znajomego, skręciłam w następną boczną uliczkę i doszłam nią do ulicy wypełnionej warsztatami samochodowymi, stosami części zamiennych na chodnikach i rozebranymi samochodami.

Wreszcie doszłam do Angan. Chyba znalazła się tu cała ludzkość. Ośmioosobowe rodziny próbowały pomieścić się na długich ławkach, na wąski chodnik wysypywały się nadmiarowe niemowlęta i osiemdziesięcioletni starcy. Menu obejmowało Indie północne, południowe, a następnie rozgałęziało się do Chin, Ameryki i Włoch. Zdecydowałam się na indyjskie *thali* i deser lodowy „Miesiąc miodowy Bikano”.

Dość szybko usiadł koło mnie wystrojony menedżer jednego z okolicznych tanich hotelików. Przedstawił się jako Joseph. Okazało się, że praktykował jogę od trzynastego roku życia, najpierw w aśramie w Kerali, a potem w seminarium w Agrze, które skończył, gdy miał lat 21.

— Ze mnie jest katolik, bardzo elastyczny, ale nie chciałem być mnich. Chciałem normalne życie. Ludzie myślę, że joga tylko dla hindusi, że chrześcijanie i muzułmanie jej nie robić. Ale Jezus być w Himalaje, mówić do ludzi i siedzieć w lotosu.

Zacząłmy rozmawiać o zainteresowaniu Zachodu jogą, które było bardzo widoczne w jego rodzinnym Kovalam, nadmorskim kurorcie w Kerali.

— Wracać do domu i widzieć kursy joga na plaży. Martwię się, bo oni nie ćwiczyć dobrze. — Zaczął bezładnie machać rękami, co miało naśladować jakiegoś białego ćwiczącego

jogę. — Martwię się, że to dla nich krzywda. Oni muszą trzymać oddech i tempo, bo inaczej joga jest tylko gimnastyka. Lino Miele, nauczyciel włoska *astanga*, przyjeżdża do Kova-lam każdy rok. Dużo zachodni student przyjeżdża, ale bardzo drogo. Dlaczego oni nie chcą hinduski nauczyciel?

Zauważyłam, że wielu szuka hinduskich nauczycieli, ja sama właśnie jadę do Madrasu do T.K.V. Desikachara, ale też część osób albo woli jeździć ze swoimi stałymi nauczycielami do Indii, albo nie może znaleźć w Indiach nikogo, kto by prezentował choć trochę znajomy styl.

Zapytałam, czy zna wielu Hindusów ćwiczących asany.

— W duże miasto młode kobiety chodzą na gimnastykę i do salonu piękności jak zachodni. Kurs asana to dla bogatej młodej kobiety nowa moda.

Rzeczywiście, w styczniowym numerze indyjskiej „Elle” ukazał się artykuł o nowoczesnych kobietach, w którym młodą instruktorkę jogi, Deepikę Mehtę, przedstawiono obok modelki, didżejki i projektantki mody. Deepika uczyła w Bombaju „power jogi” — połączenia *astangi*, pilates i baletu nowoczesnego — i na jej zajęcia było mnóstwo chętnych.

— Joga pochodzi z Indii, ale moja wiedza o niej pochodzi z Zachodu — zauważyłam ze smutkiem.

— Artykuł jest słuszny — zgodził się ze mną Joseph. — To bardzo niestety, że joga przychodzi przez zachodnią dominację. Aleja się cieszyć, że młode kobiety robią asana. — Przerwał i zamyślił się. — Prawdę powiedzając, dużo starsze kobiety lekceważą ćwiczenie. A bogate kobiety grubieją. Może robić w domu *hatha joga*, łagodny asana i *pranajama*, ale nie chodzić codziennie na kurs jak zachodni. Oni idą w poświęcenie *bhaktijoga*, kobiety z klasą średnią codziennie robią *pudża* dla męża i dzieci.

— A biedni? — spytałam. — Czy w ogóle praktykują jogę?

— Na wsi biedne kobiety nigdzie nie chodzą, zawsze

ciężko pracować. Ciężko pracować fizycznie, asana niepotrzebna. Dużo kobiety rozbijać kamienie. A ich mężowie pewnie pić.

Widziałam te drobne kobiety, ze skórą pociemniałą i stwardniałą od słońca, jak pracowały na placach budowy, nosząc na głowie zaprawę. Przez cały dzień mieszały beton, a oprócz tego wykonywały wszystkie prace domowe. Były zbyt zajęte walką o przetrwanie, żeby rozkładać błękitną matę, nawet gdyby mogły sobie na nią pozwolić.

Spytałam Josepha, czy sam nadal praktykuje.

— Po pracy za bardzo zmęczony, tak samo jak każdy Hindus. Kiedy jest pora na joga, my jedziemy do pracy. Nowoczesne życie musi być bez joga. Joga musi być co dzień. Trzeba wstawać przed wschód słońca, robić część w łazience, a potem *pudża* i asana. Wszystko ma konkretną porę. Jak się robi joga w życiu, to nie trzeba doktora. Ale nie możemy tak robić w nowoczesne życie, bo mamy pracę.

Podobnego zdania był przystojny i inteligentny urzędnik rządowy, z którym jechałam do Madrasu.

Kedarnarth odłożył *Furie* Salmana Rushdiego i prostując nogi w kapciach, tłumaczył mi:

— Nie ćwiczymy jogi w zachodnim stylu w dużych grupach na kursach. Część Hindusów jest pod opieką jakiegoś nauczyciela, ale grupy są małe albo chodzi się na indywidualne zajęcia. Częściej praktykujemy jogę w domu, ćwiczymy mniej asan, a więcej medytujemy. Poza tym robimy oddechy i odprawiamy *pudzie*. Korzystamy z jogi w sensie umysłowym, dla jasności widzenia i mądrych wyborów. To część naszego codziennego życia, o ile praca nam nie przeszkadza. Ja sam staję na głowie jak nasz Nehru. Wracam wieczorem do domu i nogi w górę, głowa w dół. A potem piję gin z tonikiem.

Ciekawa byłam, czy mój ojciec dałby się przekonać do „nogi w górę, głowa w dół” przed wieczorną szklaneczką ginu. Chyba raczej nie.

— Większość uczniów ćwiczy jogę w ramach zajęć pozalekcyjnych — ciągnął Kedarnarth. — Ale potem rezygnują. Nie da się pogodzić jogi z pracą.

Opowiedziałam mu o moim miesięcznym kursie w Madrasie.

— Zanim Zachód zaczął się interesować jogą, traktowaliśmy ją jak coś oczywistego — odpowiedział z zastanowieniem, głaszcząc się po brodzie. — Ale Zachód stworzył w Indiach nowy rynek jogi. Co najwyżej 30 procent Hindusów ćwiczy jogę, ale mniej niż jeden procent praktykuje na poważnie. Niektórzy zarabiają na jodze niezłe pieniądze, głównie ucząc cudzoziemców. Przed sprytnymi ludźmi otwiera się wiele handlowych możliwości. Sprzedawanie jogi Europejczykom to niezły interes.

Chętnie kontynuowałabym ten temat, ale Kedarnarth szybko przeszedł do omawiania poglądów Noama Chomskyego.

— To czołowy amerykański dysydent intelektualny. Czytałaś jego zbiór esejów? — Wyciągnął gruby tom. Musiałam przyznać, że nie. Przez ostatni rok czytałam książki o jodze, a ostatnio zrobiłam sobie przerwę na rzecz *Pretendenta do ręki*. — Ach, Vikram Seth. Rzeczywiście błyskotliwie napisane — powiedział z uznaniem. Ale szybko wrócił do Chomsky ego. — Prawdę mówiąc, George Bush jest takim samym fundamentalistą jak Saddam Husajn. Brytyjczyk to wie, ale Amerykanin nie. Amerykanin nie rozumie, że w tej wojnie chodziło o ropę.

Hindusi z klasy średniej traktują politykę bardzo poważnie. Już kilka razy w ciągu ostatnich tygodni zdarzało mi się żałować, że tak mało czytam. Kedarnarth miał więcej szczęścia, poruszając bolesny temat kast. Podczas swojej podróży widziałam mnóstwo wykluczonych ludzi — *haridżanów* albo inaczej *dalitów* — i jakoś nie umiałam wytłumaczyć sobie, że to po prostu karma tych biedaków, że za sprawą przeznacze-

nia są „niedotykalni”, a wszystko, czego dotkną, staje się nieczyste.  
— System kastowy to ostatni i najbardziej niepożądany symbol dawnego dziedzictwa — oznajmił Kedarnarth, a ja zgodziłam się z nim z całego serca. — Mam do niego wstręt. Należy go zakazać w naszym państwie.

Ucieszyłam się, że znaczenie polityczne tych grup rośnie i że nie da się ich już dłużej ignorować.

Tę ciekawą rozmowę przerwało nam w samym środku pojawienie się eleganckiego Grubego Kolejarza z jeszcze grubszą żoną. W trakcie prowadzonej po angielsku dyskusji dowiedzieliśmy się, że nowo przybyły zajmuje wysokie stanowisko na kolei i jest odpowiedzialny za dystrybucję surowców. Od tej pory traktowano go z szacunkiem zarezerwowanym dla brytyjskiej rodziny królewskiej. W tweedowej marynarce, koszuli, krawacie i wypolerowanych butach wyglądał niczym przedstawiciel ziemiaństwa, z tą jednak różnicą, że miał na palcu pierścionek z żółtym szafirem. Jego obecność wywarła na nas takie wrażenie, że z Kedarnarthem uznaliśmy za swój obowiązek wynieść się z przedziału. On zajął sąsiedni, który był na szczęście wolny, a ja usiadłam na korytarzu przy oknie. Najbliższe 24 godziny mijały nam na zmianę wśród głośnego chrapania (jego i jej) oraz rozmów telefonicznych — jej w hindi do przeróżnych członków rodziny, a jego po angielsku do agentów giełdowych.

Próbowałam zająć się lekturą *Pretendenta do ręki* i wyglądaniami przez podwójnie grube i podwójnie brudne okna, które rzucały żółtą poświatę na pola centralnych Indii. Niektóre sceny widziałam w zbliżeniu — niekończące się trawy, sady, wysokie stosy pomarańczy w miednicach, stada kóz z młodymi, skaczące na skakankach uczennice w wyprasowanych bluzkach i plisowanych spódniczkach, wozy zaprzężone w woły, liczne rodziny zgromadzone przed niewielkimi chatarni. Jednak w większości były to widoczne w dalekim planie



lasy i górskie pasma, których nie udało mi się zidentyfikować przy pomocy przewodnika, odległe miejsca, których nigdy nie odwiedzę. Marzyłam o tym, żeby się tam znaleźć i napełnić płuca świeżym, leśnym powietrzem, ale okien nie dało się otworzyć. Byłam uwięziona w środku i na siłę karmiona mieszanką zapachów smażonego jedzenia i Grubego Kolejarza.

Na noc musieliśmy wrócić do jednego przedziału. Niewiele spałam, a kiedy się obudziłam, zobaczyłam, że tuż obok mojego ucha śpi karaluch. Kiedy w niedzielny poranek pociąg wjeżdżał do Madrasu, nie miałam czym oddychać. A gdy wreszcie pozwolono nam otworzyć drzwi, wyskoczyłam na peron tak szybko, jak tylko pozwalała mi walizka, po czym odbyłam swoje własne, nieformalne zajęcia z *pranajamy*. Nikt nie zwracał na mnie uwagi — Madras jest miastem biznesmenów i wszyscy mieli dużo ważniejsze rzeczy do roboty niż gapienie się na hiperwentylację w wykonaniu białej kobiety. Mimo to czułam lekkie drżenie nie tylko w płucach, ale i w żołądku — oto byłam w Madrasie, dynamicznie rozwijającej się stolicy Tamil Nadu, tropikalnego, południowo-wschodniego stanu Indii, miasta z czterema milionami mieszkańców i jedną żywą legendą jogi.

W Krishnamacharya Yoga Mandiram (KYM) miałam być o czwartej po południu. Szkoła leżała po drugiej stronie miasta, ale — przynajmniej według mapy — prowadziła do niej prosta droga, a ja miałam dużo czasu. Po obowiązkowej konferencji geograficznej rikszarzy przed hotelem ruszyliśmy z pełną prędkością. Najpierw zawróciliśmy na drodze dwupasmowej, potem skręciliśmy ostro w lewo, w szeroką ulicę, przy której mieściły się liczne sklepy z jedwabiami, zakłady krawieckie, drogie sklepy jubilerskie oraz dom towarowy.

Jak

zwykle bieda była na wyciągnięcie ręki. Minęliśmy śmierdzący

most, pod którym rozłożyły się slumsy ze ścianami z poszarpanego, niebieskiego brezentu, i zatrzymaliśmy się obok żebraka z kikutami zamiast nóg, siedzącego na wózku domowej roboty i obserwującego pojazdy stojące na światłach. Dałam mu 100 rupii. Wyglądał, jakby wygrał na loterii. Przez cały czas pobytu w Indiach nie przywykłam do widoku tych ludzkich upiorów, nie wypracowałam też sobie stałych zasad postępowania. Byłam niekonsekwentna. Raz dawałam kilka rupii, innym razem 100; czasem nie dawałam nic i odwracałam się w drugą stronę, bo to było łatwiejsze niż świadomość, że choćbym dała wszystko, co mam, to i tak będzie za mało. Potem było mi wstyd za samą siebie, więc przy następnej okazji wpadałam w finansową przesadę.

Ku mojemu zdziwieniu podjechaliśmy pod szkołę, położoną przy spokojnej bocznej uliczce, już po piętnastu minutach. I to bez żadnych problemów, mimo licznych zakrętów, które nijak się miały do prostej trasy na mapie. Ogarnął mnie świetny nastrój. Niebo było błękitne, jak to zimą na południu Indii. Żadnego deszczu jak w Ryszikeś — i żadnych nauczycieli jogi, którzy mieliby problem z powiekami. De-sikachar był głową wielkiej rodzinnej dynastii, która sięgała wiele stuleci wstecz, szkoła cieszyła się renomą jednej z najlepszych na świecie, a ja za chwilę miałam poznać czterdziestu współposzukiwaczy prawdy ze wszystkich zakątków świata. Nie mogłam trafić lepiej.

Przed szkołą stało już ze trzydzieści par kłapek i sandałów. Tworzyły tak idealnie prostą linię, jakby ktoś je ustawił za pomocą linijki — ale to tylko czujne oko strażnika, który z ustawiania butów uczynił sobie codzienną praktykę jogi. Przeszłam obok tradycyjnych tamilskich *kolamów* — geometrycznych symboli zapewniających ochronę i pomyślność usypywanych na ziemi z kredy, a pełne wdzięku, skromne kobiety w eleganckich szmaragdowych i szafirowych sari podarowały mi powitalną girlandę z białych kwiatów.

Stałam na werandzie naprzeciwko ukwieconego portretu Patańdzalego, rozmawiając nerwowo z innymi studentami. Na kurs przyjechało wielu nauczycieli jogi. Liv i Johan uczyli od niedawna — pracowali dla szwedzkiej firmy, która oferowała zestresowanym biznesmenom ajurwedę, jogę i medytację. Roxanne prowadziła świetnie prosperujący interes na drugim końcu świata — miała dziesięć grup w tygodniu i masowała mieszkańców Sydney, którzy pragnęli rozciągnąć się jeszcze o parę centymetrów na desce surfingowej albo na macie. Savannah, która bardzo tęskniła za swoim mężem i dwójką dzieci, miała w Arkansas własną szkołę jogi i często zapraszała do Stanów na warsztaty Kausthuba, syna Desikachara. David, nauczyciel jogi i twórczego pisania, napisał książkę o tym, jak joga wspomaga przepływ twórczości. Jego żona też była nauczycielką jogi i naturopatką. Tak naprawdę w naszej grupie tylko dwie osoby, oprócz mnie, nie były nauczycielami jogi. Beckle był stolarzem z Brooklynu, a Harley rzucił właśnie dobrze płatną pracę w Silicon Valley i przyjechał na rok do Madrasu, żeby komponować muzykę i uczyć się jogi.

Wysłano nas na górę do sali przypominającej krytą słomą chatkę, w której słońce przeświecało między listewkami w bambusowych ścianach, rzucając geometryczne cienie na mozaikę rudych, pomarańczowych, brązowych i czerwonych *dhurrie*, grubych dywaników. Uśmiechnięty i siwobrody Sri Tirumalai Krishnamacharya, ojciec Desikachara, z dłońmi złożonymi do modlitwy, rozdawał błogosławieństwa z ogromnej, biało-czarnej fotografii obwieszanej żółtymi kwiatami. Wkrótce sala była już pełna uczniów w wieku od 25 do 65 lat. Wszyscy się uśmiechali i wyglądali na wyluzowanych. Chyba wszyscy czuliśmy się ciepło i bezpiecznie, hermetycznie odcięci od zewnętrznego świata, jeżeli nie liczyć głosów dzieci bawiących się na ulicy i śpiewu ptaków.

Kierownictwo szkoły siedziało z przodu sali na jasnoniebieskich plastikowych krzeselkach. T.K.V. Desikachar, znany

od tej pory jako „Sir” oraz pan Sridharan, dyrektor administracyjny i przyjaciel Sira od 25 lat, mieli na sobie takie same *węsti* z białego lnu i koszule z krótkimi rękawami i długopisami wystającymi z kieszeni. Jednak ich fizyczne przeciwieństwo wprowadzało wyraźną nutę komediową i przywodziło na myśl różne śmieszne pary — Mały i Duży, Abbott i Co-stello, Flip i Flap. Sir był niskim mężczyzną z krzaczastymi brwiami, równiutkim przedziałkiem w siwych włosach i jastrzębim nosem. Zza okularów w prostokątnych oprawkach patrzyły błyszczące oczy. Pan Sridharan nosił okulary owalne, bez ramek, miał niedostrzegalne brwi, a głowę łysą i gładką jak jajo, jajo z ujmującymi, łagodnymi oczami, przytwierdzone do długiej tyczki.

Pan Sridharan, nazywany czule Szefem, wyjaśnił, że szkoła jest prowadzona jak *sanga*, pracująca wspólnie „dla służby dla ludzkości” na zasadach non-profit. Szef pracował tu bez wynagrodzenia, podobnie jak doktor P. Jeyachandran — „bogaty w wiedzę i ubogi w banku” — który przekazywał na rzecz KYM pieniądze otrzymywane od indyjskiego rządu za pracę z dziećmi specjalnej troski.

Uzdrowiająca moc jogi już od dawna była wpisana w rodzinne DNA. Sri Tirumalai Krishnamacharya urodził się w 1888 roku w szanowanej rodzinie, która wywodziła się od żyjącego w IX wieku jogina i świętego, Nathamuniego, autora *Yoga rahasya*, czyli „Sekretów jogi” — klasycznego tekstu o leczniczych właściwościach jogi. Jako nastolatek studiował Wedy, sanskryt i Sankhję — czyli *darśany*, filozoficzne podstawy dla praktykowania jogi — przez osiem lat mieszkał w Himalajach ze Sri Ramamohanem Brahmacharim, który w końcu posłał go w świat, żeby szerzył naukę o uzdrawiających właściwościach jogi. Jak przeczytałam w książce *Sri Krishnamacharya. Żywa legenda*, on sam powiedział, że „joga J<sup>e</sup>st jak operacja, tyle że bez narzędzi”. Żeby poszerzyć działanie<sup>nie</sup> j<sup>o</sup>gi, stał się orędownikiem znacznie bogatszego wachlarza

asan — do tej pory większość z nich stanowiła odmiany pozycji siedzących, stosowanych podczas medytacji.

Przy swoim głęboko konserwatywnym bramińskim wychowaniu Krishnamacharya, paradoksalnie, doprowadził do kilku prawdziwych trzęsień ziemi w sposobie nauczania jogi i jest odpowiedzialny za „renesans *hatha jogi* w czasach współczesnych”, jak nazwał to Georg Feuerstein, autor ponad 30 książek o jodze. Kiedyś joga należała do wąskich grup społecznych, głównie wtajemniczonych mężczyzn z najwyższych kast, a Krishnamacharya uczył także ludzi świeckich, którzy przyjeżdżali do niego do Mysore, a nawet kobiety. Jedną z pierwszych była Litwinka, Żenią Lubanskaja, którą przyjął do siebie na naukę, z początku pewnie niechętnie, na prośbę maharadży, swojego mecenasa. Żenią, która później przybrała imię Indra Devi, jako jedna z pierwszych wyniosła jogę na Zachód — w 1947 roku przybyła do Hollywood, gdzie uczyła między innymi Marilyn Monroe, Grete Garbo i Glorię Swanson.

Iyengar rozpoczął swoją międzynarodową karierę w latach 50. ubiegłego wieku od wyjazdów do Szwajcarii, Londynu i Paryża — tournée zorganizował mu Yehudi Menuhin — i kontynuuje te podróże do dzisiaj. Pattabhi Jois, który obchodzi 90. urodziny w lipcu 2005 roku\*, nadal odbywa podróże, które zmęczyłyby wielu ludzi o połowę młodszych od niego, a na jego pokazy przychodzą takie sławy jak Willem Dafoe, Christy Turlington, Demi Moore, Sting, Madonna i Gwyneth Paltrow.

Oprócz poszerzenia podstaw jogi z kilku asan do bardzo wielu, przeniesienia jej ze Wschodu na Zachód, od wąskich grup społecznych do szerokich rzesz mężczyzn i kobiet, ogromnym i niepowtarzalnym wkładem Krishnamacharyi do współczesnego obrazu jogi było jego późniejsze przekonanie,

\* Pattabhi Jois zmarł 19 maja 2009 r., już po ukazaniu się angielskiego wydania tej książki.

że praktyka powinna być dostosowana do potrzeb jednostki. Taki pogląd propagował również jego syn. Krishnamacharya zwracał uwagę swoim uczniom, żeby „uczyli tego, co mają w sobie, ale nie tak, jak to pasuje im samym, ale jak pasuje innym”. Desikachar głęboko wierzył, że w KYM nie powinno być jednego podejścia, takiego samego dla wszystkich — dlatego nie było żadnego gotowego zestawu ćwiczeń, poza podążaniem wraz z oddechem i wydłużaniem tego oddechu.

Joginiczne DNA Krishnamacharyi odziedziczył Desikachar, a po nim jego dzieci. Kausthub, miły, pulchny 28-latek, był naczelnym dyrektorem szkoły, znaną za granicą twarzą imperium Desikachara oraz naszym nauczycielem „teorii asan”. Jego młodsza siostra, Mekhala, była bardzo podobna do ojca. Skończyła inżynierię i właśnie wróciła ze Stanów, gdzie studiowała. Miała być jednym z czterech instruktorów asan. Ich mama, Menaka, prowadziła popołudniowe zajęcia z „jogi stosowanej”. Była piękną, kokieteryjną kobietą z niezwykłym poczuciem humoru i szafą pełną sari — nigdy nie widzieliśmy jej dwa razy w tym samym.

Córeczka Kausthuba, niemowlę ubrane w purpurowy atłas, całe dnie z zapalonym czołgała się po podłodze, usiłując wyciągniętą rączką dosięgnąć ukochanego tatusia. Zastanawiałam się, kim będzie, gdy dorośnie. Może napisze *Jogasutry II*, długo wyczekiwany sequel. A może zbuntuje się i pojedzie do Bollywood.

Nagle okazało się, że mamy po kolei podchodzić do mikrofonu. Stawaliśmy przed wszystkimi, mówiliśmy coś o sobie i dostawaliśmy różę, jutową torbę z pięcioma kilogramami książek i płyt KYM oraz pomarańczowy *dhurrie*, który potem nosiliśmy ze sobą przez cały dzień — każdy z nas przywiązał się do swojego dywanika, jak do dzieciennego kocyka, nawet imaliśmy sobie na nich poobiednie drzemki. Przez te *dhurrie* czułam się bardzo daleko od londyńskich szkół jogi — żadnych toreb Nuala, żadnych niebieskich mat.

Studenci KYM znaleźli się tu z bardzo różnych powodów.

— Przeczytałam o Yoga Mandiram w Internecie, będąc w galerii handlowej w Tokio.

— Przyjechałem, bo przeczytałem *Serce jogi* Sri Desikachara.

— Polecił mi ją mój nauczyciel ze Sztokholmu.

— Joga pomogła mi dojść do siebie po raku piersi. Każdy miał poczucie, że znalazł się we właściwym miejscu.

— Mam wrażenie, że odbyłem podróż do serca jogi.

— Zawsze chciałam przyjechać do Indii, uczyć się od Sira i chłonąć największe tradycje jogi.

— Wybrałem Madras, bo tu są najlepsze *masala dosa*.

Wprawdzie prawie wszyscy w ten czy inny sposób pracowali z ciałem — na kursie było 26 nauczycieli jogi, a resztę w większości stanowili alopaci, homeopaci, naturopaci i osteopaci — i na ogół byli zadowoleni z siebie, ale jakoś nie widziałam oznak rozdętych ego i na szczęście większość, a zwłaszcza Amerykanin poszukujący *mamlą dosa*, miała poczucie humoru.

Pod koniec dnia czułam przyjemne podniecenie. W tym „sercu jogi”, przy nauczycielach pochodzących wprost od starożytnego mędrca, na tych miękkich pomarańczowych *dhurrie*, wśród podobnie myślących ludzi, byłam wręcz skazana na postępy. Będę studiować sutry, uczyć się uzdrawiania za pomocą jogi, będę stać na głowie bez opierania się o ścianę i pracować nad *ćitta writti*. Jeszcze raz spróbuję zdjąć z siebie warstwę ego, żeby stać się ziarnkiem soli w oceanie szczęśliwości Ramakryszny.

Chodzenie do szkoły w wieku dorosłym niewiele różni się od chodzenia do szkoły w dzieciństwie. Siedzieliśmy na podłodze na zwiniętych *dhurrie* przy małych drewnianych biurkach.

Szybko wybraliśmy sobie swoje miejsca i zazdrośnie ich pilnowaliśmy. Przez pierwszy tydzień Beckle przysypiał w ostatnim rzędzie — przed wyjazdem musiał skończyć pilne zlecenie dla jakiegoś bogatego klienta, a teraz był wykończony i cierpiał z powodu jet-lagu. Savannah, Harley i ja siedzieliśmy przed nim, a przed nami Liv i Johan. I tak jak w klasie dziesięciolatków w pierwszym rzędzie było największe zagęszczenie tych, którzy nieustannie zadawali jakieś pytania.

Mieliśmy też swoich ulubionych nauczycieli. Kaus-thuba, który nosił niebieską koszulkę polo i płócienne spodnie, z łatwością można było sobie wyobrazić na polu golfowym, chociaż wyznał nam, że nie cierpi golfa. Był lubiany przez wszystkich, także dlatego, że opowiadał dużo dowcipów: „Ilu studentów jogi potrzeba do wkręcenia żarówki? Jednego, ale musi mieć dwie cegły, trzy krzesła, cztery wałki, pięć koców i sześć pasów”.

Szef też był lubiany, chociaż jego zajęcia były przeciwieństwem zajęć Kausthuba. Równie elegancki, ale w śnieżnobiałym *wešti* i szarej koszuli z dwoma długopisami w kieszeni, od samego początku zalewał nas morzem informacji. Pierwsze zajęcia z „Filozofii jogi” poświęcone były pochodzeniu jogi. Wedy wspominają o niej jako o „źródle wiedzy w starożytnych Indiach”. Szef opowiedział nam, że sutry zostały skodyfikowane przez Patańdźalego (w tym momencie poczułam się jak dziesięciolatka słuchająca bajki), który zstąpił na ziemię z szyją i głową węża, ale ciałem człowieka. Był sługą Wisznu, który wysłał go na ziemię, by położył kres ludzkiemu cierpieniu. Patańdźali dał więc człowiekowi trzy lekarstwa na cierpienie: jogę dla umysłu, ajurwedę dla ciała i gramatykę sanskrytu dla mowy.

Przez kilka następnych dni Szef rozwijał wątek celu jogi. Wyjaśnił nam, że „plan mentalny ma pięć stanów”, z czego dwa pierwsze doskonale znałam.

\**Kńptam* to stan umysłu typowy dla dziesięciolatków —



„stan wielkiego pobudzenia”, w którym umysł przypomina motyla. „W tym stanie nie możemy robić asan ani śpiewać mantr, ale możemy słuchać śpiewów”. Drugim stanem jest *mudham*, regularna chandra, w której „umysł jest stępiony, bezwładny i zachmurzony”. W takim właśnie stanie znajduje się ktoś, kto ma za sobą dziesięć godzin rozmawiania o margarynie. W trzecim stanie, czyli *viksiptam*, umysł jest w stanie się skupić, ale koncentruje się na robieniu czegoś albo myśleniu, a nie na medytacji. My powinniśmy zmierzać dalej, do *ekagraty*, czyli stanu, w którym umysł skupia się w jednym punkcie i może się skoncentrować w stanie wyższej kontemplacji. Ten punkt jest konieczny, żeby osiągnąć piąty stan umysłu, *niruddham*, „cel jogi” — stan, w którym umysł widzi wszystko jasno, bez zniekształceń *ćitta writti*, i jest jak „brylant bez skazy”. Jak dotąd, całkiem nieźle.

Gdzieś w okolicach trzeciego dnia weszłam w chaotyczny stan *ksiptam*. Moje notatniki pełne były niedokończonych zdań, przekreśleń i znaków zapytania. Nadażanie za myślą Szefa okazało się dla mnie tak samo trudne jak poruszanie się po Madrasie. Ale mapę Madrasu mogłam sobie kupić, a mapy jego umysłu ani wykładów nie byłam w stanie sobie wyobrazić za nic w świecie. Po części z powodu jego tamilsko--angielskiej wymowy, a po części z powodu struktury zajęć. Nie było w niej żadnych punktów ani wskazówek, nieustająco przeskakiwaliśmy z sutry II.5 do 11.29, a potem do 1.27, co było tak samo logiczne, jak wprowadzone przez Urząd Pocztowy w Madrasie zmiany numeru domu, w którym mieściła się szkoła, z 13 na 27, a potem na 31. Podobno zastanawiali się nad kolejną zmianą — znów na 13.

Podczas jednej z wyczekiwanych przerw omawiałam ten problem z kolegami. Siedzieliśmy na plastikowych krzeselkach na ocienionym podwórku Mandiram i walczyliśmy z komarami, popijając świeży sok kokosowy. Szef miał wielu wielbicieli. W jaki sposób z taką łatwością rozszyfrowywali jego ta-

milski? Chyba łatwiej im było dlatego, że lepiej znali sutry niż ja: Savannah wykładała je swoim uczniom na amerykańskim Południu, David i jego żona byli członkami grupy studiującej sutry; Johan studiował je sam w domu. Pocieszałam się frustracją Harleya z sąsiedniego *dhurrie* — siadaliśmy we dwójkę, żeby wymieniać się karteczkami „Nic z tego nie rozumiem” oraz czytać tłumaczenie książki Sira *Rozważania nadjogasu-trami Patańdzalego*. Próbowałam też przyjąć postawę Louise, która *przyznała*, się, że też niewiele rozumie, ale lubi jego wykłady i czuje, że „już samo bycie przy nim jest przebywaniem w obecności jogi”.

. Popołudniowe zajęcia z „jogi stosowanej” też mnie nieco zbijały z tropu. Prowadziła je żona Sira, Menaka. Mieliśmy obserwować i oceniać prawdziwe przypadki i na tej podstawie dobierać odpowiednie ćwiczenia. Pierwszym przypadkiem była Louise. Miała nie mówić, co jej dolega, więc przez całą godzinę oglądaliśmy ją, zadawaliśmy pytania, na które mogła udzielać jedynie krótkich, konkretnych odpowiedzi, kazaliśmy wykonywać różne asany, a wszystko to miało nam dostarczyć potrzebnych informacji. Menaka wspomagała nas swoimi pytaniami:

— Widzicie tu? — mówiła, wskazując na kark i ramiona Louise. — Widzieliście, jak robi asanę, nie? Jakie macie obserwacje?

Obchodziłam Louise dookoła, żeby sprawiać wrażenie osoby, która wie, czego szuka — marszczyłam brwi tak jak inni, brałam udział w szeptanych naradach, wydawałam z siebie pełne zastanowienia „hmmm” i „aha”. Wszyscy inni z entuzjazmem wypisywali na tablicy tysiące dolegliwości Louise: spięte uda, sztywna dolna część kręgosłupa, sztywna górna część kręgosłupa, napięte ścięgna podkolanowe. Aż cud, że w ogóle jeszcze mogła chodzić. Menaka patrzyła z powątpiewaniem na niektóre diagnozy i przepisywane przez studentów asany, ale Przyjmowała wszystko ze zwykłą pogodą ducha. W końcu po-

stanowiła skończyć naszą udrękę. Wskazała punkt pomiędzy łopatkami Louise i oznajmiła z szerokim uśmiechem:

— Tu jest garb jak u wielbłąda.

Miałam też problem ze zrozumieniem mowy ciała na zajęciach z „Teorii asan” prowadzonych przez Kausthuba. Nigdy mnie nie poprosił o narysowanie na tablicy sekwencji pozycji wstępnych, które prowadziły do tak zwanej „pozycji docelowej” — szczytowego momentu praktyki. Wśród dziesięciu rąk, które wystrzeliwały w górę po pytaniach typu: „Czy *bu-jangasana* jest przeciwważna dla *sarwagasany*?”, „Czy *sarwan-gasana* jest skutecznie przeciwważna dla *sirsasany*?”, nigdy nie było mojej. Próbowalam rozwiązywać te problemy samodzielnie, ale mój zeszyt wypełniały jedynie kolejne postacie ludzików z wieloma rękami i nogami, które próbowały dojść do niemożliwego. Kawałek mózgu odpowiedzialny za takie opanowanie jednogodzinnych lekcji, żeby nie stały się, jak mówił Kausthub, „jednym pasmem męczarni”, poległ na placu boju. Ten brak naturalnych umiejętności zaczynał mnie już zniechęcać. Natomiast inni byli zachwyceni.

Większość pytań pilnych studentów na ogół wyprzedzała zdecydowana Niemka, siedząca na stanowisku dowodzenia w pierwszym rzędzie. Podnosiła rękę nawet trzy razy w ciągu jednej lekcji. Nic nie umknęło spojrzeniu jej sokolich oczu. Nasza klasa otrzymała dość znaczny przydział osób nazywanych za moich szkolnych czasów kujonkami. Pewna Amerykanka hinduskiego pochodzenia była alopatką, natu-ropatką i homeopatką z bardzo długą listą klientów. Udało jej się jednak wcisnąć w swój tygodniowy plan zajęć jeden dzień w szkole oraz 30 godzin studiów. Całe dni pracy w reklamie wyglądały przy tym jak lekki spacer. Była bardzo ambitna i opowiadała mi z zapałem:

— Moją misją jest uczenie ludzi oddychania. Zamierzam nagrać instruktażowe filmy wideo, a może nawet zrobić program w telewizji. To mój cel, tak samo, jak być kobietą.

Cel „bycia kobietą” udawało jej się realizować bez problemów — co najmniej jeden student z zaawansowanej grupy oszalał na jej punkcie, a w domu też miała faceta.

Na szczęście w klasie były też inne szkolne typy. Liv z młodzieńczą buzią elfa, jasnymi włosami i hipisowskim stylem ubierania została klasową pięknoscią. Christophe też miał w sobie coś z elfa, ale miał też usta Micka Jaggera, dołki w policzkach i seksowny francuski akcent — chyba niewiele kobiet było odpornych na jego urok. Z kolei Harley był uroczym maniakiem muzyki, całymi dniami siedział w swoim mieszkaniu i komponował coś na iMacu; Roxanne, wesoła „dziewczyna z sąsiedztwa”, miała ciało Elle Macpherson i bogaty zasób świńskich dowcipów; Savannah było dobrą klasową mamą, to do niej się zwracaliśmy, gdy nachodziła nas chandra *mud-ham*; no i oczywiście był też miłośnik sportu — zawodowy gracz w golfa, który u siebie w Illinois uczył dzieci z biednych środowisk.

Pojawił się też nowy typ, którego za moich czasów w szkole nie było. Johan został klasowym „znawcą miasta”. Bardzo szybko zorientował się, gdzie są najlepsze sklepy, kluby i restauracje, zauważał, kiedy nasze ubrania miały dobrze dopasowane kolory, i zawsze wyglądał nienagannie. Z łatwością sobie wyobrażałam, jak przyjmuje przyjaciół w swoim wielkomiejskim apartamencie — skrapia truskawki octem balsamicznym i prezentuje wspaniałą zastawę. On, Liv i ja jeździliśmy do szkoły jedną riksą i zawsze musiałyśmy na niego czekać. I nie chodziło o to, że poprzedniej nocy położył się szczególnie późno spać, po prostu rano miał strasznie dużo rzeczy do zrobienia. Otwierał nam drzwi z przepaszającym uśmiechem, mając na sobie jedynie swoje urocze dołeczki i ręcznik zakrywający niewielki kawałek jego gładkiego ciała. Jakoś za każdym razem bez trudu mu wybaczałam.

Jedynymi zajęciami, na których nie padały żadne pytania, były zajęcia, na których obowiązywał zakaz mówienia. Ale one też były źródłem wielu frustracji. Dzień zaczynał się o 7 rano od ćwiczenia asan. Z reguły ćwiczyliśmy pojedynczo, tylko z nauczycielem, ale szkoła miała za mało miejsca, żeby każdemu z 40 uczniów zapewnić indywidualne, codzienne zajęcia, więc zostaliśmy podzieleni na dwie grupy. Moja grupa chodziła do pobliskiej Vedavani, szkoły pieśni wedyjskich. Mieliśmy tam salę niemal identyczną jak w głównym budynku i podobnie błogosławioną przez zdjęcie Krishnamacharyi.

Geetha Shankar, administratorka kursu i nauczycielka asan, w cudowny sposób pokazywała nam poszczególne pozycje ubrana w sari — z powodu fałdów trudno nam było zauważyć szczegóły, ale byliśmy zachwyceni gracją jej ruchów, wytwornymi manierami oraz faktem, że jej okulary oraz długie włosy zebrane w kok w każdej pozycji pozostawały na swoim miejscu. Naszą drugą nauczycielką w ciągu pierwszego tygodnia była Mekhala. Szare spodnie dresowe i T-shirty dobitnie świadczyły, że miała za sobą edukację w Stanach, chociaż równie często pojawiała się w *śalwar kamiz*. Jej krótkie, silne, gibkie ciało zdradzało przynależność do joginicznej dynastii — demonstrowała wszystkie pozycje bez najmniejszego wysiłku, ale też bez popisywania się i widocznego ego. Zaczęła uczyć dzieci w szkole, kiedy sama była jeszcze dzieckiem, w wieku 12 lat. Była niewątpliwie bardzo inteligentna. Uczyła swojego brata pieśni, wielokrotnie widywaliśmy ją też, jak śpiewała mantry ze swoim ojcem. Zawsze wydawało mi się to czymś przerażającym, ale ona nigdy się nie denerwowała, zawsze wyglądała na skupioną i ześrodkowaną. Obie uczyły nas jogi, którą nazwałam „jogą dla emerytów” — każdy ruch był tak powolny, że nawet moja babcia dałaby sobie radę. Każdą pozycję powtarzaliśmy po kilka razy, zawsze zaczynając od oddechu.

Niebieskie maty antypoślizgowe wcale nie były ko-

nieczne — za wolno się poruszaliśmy, żeby się poślizgnąć. Stawaliśmy na swoich *dhurrie*, na wdechu unosiliśmy ręce nad głowę i opuszczaliśmy je na wydechu. Podnosiliśmy ręce z wdechem nad głowę i w *uttanasanie* próbowaliśmy dotknąć czołem goleni na wydechu. Z wdechem podnosiliśmy ramiona do *wirabhadrasany I*, czyli pozycji wojownika I — jedna noga prosta, druga zgięta pod kątem 90 stopni — i prostowaliśmy zgiętą nogę z wydechem. Z dłońmi i kolanami na podłodze wyginałymi plecy jak koty, patrzyliśmy na pępek i robiliśmy wydech; wdychając powietrze, wyginałymi kręgosłup, udając przeciągającego się psa. Kładliśmy się na plecach z ugiętymi kolanami i na wdechu unosiliśmy biodra w górę do *dwipada pitham*, czyli „półmostka”. W *apanasanie* wraz z wydechem przyciągaliśmy kolana do klatki piersiowej, a potem odsuwaliśmy je powoli i robiliśmy wdech. Powtarzaliśmy wszystko sześć razy, naprawdę bardzo wolno — miałam wrażenie, że dziesięciominutowa rozgrzewka, którą znałam z londyńskich kursów, zamienia się tu w pełne, jednogodzinne zajęcia. Były one zadziwiająco męczące, bardziej mentalnie niż fizycznie. Miałam ochotę podskakiwać, robić coś dynamicznego, cokolwiek — miałam dość ruchów wykonywanych w ślimaczym tempie i narastających *ćitta writti*. Czy my się wreszcie zaczniemy ruszać? Tęskniłam za mocną kawą podawaną po zajęciach, za czymś, co by mnie przekonało, że jeszcze żyję. Wypijałam ją jednym haustem i gadałam jak najęta podczas śniadania, ciesząc się, że mam już za sobą mentalną torturę poleceń „powoli”, „z oddechem”, „po prostu oddychaj”.

Przed południem wracałam do Vedavani na lekcję śpiewu pieśni wedyjskich. Przy mojej burzliwej historii śpiewania mantr nie byłam do końca pewna, czy mam wydawać dodatkowe 200 dolarów na te nieobowiązkowe zajęcia, ale uznałam, że poczyniłam pewne postępy w Kerali i na *satsangach* Shanti Mayi i że skoro pojawia się kolejna szansa przeżycia *mudity*, to powinnam ją wykorzystać. Poważną zachętą

były też ciastka i muffinki z ośrodka dziennej opieki dla dzieci z zespołem Downa — codziennie dostarczali do Vedavani dwie tace słodkich wypieków. Jeżeli lekcje śpiewu nie „poniosą mnie do nieba” tak jak *satsangi* Shanti Mayi, to muffinki na pewno.

Lekcje śpiewu okazały się bardzo ciężką pracą — starsi studenci powiedzieli mi, że „śpiewanie wedyjskich pieśni jest jak chodzenie na siłownię”. Ale warto było wytrwać, bo — jak mówił Sir — „wedyjskie śpiewy są czyścicielem”. Wymagają jednak bardzo precyzyjnej wymowy — zapisywanej za pomocą ciągów kropek i kresek, nad i pod poszczególnymi literami. Jak się pomylisz, to może się okazać, że prosisz, by na twojego ukochanego guru wylała się wściekłość piekieł, a nie rzeka błogosławieństw. Nic więc dziwnego, że Shobana Srinivasan, nasza nauczycielka, była perfekcjonistką, zwłaszcza że na uroczystości pożegnalnej mieliśmy śpiewać przed samym Sirem.

— Musicie wymawiać doskonale.

— Tu jest H z kropką u dołu. Głoska przydechowa!

— Wyrzućcie tę literę z siebie.

— Tu jest S z kropką u dołu. Retrofleks, zagnijcie do góry czubek języka.

Chodziło o to, żebyśmy śpiewali jednym głosem, bez wahania. Biada nam, jeśli „wątpliwość będzie z nami”.

Pomimo swojego perfekcjonizmu Shobana nie była tyranką. Szczerze mówiąc, wszyscy ją uwielbialiśmy. Zdecydowanie była moją ulubioną nauczycielką. Tłoczyliśmy się wokół niej w półokręgu, siedząc po turecku na zwiniętych *dhurńe* i walczyliśmy o jej pochwały, zupełnie jak w przedszkolu. Rzeczywiście ciężko pracowaliśmy, ale też cieszyliśmy się bardzo, kiedy udawało nam się zaśpiewać jednym głosem: *tapanna-pamayatanam, naksatranamayatanam* i *yassamvathsarasyayata-nam*. Była to też, przynajmniej dla mnie, najbardziej udana medytacja; podobnie jak na sesjach u Shanti Mayi zapomina-

łam się na chwilę lub dwie. Tym razem jednak nie dlatego, że śpiewy brzmiały jak anielskie głosy — prawdę mówiąc, wedyjskie śpiewy brzmią dość twardo; to taki niemiecki w świecie mantr — ale z powodu niesamowitej koncentracji.

Lekcje medytacji prowadziła nasza ulubiona starsza siostra, Sarawathi, oraz macierzyńska doktor Latha Satish, w której było coś staroświeckiego, może z powodu wyprostowanej sylwetki, okularów i gładko upiętego koka. Zawsze zaczynaliśmy od powolnych asan — nawet wolniejszych niż podczas porannych zajęć „jogi dla emerytów”, była to bardziej „joga z domu starców”. Ale właśnie tego potrzebowaliśmy — późnym popołudniem panował okropny upał i byliśmy już mocno zmęczeni. Niestety, moje *ćitta wṛtti* dawały o sobie znać, jak tylko zaczynaliśmy *pranajamę*.

Od czasu przyjazdu do Indii nie zrobiłam w tej dziedzinie wielkich postępów. Ciągle gubiłam się przy liczeniu oddechów, rozpraszały mnie komary na kostkach, podmuch wentylatora na karku i prace budowlane na ulicy. Albo popadałam w przesadę — wstrzymywałam oddech na całą minutę, a potem nie mogłam złapać tchu do końca zajęć. Nie umiałam skoncentrować się na temacie sesji — czasem chodziło o badanie roli zmysłów, czasem o medytowanie nad dyscypliną *tapas*, oczyszczaniem ciała, mowy i umysłu. Starłam się nie czuć rozczarowania, kiedy moi koledzy snuli opowieści o medytacyjnej ekstazie.

— Czułem niewiarygodny spokój. Serce otworzyło mi się do słońca. Czułem, jak unosi się we mnie energia *kundalini* i otwiera się czakra korony, jak rozwija się tysiąc płatków lotosu. Czułem wielką błogość.

— Czułam jedynie oddech, zjednoczyłam się z nim zupełnie.

— Medytowałem nad *santoszą*, zadowoleniem z bycia tym, kim się jest. Wszystkie moje wady i zalety zlały się w jednej istocie.



Sarawathi i doktor Latha Satish uśmiechały się zachęcająco, a inni studenci zaczęli nazywać sesje medytacji „lekcjami błogości”.

Na ironię zakrawał fakt, że staraliśmy się odnaleźć spokój umysłu w jednym z najbardziej hałaśliwych i zanieczyszczonych miast w Indiach, a może nawet na całym świecie. Madras może i był osadzony w zamierzchłej przeszłości, stąd pochodziły starożytne dynastie Chola i Pallawów<sup>1</sup>, tu zakładali swoje siedziby ormiańscy i portugalscy kupcy. Potem pojawiły się silne wpływy brytyjskie, a samo miasto zostało założone w 1639 roku przez sir Francisa Daya z Kompanii Wschodnio-indyjskiej. Ale dziś były to Indie we wszystkich swoich skrajnościach. Podobnie jak w Pune, Bangalore i Delhi pojawiały się coraz liczniejsze oznaki rosnącej zamożności — coffee shopy, niezliczone kawiarenki internetowe, ogromne klimatyzowane kina, w których wyświetlano najnowsze produkcje Hollywood oraz hollywoodzkie marzenia, włoskie, meksykańskie i chińskie restauracje, hotele Sheraton i Holiday Inn z basenami, barami, siłowniami i salonami piękności, sklepy znanych projektantów, salony wystawowe z europejskim wyposażeniem wewnątrz, a zaraz obok tego wszystkiego firmowe znaki miejskiej nędzy — rynsztoki, kobiety i mężczyźni leżący bez sił na chodnikach, parszywe psy oraz zapach alkoholu w oddechu ciemnoskórego rikszarza z przekrwionymi oczami. Powrotne jazdy do hotelu były praktykowaniem *aparigrahy*, o której wspominał mężczyzna ze smokiem — tyle że tym razem mówimy o braku przywiązania dla samego życia. Liv, Johan i ja siedzieliśmy ściśnięci w rikszy, usiłując rozmowami

---

<sup>1</sup>Dynastia Pallawów panowała w latach 275-882, dynastia Chola w latach 1000-1279.

przytłumić ściskający żołądki strach i nie zauważać samobójczej taktyki naszego kierowcy, który ocierał się o przeogromne koła ogromnych ciężarówek, na światłach wciskał się pomiędzy pasma ruchu, a światła czerwone ignorował kompletnie.

Nasz hotel, New Woodlands, polecono nam w KYM, a w Internecie przedstawiono go jako uroczy wegetariański hotelik, troskliwie prowadzony przez swojego właściciela. W rzeczywistości było to małe miasto, w którym mieściła się kwaciarnia, sklep spożywczy, biuro podróży oraz dwa salony piękności — jeden dla kobiet, drugi dla mężczyzn. Miejsca wystarczyło na zorganizowanie promocji książki, przyjęcia z okazji wejścia w wiek dojrzewania, przyjęcia zaręczynowego i hinduskiego wesela — jednocześnie. A hinduskie wesela małe nie są. Każdego wieczoru pojawiał się przynajmniej jeden pan młody w złotym turbanie i na obwieszonym klejnotami koniu wjeżdżał do rozświetlonego ogrodu wypełnionego wodospadami i marmurowymi posągami. Towarzyszyły mu bębny, śpiewy karnatackie\* oraz okrzyki pijanych kumpli, którzy wspierając się wzajemnie na wątych barkach, dawali ostatni pokaz braterskiej solidarności. W ciągu dnia trąbiły klaksony, dzwoniły telefony, których nikt nie odbierał, Tannoy z sąsiedniego hotelu zapowiadał taksówki podjeżdżające bez przerwy, kierowcy zostawiali swoje samochody z włączonym radiem i traktowali je jak stereo, na które nie mogli sobie pozwolić, młoty pneumatyczne pracowały przy remoncie basenu, z ciężarówek wyładowywano sprzęt nagłaśniający, a kelnerzy w beżowych koszulach, brązowych spodniach i czapczkach Nehru przemierzali trasę między pokojami a kuchnią z wyrazem twarzy, który oscylował między obojętnością a wrogością. Przeliczali napiwki na twoich oczach, a jeżeli były za małe, dawali ci to wyraźnie odczuć. Jeden kelner zabrał mi gazetę

\*Muzyka karnatacka — najstarszy rodzaj klasycznej muzyki indyjskiej z podaniowych Indii.

i przeszukał kosz na śmieci, próbując dodać coś do napiwku, który uznał za niewystarczający.

Dlaczego siedziałam tam przez cały miesiąc, skoro zasnąć dało się jedynie ze stoperami w uszach? Nie chodziło przecież o pokój — pojedyncze łóżko z twardą jak kamień poduszką, krzesło ze sztucznej skóry, brązowe nylonowe zasłonki, popękane płytki na podłodze, brudne ściany — ani o prysznic, który wypluwał z siebie strumień żółtawej wody, o ile w ogóle działał. Może w grę wchodziła cena — 495 rupii za noc — oraz fakt, że nie było zbyt wiele innych możliwości. Zajrzałam do hotelu Shelter, ale okazał się tak bez wyrazu, że mogłby się znaleźć w dowolnym miejscu na ziemi, oraz do An-drha Mahila Sabha, nazywanego także Hotelem Turystycznym. Reklamował się jako „wygodny pobyt i wegetariańskie jedzenie”. Ale pomimo obietnicy „jajek gotowanych według życzenia”, żelazne łóżka i nierówne materace za bardzo przypominały mi Kaveri Lodge z Mysore i bladego Seana.

Zostałam w New Woodlands głównie dlatego, że byliśmy tam razem — ja, Johan, Liv i Bruno stworzyliśmy „Bandę czworga”. Brunona nie było na naszym kursie, ale mieszkał w pokoju obok Johana. Był Francuzem, pisarzem, miał wesoły uśmiech, portret Francisca Bacona w charakterze wygaszacza ekranu i zawsze jakąś ciekawą anegdotę na podorędziu.

— Piłem kiedyś piwo z Noamem Chomskym. Mój nauczyciel go uwielbia. On [Noam Chomsky] zawsze nosi ten sam krawat, więc nie musi o nic myśleć.

Żałowałam, że nie poznał Kedarnartha z pociągu do Madrasu.

Johan, Liv, Bruno i ja postanowiliśmy spędzić nasz pierwszy weekend na plaży w Mahabalipuram, o godzinę jazdy n<sup>a</sup> południe od Madrasu. Nie mogliśmy się doczekać — po ty”

godniu zamknięcia w klasach marzyliśmy, żeby się wykąpać i odetchnąć świeżym powietrzem. W piątek wyszliśmy z „lekcji błogości” dziesięć minut wcześniej i wróciliśmy do hotelu, żeby odebrać samochód, który poprzedniego dnia załatwiałam przez godzinę. Samochód się nie zjawił, więc po dwóch godzinach i czterech telefonach postanowiliśmy zrezygnować z misji i poddać się widocznej woli wszechświata — poszliśmy ukoić nadmiernie pobudzoną energię Sakti w barze pięciogwiazdkowego Taj Connemara. Po tygodniu zajęć jogi przeżyliśmy pewien szok kulturowy, zwłaszcza że w jednym końcu baru stał telewizor, w którym na Fashion TV leciał pokaz kostiumów kąpielowych, a w drugim końcu występowały dwie Filipinki. Zamówiłam kieliszek indyjskiego Chenin Blanc. Ostatni raz piłam alkohol w innym pięciogwiazdkowym schronieniu, w Anandzie w Himalajach, więc już po pięciu minutach radośnie wtórowałam Filipinkom wykonującym przeboje Britney i Madonny. Dziewczyny, bliźniaczki jednojajowe w turkusowych topach z cekinów i obcisłych czarnych spodniach, wyglądały jak azjatycki odpowiednik Cheeky Girls, ale nie miały takiego entuzjazmu. Kiedy śpiewały *Hotel California*, na scenę wdarła się pijana kobieta (nie ja) i zaczęła tańczyć; jej dwuletnie dziecko spało na barowym stołku, a mąż pokrzykiwał i cholerował.

Pomiędzy kawałkami Britney i Madonny ustaliliśmy, że Johan jest Lwem — „wszyscy mnie uwielbiają, chociaż nic w tym kierunku nie robię” — a cała reszta to Panny. W tym momencie mój umysł znajdował się już w pożądanym stanie *niruddham* — był prawdziwym „brylantem bez skazy”; Szef byłby ze mnie dumny. Reszta nieco mi się zatarła. Zdaje się, że Bruno opowiadał nam fabułę swojej pierwszej książki, w której występowała jakaś rodzina, jacyś szaleńcy z bombami w głowach, wyspa i Meksykanka — w każdym razie tyle pamiętałam następnego dnia. Po zamknięciu baru dotoczyliśmy się do recepcji, żeby zapytać o możliwość przenocowania w apartamen-

cie prezydenckim. Cena — 400 dolarów za noc — w ogóle nas nie zniechęciła; gorzej, że w apartamencie nie było jacuzzi.

Rano obudziłam się z potwornym kacem, ale czułam się w obowiązku pójść na publiczny sobotni wykład Sira. Pojawili się na nim niemal wszyscy ze szkoły. Referat był porażającą mieszanką skomplikowanych pojęć jogi — *samskara*, *samkalpa* i *samjoga* — ale przy swoim kacu mogłam jedynie robić pilnie notatki z nadzieją, że później coś z nich zrozumie. Oraz niestety zrezygnowałam z szansy na śpiewanie mantr po wykładzie, a zamiast tego udałam się z „Bandą czworga” na śniadanie i na zakupy.

Śniadanie zjedliśmy w kafejce pod nazwą Amethyst, która odtąd stała się naszym ulubionym miejscem na sobotnie przedpołudnia. Siedzieliśmy na ocienionej werandzie, otaczającej żółtą fasadę domu, który był kiedyś własnością książąt Jaipuru, i wpychaliśmy w siebie jajka, parówki, bekon, fasolkę, płatki, tosty, ciasto bananowe, kawę i sok. Przy marmurowych stolikach i na krzeselkach z giętego żelaza siedzieli madrascy yuppie, nawiązując przydatne znajomości i wywierając na ludziach odpowiednie wrażenie. Wśród oazy zieleni, przy *hookah*, fajkach wodnych aromatyzowanych mango i cynamonem, rozmawiali głośno po angielsku o swoich najnowszych reklamach i przedstawiali się sobie nawzajem w stylu: „Akash

— robił spoty do kampanii Indian State Bank” albo „Iravan”

— jego kandydaturę, jak się zdaje, rozważano na stanowisko dyrektora kreatywnego w BBDO.

Wszyscy oprócz Brunona poszli zrobić zakupy w eleganckim butiku tuż obok kafejki, w którym sprzedawano stylowe wyposażenie wnętrz i ubrania znanych projektantów. W całym Amethyst ja byłam osobą najbardziej uzależnioną — zakup kilku luźnych bluzeczek usprawiedliwiałam stwierdzeniem, że „nieważne, ile się wydaje, ważne, ile się oszczędza”. Poruszanie się po Madrasie oduczyło mnie przywiązania do życia. Nie znalazłam jednak sposobu, żeby pozbyć się przywiązania do faj-

nych ciuchów. W końcu opuściliśmy Amethyst, ale tylko po to, żeby zajrzeć do paru innych sklepów. Przez resztę dnia włóczyliśmy się w towarzystwie hinduskich nastolatków po Spencer's Plaza — ogromnej galerii handlowej obejmującej kilka przecznic. Młodzi chłopcy, spacerując po dusznych alejkach, trzymali się za ręce na znak przyjaźni, zaglądali do księgarni Landmark, żeby przejrzeć zachodnie wydania „Vogue” i „Elle”, i opierając się jeden o drugiego, gapili się z bezbrzeżną fascynacją na skąpo odziane kobiety, przełamujące hinduskie i muzułmańskie tabu. Liv, Roxanne i ja też sięgnęliśmy po „Vogue” i „Joga Journal”; wyglądały tak znajomo i przypominały nam o domu, kosztowały jednak po 500 rupii, więc wzorem indyjskich dziewcząt rzuciłyśmy się na wyprzedaż w Miss India — „przy zakupie jednego sari drugie za darmo” — i przymierzałyśmy całe naręcza fatalaszków, w sam raz na wieczorną imprezę.

Akurat w tę sobotę wypadały walentynki. Z tej okazji Savannah, jasnowłosa mamuśka z brzoskwiniową cerą, zaprosiła nas do swojego hotelowego baru. Park Hotel mieścił się zaledwie o dziesięć minut jazdy od New Woodlands, ale pod względem wystroju był odległy o kilka dekad. Woodlands miał marmurowe podłogi w stylu lat 70., przyciemniane szyby jak Southern Star w Mysore oraz umęczonych pracowników recepcji w formalnych strojach. Natomiast Park miał facetów w T-shirtach, którzy wyglądali, jakby właśnie skończyli pozować do sesji fotograficznej, szklane panele, pachnące świece i rzeźby w kształcie didgeridoo.

Kiedy przyszliśmy do hotelu, przyjęcie toczyło się już pełną parą. Savannah siedziała w kucki na fajnej skórzanej kostce.

— Cześć, witajcie w moim hotelu — zawołała. — Czujcie się jak u siebie w domu.

Kausthub właśnie wychodził. Mrugnął do nas okiem, łowiąc, że bardzo poruszył go widok grupy joginów pijących *pranę* w Leather Bar.

Harley rozdawał dziewczynom uściski i czekoladowe serduszka, a my zamawiałyśmy koktajle Ernesta Hemingwaya. Rozsiedliśmy się na skórzanych kostkach i patrzyliśmy, jak Jenifer (reprezentująca Illinois) i Annie (Devon) tańczą w rytm azjatyckich kawałków z Blue Planet Masala, którą to płytę DJ przywiózł sobie z Londynu. Jenifer i Annie tańczyły całkiem nieźle — udało im się nawet przekonać nieśmiałą początkowo Hinduskę, która była tu na randce ze swoim chłopakiem, żeby przyłączyła do ich gorącej mieszanki salsy i tańca brzucha. Chłopakowi nawet się to podobało, dopóki pewien niespo-krewniony z nim Hinduś nie postanowił przyłączyć się do zabawy — w tym momencie dziewczyna została odprowadzona na bok. Jej miejsce zajęła Liv, która szybko stała się obiektem uczuć wielu facetów, a zwłaszcza angielskiej drużyny krykieta, która potrzebowała towarzystwa, żeby móc wejść do hotelowego nocnego klubu. Nie mogłyśmy przecież zostawić Liv samej z tyloma przystojnymi facetami, prawda? Przez kolejne trzy godziny udzielałyśmy jej bezinteresownej pomocy, wdychając odurzającą mieszankę zapachu gwiazd krykieta, papierosów i wody po goleniu.

W niedzielę potrzebowaliśmy świeżego powietrza jeszcze bardziej niż w piątek, więc przyłączyliśmy się do nieoficjalnej szkolnej wycieczki do Mahabalipuram.

Wgramoliliśmy się do minibusa, który zapobiegliwie załatwił jeden ze starszych studentów, i w żółwym tempie wyjechaliśmy z zakorkowanego Madrasu, lecząc kaca. Świeże powietrze oraz widok morza i palm niemal wynagrodziły nam trudy podróży, w której kierowca nieustannie się gubił, uparcie wjeżdżał na wszystkie wyboje i co najmniej trzy razy o mało nie pozbawił nas życia.

Ideal Beach Resort otrzymał taką nazwę nie bez powodu. Miał basen, bar przy basenie, białą, piaszczystą plażę i ocienioną restaurację, w której podawano soki owocowe, sałatki i przepyszną rybę. Wszyscy mieli dobre intencje — prze-

glądanie notatek, uczenie się mantr, wkuwanie na pamięć sanskryckich nazw asan ćwiczonych w tym tygodniu — ale każdego coś rozpraszało. Wyjątkiem był Beckle, który od razu zasnął.

Liv grała w siatkówkę, a jej wysportowane ciało i skandynawska uroda oczarowały załogę Lufthansy, która miała tu przerwę między lotami. Wśród fal migwały anielskie skrzydła wytatuowane na plecach Brunona, a ja przyglądałam im się tak intensywnie, że całkiem zgryzłam słomkę, przez którą piłam sok kokosowy. Zaryzykowałam wejście do morza, żeby nawiązać kontakt z Brunonem i moją wewnętrzną Ursulą Andress, ale przewróciła mnie fala i o mało nie zgubiłam majtek od kostiumu. Johan poszedł na masaż i medytacje, a po powrocie położył się w jednym hamaku z Roxanne, zabawową wielbicielką Sydney.

— Ile razy w tygodniu czyścisz swoją perłę? — spytał Johan.

— Sama nie zajmuję się sprzątaniami — brzmiała natychmiastowa odpowiedź.

Wypiwszy strzemiennego w postaci pinacolady, zadowoleni i opaleni ruszyliśmy w powrotną drogę do Madrasu. „Banda czworga” zebrała się u Johana na balkonie. Zapaliliśmy świeczki, zamówiliśmy *masala dosa* i mleczne koktajle truskawkowego koloru i z komputera Brunona słuchaliśmy trzydziestu trzech piosenek Radiohead, które zagłuszały krzyki Tonnoya, muzykę płynącą z taksówek i granie bębnów. Kiedy osuwaliśmy się nisko na plastikowych krzeselkach, z pola widzenia zniknął budynek hotelu, a zostawały jedynie podświetlone korony palm na tle czarnego nieba. Z tej perspektywy Madras był tak samo sexy jak Bruno.



„Moje *kiesie* dały mi popalić”

Wstał jasny, poniedziałkowy poranek, zbyt szybko i zbyt wcześnie. Jak można się było spodziewać, weekendowe zajęcia nie doprowadziły mnie na skróty do klasowej czołówki. W mojej pamięci, zamarynowanej w *chenin blanc*, *ernestach hemingwayach* i *pinacoladzie*, zatarły się wszelkie ślady mantr, których uczyliśmy się przez cały tydzień, a obserwacja angielskiej drużyny krykieta nie poprawiła moich umiejętności w posługiwaniu się językiem ciała. Mój umysł nadal spoczywał w stanie typowym dla dziesięciolatki, motylki *ksiptam*, które budziły myśli o Brunonie i plaży, znikwały w smutku *mudham* — gęstej mgle, w której na lekcjach filozofii błądziłam z Harleyem.

Jednak zwykle frustracje przytłumił inny problem. Zaczęła mnie boleć szyja. Początkowo kładłam to na karb twar-

dych jak kamień hotelowych poduszek, ale ból nie ustąpił też po nocy spędzonej na poduszce miękkiej, którą kupiłam sobie za 50 rupii w jednym z licznych sklepów z kołdrami i materacami (na co tym Hindusom aż tyle pościeli?). Na szczęście byłam już umówiona z doktorem N. Chandrasekaranem, w skrócie N.C.

Wizyta była koniecznym warunkiem odbycia indywidualnej lekcji asan z moją osobistą nauczycielką jogi, czyli nikim innym jak Mekhalą. Przyszła na konsultację i przyglądała się badaniu doktora N.C. Doktor był drobnutkim mężczyzną, który zrezygnował z *weśti* na rzecz europejskiego ubrania i miał na sobie niebieskie spodnie z zaszewkami, ciasno spięte paskiem poniżej małego brzuszka. Został mu jednak znak firmowy KYM w postaci długopisu w kieszonce koszuli. Patrzył, jak się rozciągam i robię skłony w przód, w tył i w bok. Bardzo się ucieszyłam, kiedy powiedział do Mekhali:

— Jest bardzo elastyczna. Widziałaś, jak robi *uttanasanę*?

Może bieganie krokiem konia i rozciąganie górnych powiek w Ryzikeś warte było swojego wysiłku. Doktor poprosił, bym położyła się na kozetce, a potem przyglądał mi się krytycznym, doświadczonym spojrzeniem.

— Lewe biodro się zaciska, lekki ból w krzyżu.

— To cię boleć? — spytała Mekhala. Powiedziałam, że boli mnie szyja, a nie krzyż. Ale doktor N.C. był już dużo dalej.

— Tak, prawy bark masz wyżej niż lewy. To trzeba poprawić.

Sprawdził mi puls i stwierdził, podobnie jak Vinay P. Menon, że jestem typem *wata*. Żadnej poprawy w tej dziedzinie. Celem złagodzenia nerwowości doktor N.C. zalecił, bym przed snem 12 razy śpiewała mantrę OM. Widocznie wciąż byłam zestresowaną mieszkanką Londynu, i to po trzech mielcach od wyjazdu z domu. Bardzo przygnębiające. Kiedy po

paru dniach pojawiłam się u Mekhali na prywatnej konsultacji, znów sprawdziła mi puls. Mimo śpiewania mantry OM nie było żadnej zmiany — wciąż dominowała *wata*. Mekhala zaleciła mi łagodny, powolny zestaw asan, które miały poprawić mi ustawienie barków i pomóc w osiągnięciu cierpliwości i spokoju.

Na grupowych zajęciach z asan starałam się, jak mogłam

— w tym tygodniu w Vedavani lekcje prowadził doktor N.C., więc miał okazję dobrze mi się przyjrzeć. Wydawało mi się, że już się nieco wyciszyłam, ale on ciągle powtarzał mi, że mam się rozluźnić. Pod koniec drugiego tygodnia czułam się fatalnie

— jakby moje ciało uznało, że spokojnie może zostać emerytem, skoro ćwiczę „jogę dla emerytów” — poza tym szyja bolała mnie tak samo. A szczerze mówiąc, było coraz gorzej. Savannah obejrzała ją dokładnie i stwierdziła, że wysunął mi się jeden krąg. A potem podczas jednej błogiej przerwy na obiad, przy użyciu techniki nazywanej „akupolarity”, polegającej na delikatnym uciskaniu dwóch punktów akupresurowych, dokonała cudu. Krąg wskoczył na miejsce. Niestety, wyskoczył już następnego dnia na zajęciach z asan przy jakichś skrętach. Auuu! Pobiegłam do doktora N.C., który był lekko spięty. Powstrzymałam się jednak od poradzenia mu, by pośpiewał sobie OM. Zbadał mi puls i westchnął:

— Za dużo *wata*. Lucy, musisz nauczyć się oddychać.

— Ale panie doktorze, w jaki sposób oddychanie może wepchnąć krąg na właściwe miejsce?

— Lucy, my leczymy oddechem wypadnięte dyski.

— W jaki sposób?

— Oddech energetyzuje twoje 72 tysiące *nadi*.

— Rozumiem — powiedziała, chociaż nie rozumiałam.

— Rób tę *pranajamę* dwa razy dziennie i *przyjdź do* mnie w przyszłym tygodniu.

Wyszłam od doktora N.C. zupełnie nieprzekonana. Jak

ma mi pomóc zestaw ćwiczeń oddechowych i program jogi, z którego obśmiałyby się byle emeryt?

Nie tylko szyja bolała mnie coraz bardziej, ale na dodatek moje mięśnie straciły wyrazistość. Żaden z naszych nauczycieli nie miał rzeźbionej muskulatury, która była moim marzeniem; pod sari i koszulami udało mi się dostrzec wystające brzuchy i obwisłe ramiona. Na szczęście nie odbywał się tu basenowy konkurs pięknych ciał jak w Mysore, ale z drugiej strony nie chciałam po powrocie do domu wyglądać tak, jakbym przeleżała pół roku na leżaku. Wiedziałam, że jestem w stanie znacznie się wzmocnić; pod czujnym i surowym spojrzeniem Mdlejącego Swamiego moje mięśnie ramion i brzucha nabrały takiej siły, że przez kilka oddechów utrzymywałam się w *čaturanga dandasane*, pozycji pompki, a moje serdelkowate nogi zamieniły się szczupłe parówki. Tymczasem znów upodabniałam się do prosiaczka i wcale mi się to nie podobało.

Żeby trochę odpocząć, poszłam w piątek z „Bandą czworga” i chyba połową naszej klasy na spektakl *Grease*, który odbywał się w Chinmaya Heritage Centre na północno-zachodnich przedmieściach miasta. Ucieszyłam się na widok miękkich, pluszowych foteli i z radością słuchałam rozlicznych zapewnień w stylu: „bez was nigdy by nam się to nie udało”.

— Dziękujemy Bounce Style Lounge za strzyżenie i czesanie.

— Podziękowania dla sklepu z owocami przy Greams Road.

— Dziękujemy Menali za przywiezienie nam płyt *Grease* ze Stanów.

Nie bardzo wiedzieliśmy, co nas czeka — *Grease* w sari? Było to jednak dość wierne odtworzenie pierwowzoru, łączce z kołyszącym się krokiem Danny'ego Zuko i pełną znużenia niechęcią Rizzo. Śpiewaliśmy razem z aktorami, a ja

zapomniałam o swoich smutkach *mudham* do chwili sceny z piosenką *Najgorsza w szkole dla kosmetyczek*<sup>2</sup>. Gdy ubrany w biały garnitur naśladowca Frankiego Avalona, idola nastolatek z lat 50., mówi Frenchy, żeby wróciła do szkoły, poczułam ucisk w dołku. Za bardzo to mi coś przypominało. Mnie też, tak samo jak Frenchy, nie szło w szkole, tyle że wokół mnie były same ideały. Oto jedne anioły, w srebrnych sukniach z aureolami nad głową, stały przede mną na scenie, a drugie zajmowały miejsca dla publiczności. Miały na sobie cywilne ciuchy, ale wszyscy bez wątpienia byli aniołami jogi. No, może z wyjątkiem Brunona, ale jemu na tym nie zależało.

Czy ja też będę najgorsza w szkole jogi? Moja wiara w jogową dynastię KYM zaczynała się kruszyć. Długo czekałam na ten kurs, zarezerwowałam sobie miejsce dawno temu, zachwyciłam się teorią nauczania KYM, a kiedy już się tu znalazłam, nie mogłam doczekać się efektów. Zajęcia z asan były zbyt wolne, niezliczone pytania zabierały mnóstwo czasu, niewiele rozumiałam na zajęciach o sutrach — chociaż na początku bardzo się na nie cieszyłam — nie opanowywałam języka ciała tak szybko, jak chciałam, szalały we mnie wichry *wata*, na tak zwanych zajęciach z błogości nie byłam w stanie otworzyć sobie czakry korony, a Sira widywaliśmy jedynie podczas sobotnich wykładów. Co mi to da? Jak mam stać się zrównoważoną boginią jogi, jeżeli mam skręconą szyję?

A może powinnam znaleźć sobie nową szkołę? Wybór był całkiem spory. Co byście powiedzieli na Raj u Danny 'ego (gwiazdy rocka czy guru jogi?) w ośrodku Purple Valley Yoga na Goa? Albo na Bihar School of Yoga, o ile kwestia włosów nie byłaby problemem? Wiedziałam, że na pewno chcę pojechać do Auroville. Caroline, producentka telewizyjna, którą poznałam na swoim pierwszym jogowym wyjeździe do Tur-

---

<sup>2</sup>Oryg. *Beauty School Dropout* — piosenka z filmu *Grease*, w wykonaniu Frankiego Avalona.

cji, spędziła miesiąc w tej utopijnej społeczności, zbudowanej na zasadach międzyludzkiej jedności i samowystarczalności — przy pinot grigio, które piłyśmy w Julies Wine Bar, pokazywała mi zdjęcia trzydziestu ekologicznych wiatraków. Ośrodek, założony przez Matkę, Francuzkę, uczennicę pochodzącego z Bengalu jogina Sri Aurobindo, określał się jako laboratorium kolejnego etapu w rozwoju ludzkości, jak mówiła Matka, był „uniwersalną społecznością, w której kobiety i mężczyźni z całego świata mogą żyć w pokoju i coraz większej harmonii, ponad wszelkimi podziałami religijnymi, politycznymi i narodowościowymi”. Perspektywa życia w jedności z 1700 osobami z 36 krajów wydawała mi się intrygująca. Po drodze leżała też aśrama Ramana Mahariszi. Chciałam tam pojechać od chwili, gdy Jim pokazał mi zdjęcie przystojnego mężczyzny o jasnym, rozsiewającym pokój spojrzeniu.

Podjęcie decyzji odłożyłam na później, bo moją uwagę zaprzętnęły różne inne rzeczy. Najbardziej skuteczna pod tym względem była wyprawa na Panagal Park — ruchliwe rondo, przy którym mieściły się liczne sklepy z jedwabiem. Chin-nasami Chetty przypominał staromodny dom towarowy — chętny do pomocy personel zdejmował z mahoniowych półek ogromne bele materiału i rozwijał je czule na ladach. Wybór był oszałamiający, więc korzystałam z usług Chitry, właścicielki zakładu krawieckiego mieszczącego się po drugiej stronie ulicy. Chitra była tęgą kobietą ze skłonnością do bekania, ale na jej zdaniu mogłam polegać.

Krążyła po sklepie, a jej potężne ciało torowało mi drogę. Kazała sprzedawcom zdejmować materiał z najwyższych półek, pokazywała mi przeceny:

— Tutaj spojrzeć, madam, duży przecena. Dwa tysiące rupii na siedemset pięćdziesiąt.

Po godzinie, dzięki wsparciu eksperta, miałam materiały w ilości wystarczającej na cztery szyfonowe bluzki i trzy *śalwar kamizy* — a wszystko za 35 funtów. Poszłyśmy potem do jej

maleńkiego biura, gdzie popijałyśmy *cai*, a Chitra zdejmowała ze mnie miarę — w królewskim purpurowym sari zajmowała niemal połowę miejsca w pokoju i spokojnie bekała, zjadając do końca całą paczkę ciasteczek. Pomędzy coraz głośniejszymi beknięciami obiecała mi, że ubrania będą gotowe za trzy dni, mimo że jej matka leży w szpitalu i z powodu pocukrzycowych komplikacji grozi jej amputacja nóg. Powiedziałam, że nie musi się spieszyć, że może się spóźnić o parę dni, ale ona zapewniła, że raz danego słowa nie łamie:

— Moja matka cierpi, ja cierpię, ale mam dziesięciu krawców, którzy ciężko pracują. Nie zatrudniam byle kogo. Ubrania będą gotowe na czas. Jesteśmy punktualni jak Brytyjczycy.

Siedząc następnego dnia na plaży w Ideal Beach i patrząc na Brunona skaczącego na falach, postanowiłam zostać jeszcze parę dni.

Nie byłam w najlepszym nastroju, ale parę rzeczy mogło mnie pocieszyć.

W następnym tygodniu spóźniłam się na pierwsze zajęcia z sutr. Czułam się zdecydowanie poranno-poniedziałkowo. Usiadłam jak zwykle z tyłu pod ścianą, spodziewając się, że znów będę się męczyć, wspomagając się tłumaczeniami z podręcznika.

Szef mówił coś na temat *duhkha*:

— To oznacza rozpacz, cierpienie, odczucie jakby w ciemnym pokoju, prawda. Przeciwnością jest *sukha*, czyli lekkość, spokój i pogodzenie się z samym sobą. Kiedy miejsce wokół splotu słonecznego jest zaciśnięte, wtedy jest *duhkha*.

Nareszcie doskonale rozumiałam, o czym mówi Szef. Zupełnie jakby czytał w moich myślach. „Przyczyną *duhkha* są *kiesie*, pięć przeszkód... coś takiego jak zarazki w środku .

Te ułomności są powodem naszych problemów. „Joga próbuje usunąć cierpienie”, pomaga Wiecznemu Ja widzieć wszystko z pełną jasnością bez przeszkód zaciemniających „umysł jak brylant bez skazy”.

Potem narysował korzenie drzewa i nazwał je *awidja* albo „niezrozumienie”. „Przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu znajdujemy się w stanie *awidja* — on przeszkadza nam w jasnym widzeniu, ale go nie widzimy. Dużo łatwiej zobaczyć resztę drzewa, bo jest na powierzchni”.

Narysował pień drzewa i nazwał go *asmita* — „falszywa tożsamość” albo „ego”. Pierwsza gałąź to przywiązanie, czyli *raga* — pragnienia, które mają nam zapewnić szczęście, ale nigdy nas nie opuszczają, bo zawsze mamy za mało. *Dwesa* oznacza nienawiść albo nieuzasadnioną niechęć — skłonność do odrzucania ludzi albo doświadczeń tylko dlatego, że kiedyś były dla nas źródłem cierpienia. Trzecia gałąź jest z reguły najbardziej ukryta i najtrudniej ją przezwyciężyć — to *abhiniwesa*, co oznacza miłość do życia materialnego i fizycznego wraz z towarzyszącym jej lękiem przed śmiercią. Wszystkie te przeszkody mogą się uruchamiać jednocześnie, niektóre mogą być uśpione, ale zazwyczaj aktywność jednej pobudza pozostałe. Szef wyjaśnił nam, że „wszystko nie jest całkiem niezależne, wszystko jest ze sobą powiązane”. I nagle, przez krótką chwilę, mój umysł był czysty jak kryształ, jak brylant bez skazy.

Byłam ciężkim przypadkiem *awidji*; zmagalam się z poważnym niezrozumieniem. Przyszło mi do głowy, że moim problemem mogą być moje oczekiwania, a nie KYM albo nauczyciele. To ja wyznaczyłam sobie te wszystkie cele — do czasu powrotu z Indii płynne opanowanie języka ciała, swobodne wykonywanie zaawansowanych pozycji — a jednocześnie do tego stopnia nie byłam świadoma tego, co się dzieje<sup>z</sup> moim ciałem, że nie zauważyłam problemów z szyją, mimo<sup>Ze</sup> — jak później do tego doszłam — zaczęły się jeszcze w Mysore, gdzie dużo stawałam na głowie. A teraz moja szyja nie



dość, że nie mogła utrzymać mnie w staniu na głowie, to jeszcze nie mogła utrzymać mi głowy w staniu na nogach. Przypomniała mi się anegdota, którą opowiedział nam Kausthub:

— Pewnego dnia do mojego dziadka przyszedł uczeń i powiedział: „Sir, przyszedłem do pana po certyfikat, że jestem wielkim joginem”. Na co mój dziadek mówi: „Przyjdź jutro o szóstej rano”. A następnego dnia pyta ucznia: „Umiesz stać na głowie?”. Uczeń mówi, że tak, i staje na głowie. „To nie jest stanie na głowie”, mówi mój dziadek. „Dlaczego otwierasz oczy?”. Następnego dnia student znów staje na głowie. Tym razem zamyka oczy, ale coś przy tym mówi. „To nie jest stanie na głowie”, poprawia go dziadek. „Nie można rozmawiać”. Trzeciego dnia uczeń staje na głowie, a dziadek zaczyna dawać mu instrukcje: „Zacznij powoli oddychać. Przez jakiś czas tylko wdychaj i wydychaj powietrze”. Kiedy student stanął wreszcie na nogach, pyta dziadka: „Dlaczego było mi tak trudno oddychać?”. Na co dziadek mówi: „O, dzisiaj właśnie stałeś na głowie”.

Kausthub wykorzystywał tę historię, żeby wyjaśnić nam, że „słowo *asana* pochodzi od słowa »być«, być całkowicie obecnym, być całkowicie w konkretnej pozycji, kiedy zmysły cię nie rozpraszają”.

— Dzisiaj asany pokazuje się na zdjęciach — mówił. — Nie ma różnicy między nimi a gimnastyką. Mamy kalendarze ze zdjęciami ludzi stojących na głowie na skale, z zachodzącym słońcem pomiędzy rękami, z jogą przy wodospadzie, nawet z jogą nago. Ale asany to nie są popisy, asany to jest to, co się dzieje podczas wykonywania pozycji i później. Cyrkownicy są w stanie wykonać wiele pozycji, ale to nie są asany.

Zachęcał nas, byśmy się tego wystrzegali, pielęgnując w sobie *sthiram* — „stabilność, czujność i uważność” — oraz *sukham* — „lekkie i wygodne pozostawanie w danej pozycji” podczas ćwiczeń. Ostrzegł nas, że *sthiram sukham* nie powinny odnosić się „jedynie do ciała, muszą też być na poziomie od-

dechu i umysłu". Co oznaczało brak zakłóceń, „żadnych kaset wideo o jodze przy pięknych zachodach i wschodach słońca na plaży, żadnej telewizji czy muzyki podczas ćwiczeń. Jedynie sto procent *sthiram* i *sukham*", powiedział surowo.

Niestety, musiałam przyznać, że funkcjonowałam na poziomie jednego procenta *sthiram* i *sukham*. Wprawdzie nie sfotografowano mnie w staniu na głowie na skałach, ale tylko dlatego, że nie dałabym rady utrzymać równowagi. Miałam wiele wspólnego z uczniem Krishnamacharyi. Musiałam się postarać i praktykować *stirham* i *sukham* przez cały czas; musiałam nauczyć się „być”, być cierpliwa, być tutaj, być szczęśliwa tam, gdzie jestem, zarówno na macie, jak i poza nią. Kilka miesięcy po wylądowaniu w Bombaju zaczęłam powolny proces prawdziwego bycia w Indiach. Jak powiedział Sir podczas jednego ze swoich sobotnich wykładów: „Otwierają nam się oczy dopiero wtedy, gdy znajdziemy się w tarapatach”.

Zacząłam od tego, że zwracałam większą uwagę na przypadki prezentowane przez Menakę i jej asystentkę, Shaheedę Murthy. Zauważyłam, że nauczanie jogi w KYM znacznie wykraczało poza dywaniki uczniów.

Poznaliśmy pewną elokwentną kobietę po trzydziestce, która pracowała na pełen etat dla Southern Railways. Zajęła się jogą, gdy stwierdzono u niej cukrzycę, a wtedy okazało się, że ma także podwyższony poziom cholesterolu i glicerydów.

— Byłam zszokowana. Jak to mówią, kup jedno, drugie dostaniesz za darmo — żartowała. — Moja lista pod tytułem „Nie wolno jeść” wydłużała się coraz bardziej. Myślałam, że skończyło się już moje szczęśliwe życie. Ze będę musiała gotować jedzenie, którego nie wolno mi będzie jeść. To była *tuairagja*, wymuszona *wairagja*. — Zamilkła, zastanawiając się przez chwilę nad tymi przymusowymi wyrzeczeniami. — Zwykle jestem bardzo wesołą osobą, ale też bardzo się zmieniałam. Na początku traktowałam cukrzycę jak coś, co mnie pozbawiło wszystkich przyjemności dostępnych innym ludziom.

Teraz jednak widzę, że choroba była moją nauczycielką. Nauczyłam się obserwować siebie. Załóżmy, że przez cały dzień się spieszę. Pytam wtedy: dlaczego? Jaki jest powód? Dzięki jodze i cukrzycy nauczyłam się zarządzać własnym czasem. Zastanawiam się nad tym, co robię. Nauczyłam się być bardziej świadoma swojego postępowania, i dotyczy to zarówno moich relacji z teściową, jak i pracy czy jedzenia cukru.

Menaka i Shaheeda poznały nas też z działaczami „KYM *mitra* — co znaczy „koło przyjaciół KYM” — organizacji charytatywnej, prowadzącej zajęcia jogi dla osób, którym jest to potrzebne, a które nie mogą sobie na to pozwolić. Efekty jogi były niewiarygodne. U nastolatka z epilepsją częstość ataków zmniejszyła się z siedmiu do trzech dziennie. Widzieliśmy chłopca z porażeniem mózgowym, którego rodzina odrzuciła, bo nie mógł korzystać z toalety. Nauczyciele z KYM pokazali mu, jak za pomocą jogi może kontrolować wydalanie, dzięki czemu wrócił do domu. Dwunastoletnia dziewczynka z autyzmem zaczęła mówić rok temu. A teraz przemawiała do pełnej sali:

— Kiedyś nie mówiłam w ogóle, teraz możecie mnie słuchać.

Cechą, która jednoczyła tych wszystkich ludzi, było skupienie podczas ćwiczeń — nawet wtedy, gdy „wykonywali” je dla czterdziestu osób z Zachodu. Kilkanaścioro dzieci z problemami w nauce, w wieku od ośmiu do dwunastu lat, pokazywało sekwencję czternastu czy piętnastu asan. Bezbłędnie. Byli przy tym bardziej skupieni niż ja kiedykolwiek w swoim życiu. Dzieci z zespołem Downa ze szkoły Mathru Mandir umiały się skupić zarówno na macie, jak i w kuchni, gdzie widziałam je przy pieczeniu ciasteczek dostarczanych potem do Vedavani. (Przepis na ich muffinki z jabłkami znajduje się na końcu książki). Gdybym miała choć połowę tej uwagi co one, byłabym na dobrej drodze do stanu *sthiram sukham*.

Poznaliśmy też jedną z największych hinduskich tance-

rek, która pojawiła się u Sira i Menaki rok wcześniej po chemioterapii. „Przepisali” jej mnóstwo skrętów w pozycji leżącej, *pranajamę* i śpiewanie czantów w celu otwarcia płuc i uspokojenia rozdętego brzucha. Rezultaty były niewiarygodne.

— Poszłam do swojego lekarza, a on nie mógł wyjść ze zdziwienia — opowiadała. — Pytał mnie, czy to możliwe, że miałam kiedyś wysięk z opłucnej. Dzięki jodze moje ciało wraca do swojego dawnego stanu.

— Trzeba mieć w sobie wiarę i odwagę — poinformował nas Sir. — Jeżeli ich nie macie, to nic was nie wyleczy.

Rzeczywiście, wszyscy przejawiali ogromną wiarę w uzdrawiającą moc jogi, choć czasem dawali temu wyraz w dziwny sposób. Pewien 63-letni krawiec na emeryturze był tak otyły, że nawet w pozycji leżącej nie mógł wykonywać żadnych skrętów tułowia. Cierpiał na zapalenie kręgosłupa, cukrzycę, zapalenie mięśnia sercowego, bronchit i zaparcia. Mówił nam: „Za parę miesięcy znów będę jak nastolatek”. Zalecenia dietetyczne przyjmował z równą pogodą ducha. „Od czasu do czasu można złamać zasady. Nie będę przecież *sannjasinem*. Powiedzieli mi, że mogę jeść niewielkie ilości białego mięsa, ale boję się ptasiej grypy, więc chyba nic się nie stanie, jak zjem czerwone. To przecież żadna różnica”. Żadna z tych osób nie miała wymarzonego przeze mnie ciała jogina, ale wszyscy stosowali jogę z dobrym skutkiem, czego o mnie, niestety, nie dało się powiedzieć. Umieeli kontrolować swój umysł, ciało i zmysły. Skoro mogli dzięki jodze zwyciężyć raka, to może ja powinnam uwierzyć, że wyleczę sobie szyję?

Wszystkie te przypadki pokazały nam, jak ważna jest relacja uczeń — nauczyciel. Na ostatnim sobotnim wykładzie ktoś zapytał Desikachara, co powinno być priorytetem przy nauczaniu jogi na Zachodzie.

— Relacja — odpowiedział. — Relacja pomiędzy uczniem a nauczycielem, pomiędzy osobą, która chce się nauczyć, <sup>1</sup> osobą, która chce dawać... [Na Zachodzie] przekazuje się in-

formacje, ale nie buduje się relacji. Mam nadzieję, że w Indiach tak się nie dzieje. Bez tej relacji joga jest niczym martwe ciało. Ten związek jest *praną*.

Ktoś inny zapytał, dlaczego książka Sira, *Serce jogi*, została dedykowana J. Krishnamurtiemu. Sir opowiedział nam, jak to Krishnamurti przyszedł kiedyś do jego ojca i poprosił, żeby ten uczył go jogi. Ale Krishnamacharya powiedział, że jest już za stary, ale przyśle swojego syna. I wtedy pojawił się u niego Desikachar na motorze. A wówczas, w styczniu 1966 roku, Krishnamurti był już znanym na całym świecie nauczycielem duchowym, zapewne jednym z największych w XX wieku, mieszkał w pięknym, kolonialnym domu, ale zachował dawną pokorę i nie chciał usiąść, dopóki Desikachar nie zajął miejsca. Wcześniej jednak uważnie odsunął jakiegoś owada, żeby go nie rozgnieść. Desikachar był wtedy niedoświadczonym nauczycielem.

— Blefowałem bez przerwy. Mówiłem o jakichś nieprawdziwych rzeczach. A on nigdy niczego nie zakwestionował.

To doświadczenie nauczyło go być dobrym uczniem.

Postanowiłam, że Krishnamurti będzie moim wzorem. Zostanę wzorową uczennicą. Będę chodzić na wszystkie zajęcia, będę słuchać z uwagą, będę wierzyć w uzdrowicielską moc jogi, będę śpiewać swoje OM, będę ćwiczyć cierpliwość i „po prostu bycie”, i w duchu nowej uważności zacznę obserwować, jak działają moje *kiesie*.

Przez resztę kursu starałam się wzmacniać tę postawę, z różnymi efektami. Bardzo lubiłam śpiewanie pieśni — nie przeszkadzało mi, że na próbach przed występem dla Sira muszę śpiewać solo. Zdawałam sobie sprawę, że swoim głosem nie unoszę nikogo do nieba i nie wprowadzam w stan *mudity*,

ale też moja wymowa nie wtrącała nikogo do piekieł. Szyja zaczęła się poprawiać dzięki zabiegom Savannah, śpiewaniu OM i zaleconym przez Mekhałę asanom, które wykonywałam codziennie przed snem. Zajęcia z asan w Vedavani nabrały tempa, ruchy były na tyle szybkie, że mogłam skupić się na wykonywanym zadaniu. Nie potrzebowałam już mocnej kawy, żeby przekonać się, że żyję. Na zajęciach z filozofii zdarzyło mi się kilka przeblysków jasności i zrozumienia, nauczyłam się też doceniać powolny rytm „zajęć z błogości”. Ale największym cudem było to, że zrozumiałam wreszcie, jak należy ułożyć sekwencję asan, tak by nie były „niekończącym się pasmem udręki” — nareszcie zaczynałam mówić językiem ciała.

Nie wszystko szło jednak idealnie. *Kiesie* atakowały mnie co chwila. Na plaży walczyłam z *ragą*, kiedy widok Brunona na falach napełniał mnie niezaspokojonym pożądaniem. Stoczyłam też bitwę z Chitrą. Stopę jej matki udało się uratować, ale moich bluzek nie. Kiedy je wreszcie przyniosła, okazało się, że nie nadają się do noszenia — były za krótkie i za ciasne. Udało mi się powstrzymać wybuch *dwesy* — choroba matki musiała być dla niej ogromnym stresem, ale nie umiałam pozbyć się żalu za pięknymi bluzkami. Macki *abhiniwes*y trzymały mnie mocno.

Mogłam się pocieszać faktem, że nie tylko ja zmagalam się z podobnymi problemami. Pod koniec tygodnia frekwencja na kursie była już dość słaba. Wielu uczniów opuszczało popołudniowe zajęcia, żeby coś zwiedzić — na przykład ogrody Towarzystwa Teozoficznego albo dom Krishnamurtiego — lub kupić prezenty dla znajomych. A ci, którzy pojawiali się w klasie, zwłaszcza ci z ostatnich rzędów, nie bardzo umieli się skoncentrować — wymieniali się notatkami albo oddawali marzeniom na jawie. Jediną osobą, która nie wyglądała tak, jakby miała za chwilę zasnąć, był Beckle, który przez ostatni tydzień był w pełni przebudzony.

Nikt nie mógł nam zarzucić, że się nie staramy. Nie

dość, że musieliśmy się zmagać z pięcioma *klesiami*, to jeszcze pojawiła się szósta, do tej pory nieznana. Pewien Amerykanin o wzorcowej budowie ciała przychodził na zajęcia z asan i na medytacje ubrany jedynie w czerwone bokserki. Czy nie była to największa przeszkoda w osiągnięciu stanu „umysł jak diament bez skazy”?

Nawet starsi studenci, którzy przychodzili na nasze niektóre zajęcia z Kausthubem czy Sridharanem, nie umieli się wyzwolić spod wpływu *klesi*. Krążyły pogłoski, jakoby padli ofiarą *raga*, i tworzyli listę studentek, które najbardziej chcieliby bzyknąć. Podobno takie plotki wywodziły się z ustnej tradycji Wed, więc nie dało się potwierdzić ich prawdziwości. Postanowiłyśmy jednak — dość świętoszkowato, jak później uznałam — raczej zagłodzić swoje *kiesie*, niż dowiadywać się, czy nasze nazwiska znalazły się na tej liście.

Walczyliśmy do samego końca tygodnia, mając przeciwko sobie już sześć *klesi* i nieodparte pragnienie snu. Akademia pożegnalna odbyła się jednak bez najmniejszego zgrzytu, znów w ruch poszły plastikowe krzeselka, a Beckle poprowadził nasze wykonanie *Mayi Medham* — wedyjskiej pieśni, którą Sir zaśpiewał nam jako błogosławieństwo na początku kursu. Nie poszło nam idealnie, ale chyba udało nam się nie posłać nikogo do piekła. Córeczka Kausthuba, tym razem w pomarańczowo-zielonym ubranku, przeczołgała się do dziadka przez całą podłogę, a my, w nowiuteńkich kreacjach kupowanych w Amethyst i Fab India albo szytych na miarę, odebraliśmy żółte certyfikaty o ukończeniu kursu.

Z okazji zakończenia semestru oraz trzydziestych dziewiątych urodzin Davida Harley postanowił zorganizować imprezę. Jak już widzieliśmy w barze w Park Hotel, niektórzy studenci jogi umieli nieźle tańczyć. Dostojny Jubilat, w rudych spodniach,

czarnej koszuli i skórzanym naszyjniku, dał znakomitą parodię tancerza z *Soul Train*\*; Liv jak zwykle miała wielu oddanych wielbicieli, zachwyconych jej czerwonymi biodrówkami w żółte kwiaty; Roxanne i Savannah niemal idealnie odtworzyły taniec Umy Thurman i Johna Travolty z *Pulp Fiction*; Johan przyglądał się wszystkiemu z uznaniem, ja przebrałam się za parodię dyskotekowego króliczka, a obwieszony girlandami kwiatów gospodarz roznosił ukraińską miodową wódkę.

Kiedy już skończyłam odgrywanie roli królika, nawiązałam rozmowę z Emilem, Szwajcarem z kręconymi włosami. Wcześniej jakoś niewiele ze sobą rozmawialiśmy, ale chciałam usłyszeć od niego pełną, nieskróconą wersję historii, dzięki której wygrał ogłoszony przez Sira konkurs na najlepszy przykład działania *klesi*.

— Zaczęło się od tego — mówił Emil, pochylając głowę w moim kierunku — że miałem potworny atak *raga*: tak mi się zachciało pizzy, że zadzwoniłem po domową dostawę.

A potem odegrał przede mną rozmowę, która wyglądała następująco:  
Chciałbym zamówić pizzę.

Makaron?

Nie, pizzę.

Makaron?

NIE, PIZZĘ!

Aha, pizzę.

TAK, PIZZĘ!

A jaką pizzę?

Z papryką, pieczarkami i kukurydzą. Nic nie słyszę.

Z PAPRYKĄ, PIECZARKAMI I KUKURYDZĄ. Z szynką i z pepperoni?

— W tym momencie ogarnęła mnie *dwesa* — wyznał

*Soul Train* — muzyczny program telewizyjny.



Emil. — Naprawdę nienawidziłem tego faceta. Ale musiałem podać mu jeszcze adres dostawy.

Mam na imię Emil.

Słucham?

MAM NA IMIĘ EMIL!

Przykro mi, ale w ogóle pana nie słyszę.

— Trwało to jeszcze dobrych parę minut — ciągnął Emil. — Wreszcie z wściekłością odłożyłem słuchawkę. Byłem pewien, że pizza nigdy nie przyjedzie, a jeżeli przyjedzie, to nie taka, jaką zamówiłem. Rozmowa skończyła się totalną *awidją*, totalnym nieporozumieniem. A na koniec dostarczyli mi doskonałą pizzę. — Zamyślił się na moment. — Moje *kiesie* dały mi popalić.

Nareszcie jakaś pokrewna dusza w szponach *klesij*! Powiedziałam mu, że miałam kiedyś chłopaka ze Szwajcarii.

— Był dobry? — spytał Emil.

— O, tak — przyznałam. — Bardzo.

— Chciałabyś spróbować z innym Szwajcarem? — zaryzykował Emil.

— O, tak — powiedziałam. — Zdecydowanie. — Mówiąc to, zastanawiałam się, czy nie powinnam być trochę bardziej stanowcza w okazywaniu swoich pragnień.

— Z facetami jest taki problem — zaczął Emil z zastanowieniem — że w seksie najbardziej pobudza ich stymulacja wzrokowa, a nie to, co przychodzi przez ciało. Byłem z partnerkami na wielu warsztatach na ten temat. Czytałaś może *Jak się kochać ze sobą w święty sposób?*

Obiecałam mu, że sobie kupię.

— Ten boski sposób jest cudowny. Bardzo się wzruszyłem. Za pierwszym razem wręcz płakałem.

— Twojej partnerce też się podobało?

— Dla niej to też było cudowne — powiedział Emil. — Większość kobiet uwielbia taką bliskość. Ale do tego powinno się być z partnerem przez dwa lata.

— Czyli żadnych przygód na jedną noc?

— Nie, bo są zbyt bolesne.

Niestety, nie mieliśmy z Emilem dwóch lat, ani nawet dwóch godzin. Jeszcze tego samego dnia wracał do Szwajcarii. Patrzyłam, jak tańczy z najbardziej seksowną dziewczyną z kursu, i zastanawiałam się, czy przypadkiem nie przegapiłam dobrej okazji.

Ja też musiałam się gdzieś ruszyć. Zdecydowałam, że pojedę do Auroville, i szukałam towarzysza podróży. Beckle powiedział, że Auroville jest „artystowskim placem zabaw” i że trochę przypomina sektę.

— To nie są żadne Indie, to jakaś piramidalna głupota — stwierdził.

Coś mi mówiło, że Bruno też nie zostanie moim towarzyszem podróży. Joga niezbyt go kręciła, więc nie było powodu, żeby robił wyjątek dla jogi integralnej Sri Aurobindo, nawet jeżeli miała przygotować świat do następnego etapu ludzkiej ewolucji — pojawienia się wyższej, tak zwanej Supramentalnej Świadomości, dzięki której każdy człowiek stanie się wyrazem boskości na ziemi.

Śri Aurobindo przyznawał, że dla większości ludzi może to być duże wyzwanie — i to tak duże, że nie podjął go nawet sam Pan Krysna. Co powiedziawszy, udał się na 25 lat do swojej sypialni, żeby mimo wszystko spróbować. Moim zdaniem zrzucił wszystko na barki Matki, żeby sama podjęła wysiłek realizacji jego wizji.

Bruno bardzo jej współczuł.

— Nienawidzę tego Aurobindo. Mój kolega ze studiów robić doktorat i palić dużo trawy. On kochać Aurobindo i ciągle mówić o Supramentalna Świadomość. Ja się nie zgadzać z ani jedno słowo. Ja chcieć żyć normalnie, a on mówić, że trzeba żyć u niego. O nie ma racja. Ty musisz żyć na ten świat. Ja już nie rozmawiać z mój przyjaciel, on być stracony.

W końcu znalazłam towarzysza podróży w osobie Sa-

vannah, która była zainteresowana zanurzeniem się w Supramentalną Świadomość oraz perspektywą dobrych zakupów — sklep Auroville w Madrasie był rewelacyjny, więc Savannah miała nadzieję, że sklepy na miejscu będą jeszcze lepsze.

Umówiliśmy się tam za parę dni. W tym czasie ja miałam zajrzeć do aśramy Bhagavan Sri Ramana Mahariszi niedaleko Auroville. Wprawdzie zrezygnowałam już z walki o panowanie nad własnym ciałem, ale wciąż chciałam nauczyć się technik, które by mi pozwoliły zapanować nad chaosem umysłu. U Mahariszi w Tiruvannamalai mogłam podążać drogą *dźnana jogi*, jogi mądrości, wglądu i prawdziwej wiedzy. Mahariszi był *dźnanim*, osiągnął stan prawdziwej wiedzy i opracował sprytną metodę samopoznania, w której umysł jest narzędziem do demontażu umysłu. No cóż, powinno się udać.

„Nie da się za jednym razem zatkać wszystkich 999 dziur”

Wyjeżdżałam z Madrasu tak samo, jak przyjeżdżałam — nie mając czym oddychać. Z radością wyrywałam się z zadymionych szponów miasta. Jechaliśmy na południe wysadzaną palmami kokosowymi drogą. Minęliśmy powiewające na wietrze flagi Ideal Beach Resort, kryte strzechą chatki wypalone przez słońce na popielaty kolor, rzędy rybaków brodzących po pas w wodzie — ich słomiane kosze przywiązane na plecach przypominały dziewczęce letnie kapelusze. Patrzyłam na pola trzciny cukrowej, arbuzów i bakłażanów, na jasnozielone pola ryżowe, na drzewa kazuaryn, figowców bengalskich i sterkulii.

Wystawiłam głowę przez okno — jakżeby inaczej — ambassadora i z oczami łzawiącymi od wiatru wdychałam świeże powietrze. Nareszcie byłam wolna i wciąż oszołomiona po skończeniu kursu.

Wyboista droga poprowadziła nas na zachód, w głąb lądu, wzdłuż doliny Palar. Powoli zostawialiśmy za sobą dokuczliwe klaksony ciężarówek i poirytowanych rikszarzy, a w ich miejsce pojawiali się rowerzyści ze stosami garnków na głowach i woły z czerwonymi i pomarańczowymi rogami ciągnące wozy załadowane ludźmi i melonami. Jakiś mężczyzna prasował szkolne mundurki przy przydrożnym straganie, a drobne, ciemnoskóre kobiety, siła wyrobnicza południowych Indii, strząsały kokosy z palm, rozkładały słodko pachnącą słomę na czerwonych, popękanych od suszy drogach i przenosiły na głowach stosy świeżo uformowanych cegieł.

Upał robił się coraz większy. Po obu stronach drogi wyłoniły się pasma wzgórz, a z każdym przebytym kilometrem temperatura rosła o jeden stopień. Zatrzymaliśmy się przy przejeździe kolejowym, gdzie czekaliśmy chyba godzinami. Wymieniłam paczkę herbatników na ocieniony kawałek miejsca przy straganie czujnie strzeżonym przez małego chłopca o wielkich oczach. Na Gingee, bliźniacze forty z XV wieku patrzyły na siebie ze 150-metrowych urwisk. Jak wszyscy dobrzy pielgrzymi, ukorzyliśmy się przed siłami większymi od nas i z pochylonymi głowami dotarliśmy do Tiruvannamalai, jednego z najświętszych miast Tamil Nadu.

Nie do końca wiedziałam, czego mogę się tu spodziewać, poza brakiem zajęć z asan. Jak pisał David Godman w swojej książce *Be As You Are. The Teachings of Sri Ramana Mahanishi*, guru „zazwyczaj krytykował *hatha jogę* z powodu jej obsesji na punkcie ciała. U podstaw jego nauczania leżał pogląd, że problemy duchowe da się rozwiązać jedynie poprzez kontrolę umysłu. Dlatego nigdy nie zachęcał do praktykowania tych duchowych dyscyplin, które są skierowane głównie na zapewnienie cielesnego komfortu”.

Mimo to nie zamierzałam niczego lekceważyć. *Dźnana joga* uchodzi za jedną z najtrudniejszych; oto umysł wyrusza na poszukiwanie miejsca swojego pochodzenia, zaczyna

badać swoją istotę. Robi się to za pomocą pytania: „Kim jestem?”. Kiedy pojawiają się myśli, zadaje się kolejne pytanie: „Do kogo myśli te przychodzą?” Najbardziej oczywista odpowiedź brzmi: „Do mnie”. Ale kim jest „ja”? Powtarzanie pytania: „Kim jestem?” prowadzi do unicestwienia wszelkich innych myśli, a na koniec zamiera również samo pytanie. Pozostaje jedynie czysta uważność — bezpośrednie doświadczenie *sat-ćit-ananda*, byt-świadomość-błogość.

Nie sądziłam, że w trzy dni uda mi się osiągnąć ten stan, ale widziałam, że aśrama zrobi wszystko, żeby mi w tym pomóc. Dość szybko przyznałam jej nagrodę „Aśramy roku”. Minęłam zieloną tablicę z napisem „Sri Ramanasramam” i wkroczyłam w świat eleganckiej prostoty: zielone i ceglaste ozdoby na tle bielonych ścian; wygrabione, piaskowe alejki; na dachu i na murach wachlowały się ogonami, mlecznobiałe pawie.

U doktora Murti wpisałam się do grubej, oprawionej w skórę księgi gości, dodając swój brytyjski adres do setek adresów szwajcarskich, niemieckich, francuskich, amerykańskich i kanadyjskich. Potem zaprowadzono mnie do nowoczesnego budynku. Przy prowadzącej do niego ścieżce znajdował się zbiornik wodny pełen komarów i kąpiących się *sadhu*. W „Przeglądzie najlepszych aśramów” mogłabym opisać swój pokój jako „niewielki, ale utrzymany w uroczym, wiejskim stylu” — miał zielone żaluzje, małe drewniane biurko, a na nocnym stoliku stał ceglasty gliniany wazon. Na bielonych ścianach wisiały półki, siwowłosa Ramana Mahariszi patrzył łagodnie ze swojego portretu, a na lustrze jakiś poprzedni lokator z poczuciem humoru przykleił znaczek „Kim jestem?”.

Doktor Murti wręczył mi hstę z rozkładem dnia. Nie było żadnych obowiązkowych zajęć, ale w sali głównej niemal na okrągło odbywały się *pudże* i śpiewanie mantr. Poszłam tam zajrzeć. Przez wiele lat sanktuarium *samadhi* Mahari-sziego, mieszczące się na końcu sali, pokrywała prosta bambusowa konstrukcja. Rozebrano ją jednak, żeby zrobić miejsce

dla ogromnych, czarnych filarów z polerowanego granitu oraz hektarów marmuru. Usiadłam, żeby popatrzeć jak dziesięciu chłopców z rodzin bramińskich, uczęszczających do działającej w aśramie siedmioletniej szkoły śpiewów, Weda Patasala, męczy się nad małym fragmentem Wed. Nie byli tak zdyscyplinowani jak my podczas zajęć z Shobaną; ziewali i kręcili się na swoich miejscach, nie śpiewali bynajmniej jednym głosem, a nauczyciel karcił ich łagodnie.

Sala była pełna wiernych, kobiet i mężczyzn. Mała dziewczynka — w wieku córeczki Desikachara — w błyszczącej nylonowej sukience i licznych halkach podejmowała niezmordowanie próby doczołgania się do marmurowego sanktuarium, ale gdy tylko sięgała podwyższenia, ojciec odciągał ją do tyłu. Nieprzerwana procesja dorosłych wyznawców okrążała sanktuarium zgodnie z ruchem wskazówek zegara, odbywając w ten sposób *giri pradakszina*, miniaturową wersję praktyki zalecanej przez Ramana Mahariszego, a polegającej na przejściu czternastokilometrowej trasy wokół leżącego za aśramą wzgórza Arunaczala. Wszyscy wierni szli w tym samym kierunku, ale był to jedyny łączący ich element. Opalony turysta w szortach i rozpiętej koszuli odsłaniającej owłosioną klatę sprawiał wrażenie, jakby wypadł z przepływającego w pobliżu statku, uderzając się przy okazji boleśnie w głowę, i nie do końca jeszcze zorientował się, gdzie jest i co robi. Tuż za nim szedł odziany na pomarańczowo *sadhu*, z wystającym brzuchem, krzaczastymi brwiami i uwypuklającymi czoło trzema kreskami *śiwaity*. Kilka Hindusek w sari o przytłumionych barwach przesuwało się tak łagodnie, jakby płynęły; chorobliwie chuda dziewczyna w szerokich spodniach i hippisowskiej tunice nie miała już w sobie takiej elegancji ruchów; końcowe miejsca zajmowali groźnie wyglądający stali mieszkańcy aśramy w białych szatach. Na kolorowych, podświetlanych fotografiach widniał wieczny Mahariszi — w przepasce na biodra i z dwoma jedynymi rzeczami, które

posiadał: naczyniem na wodę i laską. Zdawało się, że patrzy dobrotliwie na swoich wyznawców, zarówno tych bardziej, jak i mniej ubranych.

Po zakończeniu śpiewów wedyjskich *swami* z gołą piersią i ogromnym naręczem girland z pomarańczowych, różowych, żółtych i białych kwiatów oraz zielonych liści zaczął odprawiać *pudzę*. Przy wtórze mantry rozrzucał wokół siebie liście i płatki, a powietrze wypełniło się wonią kwiatów, cy-troneli i kadzideł. Po ceremonii *Arati* i malowaniu *tilaki* przy użyciu *kumkum* i pasty z drewna sandałowego przeszliśmy do sanktuarium matki Maharisziego, wybudowanego w hołdzie jej i wszystkim matkom świata. Właśnie to sanktuarium było początkiem aśramy.

Zaczynałam się koncentrować na śpiewach — tym razem były to *Tamil Parayana*, inaczej „Recytacje” Ramana Maharisziego, siedząca obok mnie Hinduska pokazywała mi właściwe miejsca, gdy się nieco gubiłam — kiedy doszło do mojego pierwszego spotkania z Pólnagim *Sadhu*. Miał na sobie jedynie cielistą opaskę na biodra, dość niewiele jak na przykrycie pulsującej męskości u faceta o wzroście metr dziewięćdziesiąt. Z rozwianym włosiem i dzikim spojrzeniem wpadł do sali, zatykając palcami uszy. Zatrzymał się gwałtownie tuż przed rzędami śpiewaków, popatrzył na nich niewidzącym wzrokiem i wybiegł. Nikt nawet nie mrugnął okiem. Widziałam go później, jak w budynku mieszkalnym naprzeciwko mojego wygląda zza filara. Zwykle nie mam nic przeciwko widokowi pólnagich mężczyzn, zwłaszcza tak świetnie zbudowanych, ale w tym *sadhu* było coś przerażającego. Na szczęście zniknął, zanim poszłam spać. Wcześniej jednak byłam na koncercie muzyki Schuberta, na którym zjawiała się najbardziej chyba niekonwencjonalna publiczność świata — fioletowe opaski na włosy, dredloki, paski z lusterkami, obcisłe T-shirty mieszały się z jasnowłosymi Boskimi Dziećmi i poważnymi Hindusami w wykrochmalonych tunikach, zachodni pianista grał



*Fantazje* w hołdzie dla Maharisziego, a on sam promieniował na wszystkich dobrocią z olejnego obrazu, na którym namalowano go w przepasce na biodra ze skóry tygrysa.

Następnego ranka odkochałam się w moim „niewielkim, ale utrzymanym w wiejskim stylu” pokoju. Dusznego upału nie łagodził nawet chodzący na pełną moc wentylator; materac znów miał dwa centymetry grubości, podobnie jak w aśramie Sivananda, a wiadro zimnej wody o szóstej rano w łazience na końcu korytarza nie pomogło moim zeszywniałym mięśniom.

Na poranną ceremonię ofiarowania mleka poszłam w bardzo złym nastroju, który jeszcze się pogorszył, kiedy wylałam sobie na białe spodnie niemal cały żółtawy płyn.

Za to moje łakomstwo na słodczyce zostało zaspokojone podczas śniadania — dzięki dodatkowi brązowego cukru *iddly*, których nigdy nie byłam specjalną wielbicielką, zamieniły się w pokarm bogów. W połączeniu z mocną kawą z południowych Indii przywróciły mi chęć kontaktów z ludzką rasą.

Całe ściany w jadalni były pokryte intrygującymi zdjęciami gości aśramy — wojowniczy *sadhu*, hinduscy dygnitarze w wykrochmalonych *weśti*, śródziemnomorskie uśmiechy, łysiejący Anglicy o szerokich ramionach i kwadratowych szczękach, których raczej należało się spodziewać na wiszącej w klubowym pubie fotografii typu „Mistrzowie ligi okręgowej 1949”.

Wdałam się w pogawędkę z moim sąsiadem, Piekarzem z Boulogne, który pewnego dnia, po upieczeniu bagietek i czekoladowych rogalików dla mieszkańców miasteczka, połknął za jednym razem książkę o Mahariszim. Postanowił przyjechać do aśramy i zobaczyć Arunaczalę — wzgórze, które Ma-harishi nazywał swoim „guru” i „centrum duchowego serca

świata", i które uznawał za wcielenie Siwy. Piekarz z Boulogne powiedział mi, że od dnia, w którym pojawił się tu jako szesnastolatek w 1896 roku, do dnia swojej śmierci Mahariszi nie oddalił się stąd dalej niż 4 kilometry.

Od Piekarza dowiedziałam się też, że ukwiecony portret pochylonego nad miską Mahariszego zajmował w jadalni jego zwykłe miejsce — mógł wtedy pilnować, by wszyscy dostawali równe porcje. Równość była najważniejsza. „Zasada dzielenia się wszystkim nigdy nie została tu złamana. Nawet kiedy Mahariszi był chory, nie chciał pić soku, bo wiedział, że aśramy nie stać na sok dla wszystkich dwustu mieszkańców”.

Podobnie jak Piekarz z Boulogne, Mahariszi ciężko pracował w kuchni. Przychodził o świcie, żeby pokroić warzywa na *samba* i *ćatni*. Przygotowywanie posiłków stało się szkołą duchowego rozwoju, a pod kuratelą Mahariszego personel kuchenny nabierał mądrości. Jednak kuchenne przewodnictwo duchowe nie ograniczało się tylko do nich. Mahariszi napisał dla swojej matki przepis na *papadamy* w formie pieśni przetłumaczonej potem przez profesora K. Swaminathana. Mąkę z ciecierzycy, czyli „ego rosnące na pięciokrotnie złożonym polu ciała”, należało połączyć ze „świętym towarzystwem” soku *zpirandai\**, „kontrolą umysłu, ziarnami kuminu, pieprzem samoograniczenia, solą braku przywiązania i asafe-tydą, wonią cnotliwych skłonności”.

Postanowiłam wybrać się do jaskini, w której ów wiersz został napisany i gdzie Mahariszi spędził z przerwami ponad 17 lat.

Mahariszi opuścił swoją rodzinę i wyruszył na wzgórze Arunaczala po tym, jak przeżył atak straszliwego lęku przed śmiercią, dzięki któremu uświadomił sobie, że jego prawdziwa istota nigdy nie umrze, gdyż jest nią uważność, czyli świadomość. Przybył pod Arunaczalę w stanie Samourzeczywist-

\**Pirandai* — tamilska nazwa winoroślowatej rośliny z rodzaju *cissus*.

nienia i tak się zagłębił w stanie nowej świadomości, że zapomniał o ciele. David Godman pisze, że „robaki powoli zjadały mu kończyny, jego ciało marniało, gdyż z rzadka był na tyle świadomy, żeby się pożywiać, a włosy i paznokcie urosły mu na niewyobrażalną długość”. W końcu jednak jego ciało wróciło do normalności, ale do końca życia pozostał w urzeczywistnionym stanie umysłu — już nigdy nie zobaczył siebie w oddzieleniu od innych istot. Ciekawa byłam, czy Sri Sri Ma Anandamayee też znalazłaby się w takim stanie, gdyby wyznawcy nie przyszli jej z pomocą.

Trochę bałam się iść sama, bo widziałam, jak Półnagi *Sadhu* wymyka się przez tylną furtkę, ale już na początku łagodnego wejścia pod górę natknęłam się na trzech chłopców, którzy szli w góry porysować. Uznali odprowadzenie „cioci” za rzecz wyjątkowo zabawną; popychali się i poszturchiwali bez przerwy, ale po początkowym ożywieniu rozmowa zamarła i dalej już szliśmy spokojnym tempem, bardziej pasującym do ścieżek wijących się wśród zarośli. Co jakiś czas droga zakręcała ostro, a ja aż stawałam zdumiona niespodziewanym widokiem miasteczka albo świątyni. Bardzo to bawiło chłopców, którzy zapewne przeszli już tę drogę tysiąc razy. Powiedzieliśmy „cześć” zmęczonemu, ale uśmiechniętemu *sadhu*, który przysiadł sobie w połowie drogi, odwrócony plecami do zamglonego miasteczka poniżej. Odpowiedział nam wesołym „miłego dnia”.

Po godzinie marszu skręcałam do jaskini Virupaksha, a chłopcy wdrapywali się dalej, na skałę, z której mogli rysować pochodzącą z IX wieku świątynię Arunaczaleswara — z miasteczka pod nami sięgało do nas jej dziewięć rzeźbionych wież, *goputaram*, z których cztery miały ponad 60 metrów wysokości.

Jaskinia leżąca u stóp stromej ścieżki miała kształt ogromnego OM, czyli *pranawy*, i podobno wibrowała pierwotnym dźwiękiem wszechświata. Składała się z trzech pomiesz-

czeń, ale tylko ostatnie przypominało prawdziwą jaskinię; reszta wyglądała jak ładny, bielony domek. Nad wejściowymi drzwiami wisiała powitalna tablica z wymalowanym na zielono, czerwono i różowo OM.

W jaskini było niewiarygodnie gorąco, gorąco i ciemno, oświetlała ją bowiem jedynie pojedyncza świeca. Kiedy oczy przyzwyczyły mi się do ciemności, dostrzegłam zarysy co najmniej dwudziestu białych mężczyzn. Autor książki *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus* miał rację — faceci lubią przesiadywać w jaskiniach. Stłoczeni na malutkiej przestrzeni, wpatrywali się w *lingam* zawierający prochy ostatniego lokatora jaskini, świętego Virupakshy, nad którym migotał płomyk świecy. Zgodnie z wiszącą informacją, „kiedy Virupaksha miał opuścić swe ciało, poprosił wyznawców, by zostawili go w jaskini i wrócili nazajutrz. Gdy przyszli następnego dnia, zobaczyli, że jego ciało przemieniło się w *wibbuti*”. Nie pozostało mi nic innego, jak usiąść i dołączyć do gromady facetów.

Napis z prośbą o zachowanie ciszy nie wywarł żadnego wrażenia na dwóch hinduskich małżeństwach, które wdarły się do środka. Stali w drzwiach, narzekając głośno po angielsku na upał, a potem zastanawiając się, czy w tych ciemnościach da się użyć kamery. Obie tęgie damy usiadły i przetarły brwi. Ale już po trzech minutach podniosły się z niemałym trudem i wyszły, a jedna z nich nie omieszkała obwieścić na cały głos, że „tu się mieści za dużo upału i ona nie będzie tego wytrzymać”.

Czar prysnął, więc też się podniosłam i minawszy stado małych bawiących się na ścieżce, ruszyłam do drugiej górskiej siedziby Maharisziego, Skandasramam, położonej nieco wyżej na wschodnim stoku. Przeniósł się tutaj ze względu na swoją matkę, która w 1916 roku postanowiła zamieszkać z synem, ale nie osiadła w jaskini. Do jej śmierci, sześć lat później, mieszkali tutaj, w domku zbudowanym dla Maharisziego przez jednego z uczniów. Zobaczyłam charakterystyczne bielone ściany,

zielone okiennice i poczułam znajomy zapach mała — był tak silny, że przeniosłam się niemal do deszczowego Ryszi-keś, mimo że Ram Jhula i Swargashram wydawały mi się tak odległe.

Kilka osób medytowało już w ciemnościach maleńkiego domku, kilka innych czekało na swoją kolejkę, między innymi Hindus, który musiał już czekać bardzo długo, bo zasnął i chrapał na cały głos. Uznałam, że w tych warunkach nie mam szans na udaną sesję medytacyjną, więc usiadłam na jednej z ławek, z których roztaczał się widok na leżącą poniżej dolinę.

Okazało się, że obok mnie wygrzewa się w słońcu Dave, malarz i tapeciarsz z Southend-on-Sea, który przyjeżdżał do aśramy od piętnastu lat. Poczęstował mnie kawałkiem owocu chlebowca oraz mnóstwem opowieści o aśramie. Wspomniałam mu o dość wiekowym *swamim* w słonecznych okularach i z długą, rzadką brodą, który wyglądał jak członek ZZ Top. Dave wyjaśnił mi, że to Swami Ramananda, bratanek Ramana Maharisziego.

— Gdyby nie to, że jest jego bratankiem, już dawno by go wyrzucili — mówił. — Mamy *pókcje* obok siebie, ale mój przypomina więzienną celę, a on ma telewizor i lodówkę, poza tym lubi mieć wokół siebie „chłopaków w *lungi*”. — Roześmieliśmy się. — Swami Ramananda ma trzech synów. Ganesan mieszka przy drodze niedaleko aśramy i czasem daje poranne *satsangi*. Ramanan jest obecnie prezesem aśramy. Pewnie go widziałaś, jak wita gości przed jadalnią. No i wreszcie Mani, zagrożony wyrzuceniem przez doktora Murti, który jest odpowiedzialny za kwatery dla gości i zyskuje coraz większe wpływy. Doktor Murti nie jest *braminem*, nie pochodzi z kasty kapłańskiej, ale o stopień niższej kasty wojowników, *kszatrijów*. Jest bardzo przystojny i podobno uroczy.

Przyznałam, że owszem, wydał mi się czarujący, ale skończyło się na tym, że dał mi klucz do pokoju. Dave zaproponował nagrodę pocieszenia: trzydziestoparoletni syn Ma-

niego wciąż był kawalerem. To już było coś, no nie? Gdyby zawiodły wszystkie inne sposoby dojścia na skróty do kosmicznej szczęśliwości, mogłam jeszcze wżenić się w rodzinną firmę. Dave ostrzegł mnie, że jego zdaniem pomysł poślubienia białej kobiety może spotkać się z pewnym oporem rodziny, przynajmniej na początku. Zapewne miał rację, ale co mi szkodziło spróbować? Dave spojrzał na mnie z błyskiem rozbawienia w oczach.

— Na początek porozmawiaj z Manim — powiedział. Co też zrobiłam z samego rana następnego dnia. Mani siedział w biurze ze swoim ojcem, który akurat miał

napad kichania. Postanowiłam sprawdzić, czy ten gość o wyglądzie starzejącej się gwiazdy rocka rzeczywiście jest *swamim*.

— Tak — przyznał Mani. — Ale złożył ślubowania *sannjas* i nie jest już moim ojcem.

Ojciec znowu kichnął donośnie, tym razem trzykrotnie. Spytałam, czy mogłabym się spotkać z Ganesanem. Na początku Mani nie był skłonny się zgodzić.

— On teraz żyje w odosobnieniu, nie prowadzi dużej aktywności. — Ale potem nieco zmiękł. — Mieszka jakiś kilometr stąd wzdłuż drogi. Jak chcesz, możesz iść dziś na jego *satsang*.

Pojechałam riksą. Minęliśmy po drodze kilku odzianych na pomarańczowo, bosych *sadhu*, którzy w potwornym upale okrążali wzgórze, mając ze sobą jedynie piętrowe menażki i laski.

Skromny dom Ganesana stał na końcu długiego podjazdu, schowany za długim szeregiem drzew. Na miejscu było już pięciu czy sześciu Europejczyków oraz jeden Hindus. Siedzieli na białych plastikowych krzesłach, ustawionych w trzech rzędach na pokrytej słomianymi matami werandzie. Przed nimi, na łóżku plażowym, leżał z zamkniętymi oczami Gane-

san w okrągłych okularach i z siwiutką brodą. Niedawno miał zakładane by-passy i chyba do tej pory nie odzyskał w pełni sił — jedną poduszkę miał pod nogami, drugą za głową, a wątłą postać przykrywał koc — ale kiedy otworzył oczy, stało się jasne, że nie stracił nic ze swojego ducha. Podobnie jak jego bracia był przystojnym, schludnym i zadbanym mężczyzną, ale podczas gdy oni sprawiali wrażenie szalenie poważnych, Ganesan miał psotny błysk w oku i z wyraźną przyjemnością wchodził w rolę gawędziarza.

— Nie przygotowuję wcześniej żadnego planu — oznajmił nam z dumą. — Po prostu przychodzę i mówię. — Naszą rolą było najwyraźniej siedzenie i słuchanie. — Nieważne, co się mówi. Słuchanie jest byciem, więc po prostu bądźcie. Bycie w milczeniu zatyka dziury w umyśle. Nie da się jednak za jednym razem zatkać wszystkich dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu dziur. Moja sekretarka, która pracuje u mnie trzy lata, ma już zatkanych dwieście dziur.

Zaczął rozwijać ten temat.

— Na ścieżce mądrości cierpliwość jest ważniejsza niż wysiłek. Weźmy dla przykładu skałę. Przy rozbijaniu skały pierwsze uderzenie jest tak samo ważne jak dwudzieste. Tylko głupiec powie, że skałę rozbiło dwudzieste uderzenie.

Następnie przeszedł do znajomej kwestii kontrolowania umysłu.

— Śpiewanie boskiego imienia sprawia, że umysł z powrotem łączy się z Ja. Kiedy nie ma umysłu, pojawia się rozwiązanie. Możecie to nazwać cudem. — Zachichotał, jakby sam nazywał to inaczej. — Dopóki jest umysł, można zostać obrabowanym. Jesteśmy niewolnikami warunków środowiskowych, jesteśmy niewolnikami umysłu. Musimy przejść od umysłu do Ja.

Nie bardzo wiedziałam, jak rozumieć jego następną uwagę. Wskazał na swoje czoło z wymalowaną białą kreską i czerwoną kropką, mówiąc:

— Przyjaciele pytają mnie, po co mi te znaki na czole. Nie jestem religijny, nie odprawiam *pudzi*, nie praktykuję<sup>^^</sup>y. Noszę je dla siebie, jak makijaż. Jedynie dla Ja.

Po jego minie widać było wyraźnie, że sobie z nas żartuje. Nie wiedziałam jednak, który kawałek był żartem.

Podobały mi się enigmatyczne stwierdzenia dochodzące do mnie zza przyciemnianych okularów na werandzie leżącego na uboczu domu. Miałam wrażenie, że udaje mi się zajrzeć za kulisy sceny. Nie dowiedziałam się niczego nowego, ale to, co usłyszałam, było na swój sposób fascynujące. Wracałam rikszą do aśramy razem z drobnym mężczyzną w okularach, który powiedział:

— Ja jestem czarny, ty jesteś biała, i oboje zgodnie uważamy, że to było interesujące. Ten poranek bardzo mnie sprowokował do myślenia.

Obiad podawano w aśramie bardzo wcześnie, o wpół do dwunastej. Dietę można chyba było nazwać *snikta* — same węglowodany i żadnego białka, z wyjątkiem odrobiny maślanki, czyli dieta Atkinsa na odwrót.

Siedząc na podłodze obok Dave'a, jadłam posiłek z bananowego liścia, który należało wcześniej spryskać wodą. Nie byłam pewna, czy miało to znaczenie religijne czy higieniczne, ale na wszelki wypadek wody nie żałowałam. *Sadhu* podający jedzenie wniósł ogromne, blaszane wiadro, odwrócił mój liść brudną stroną do góry, wyrzucił na niego zawartość chochli i uśmiechnął się promiennie. Też się do niego uśmiechnęłam, ćwicząc się w braku przywiązania do *saući*, i powiedziałam Dave'owi, że zamierzam pójść później do sali medytacyjnej. Dave poradził mi, żeby nie przesadzać.

— Mahariszi nie był przekonany do długich medytacji — ostrzegął.  
— Paulowi Bruntonowi, jednemu ze swoich



pierwszych uczniów z Zachodu, powiedział, że medytacje są dla nowicjuszy. W swojej książce *Ścieżkami jogów* Brunton pisze: „Jogin próbuje prowadzić swój umysł do celu, tak samo jak pasterz próbuje prowadzić byka za pomocą kija. Jednak po drodze poszukiwacz prawdy przywabia do siebie byka, podając mu garść trawy”. Garść trawy jest pytaniem: „Kim jestem?”, a poszukiwanie prawdziwego Ja trzeba prowadzić przez cały czas, zarówno chodząc dookoła aśramy, jak i pijąc kawę.

— Dave, ja to wszystko wiem — powiedziałam. — Czytałam jego książkę, ale wydaje mi się, że w sali medytacyjnej dostanę dodatkową pomoc. W końcu jeżeli chodzi o *dźnani*, jestem nowicjuską.

Dave życzył mi wszystkiego najlepszego i poszedł na kolejny spacer na Arunaczalę.

Ramana Mahariszi udzielał *darsanów* w sali medytacyjnej w latach 1927-1949. Wołał nauczać w milczeniu, podobno samo jego spojrzenie wystarczało, by obudzić w uczniach ich uśpioną duchową naturę. Paul Brunton pisał:

„Jedno po drugim odpadają ode mnie pytania, które z taką skrupulatną dokładnością przygotowywałem sobie w pociągu... Wiem tylko, że obok mnie zdaje się płynąć nieprzerwana rzeka spokoju, wielki spokój przenika najgłębsze obszary mojej istoty, a udręczony myślami mózg nareszcie może odpocząć... Czy to możliwe, że ten człowiek, Mahariszi, rozsiewa wokół siebie duchowy pokój, podobnie jak kwiat rozsiewa zapach swoich płatków?”.

Mahariszi zajmował swoje miejsce w długiej, prostej sali i godzinami siedział na skórze tygrysa rozłożonej na kanapie, a ciszę przerywał jedynie szelest *punkah*<sup>3</sup>. Zdarzało się czasem, że wychodził ze swojego zwykłego transu i odpowiadał na pytanie zadane przez któregoś z uczniów. Do sali przy

---

<sup>3</sup> *Punkah* — duży wachlarz z trawy i piór poruszany mechanicznie za pomocą sznurów.  
294 , ,

chodzili wszyscy — szanowani sędziowie i niepiśmienni żebracy, pies Jackie, który siedział na kawałku pomarańczowej szmaty wpatrzony w Maharisziego i nigdy nie jadł przed nim, oraz krowa Lakszmi. Lakszmi miała w aśramie całkowitą wolność, gdyż Mahariszi wierzył, że jest inkarnacją „starej kobiety z warzywami”, kobiety, która przynosiła Mahariszemu jedzenie do jaskini Virupaksha. Jak przeczytałam w *Sri Mahañshi A Short Life Sketch*, „niemal każdego dnia krowa znajdowała sposobność, żeby spotkać się z Mahariszim i całkiem niezłe rozumiała, co on do niej mówi. Poruszała się z wyraźną godnością i opanowaniem, lekceważąc każdego, kto się do niej źle odnosił”.

Usiadłam więc do medytacji w obecności nieżyjącego od 50 lat świętego, który wierzył, że krowa jest inkarnacją pewnej starej kobiety i pisał służące oświeceniowi pieśni o *papadamach*, i zadałam sobie pytanie: „Kim jestem?”.

Stwierdziłam, że nie jestem łaskotaniem w gardle, które zauważyłam, gdy tylko poproszono o ciszę. Nie byłam też pierwszym siwym włosem, który rano zobaczyłam w lustrze z naklejką „Kim jestem?” —jako że niedługo tych siwych włosów będzie więcej, a wczoraj nie było jeszcze żadnego. Nie byłam tym samym co mój wiek, bo za sekundę będę starsza, a sekundę wcześniej była młodsza. Nie mogłam być także ciałem, bo zgodnie z badaniami naukowymi wszystkie komórki ciała odnawiają się co siedem lat, więc jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to za kolejne siedem lat będę całkiem odnowiona.

Skoro więc nie byłam tym wszystkim, to kim byłam? Może swoimi myślami? Nadziejami? Tylko że moje nadzieje też się bez przerwy zmieniały. Weźmy dla przykładu mężczyzn: w ciągu ostatnich sześciu miesięcy był Richard z wypełnionymi slipkami, potem Bill i jego hamak, potem Mdlejący Swami, potem — przelotnie — Charlie, szalony numerolog z Barcelony, włoski kelner, potem przerwa wypełniona świętą przyjaźnią z MP i Panem Gościnnym. Potem było nieodwza-

jemnione uczucie do Brunona i na koniec Emil, pan Święta Miłość we własnej osobie. Nadzieje te wypełniały mnie kiedyś pragnieniem i tęsknotą, ale dziś nie dość, że nie było po nich śladu, to jeszcze wydawały mi się zgoła niefortunne. Może powinnam się raczej zainteresować normalnym, kochającym piłkę nożną Anglikiem, któremu *kiesie* kojarzyłyby się raczej z nazwą zespołu punkowego z lat 70. A może nie. Sama nie byłam już pewna, jakiego mężczyzny pragnę, wiedziałam jednak, że to, czego chciałam, wcale nie było mi potrzebne.

Może byłam swoimi lękami? Nie, one także się zmieniały. Dzięki Mdlejącemu Swamiemu, Astrid i Cartier nie bałam się już chodzić po górach, nie miałam też problemów z *iddly* — o ile były posypane warstwą brązowego cukru. Nie bałam się już samotnego podróżowania i nie musiałam płacić kupy kasy, żeby się odgradzić od prawdziwych Indii. Zauważyłam, że tak naprawdę najbardziej podobały mi się tanie miejsca: w aśramie Sivananda płaciłam po 700 rupii na noc, w tym posiłki, wieczorne imprezy, wykłady i joga; w aśramie Ramana Mahariszi, wybranej przeze mnie na „Aśramę roku”, nie było żadnych stałych opłat, jedynie „co łaska”.

Zaświtała mi myśl, że świat wokół mnie podlega takim samym nieustannym zmianom jak moje nadzieje, lęki i moje ciało. Nawet przez chwilę nic nie pozostaje takie samo oprócz — i to była właśnie istota nauk Ramana Maharisiego, jak zresztą całej jogi — Wiecznego Ja, czyli *puruszy*, która pozostaje wiecznie nieruchoma.

I wtedy zaczęłam gdzieś opadać; osuwałam się w dół jak Jacques Mayol, nurek upamiętniony w filmie *Wielki błękit*, moje *kiesie* zostawały za mną, podskakując na wzburzonej wodzie, zostawały za mną szczątki moich lęków i nadziei, na granicy wody zatrzymywały się wszystkie natarczywe głosy. Zanurzałam się coraz głębiej w nieskończoną ciemność i stawałam się coraz spokojniejsza. Siedziałam na dnie oceanu, wsłuchując się we własny oddech, głęboki i równomierny, patrząc na bąbelki

powietrza, które unosiły się w górę jak tysiące cofających się kropli deszczu. Żadnych zmartwień, tylko bycie, tylko spokój. Jacques mówi w filmie: „Schodzisz na dno morza, gdzie woda już nawet nie robi się bardziej niebieska, a niebo jest jedynie wspomnieniem, i unosisz się tam w ciszy”. I oto tu, w tej zwiewnej atramentowej czerni, pojawił się spokój, *santosza*, czyli zadowolenie, świadomość jakiejś większej rzeczywistości, miejsce bez ego, nienawiści, pragnień, niepewności i niezrozumienia. Jedynie czysty byt, świadomość i... tak, błogość... BANG!

Otworzyłam oczy. Drzwi do sali medytacyjnej zamknęły się z trzaskiem za nadgorliwą sprzątaczką, która najwyraźniej uznała, że nadszedł czas na jej osobisty *darśan* z Mahariszim. Miałam ochotę zerwać się na nogi i krzyknąć — po pierwsze na nią, że zmusiła mnie do tak nagłego powrotu z dna oceanu, że o mało nie dostałam choroby kesonowej, a po drugie chciałam ogłosić całemu światu, że właśnie miałam przebłysk *sat-ćit-anandy*. To zupełnie jak pierwsza samodzielna jazda na rowerze bez bocznych kółek — „Patrzcie! Mamo! Tato! Widzieliście, co mi się udało?”. Wciąż byłam oszołomiona. Razem z innymi wyszłam z sali.

To dziwne, ale zawsze wyobrażałam sobie, że osiągnę ten stan, siedząc na szczycie góry, a tymczasem znalazłam się na przeciwległym biegunie, na dnie oceanu. Dziwne też było to, że w chwili samotności na dnie morza opuściło mnie poczucie oddzielenia od innych ludzi, a w to miejsce pojawiło się poczucie głębokiej więzi — jakbym była jedną z kropli wody Ramakryshny, która wskoczywszy do oceanu, powiedziała: „Jam jest”. Dziwne to było, i chyba trochę szalone.

Wraz ze mną na powierzchni pojawiły się też wszystkie moje wątpliwości. Czy to rzeczywiście była *dźnana joga*? Miałam świadomość swojego oddechu, a w *dźnanie* tak być nie powinno. Nie było też ze mną Maharisziego; nie podarował mi „nici srebrnego światła”, tak jak Paulowi Bruntonowi.

Jak długo to trwało? Wydawało mi się, że czas się zatrzymał, ale kiedy spojrzałam na zegarek, okazało się, że minęło zaledwie parę minut. No cóż. Co za różnica? Nieważna nazwa, nieważne, ile to trwało, ważne, że poczułam możliwość połączenia się z kosmiczną szczęśliwością — bez alkoholu, skrętów czy zachodów słońca, ale za to z człowiekiem, który nie wymagał ode mnie testów na wirusa HIV, który nikogo nie przytulał, który nie kazał płacić ani grosza przy rejestracji i który od dawna nie żył.

„To był cholernie wielki kryształ”

Wyjechałam następnego dnia wczesnym rankiem, mój ambassador minął kilku *sadhu* pijących trzecią, a może czwartą filiżankę kawy przy gazecie i *Mdi*. W internetowej kafejce naprzeciwko aśramy siedział też jeden gość w pomarańczowych szatach; sprawdzał pocztę, czy może coś gorszego? Graham, mój znajomy prawnik, który został nauczycielem jogi, był w Dharamsali, gdzie starał się o audiencję u Jego Świątobliwości Dalajlamy, i widział mnicha przeglądającego portal randkowy. [Mnichdomnicha.com](http://Mnichdomnicha.com)?

Ze smutkiem opuszczałam swoją „Aśramę roku”, ale musiałam już jechać dalej. Umówiłam się z Savannah w Pon-dicherry, w aśramie Śri Aurobindo. Niestety, późnym wieczorem Savannah wylatywała już z powrotem do domu, więc nie miałyśmy przed sobą zbyt dużo czasu, ale jeden dzień to było

w sam raz, by zobaczyć aśramę i pojechać do świątyni Auroville — czyli sklepów z pamiątkami i rękodziełem oraz do Matri-mandir, dosłownie „świątyni Matki”.

Z zadowoleniem zauważyłam na desce rozdzielczej samochodu zdjęcia Ramana Maharisiego, Sri Aurobindo i Matki. Miałam nadzieję, że ta trójka wraz z błyszczącym, złotym Ganeśą będą nas chronić w drodze. W ciągu dwóch godzin cztery razy byliśmy o krok od zderzenia (na drodze z Delhi do Ryszikeś, kiedy byłam w stosunkowo bezpiecznych rękach Ekavira, w ciągu ośmiu godzin zdarzyły nam się trzy takie incydenty): raz o mało nie wpadliśmy na wołu ciągnącego wóz z sianem, drugi raz na pasterza kóz, potem był kremowy autobus z napisem „Express” wymalowany jak samochód wyścigowy i rowerzysta z ładunkiem menażek. Mój kierowca, Ali, uznał widocznie, że są gotowi na spotkanie ze Stwórcą. Niemal uderzył w tył autobusu, wyprzedził go gwałtownym skrętem na ślepych zakręcie, śmiejąc się przy tym szaleńczo.

— Czemu wszyscy jeździecie jak wariaci? — spytałam, ze strachu zaciskając palce do białości.

Ali nie zauważył chyba sarkazmu w moim głosie.

— Tak, tak — roześmiał się. — Jak wariaci. Całkiem jak wariaci.

Pocieszałam się, że droga pomiędzy „Aśramą roku” a aśramą Sri Aurobindo jest dobrze utwardzona i że nie zdarza się tu dużo wypadków śmiertelnych. Aurobindo często wysyłał poszukiwaczy prawdy do Tiruvannamalai, a część z nich wędrowała w przeciwnym kierunku. Henri Carrier Bresson, słynny francuski fotograf, spędził jakiś czas w obu aśramach

— a co najdziwniejsze, był tam, kiedy obaj mędrcy odchodzili z tego świata. Kiedy Ramana Mahariszi umierał 14 kwietnia 1950 roku, Cartier Bresson zobaczył spadającą gwiazdę, która zniknęła za górą Arunaczala o godzinie 20:47 — dokładnie w chwili śmierci Maharisiego. 24 listopada tego samego roku

zrobił też ostatnie zdjęcia Śri Aurobindo — na dwa tygodnie przed jego śmiercią.

Jakimś cudem udało nam się przeżyć podróż i zaczęliśmy się przedzierać przez Pondicherry. Tę francuską kolonię rząd indyjski przejął w 1954 roku, ale wciąż widać było tu francuskie dziedzictwo w postaci uroczych podwórz i imponujących kolonialnych domów schowanych za bramami z kutego żelaza. Savannah czekała na mnie przed wejściem do aśramy przy Rue de la Marine. Wyglądała jak połączenie Dolly Parton z Marilyn Monroe, więc otaczał ją wianuszek Hindusów. Większość wpatrywała się w to cudowne, piersiaste, jasnowłose zjawisko, ale nielicznym udało się zachować resztki godności i ci próbowali sprzedać jej, z różnym powodzeniem, przeróżne torebki i bransoletki. Jak każda grzeczna ślicznotka z Południa nie bardzo umiała powiedzieć nie, więc sznur sprzedawców coraz bardziej się wydłużał, a ona miała na rękach coraz więcej torebek i bransoletek.

— Bardzo wam dziękuję — mówiła, kiedy do nich podchodziłam. — Naprawdę, bardzo jestem wdzięczna. Jesteście tacy uprzejmi, to naprawdę bardzo miłe z waszej strony.

Powiesiła na przegubie jeszcze jedną torebkę i wręczyła handlarzowi zwitek banknotów, którego wartość, sadząc po ekstatycznej minie szczęśliwca, musiała znacznie przekraczać jego oczekiwania.

Zostawiwszy zgraję facetów za sobą, weszliśmy przez gładko wypolerowaną, drewnianą bramę aśramy Aurobindo na dziedziniec, przy którym Kew Gardens<sup>4</sup> wyglądały jak pustynna ziemia jałowa. Kwiaty były wszędzie, porastały mury, niecierpliwie wypychały się z ziemi, zwieszały się z koszy i kwitły wszystkimi kolorami szczęścia — na różowo, pomarańczowo, czerwono i żółto. Wąska ścieżka zaprowadziła nas na kolejny dziedziniec, na którym w cieniu wielkiego, starego

---

<sup>4</sup>Kew Gardens — ogród botaniczny w Londynie.



drzewa — poinciany królewskiej, zwanej przez Matkę „drzewem szczęścia” — znajdowały się marmurowe mauzolea Aurobindo i Matki.

Dołączyliśmy do niezwykle różnorodnej procesji biednych i bogatych, młodych i starych, ciężarnych i niedołączonych, wdów i całych rodzin, i wszyscy razem, zjednoczeni w ciszy, posuwaliśmy się w kierunku mauzoleów. Uklękliśmy przed nimi i położyliśmy dłonie na różnym klombie w kształcie serca, uważając na tysiące brzęczących, niemal omdlałych ze szczęścia pszczół. Za przykładem innych ludzi przyłożyliśmy czoło do marmurowej bariery, która w upalny dzień działała jak lodowy kompres. *Atmosfera* była *bardzo* spokojna i pełna pobożności, wierni zachowywali głęboką powagę, niektórzy szlochali, inni się uśmiechali, a jeszcze inni po prostu siedzieli. My też usiadliśmy w ciszy biało-szarego dziedzińca i patrzyliśmy na zamknięte okiennice werandy; z łatwością mogłam wyobrazić sobie, jak na balkonie drugiego piętra pojawia się drobna postać Matki, żeby udzielić *darśanu* zgromadzonym poniżej wiernym.

Kilka osób przytulało się do „drzewa szczęścia”. Jak dowiedziałam się od ogrodnika aśramy, Matka wierzyła, że kwiaty i drzewa są w stanie przekazywać Supramentalną Świadomość i ludzie powinni wykorzystywać je do wyrażania swoich uczuć. Wszystkim kwiatom i drzewom nadawała nowe imiona, tak by można było lepiej pojąć ich właściwości. Słoneczniki, których było na dziedzińcu mnóstwo, otrzymały nazwę „pobożność”, hibiskus miał podobno przekazywać „moc”, a bugenwilla dawać „ochronę” — to zapewne dlatego tak obficie porastała mury aśramy i kwitła wzdłuż wszystkich ulic w Auroville.

Weszliśmy do salonu Śri Aurobindo i Matki — był to długi, wąski pokój z mahoniową sofą pokrytą złotym adamaszkiem i dwoma wytwornymi krzeselkami. Nad meblami wisiały uśmiechnięte portrety ostatnich lokatorów. Matka przy-

pominała mi nieco moją cioteczną babkę Gertrudę, przykutą do łóżka w domu opieki w Midlands. W dzieciństwie wciągano mnie do jej mrocznej sypialni i kazano całować pomarszczoną, chudą kobietę, która pachniała lawendą i moczem, miała gładko przylizane włosy zebrane w koczek i twarz pełną obwisłych fałd. Kreska szminki odcinała się ostro na bladej twarzy Matki, a ona sama wpatrywała się we mnie świdrującym wzrokiem. Ale podobnie jak u ciotki Gertrudy, czerwona szminka nie była w stanie ukryć jej ciepłego uśmiechu. Pochylała lekko głowę do przodu, jakby naprawdę słuchała z uwagą tego, co się do niej mówi.

Sri Aurobindo miał długi nos, który nadawał jego twarzy wyraz pewnej wyniosłości, długą, siwą brodę, jakby uprzedzoną przez jedwabniki i dalekie, nieobecne spojrzenie. Spokojnie mógłby uchodzić za krewnego Osho — też sprawiał wrażenie przedwiecznego i beczasowego, jeszcze jeden in-tergalaktyczny bohater *Gwiezdných wojen* — ale był tak eteryczny, że Osho, w swoich okularach od Gucciego i szatkach z lat 80., wyglądałby przy nim szalenie światowo.

Kiedy wróciłyśmy na ulice Pondicherry, zauważyłyśmy, że wpływ aśramy sięga znacznie poza jej bramy. Charakterystyczna biel i szarość pojawiała się na kilku ulicach, odciskając swoje piętno na sklepach, pensjonatach i warsztatach rzemieślniczych. Pomimo zgiełku rikszarzy i ulicznych sprzedawców te brukowane ulice — nazwane imionami francuskich królów, pełne drzew i ludzi w białych szatach — były cichsze i czystsze niż reszta miasta. Bez trudu znalazłyśmy drogę na nabrzeże, przy którym stały imponujące budynki z białymi fasadami. Od morza oddzielała je jedynie wysadzana palmami droga, przypominająca Croisette. Mając przy sobie Savannah z jej urodą, z łatwością mogłam sobie wyobrazić, że jesteśmy w Cannes — gwiazda i ja, jej osobista asystentka, usiłująca uchronić ją przed niechcianą uwagą tłumów. Ale gdy po raz kolejny musiałyśmy stanąć, żeby sobie zrobić zdjęcie z grupą podekscytowa-

nych Hindusów, nawet cierpliwość Savannah się wyczerpała. Wskoczyłyśmy do wynajętego przez nią samochodu z kierowcą i skierowałyśmy się na północ do Auroville.

Spodziewałam się, że Auroville będzie przedłużeniem aśramy — jeszcze więcej ludzi w białych szatach, brukowane ulice o francuskich nazwach plus wiatraki, które widziałam na zdjęciach Caroline.

Rzeczywiście, wiatraków było dużo, ale za to żadnego bruku ani żadnych szat — białych, pomarańczowych czy brązowo-czerwonych. Nasz ambassador jechał po nieoznaczonych, pokrytych czerwonym kurzem drogach pomiędzy wielkimi motocyklami i motorowerami prowadzonymi przez facetów mających na sobie jedynie dzinsy. Niektórzy z nich byli już trochę pomarszczeni, rzadkie włosy mieli związane w wątle końskie ogonki, ale inni byli tak przystojni, że aż piszczalam z podniecenia. Na wielkich motorach jeździły też dziewczyny — drobne, z determinacją na twarzach, w bawełnianych sukienkach i lotniczych okularach. Hindusi jeździli na dużo mniejszych motorach, ale za to — zgodnie ze swoim zwyczajem — przeładowanych: żonaci wozili żonę i dwoje dzieci, a nieżonaci całe drzewka bananowe albo kilku najbliższych przyjaciół.

Mając na uwadze napięty plan Savannah, skierowałyśmy się od razu do Matrimandir. Matka uważała ją za „duszę Auroville”, miejsce, gdzie „można szukać własnej świadomości”, więc uznałyśmy, że najlogiczniej będzie zacząć właśnie tam. W sobotnie popołudnia przypadało chyba największe natężenie poszukiwań własnej świadomości — ogromne autokary z westchnieniem ulgi wyrzucały z siebie ładunek rozgrzanych hinduskich rodzin i próbowały wjechać na parking, gdzie tworzyły się prawdziwe korki.

Staliśmy w kilkusetosobowej kolejce, wachlując się maleńkimi biletami w nierównej walce ze wściekłym upałem. Ja i Savannah miałyśmy na sobie spódnice i luźne T-shirty, ale biedne Hinduski były zawinięte w sześciometrowe sari, a wiele z nich miało na sobie także kilka dodatkowych warstw tłuszczu. Jedyne pocieszenie stanowił fakt, że kolejka wiała się przez piękny ogród z bujnie kwitnącą bugenwillą i plumerią — według przewodnika Matka uważała, że ogrody są „tak samo ważne jak Matrimandir”. Było to miejsce, gdzie „jedna świadomość przechodzi do drugiej... w Ogrodzie Młodości rozpoznają młodość; w Ogrodzie Doskonałości rozpoznają doskonałość”.

W końcu, udoskonalwszy naszą świadomość i odzyskawszy kontakt z utraconą młodością, stanęłyśmy twarzą w twarz z Matrimandir. Z zewnątrz przypominała gigantyczną złotą piłkę golfową ułożoną na płatkach lotosu, niczym trofeum na wystawie — na tle błękitu nieba migotało dumnie 1400 złotych tarcz. Piłka była lekko spłaszczona, miała 30 metrów wysokości i 40 metrów szerokości, na ziemi leżały porzucane ogromne krążki, jakby jakiś wielkolud oddawał się grze z nadmiernym zapałem, nie zdając sobie sprawy z siły swojego uderzenia.

Dostanie się do Matrimandir było trudną sztuką. Na biletach znajdowała się cała lista zasad sformułowanych przez Matkę. „Oprowadzanie dozwolone jest jedynie w określonych dniach o określonych porach” i tylko dla osób, „które są poważne — poważne i szczerze — i naprawdę chcą się nauczyć koncentracji”. W odróżnieniu od ośrodka Osho, nie było „żadnych ustalonych pór medytacji... ^ale osoby powinny zachować milczenie, milczenie i skupienie”.

Przypomniało mi się, jak z kolegami z agencji reklamowej odwiedziliśmy kiedyś Whitehall5 żeby omówić z jednym

---

5 Whitehall — ulica w Londynie, przy której mieszczą się budynki rządowe.

z ministrów efekty naszej kampanii edukacyjnej na temat palenia papierosów. Tam też były przepisy, przepustki, podpisy, strażnicy, rygorystyczne harmonogramy i zakaz wnoszenia przedmiotów osobistych. Ale w Whitehall było więcej luzu — nawet w czasach „Shoe Bombera” nie trzeba było zdejmować butów. Najbardziej szkoda mi było strażnika, który siedział w słońcu naprzeciwko setek par butów ustawionych w równych rzędach, otoczony przez odebrane zwiedzającym butelki z wodą, aparaty fotograficzne i torby.

Wydawało mi się, że wchodząc do spłaszczonej piłki golfowej, znajdziemy się w złotej oazie spokoju, tymczasem wewnątrz znajdował się plac budowy. Posuwałyśmy się krętymi rusztowaniami na górę, zatrzymując się co chwila, żeby idące przed nami Hinduski mogły złapać w tym upale oddech. Z krokwi, niczym ogromne zasłony prysznicowe, zwieszały się plastikowe płachty, tłumiąc popołudniowe światło słoneczne przebijające się z trudem przez przykurzony mrok. Czy władze Auroville uważały, że sobotnie popołudnie to najlepsza pora na prowadzenie najpilniejszych prac budowlanych? Nie. Budowa zaczęła się w 1971 roku i nadal daleko było do jej zakończenia. Zapytałam brygadzystę, jak długo może to jeszcze potrwać.

— Trudno mi powiedzieć, może miesiąc — powiedział. Chyba spojrzałam na niego z powątpiewaniem, bo spróbował jeszcze raz: — A może rok albo dwa, albo pięć. To zależy od wielu rzeczy.

Głównie od pieniędzy— czyli 12 *lakh* 6 rupii (14 250 funtów) dziennie, jak nam powiedziała pewna miejscowa kobieta. Jej zdaniem było to jedno wielkie marnotrawstwo, dlatego wołała medytować pod starym figowcem bengalskim.

Kiedy wreszcie dotarłyśmy na szczyt rusztowań, miałyśmy dokładnie sekundę, żeby zajrzeć do wewnętrznego pomieszczenia — to tam mieszkańcy Auroville przychodzili się

koncentrować i wciągać Supramentalną Świadomość. Zobaczyłam idealnie czystą, okrągłą, marmurową salę, skąpaną w łagodnym świetle. Na środku, na złotej, geometrycznej podstawie, leżała oświetlona z góry ogromna kryształowa kula. Jak powiedziała po wyjściu Savannah, „to był cholernie wielki kryształ”.

„Cholernie wielki kryształ” nie wszystkich zadowolił. Najbardziej narzekali Hindusi. Nie miało dla nich znaczenia, że był to największy kryształ świata, że przywieziono go z Niemiec, że miał 70 centymetrów średnicy. A gdzie *pudża*? Gdzie kadzidła? Gdzie girlandy kwiatów? Gdzie *kumkum* i pasta z drzewa sandałowego? Gdzie brzuchaci kapłani z garnuszkami wypełnionymi słodkim, lepkiem *prasadem*? Gdzie śpiewy, gdzie rozdokazywani bramińscy chłopcy? Gdzie ścieżka dźwiękowa „Myszka Minnie na rozżarzonych węglach”? Gdzie różowe sreberka i złote serpentyny? Gdzie niemowlęta usiłujące doczołgać się do sanktuarium?

Ja akurat chciałabym spędzić więcej czasu z wielkim kryształem, wrócić do niego, kiedy nie będzie już tych wszystkich tłumów. Mieszkańcy Auroville i goście zatrzymujący się w pensjonatach mogli zjawiać się tu wczesnym rankiem i późnym popołudniem, żeby pod nieobecność zwiedzających poświęcić się docieraniu do Supramentalnej Świadomości. W ciągu całego miesiąca Caroline nie udało się to ani razu, ale mimo to uważała, że warto spróbować. Miałam zamiar pojechać na Goa do „Raju Danny'ego”, ale tydzień mogłam jeszcze tu zostać.

Wcześniej jednak trzeba było zrobić zakupy. Savannah nie miała specjalnie czasu na czerpanie z zasobów Supramentalnej Świadomości, bo musiała zaopatrzyć się w prezenty dla rodziny. W sklepie dla zwiedzających znalazłyśmy mnóstwo wyrabianych w Auroville produktów, którymi udało się wypełnić walizkę specjalnie przeznaczoną przez Savannah na ten cel: dla przyjaciółek aromaterapeutyczne żele pod prysznic

i szampony „Joga”, „Szczęśliwe Serce”, „Radość” oraz „Spokój wewnętrzny”; dla męża hamak; drewnianą łódkę dla synka; dla córki fioletowy T-shirt i różowe spodnie; a dla niej samej lniane spodnie i zwiewną białą bluzkę.

Po przepysznej prowansalskiej sałatce warzywnej, zjedzonej w kafejce na dziedzińcu centrum dla zwiedzających — przyjemne antidotum na dietę „Snikta” z aśramy — Savannah wyrzuciła mnie przed Afsanah Guesthouse, jednym z najstarszych pensjonatów w Auroville, i pojechała do Madrasu, zostawiając za sobą kłęby czerwonego kurzu. Było mi smutno, że odjeżdża, ale zapewne nie tak smutno jak męskiemu rodzajowi Tamil Nadu.

Afsanah, drobna kobieta po pięćdziesiątce z jasnymi oczami i oliwkową cerą, przywitała mnie z sekatorem w jednej ręce i bukietem kwiatów w drugiej. Kwiaty były przeznaczone do dużego wazonu stojącego obok fotografii jej ojca, bez pomocy którego — jak mi powiedziała — pensjonat nigdy by nie powstał. Liczyłam, że dostanę pokój, w którym zatrzymał się Dalajlama, kiedy przyjechał tu w 1993 roku, żeby położyć kamień węgielny pod Pawilon Kultury Tybetańskiej, ale był już zarezerwowany, i to z ogromnym wyprzedzeniem. Nic dziwnego, w końcu to najbardziej znany pokój. W końcu przydzielono mi Mirani Cottage, którego taras przypominał nieco Hu-zur Vadisi w Turcji — był obrośnięty dzikim winem, otoczony wysokimi trawami, drzewami i śpiewem ptaków. Leżałam na hamaku, patrząc na lampki i reflektory oświetlające krzewy obrastającego japońskie wodne ogórki, mnie przyglądała się żaba wyrzucona wcześniej z hamaka, a jej z kolei kot siedzący na kanapie.

Tej nocy spałam jak dziecko; materac miał kilkanaście centymetrów grubości, a rosnące przy domku drzewa dawały

przyjemny chłód. Rano mogłam wziąć porządny, gorący prysznic. Jedyłą niedogodnością był fakt, że musiałam dzielić łazienkę, ukrytą na tyłach ogródka, z kilkoma białymi żabami. Przeżyłam szok, kiedy usiłowałam odkręcić wodę, bo jedna siedziała na kranie, ale chyba większy szok przeżyły jej dzieci, śpiące na moim ręczniku.

Noce na dwucentymetrowym materacu w Sri Ramana-sramam zdecydowanie nie przysłużyły się mojej szyi, więc umówiłam się na wizytę u Henriego, podobno najlepszego masażysty w okolicy. Świeżo nabytą motorynką wyruszyłam do jego domu w Aurodam, osiedlu leżącym w pobliżu Matriman-dir. Jak to w Auroville, nigdzie nie było żadnych znaków ani drogowskazów, widocznie kradziono je zaraz po ustawieniu. Wreszcie, po dwóch pomyłkach, dotarłam do domu Henriego stojącego na polanie i zbiegu kilku dróg.

Od razu było widać, że mieszka tu od bardzo dawna. Wokół domu leżały poplątane węże ogrodowe, poobijanie wiadra i rowery. Naprzeciwko drzwi wejściowych stała maleńka świątynia — ze starą czaszką wołu zamiast „cholernie wielkiego kryształu”. Po wschodniej stronie mieściła się prowizoryczna pracownia malarska, z wyblakłym wizerunkiem kudłatego niedźwiedzia na drzwiach. Prosta chałupka z czasem wrosła w zaczarowany las, w którym się znalazła; unosiły się nad nią splątane korony drzew, wysokie trawy wyrastały ze wszystkich stron. Przez otwarte drzwi widziałam stos warzyw i owoców na kuchennym blacie oraz inne szczegóły szczęśliwego domowego życia — poduszki, papiery, świece i książki.

No i wreszcie sam Henri — heroiczne, muskularne ciało w staromodnych szortach. Z zamkniętymi oczami i z błogim uśmiechem na twarzy wystawiał pokrytą zmarszczkami twarz do słońca. Usiadłam obok niego w „poczekalni” — przy kamiennym stole pod baldachimem zieleni. Żadnych czasopism — jedynie cienie przesuwane się po powierzchni stołu. Zad-



nej muzyki czy radia w tle — jedynie szum wiatru, skrzypienie drzew i świergot ptaków. Po jakichś dziesięciu minutach Henri otworzył oczy i mrugnął, a po policzkach potoczyły mu się wielkie łzy. Uśmiechnął się przez nie.

— Cześć.

— Cześć — odpowiedziałam. — Medytowałeś?

— Zawsze medytuję. To takie piękne, prawda? OM. Przytaknęłam sztywno, żałując, że brakuje mi miękkich

kończyn i manier, jakie daje wychowanie w przyczepie przez rodziców hippisów.

— Jestem Lucy — przedstawiłam się. Szkoda, że nie miałam na imię Celestine, Iona albo Skye, albo wszystko naraz.

— Cześć, Lucy. Witaj. Świątynia czeka na twoje ciało.

Poprowadził mnie do schowanej za drzewami konstrukcji z bambusa, tyczek kazuaryny, lin z włókna kokosowego i słomy. Rozebrałam się do bielizny i mogliśmy zaczynać. Henri przesuwiał dłonie po moim ciele, pytając:

— Czy twoje ciało powoduje ból? OM. Co ci mówi twoje ciało? OM.

Henri miał w sobie coś z boksera, ale w łagodnym wydaniu Muhammada Alego. Pomimo krępego, przysadzistego ciała poruszał się wokół mnie z niezwykłą zwinnością i lekkością. Zbadał każdy centymetr mojego kręgosłupa, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby posłuchać kręgow i szumu wiatru.

— Wiatr jest dziś bardzo szczęśliwy — mówił z szerokim uśmiechem. A na koniec postawił diagnozę: — Twoje kręgi są ze sobą złączone, bo mięśnie się na nich zaciskają po tylu latach napięcia i ściągają je mocno, mocno, mocno. Nie czujesz nic w kręgosłupie, bo twoje ciało zapomniało, jak to jest coś czuć. Musimy przekonać mięśnie, że wszystko już jest dobrze. Nie ma się czego bać. Można już odpuścić. Nic się nie stanie. OM.

Opowiedziałam mu o swoich przeżyciach w Madra-

się i o tym, jak rozumiałam, że nie ćwiczę jogi z należytą uwagą. Powiedział, żebym się nie martwiła.

— Wrócisz do swojego ciała, znów będziesz jego świadoma, twoje ciało i twój umysł będą się poruszać razem. Joga jest dobra, kiedy ma się świadomość ciała, ale kiedy nie ma się świadomości, można sobie zrobić krzywdę. W ciągu ostatnich kilku lat miałem u siebie osiemnastu nauczycieli jogi — niektórzy byli niemal kalekami.

Dał mi kilka prostych ćwiczeń „Somatics”, które miałam wykonywać codziennie rano. Opracował je Thomas Hanna, uczeń Feldenkraisa, naukowiec, który znał Einsteina i tak jak on zajmował się ruchem i materią.

— Opracował sposób przywracania umysłu do ciała — tłumaczył mi Henri. — Wykonywanie tych ćwiczeń pomoże ci w uważnym praktykowaniu jogi, zaczniesz słuchać tego, co mówi ci twoje ciało. Zrób je teraz.

Przyglądał się uważnie, jak wykonuję serię pięciu ćwiczeń.

— Skup się na tym, co czujesz w środku. Właśnie! OM. Rozluźnij plecy i poczuj zmianę. OM. Teraz mi pokaz. — Pokazałam mu. — Pięknie. OM. — Znów mu pokazałam. Patrzył na mnie, jakby moje ciało było siódmym cudem świata. — Właśnie! OM. Robię się zazdrosny. Twój kręgosłup nie chciał tego dla mnie zrobić. A teraz się ze mną bawi. Pięknie! *Atcha OM*.

Spytałam go, jak trafił do Auroville.

— Przyjechałem do Indii, zanim jeszcze powstało Auroville. W 1966 roku do aśramy Sri Aurobindo. Miałem 24 lata. Z Francji do Indii płynąłem statkiem. Wiedziałem, że chcę doświadczyć zupełnie nowego życia. Myślałem, żeby wyruszyć do Nepalu albo do Tybetu, ale podczas rejsu miałem czas, żeby przeczytać książkę Sri Aurobindo *The Life Divine*. OM. Przyjechałem do Pondicherry do aśramy. Nie miałem

pieniędzy, jedynie bilet powrotny. Wydawało mi się, że zostanę tam trzy tygodnie. Poprosiłem o spotkanie z Matką. Wyznaczono mi termin na jeden dzień przed powrotem do Francji.

— Przerwał, spoglądając na jej portret, który uśmiechał się do nas znad materaca. Miała to samo przenikliwe spojrzenie i ten sam dobrotliwy uśmiech. Henri przeżył wtedy coś takiego, jak Swami Vijayananda przy spotkaniu ze Sri Sri Ma Ananda-mayee: — Spojrzałem jej w oczy i już wiedziałem. Bom! Życie się przede mną otworzyło, stało się ogromne, bezkresne. Bom!

Zapytałem, czy mogę zostać. Na początku trochę się ze mną droczyła, ale potem oczywiście powiedziała, że tak. Mieszkałem w aśramie przez dwa lata. A potem, dwudziestego ósmego lutego 1968 roku, Matka dała życie Auroville. W amfiteatrze odbyła się ceremonia otwarcia, z całego świata przyjechały dzieciaki, żeby ziemią ze swoich krajów wypełnić specjalną urnę. Podano Matce mapę, a ona zamknęła oczy i wskazała jakiś punkt. „Tu jest centrum Auroville, powiedziała. Tu zaczynajcie budować”. W tym miejscu rósł figowiec, jedyne drzewo w promieniu wielu kilometrów.

Drzewo miało wiele szczęścia. Ogrodnik z aśramy Sri Aurobindo opowiadał mi, że drzewo „przyszło do Matki podczas wizji i zapytało, czy może zostać na miejscu, bowiem chce być częścią Auroville. Wtedy ona poleciła, żeby go nie ścinać”, więc świątynię Matrimandir trzeba było przesunąć sto metrów na północ.

— Wtedy był tu jedynie piasek — mówił dalej Henri.

— Mówiliśmy na to „Czerwone Wzgórza”. Od Matrimandir do morza rozciągał się ogromny pas niczego. Niczego. — Nie mogłam uwierzyć, że czterdzieści lat temu nie było tu tego wspaniałego lasu. — Na początku nie mieliśmy nawet wody. Z tamilskiej wsi wezwaliśmy ródźdkarza. Kopaliśmy tam, gdzie nam pokazał. Był bardzo rygorystyczny. Kiedyś powiedział: „Kopcie tutaj”, ale my z jakichś powodów postano-

wiliśmy kopać trochę bardziej na lewo. Po trzydziestu metrach natrafiliśmy na litą skałę. Żadnej wody. Musieliśmy zacząć od nowa, tam, gdzie on nam pokazał.

Matka „opuściła ciało” w 1973 roku, ale Henri był pewny, że potem patrzyła na wszystko, co się dzieje.

— Matka wciąż z nami jest. Powiedziała: „Zapraszam was do tej wielkiej przygody. Nie wiem, dokąd to nas zaprowadzi ani co się wydarzy jutro, nie da się planować przyszłości. Ona nabiera kształtów w miarę tego, jak się uczymy, jak eksperymentujemy. — Zamilkł i zamyślił się. Jego oczy znów napełniły się łzami. — Życie tutaj jest wielką przygodą. Staramy się żyć po nowemu z ziemią, chcemy robić wszystko inaczej. Mam wrażenie, że żyję w jakiejś bajce, ale jej piękno polega na tym, że jest prawdziwa. Każda chwila jest piękna. OM.

Po masażu poszliśmy do domu. Henri chciał mi pokazać zdjęcia Auroville zrobione w 1974 roku. Ziemia wciąż była jałowa, ale pojawiały się już pierwsze oznaki rodzącego się życia — rząd drzew i kilka konstrukcji podobnych do świątyni masażu. Henri wyjaśnił mi, że nazywano je „kapsułami”. Na zdjęciach byli też ludzie — szczupli, umięśnieni mężczyźni odkładali na chwilę narzędzia, żeby pozować do fotografii z szerokimi uśmiechami bohaterskich pionierów, a na drugim planie stały piękne, młode kobiety z długimi włosami i w długich spódnicach.

— To była ciężka, fizyczna praca. Na początku nie robiłem masażu, ale wziąłem się za niego, bo taka była potrzeba. Wszyscy byli bardzo napięci, nie tylko z powodu pracy, ale z i powodu konfliktu z aśramą. Przychodzili do kuchni Aspiration i tylko prychali. — Henri zaczął naśladować ich miny i wzruszanie ramion. — Konflikt był bardzo poważny. Kiedy Matka opuściła ciało, ludzie z aśramy chcieli przejąć kontrolę nad Auroville i zrobić tu ośrodek religijny, ale my się sprzeciwiliśmy. Sprawa oparła się aż o Sąd Najwyższy w Delhi. Działy się bardzo przykre rzeczy. Wynajmowali w wioskach

chuliganów, żeby nas zastraszyć. W końcu wszystko się uspokoiło i mogliśmy dalej pracować. Ale masaż stał się sposobem na usuwanie napięcia z ludzi. Mój nauczyciel mówił: „Kiedy masujesz, zapomnij o oddzieleniu twoich rąk i ciała. Pozwól, żeby Matka przychodziła przez twoje ręce”.

Wcale nie miałam ochoty opuszczać bajkowej chatki w zaczarowanym lesie, ale zabrałam Henriemu mnóstwo czasu, szyja bolała mnie już mniej, a przy furtce czekał tamilski wieśniak ze spuchniętą kostką. Spytałam, ile kosztuje dwuipółgodzinny masaż.

— Sama zdecyduj, jeżeli w ogóle chcesz zapłacić — powiedział.

Wyjęłam plik banknotów. Wyciągnął do mnie książkę z fotografią Matki między kartkami.

— Daj to Jej. To dla Niej wykonuję tę pracę.

Kiedy wychodziłam, Henri rozmawiał z wieśniakiem w języku tamilskim.

Przez najbliższy tydzień przemierzałam na swoim skuterze z cylindrem 50cc czerwone drogi, wyobrażając sobie, że jestem Mariannę Faithful w *Dziewczynie na motocyklu*. Po kilku dniach udało mi się wyprzedzić staruszkę na rowerze. Byłam we wszystkich czterech rogach „Galaktyki”, oznaczającej urbanistyczną zasadę rozbudowy osiedla. Z Matrimandir, duchowego centrum, wychodziły cztery strefy: Kulturalna, Międzynarodowa, Przemysłowa i Mieszkalna, ale mnie najbardziej podobał się otaczający wszystko Zielony Pas. Tam było mi najbliżej do bajki Henriego — tam mogłam się zagubić w cudownym lesie, a kwiaty kiwały do mnie główkami, poruszane pędem mojego skutera. To tam przygoda Auroville wydawała mi się najbardziej żywotna. W tych rejonach, z dala od dróg i ścieżek, mężczyźni w szerokich przepaskach na długich wło-

sach ciężko pracowali, żeby, jak mówił Henri, „żyć po nowemu z ziemią” — na farmie Discipline uprawiali ekologiczną marchewkę, papaje, tamaryndę, rzodkiewki, słodkie ziemniaki i marakuje, poddawali fermentacji krowie łajno, żeby wykorzystywać je jako alternatywne źródło energii, nawadniali bujnie rosnący las. Stały tu też domy, podobnie jak chatka Henriego, wrosnięte niemal w las, zbudowane z naturalnych materiałów, z łagodnymi kantami i niesymetrycznym układem okien. Ich mieszkankami były ogorzałe kobiety w fartuchach, z gęstymi, rozpuszczonymi włosami i obwisłymi piersiami niepodtrzymywanymi przez staniki — nagle pojawiały się na werandach i obserwowały, jak przechodzę.

Architektura Auroville stanowiła część „wielkiej przygody” tak samo jak ludzie. Do nadzorowania rozbudowy osiedla Matka wyznaczyła Rogera Angera, francuskiego architekta zafascynowanego formą i Le Corbusierem, mówiąc, że „Auroville ma być polem ciągłych badań nad architektoniczną ekspresją, manifestacją nowego ducha w nowych formach”. Nie wszystkie wczesne eksperymenty zakończyły się sukcesem — bambusową kulę zbudowaną na krawędzi kanionu strącił pierwszy podmuch wiatru. Ale były też warte uwagi triumfy — w Ami widziałam dom, który miał „dalistyczne” topniejące kształty i wśród drzew nerkowca wyglądał bardziej surrealistycznie niż wszystkie obrazy Dalego. Jego miękka forma stanowiła mocny kontrast wobec kanciastych zarysów Savitri Bhavan — miejsca poświęconego na studiowanie poematu Sri Aurobindo *Savitri* — albo bardzo ustronnego Atitha Griha, terakotowego pensjonatu schowanego za Indyjskim Pawilonem Narodowym, którego werandy otaczały pojedyncze drzewo miodly indyjskiej.

Jedzenie w Auroville też było częścią bajki. Po kilku tygodniach na niewyszukanej hinduskiej kuchni czułam się jak Jaś i Małgosia na widok domku z piernika. Większość pierwszych osadników w Auroville stanowili Francuzi. A to oznaczało, że w restauracyjnych menu można było znaleźć gor-

gonzole, prawdziwą kawę i *quiche* domowej roboty, a piekarnie sprzedawały ciastka z owocami, bagietki i *pain au chocolat*. Pour Tous rzeczywiście był rewelacyjnym supermarketem — sprzedawano tu produkty uprawiane na organicznej glebie, rosnące w słońcu, które nie bało się swojego ciepła, przygotowywane według francuskich receptur, a prowadzony był przez Hindusów, najlepszych kupców na świecie.

Pierwszych dni w Auroville nie poświęcałam jedynie najeżeniu i włóczeniu się po Zielonym Pasiu. Pracowałam także nad swoim rozwojem duchowym. Niestety, to już nie była bajka, chociaż określenie przygoda dobrze tu pasowało. Savannah przysłała mi maila: „Czy wszyscy się zajmują tą cholerną duchowością?”.

Poszłam do biblioteki. Dzieła zebrane Sri Aurobindo zajmowały kilka półek — z pewnością nie był małym człowiekiem. Nie znalazłam książki cieńszej niż sześć centymetrów. Siedząc przez dwadzieścia cztery lata w swojej sypialni, miał wiele czasu na myślenie i pisanie. Wzięłam do ręki „Listę publikacji dla początkujących”, która odesłała mnie do blisko dwudziestu książek i dwóch płyt CD. Postanowiłam sięgnąć po pozycję pod obiecującym tytułem *Jak mam zacząć?*, napisaną przez Pandita, jednego z uczniów, oraz po *Co mam robić dalej?* tego samego autora. Znajdowały się w wypożyczalni, ale miały długą listę oczekujących. *Słownika jogi Sri Aurobindo* nie było wśród polecanych tytułów, ale za to stał na półce. Pomimo zachęcającego tytułu niełatwo było się przez niego przedrzeć.

*Cel jogi integralnej:* Nie chodzi jedynie o to, żeby wznieść zwykłą, pełną ignorancji świadomość świata na poziom boskiej świadomości, ale o to, by sprowadzić supramentalną moc tej boskiej świadomości do

ignorancji umysłu, życia i ciała, by je przetransformować, zmanifestować Boskość i stworzyć święte życie w Materii.

Nie byłam pewna, które hasło mam odczytać jako następne, ale zdecydowałam się na „supramentalny”, co oznaczało „bezpośrednią, samoistniejącą Prawdę-Swiadomość i bezpośrednią samo-efektywną Prawdę-Moc”.

Nic z tego. Postanowiłam zapytać znanych mi mieszkańców Auroville o znaczenie kluczowych terminów w nauczaniu Sri Aurobindo, ale niestety, wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku.

— Co to jest Supramentalna Świadomość? — spytałam „Ważną Osobistość”, mieszkającą tu od wielu lat.

— Nie mam pojęcia. Nie za bardzo rozumiem Sri Aurobindo. Ale nie mów o tym nikomu.

— A jego epicki poemat *Savitri*?

— Też nie. Ale nawet Matka mówiła, że nie rozumie go do końca, chociaż przeczytała go dwa razy. Większość mieszkańców Auroville nie ma czasu na lekturę, bo ciężko pracujemy, żeby zrealizować jego ideę.

Poprosiłam Bhaskara, kierownika mojego pensjonatu, żeby mi wyjaśnił, o czym jest poemat. Odchylił się do tyłu na swoim dyrektorskim krześle ze stopami o kilka centymetrów nad podłogą. Splatając palce i kierując słowa do sufitu, powiedział ze współczuciem:

— *Savitri* bardzo trudny wiersz. Sri Aurobindo być Bengalczyk z Kalkuta. On wychowany w Anglii. Mówić szesnaście języków, ale napisać *Savitri* po bengalsku, a potem przetłumaczyć na angielsku, ale bardzo trudno. Po bengalsku łatwo. Inaczej bardzo trudno. — Przywrócił oparcie krzesła do normalnej pozycji i spojrzał na mnie jak nauczyciel na tępego ucznia. — Poemat opowiadać o żona, Sawitri, i jej mąż, Satjawat — mówił wolno. — Mąż umrzeć, ktoś go zamordo-



wać. Żona walczyć z Bogiem. Potrzebować męża, ale nigdy nie spojrzeć na inny mężczyzna. Na koniec dostać go z powrotem. Ale przedtem dużo dialogi. — Popatrzył na mnie, jakby to wystarczyło na jeden dzień. A następnie podał mi rozliczne przykłady swojej wiedzy. — Ja jestem historyk. Poza tym szybko się uczyć po angielsku. W Auroville nie potrzebuję nauczyciel. Po prostu mówić. Poza tym ja jestem magister. Poza tym mam dwadzieścia osiem lat. Jestem kawaler.

Pojechałam do Savitri Bhavan na wykład na temat *Syntezy jogi*, jednej z prac Sri Aurobindo. Wykład prowadził Srad-dhalu, rezydent aśramy Sri Aurobindo, w olśniewającej kremowej *kurta padżama*. Przez dwie godziny omawiał treść dwóch zdań, ale ja nie zrobiłam się przez to ani trochę mądrzejsza.

Wsiadając po wykładzie na swój skuter, spytałam jakąś inną poszukiwaczkę prawdy, czy miała ten sam problem.

— Sri Aurobindo jest bardzo skomplikowany — przyznała. — Prowadzi cię od jednego argumentu do drugiego. Już sobie myślisz: „O, to jest jego wniosek”, a on go w tym momencie obala. Jego umysł działał w bardzo specyficzny sposób. Do prawdziwego wniosku dochodzi się jedynie na końcu.

Przypomniało mi się, co mówił Henri: „Trochę czytasz, potem tego doświadczasz, potem dochodzisz do miejsca »Aha, rozumiem«, a potem jeszcze trochę dalej. Wszystko odsłoni się przed tobą powoli, kiedy będziesz gotowa”.

Poznałam amerykańską malarkę, która wypowiadała się w podobnym duchu. Znalazła schronienie w Zielonym Pasie, gdzie uczyła malować ludzi, którzy nie potrafili nawet narysować linii prostej, i była bardzo zadziorna.

— A kto powiedział, że umiejętność rysowania linii prostej jest sztuką?

Tłumaczyła mi, jak się sprowadza Supramentalną Świadomość:

— Trzeba być otwartym, świadomym i cierpliwym. Ta uważność jest kluczem. Nie możesz chodzić i powtarzać: „Te-

raz jestem otwarta" i jednocześnie oczekiwać, że za chwilę coś się wydarzy.

Dość regularnie zaglądałam do Matrimandir. Wprawdzie akustyka była tam tak samo zła jak w Audytorium Osho, ale fascynowało mnie siedzenie w marmurowej okrągłej sali, na białym dywanie w obowiązkowych białych skarpetkach frotte. Już samo patrzenie na cholernie wielki kryształ, nad którym odbite światło wyglądało jak lodowa korona, uciszało moje *ćitta writti*. Na zewnątrz czerwona ziemia smażyła się w spiekocie słońca, a wewnątrz świątyni chłodziła jakąś niezwykle wydajna klimatyzacja. Niestety, była to moja jedyna korzyść; Supramentalna Świadomość nadal pozostała supra-mentalna. Postanowiłam pójść za radą amerykańskiej malarki i przyjąć postawę większego luzu wobec mądrości Śri Auro-bindo. Supramentalna Świadomość pojawi się, kiedy przyjdzie jej czas, chociaż być może jeszcze nie w tym życiu.

Z nieco większym powodzeniem odkrywałam radość międzyludzkiej jedności — a ponieważ było to największe życzenie Matki wobec Auroville, czułam się szczęśliwa, mimo że przypominało to nieco stan ucznia, który przynosi w dzienniczku uwagę: mało zdolna, ale pracowita. Auroville dostarczało wielu okazji do jednoczenia się z ludzkością. Miało zaledwie 1700 mieszkańców, ale atrakcji wystarczało na całkiem spore miasteczko. Tablica ogłoszeń w Solar Kitchen, jednej z fajniejszych restauracji w Auroville, pełna była ogłoszeń o przeróżnych imprezach: pokaz *Ostatniego samuraja* i filmy dokumentalne na temat polityki zagranicznej USA; sesja leczenia kryształami z Vijayem w Fertile Windmill i opowiadanie baśni w Pawilonie Tybetańskim; wieczór tańców bengalskich i *Trzy wiedźmy* Terryego Pratchetta. Do wyboru, do koloru.

Poszłam obejrzeć występ The Boys na dachu Solar Café. Wiała tam przyjemna bryza, a do tego podawano na-les'niki gryczane, homara, kurczaka po rosyjsku, rozpływające się w ustach ciasto czekoladowe i herbatę imbirową (w Auro-ville obowiązuje ścisła prohibicja). Dwóch młodych chłopaków z Bangalore zabrało nas w muzyczną podróż dookoła dawnego świata — od Hiszpanii po Persję i Arabię. Wiek widzów wahał się od trzech do sześćdziesięciu lat, byli wśród nich podstarzali hippisi z opaskami na włosach i nastolatki z Włoch w obcisłych dzinsach i aparatach ortodontycznych na zębach. Korzyści płynące z wieloletnich kursów samorozwoju widać było na parkiecie. Promienna kobieta w szydełkowej białej czapeczce, przezroczystej jedwabnej bluzce i takich samych spodniach radośnie potrząsała pięćdziesięcioparoletnią pupą, a młodsze laski z kolczykami w pępkach wprowadzały dobre wibracje do swoich *manipura ćakra*.

W Auroville mężczyźni także mieli zwyczaj wystawać pod ścianami (tylko u Osho widziałam, żeby faceci z takim samym zapalem rzucali się do tańca jak kobiety). Chudy Włoch z kręconymi włosami, w dzinsach z wysoką talią i niezawiązanych butach siedział obok swojego kumpla, Niemca z niesamowicie jasnymi włosami zaczesanymi na twarz — ale nawet oni nie byli w stanie ukryć swojego wewnętrznego Ja. Nad dzinsami blondyna wystawała bielizna Calvina Kleina, a kusy bezrękawnik Włocha nie zakrywał wystarczająco jego mięśni z Zielonego Pasa.

Podczas świętowania Dnia Ziemi w Kosmos Café siedzieliśmy na podłodze w kręgu i rozmawialiśmy o zrównoważonym rozwoju. Przewodniczący zebrania, długowłosa, chudy facet o sokolim spojrzeniu, wręczył gumową kulę ziemską mężczyźnie po swojej prawej stronie i wyjaśnił, że jedynie osoba, która ma ją w ręku, może zabierać głos, i poprosił nas o zdefiniowanie pojęcia „zrównoważony rozwój”.

— Nazywam się Gabriel, przyjechałem z Niemiec. Mój

trzyletni syn powiedział mi wczoraj, że „zrównoważony rozwój oznacza zachowanie czegoś na przyszłość”.

— Mam na imię Michael. Jestem z Auroville. Zrównoważony rozwój służy tworzeniu miłości.

— Nazywam się Brian. Dla mnie zrównoważony rozwój to sprzedanie jak największej ilości baterii słonecznych.

Zdecydowałam się na podejście klasyczne i powiedziałam kilka słów o potrzebie życia w równowadze z korzyścią dla wszystkich zainteresowanych. Pojawiła się lekka konsternacja, na szczęście Bruce wyraził to znacznie lepiej niż ja, co wywołało potakujące kiwanie głowami.

Następnie przeszliśmy do konkretnych problemów Au-roville. Gumowa kula wędrowała wokół sali.

— Dziesięć lat temu w Auroville były jedynie rowery, a teraz jest więcej pieniędzy, więc pojawiły się motocykle.

— Największym problemem jest ego. Musimy stać się częścią większej świadomości. Oto nasza joga: musimy usiąść z naszym lękiem, medytować nad nim, żeby zrozumieć, co nam nie pozwala włączyć się w zbiorową świadomość. Dopóki tego nie zrozumiemy, nie zrobimy żadnych postępów.

Gumowa kula dotarła do rąk efektownej, świetnie zbudowanej dziewczyny w wieku około dwudziestu lat, ubranej od stóp do głów na czarno, siedzącej w drugim rzędzie z tymi, którzy przyszli nieco później. Zaśpiewała *Jamming* Boba Mar-leya i spojrzała wyczekująco. Krąg poruszył się niespokojnie, a kula wróciła do wewnętrznego rzędu, wprost na moje kolana. Postanowiłam przejść na nieco pewniejszy grunt.

— Jestem tu gościem, więc nie znam dobrze problemów Auroville, ale mam propozycję, by właściciele pensjonatów zachęcali swoich gości do zwracania uwagi na ilość zużywanej wody. Może nie trzeba codziennie prać ręczników, tak jak to się dzieje w Afsanah. — Kilka uprzejmych kiwnięć głową.

Gumowa kula powędrowała dalej.

— Zamiast o „środowisku” powinniśmy myśleć o „na-

szym środowisku". W ten właśnie sposób próbuję zmienić swoją świadomość.

Wszyscy klaskali. Czemu ja na to nie wpadłam? Cholera jasna!

Było już za późno, żeby powiedzieć coś oryginalnego — prowadzący zebranie spojrzął na zegarek.

— Jest 18:33 — powiedział znacząco. — Robi się ciemno, robi się późno, czas na muzykę, w końcu po to tu przyszliśmy.

Zebrana publiczność stanowiła przyjemny dla oka przegląd silnych ramion i ześrodkowanych czakr *manipura* ukrytych pod tunikami z cienkiej bawełny i płóciennymi spodniami (w przypadku mężczyzn) albo kusymi sukienkami (w przypadku kobiet). Przy pierożkach *samosa* i herbacie miętowej wysłuchaliśmy zespołu bębniarskiego tamilskich nastolatków, improwizacji z udziałem didgeridoo, marakasów i bębnów oraz recytacji wiersza o dzikości. To zachęciło kilka drobnych postaci w bawełnianych sukieneczkach do dzikiej ekspresji na scenie. Dwóch jasnowłosych Amerykanów grało na gitarach i śpiewało o tym, że ujawniają się przed nami tajemnice życia, a ludy powstają. Na zakończenie przybili sobie piątkę, wydali donośny okrzyk i uściskali się serdecznie. Piękna Francesca z Berlina zapowiedziała:

— Mam wielkie szczęście wystąpić z Helgą, która zagra na skrzypcach, i z Matthew, który zagra na pianinie. — Wszyscy zaczęli klaskać. — Przez czterdzieści pięć minut będziemy się unosić na emocjach jazzu. — Co też uczyniliśmy.

Potem dzieci z buziami wymalowanymi w lwy i w perukach ze srebrnej lamety tańczyły ze swoimi tatusiami, a skąpo odziane mamusie pogrążyły się w samoekspresji na ogromnym bezmiarze podłogi z szarych łupków. Młode kobiety z dużymi brzuchami, rozmarzonymi oczami i mlecznobiałą cerą leżały na podłodze w trzy- lub czteroosobowych grupkach i z głowami ułożonymi jedna przy drugiej coś między sobą konsultowały — może chodziło o jasnowłosych Amerykanów. Kolejny blondyn, tym razem w poncho i sombrero, zapalił *bidi* na środku

parkietu. Wydawał mi się dość charyzmatyczny, ale został natychmiast wyproszony.

Najlepiej bawiłam się podczas quizu w pubie w Dniu Świętego Patryka. Może dlatego, że była to jedna z niewielu okazji, kiedy wypłam drinka. A może dlatego, że panowała tam atmosfera prawdziwej międzyludzkiej jedności. A może wszystko z powodu Spike'a.

Przyszłam tam w naprawdę dobrym nastroju — zainspirowała mnie baśń o Auroville. Do „pubu”, czyli Eden Restaurant, położonej tuż za granicą „strefy prohibicji”, przywiózł mnie Kalyan, który mieszkał w Kuilapalayam, przy południowo-wschodniej granicy Auroville. Jego nowiutki ambassador podskakiwał na wyboistych drogach, a Kalyan tłumaczył mi, dlaczego tak podoba mu się w Auroville:

— Auroville dobre miejsce. Przedtem mieszkać w Madras, dużo napięcie, dużo drogo, bardzo ciężko. Życie w Auroville dobre. Szkoła dobra. Dom dobry. Dom w Auroville 500 rupii na miesiąc. W Madras taki sam dom 1800 rupii. Szkoła w Auroville, New Creation, 50 rupii na miesiąc. W Madras taki sam szkoła 3500 rupii za kwartał. Dzieci czternaście, jedenaście, dziesięć, osiem, pięć i jeden rok. Nie mieć więcej dzieci. Moja żona 36 lat. Ja 39. Dzieci bardzo szczęśliwe. Mamy dobra przyszłość.

Zupełnie jakbym rozmawiała z londyńczykiem, który przeniósł się na wieś, z tym że Kalyan był bardzo sympatyczny.

Wszystkich gości witała na tarasie Davina. Widząc, że jestem sama (tak mi przykro), dołączyła mnie do zwariowanej drużyny podobnych do mnie sierot bez przydziału. Mieliśmy więc dobrze zakonserwowaną parę pięćdziesięcioparolatków spod Londynu — on miał szerokie barki i mocno zarysowaną szczękę, modnie przystrzyżone, siwe włosy, ona natomiast była przeraźliwie chuda, paliła jak smok i miała na sobie elegancką czarną sukienkę koktajlową. W miarę upływu czasu robiła się

coraz mniej koherentna, gdyż napędzał ją, tak jak zresztą nas wszystkich, kingfisher zamiast guinnessa. Sinead, rudowłosa Irlandka, też nie wylewała za kołnierz. Spike urodził się w południowym Bronksie, ale niedawno przeniósł się do Zimbabwe, gdzie napisał i wyreżyserował sztukę z udziałem dzieci z biednych dzielnic. Doskonale zdawał sobie sprawę z mocy swojego lekko ochrypłego głosu Afroamerykanina i figlarnego uśmiechu — i nie bał się ich używać. Rick nieco mniej podobał się kobietom — miał potargane włosy, wąsy, zepsute zęby i nieustannie przewracał czyjaś butelkę z piwem.

Ponieważ nie piłam od dziesięciu dni, butelka kingfishera natychmiast znalazła się w moich *nadi* — co miało znaczący wpływ na udzielane przeze mnie odpowiedzi. Sama byłam zaskoczona swoją wiedzą, że Pittsburgh to miasto w Ameryce, nazwane tak na cześć brytyjskiego premiera, a powieść Henryego Jamesa, na podstawie której Jane Campion nakręciła film, to *Portret damy*. Później jednak nieco się opuściłam, mówiąc, że pierwszym nierozstawionym zwycięzcą Wimbledonu był Ilie Nastase, a nie Boris Becker; nie umiałam też pomóc w zapisaniu rzymskimi cyframi liczby 1999, mimo że w szkole było to hobby wszystkich kujonów.

W części pod tytułem „Kolej na gwiazdy” każda drużyna musiała wydelegować jednego zawodnika do występu solo albo wystąpić jako całość. Francuz z drużyny „Zielonych ludzików” okropnie zagrał na flecie. „Sinn Fein” wyznaczyli Pam, obeznaną z teatrem piersiastą ślicznotkę z jasnymi włosami, do wykonania *Lets Do The Time Warp Again* wraz z całym układem choreograficznym. Sean z „Guinnessa” wydeklamował jakiś irlandzki wiersz, ale dopiero za trzecim razem się nie pomylił. Potem był obowiązkowy *Danny Boy* i wreszcie nasza drużyna, „Róża z Tralee”<sup>7</sup>, zaśpiewała *Molly Malone*

---

<sup>7</sup>The Rose of Tralee — nazwa irlandzkiego festiwalu oraz tytuł starej irlandzkiej ballady.

— staliśmy obok siebie objęci ramionami i kołysaliśmy się jak pijani. Z wyjątkiem Spikea, który pił jedynie sok ananasowy, nie musieliśmy specjalnie udawać.

Za występ dostaliśmy pięć punktów ujemnych, bo Davina uznała, że Spike jest za bardzo gadatliwy. Całą drużyną rzuciliśmy się na niego, ale przypomniał nam, że „powinniśmy zwrócić też uwagę na motywację arbitra — dla Daviny problemem okazało się wyrażanie opinii”. Rozważaliśmy tę doniosłą prawdę polityczną przy kingfisherze i w końcu uznaliśmy, że Spike ma rację. Na ogół jednak wszyscy uczestniczyli w zabawie z charakterystyczną dla Auroville cnotą tolerancji

— wbrew arbitralnie podejmowanym decyzjom. Tutejsi mieszkańcy żartowali, że Auroville ma swój własny system rządów

— po konsultacjach z licznymi komitetami i podkomitetami sędzia podejmuje ostateczną decyzję, kierując się jedynie swoimi uprzedzeniami.

W ostatniej rundzie pytań, od początku do końca na irlandzkie tematy, dostawało się podwójne punkty. Dzięki Bogu mieliśmy Sinead, która, jak się okazało, była mniej pijana niż reszta Irlandczyków i na każde pytanie odpowiadała prawidłowo, co dało nam łatwo dziesięciopunktowe zwycięstwo. Wymalowaliśmy sobie twarze na zielono i czerwono i z dumą unieśliśmy w górę nagrody — fajansowe kufle do piwa wykonane przez miejscowych rzemieślników. Przegranii, czyli „Sinn Fein”, dostali kartofle. Przy *Bright Side of The Road* Van Morrisona Spike zaczął wirować ze mną na prowizorycznym parkiecie, wśród plastikowych krzeseł i zaskoczonych kelnerów. Staralam się nie przejąć prowadzenia i nie zgubić swoich kłapek, ale nie udało mi się ani jedno, ani drugie. Zdaje się, że Spike szukał kobiety nieco bardziej wytwornej, a w każdym razie mniej pijanej. Nieważne. Do hotelu wracałam z Sinead jedną taksówką i zabawiałyśmy kierowcę kolejnym wykonaniem *Molly Malone*.

Niestety, Spike nie dał mi swojej wizytówki, ale na-



stępnego dnia spotkałam się z Sinead. Była zaproszona na urodziny odbywające się na polach Buddha Garden, farmy, gdzie można było dostać zakwaterowanie za pracę w sadzie owocowym, na plantacji orzeszków albo w kurniku. Ochotnicy pracowali od szóstej rano do dziesiątej, a w zamian mogli przenocować w stojącej na polu kapsule (80 rupii za noc) albo w zbiorowej sali (50 rupii). Jedna z kapsuł spaliła się tydzień wcześniej — być może dach „przepuszczał kosmiczne wibracje i harmonizujące sny”, jak napisał „Auroville Today”, cytując Johnniego, legendę osiedla i projektanta kapsuł — ale zdarzały się nieszczęśliwe przypadki wynikające z braku ostrożności w paleniu.

Siedzieliśmy na kocach w wysokiej trawie, na widok spadających gwiazd wyrażaliśmy swoje życzenia i słuchaliśmy, jak Chris z Cambridge gra z nieobecnyim spojrzeniem na gitarze. Kiedy gwiazdy świeciły już bardzo jasno, wszyscy położyliśmy się w łańcuchu jeden za drugim — ogolone głowy, dreadloki, włosy obcięte na pazia, warkocze, kucyki, porządne fryzury, pięćdziesięcioletkowie, dwudziestolatki i so-lenizantka, która kończyła tego dnia 33 lata. Oto prawdziwa jedność między ludźmi. Cztery Japonki — Akiko, Hoshi, Midori i Suzu — przygotowały kolację dla 15 osób. Jedliśmy makaron z sosem sezamowym, czekoladowy tort urodzinowy i ciasteczka cytrynowe. Marcus z Niemiec perfekcyjnie wyrecytował *Jabberwocky*, a Lara ze Szkocji, przyjaciółka Akiko, tłumaczyła mi, że uprawianie roli może być medytacją, życiem zgodnym z zasadami jogi i gumowym fetyszem jej chłopaka.

Kilka dni później zostałam znowu zaproszona do Buddha Garden na poranną japońską jogę. W wysokiej trawie i w chustce na głowie Akiko wyglądała jak robotnica rolna z lat 50.

— W japońskiej jodze robimy 32 ćwiczenia, żeby przebudzić stawy i mięśnie — tłumaczyła. — Zaczynajcie tak. — Wierzchem dłoni przesunęła po policzkach, naciskając palcami

kości policzkowe, a potem zwinęła dłonie w pięść i spuściła je sobie na czoło z dużej wysokości. — Pięknie — skomentowała nasze okładanie się po głowach. — Teraz nakarmcie palcami czaszkę. — Zaczęła masować sobie pięściami pachwiny, następnie całe nogi, a wreszcie kości stóp. — Jak one się nazywają? — spytała, pokazując na koniec stopy.

— Palce u stóp — podsunęła usłudźnie Lara.

— OK, pukajcie w palce u stóp. — Popatrzyła na nas. — Pięknie.

Oklepywaliśmy się dłońmi po nogach i piersiach, kładliśmy się na plecach ze stopami pod pupą, próbując przy tym odchyłać kolana w górę i w dół. Co okazało się zaskakująco trudne i prawdę mówiąc, dość bolesne w wykonywaniu na spieczonej ziemi. Japońska joga powinna się nazywać „jogą klapsów i łaskotek”, gdyż była przedziwną mieszanką bólu i przyjemności. Ale piknikowe śniadanie po zajęciach było już samą przyjemnością — chleb wypiekany na miejscu, dżem z mango, miód, masło orzechowe oraz sałatka z rukoli i pomidorów, zebranych własnoręcznie przez Akiko poprzedniego dnia. Dołączyły do nas jej przyjaciółki; kłaniały się, uśmiechały i próbowały wymówić nasze imiona — proszę, poznajcie Luci i Lauę.

Zastanawiałam się, jaką sekwencję asan Sri Aurobindo i Matka uznali za pomocne w sprowadzaniu Supramentalnej Świadomości, ale uważna lektura ogłoszeń na tablicy w Solar Cafe dowodziła, że nie istniała żadna markowa joga z Auroville. Zdecydowałam się na zajęcia w Pitandze, ośrodku świadomości ciała, położonym we wschodniej części Strefy Mieszkalnej i założonym w 1991 roku przez holenderskiego nauczyciela jogi i dwóch tancerzy z Brazylii. Nazwa ośrodka pochodziła od słodko pachnącego krzewu z Ameryki Południowej, który

był symbolem pokoju i harmonii<sup>8</sup>. Przywitało mnie wielkie złote OM wymalowane na frontowej ścianie. Weszłam do przestronnej recepcji z sadzawką, paprociami, atrium i zdjęciem Matki. Sala do jogi była jasna i śliczna, miała błyszczącą podłogę z wiśniowego drewna, ale wzdłuż jednej ściany wisiały liny, a na półkach leżały równo wałki, kostki, koce, pasy i podpórki pod plecy. Ze ścian patrzył na mnie Iyengar w przerażających pozycjach. Znowu będą na mnie krzyczeć? Każą mi rozciągać górne powieki?

Niepotrzebnie się martwiłam. Sophie, drobna Francuzka z czarnymi, kręconymi włosami, rzeczywiście uczyła się u Iyengara, ale nie wprowadzała wojskowego drylu. Słońce świeciło mocno, wentylator na suficie mruczał cicho, a ona łagodnie prowadziła nas przez popołudniowe zajęcia.

— Podnieście pupy

— Pięty i palce muszą być tak samo na podłodze.

— Obróćcie miednicę.

Przygotowując się do stania na barkach, część ćwiczeń wykonywaliśmy w parach. Na zajęciach były głównie kobiety z Auroville z długimi, twardymi mięśniami, które wyglądały tak, jakby mogły udusić węża gołymi rękami. Na szczęście moim parterem został jeden z chłopaków, którego poznałam na przyjęciu w Buddha Garden — dwudziestopięciolatek z wygoloną głową i tatuażami — leżałam z nim na jednym kocu pod gwiazdami. Musieliśmy stanąć naprzeciwko siebie, zrobić skłon pod kątem prostym, dotknąć się głowami i naciskać sobie nawzajem rękami na gorące i spocone plecy, żeby rozciągnąć kręgosłup. To chyba nie miało być aż takie seksowne. Potem znów stanęliśmy prosto, nadal naprzeciwko siebie, i trzymając się za ręce z ramionami wyciągniętymi w bok, mieliśmy uginać kolana, zapewniając sobie wzajemnie oparcie.

---

<sup>8</sup>Pitanga — goździkowiec jednokwiatowy.

Powiedział, że pomagam mu w jego problemach z zaufaniem. Zawsze do usług.

Kiedy przyszedłam na zajęcia następnego dnia, ćwiczył z gołą klatką tai-chi w lesie pod oknem. Jakoś trudno mi się było skoncentrować.

Spytałam Kirsten, która pracowała w Pitandze, czy istniało coś takiego jak „joga Auroville”. Czytałam gdzieś, że Matka była zwolenniczką ćwiczeń fizycznych — według niej „kultura fizyczna jest procesem nasycania świadomością komórek ciała” — ale Sri Aurobindo miał bardzo specyficzny pogląd na temat *hatha jogi*, w którym bardzo zgadzał się z Ramana Mahariszim. Jak napisał Pandit w swoim *Słowniku jogi Sri Aurobindo*:

„Podstawowymi metodami jogi są asany i *pranajama*... Fizyczne efekty — zwiększona witalność, dłuższa młodość, zdrowie i długowieczność — przynoszą niewiele pożytku, jeżeli strzeżemy ich niczym skąpcy, odsuwając się z ich powodu od zwykłego życia, nie wykorzystując ich, nie wrzucając do powszechnej światowej aktywności. *Hatha joga* przynosi znaczne rezultaty, ale za niebotyczną cenę i z nikłym pożytkiem”. Kirsten wyraziła to bardziej zwięźle:

— Jeżeli ćwiczysz jogę przez pięć godzin dziennie, co dobrego wynika z tego dla świata?

Ciekawa byłam, co Sri Aurobindo powiedziałby o uczniach *aśtangi* w Mysore i ich pełnym poświęceniu dążeniu do zwycięstwa w basenowym konkursie na najpiękniejsze ciało.

Prawdziwą jogą Auroville\* tłumaczyła mi Kirsten, jest joga pracy.

— To nasze narzędzie. Praca jest służbą. Nie przyjechaliśmy tu, żeby zarabiać pieniądze. — Od tego, co się robi, ważniejszy był duch pracy.

— W Auroville nie ma prestiżowych

zajęć — mówiła. — Po przyjeździe pracowałam w kuchni. Na początku miałam przed tym opór. Wydawało mi się, że nie przyjechałam tutaj po to, żeby gotować. Ale w końcu zrozumiałam, co zabrało mi dziewięć czy dziesięć miesięcy, że pracuję na rzecz społeczności. W końcu każdy musi jeść. I wtedy polubiłam swoje zajęcie.

Zapytałam, jak ludzie znajdują sobie tutaj pracę. Pod tablicą ogłoszeń w Solar Café widniał cytat ze Śri Aurobindo: „Praca wykonywana we właściwym duchu jest medytacją”. A okazji do „medytacji” było wiele: w ogrodach botanicznych, w stołówkach, na budowach, przy pisaniu projektów.

— W Auroville musisz sobie sama stworzyć pracę, pytając, rozglądając się — mówiła Kirsten. — Nowo przybyli próbują na ogół wielu różnych rzeczy. Przyjeżdżają z przekonaniem, że będą pracować w swoich starych zawodach, ale potem okazuje się, że robią coś zupełnie nowego... Tu jest mniej barier. Możesz zostać nauczycielką, nie mając takich kwalifikacji, jakie są wymagane na Zachodzie. Wiele osób zaczyna tu wszystko od początku... W Auroville masz przestrzeń, żeby przekonać się, kim jesteś, zastanowić się nad życiem i nad sobą, żeby poznawać. Ale przy takich dużych zmianach, przy braku wsparcia i infrastruktury nieuchronnie dochodzi do tego, że musimy zmierzyć się z własną mroczną stroną, indywidualną i zbiorową. Każdą transformację poprzedza walka. Wszystko, co robimy, robimy z miłości do Auroville, a nie dlatego, że to jest łatwe. Prawdę mówiąc, to jest bardzo trudne.

Nie dałam się zniechęcić. Coraz bardziej mi się tutaj podobało. Podobała mi się bajka o słonecznej krainie z czerwonymi drogami, cholernie wielkimi kryształami, ogrodami botanicznymi i serem gorgonzola. Zastanawiałam się, czy nie zostać tu na jakiś czas, wstąpić do grona oficjalnych Nowo Przybyłych, spędzić dwuletni okres próbny, przeprowadzić się do chatki Salvadora Dali, leżeć w hamaku, jeść ser i patrzeć na robaczki świętojańskie.

— Masz dla mnie jakąś pracę? — spytałam, nie do końca żartując.

— Akurat jest taka możliwość w Pitandze — odpowiedziała. — Co dwa tygodnie mamy wystawę i zawsze jest dużo roboty przy oprawianiu i rozwieszaniu obrazów.

— A zatem — zatarłam rękę, przełączając się na tryb londyńskich profesjonalistów pod nazwą „nie ma sprawy” — potrzebujecie kogoś, kto się tym zajmie i zrobi wszystko jak należy. Żadnego opieprzania się.

— Skądże! — Kirsten wyglądała na przerażoną. — Potrzebujemy kogoś, kto będzie podchodził do pracy z miłością i świadomością.

Nikt mi nigdy jeszcze nie mówił, żebym pracowała z miłością i świadomością, a na pewno nie w epoce margaryny. Może należało wreszcie zacząć.

„Atcha! OM! Bom!”

Postanowiłam zrezygnować z wyjazdu na Goa. Stwierdziłam, że przed podjęciem ostatecznego zobowiązania co do dwuletniego okresu próbnego powinnam pobyć tu jeszcze tydzień lub dwa i bliżej doświadczyć międzyludzkiej jedności. Chciałam porozmawiać z wieloletnimi mieszkańcami, podrażnić nieco głębiej i sprawdzić, jak naprawdę żyje się tym z Głównej Listy<sup>9</sup>.

Niestety, ci z Głównej Listy nie byli specjalnie zainteresowani zaprzyjaźnianiem się z gośćmi. Nie miałam o to do nich pretensji. Goście nieustannie naruszali ich spokój — przyjeżdżali codziennie ogromnymi autokarami, przez co mało ruchliwe na ogół drogi stawały się niebezpieczne. Przez

---

<sup>9</sup>Główna Lista (ang. Master List) — lista stałych mieszkańców Auroville, spełniających określone warunki i mających określone przywileje.

krótki czas swojego pobytu nauczyłam się omijać główne trasy wjazdowe i wyjazdowe w godzinach zwiedzania Matrimandir. Bella, Włoszka mieszkająca tu od 20 lat, powiedziała z westchnieniem:

— Poddaliśmy się turystom.

Może zniechęcała ich nasza tymczasowość; ja też nie zawracałabym sobie głowy osobami mieszkającymi tu przez tydzień lub dwa. Nawet Nowo Przybyli na dwuletnim okresie próbnym mieli problemy z uzyskaniem akceptacji, a co dopiero ja.

Zostałam po jednym z wykładów w Savitri Bhavan, żeby porozmawiać z pewną kobietą w średnim wieku z włosami ostrzyżonymi na pazia i zatroskanym wyrazem twarzy. Opowiadała mi, jak trudno było osiedlić się w Auroville sześć lat temu, kiedy tu przyjechała.

— Aurovilczycy nie byli zbyt przyjaźni. Wszędzie czułam agresję, „daj mi to”, „daj mi tamto”, żadnej pomocy. Jakoś musiałam sobie z tym poradzić. Dziś jest lepiej, ale wciąż nie jest łatwo.

Nadal ją to irytowało i twierdziła, że poprawa wcale nie była taka znaczna.

Glen, oficjalny Nowo Przybyły, opowiedział mi o swoich problemach:

— Przez dwa lata nie wolno mi stąd wyjeżdżać. Jeżeli pojawia się taka konieczność, muszę powiadomić radę Nowo przybyłych. Mój okres Nowo Przybyłego przedłużył się, bo dość dużo wyjeżdżałem. Ci z Głównej Listy mówią mi: „Tak nie można, nie jesteś jeszcze aurovilczykiem”, ale sami bez przerwy wyjeżdżają z Auroville, niektórzy nawet na całe lato, na cztery miesiące.

Może Nowo Przybyłych karano za to, że mieli łatwiej — w końcu pionierzy gołymi rękami sadzili na gołej pustyni cudowne lasy — ale wydawało mi się to trochę niesprawiedliwe. To nie wina Nowo Przybyłych, że pojawili się później.



Bardzo starali się rozpocząć nowe życie, a co ważniejsze, każdy, z kim rozmawiałam, dawał temu bardzo wymierny wyraz. Glen przekazywał na rzecz Auroville dwie trzecie zarobionych przez siebie pieniędzy — całkiem wysoki podatek jak na osobę o niskich dochodach. Powiedział mi, że w Auroville nikt nie zarabia dobrze, więc wiele osób dorabia na zewnątrz, a niektórzy wciąż mają domy gdzie indziej. Nic dziwnego, że dwie trzecie Nowo Przybyłych wyjeżdżało po trzech latach. Dziwił mnie jedynie niezmienny zapach Glena.

— Jesteś pewien, że warto? — dopytywałam.

— Kiedy tu jestem, to się wkurzam. Ale kiedy gdzieś wyjeżdżam, to widzę, że chcę mieszkać w Auroville. Byłem w wielu krajach, ale tylko tutaj mogę mieć swoją przestrzeń i naturę, którą kocham.

Mówiąc „przestrzeń”, nie miał na myśli domu, w którym mieszkał z rodziną. To był kolejny obszar nierówności. Glen mówił, że chyba nigdy nie będzie miał takich przywilejów jak mieszkańcy z Głównej Listy — gdy pojawiała się coraz więcej ludzi, narastała presja na budownictwo mieszkaniowe. Glen nawet nie miał co myśleć o domku Salvadora Dali; jego rodzinę umieszczono w małym mieszkanku w bezdusznym bloku.

Nie tylko Glen miał problemy z kwestią własności. Podczas swoich wędrówek po Zielonym Pasiu poznałam Farmera Fritza. Siedział na werandzie i zaprosił mnie na filiżankę bardzo mocnej kawy. Okazało się, że prowadzi ze swoim sąsiadem graniczny spór. Obie strony zgodziły się na postawienie płotu, ale nie umiały się już porozumieć w kwestii jego wielkości i materiałów. Fritz był za prostszym i tańszym rozwiązaniem i poczynił już pierwsze kroki.

— Pracuję szybciej, więc pierwszy zbuduję płot. — Pokazał na drewniane ogrodzenie i dodał z zastanowieniem: — Wiem, że jego robotnicy będą kraść mój materiał, więc powiedziałem swoim, żeby najpierw ukradli jemu.

Może życie nie było tu taką bajką, jak myślałam.

Tego samego dnia po południu kupiłam oficjalną gazetę miasteczka „Auroville Today”. Wkrótce przekonałam się, że bajka ma też swoją mroczną stronę, że konflikty, a nawet przemoc, są taką samą częścią opowieści o Auroville jak cudowne lasy.

Marcowe wydanie poświęcone było pamięci Sydo, czterdziestoletniego Holendra zamordowanego we własnym domu. Przyjechał do Auroville w 1996 roku, zamieszkał i pracował w Zielonym Pasie. Na zdjęciu widziałam jednego z tych pogodnych facetów, których tak podziwiałam przy ciężkiej pracy w lesie. Musiał być bardzo wesołym człowiekiem — grał na flecie, był uwielbiany przez dzieci za skłonność do żartów i łagodny charakter. Autor artykułu podejrzewał, że Sydo został zamordowany, gdyż był kluczowym świadkiem napadu na dom jego sąsiada, Steve'a. W wyniku napadu obaj mężczyźni znaleźli się w szpitalu z licznymi ranami zadanyymi nożem i sierpem. Sydo zeznał, że sprawcami była banda tamilskich wieśniaków. Zebrane dowody wskazywały, że bandyci wrócili do jego domu w Ubumdu i zamordowali go w środku nocy.

Stosunki między Auroville a graniczącymi z nim tamilskimi wioskami były napięte. Jak dowiedziałam się od Henriego, problemy zaczęły się od tego, że Śri Aurobindo Society wynajmowało *gunda*, czyli miejscowych huliganów, do zastraszania mieszkańców Auroville, by wygnać ich z ziemi. Życie w tych „zacofanych i potrzebujących rozwoju” wioskach i tak było już bardzo niespokojne, a dorzucono do tego zderzenie Wschodu z Zachodem. Opisy tego, co się tam działo — krwawe porachunki między gangami, napady i rabunki podsycane przez waśnie pomiędzy nową władzą polityczną a władzą starą, wywodzącą się ze świątyni i starszyzny — czytało się jak fragmenty z *Ojca chrestnego*. W kulturze tamilskiej honor jest wszystkim. Jeżeli do tego buzującego kotła dorzuciło się kaste *gounderów* (robotników) i *hańdżanów*, którzy musieli patrzeć

na białych jeżdżących na wielkich motocyklach i mieszkających w wielkich domach oraz na kobiety ubrane w skąpe sukienki odkrywające *manipura cakra*, to nic dziwnego, że jedność międzyludzka nie bardzo mogła się ujawnić. Trudno mi było wyobrazić sobie, że ci łagodni ludzie, których spotykałam wokół Auroville, po powrocie do swoich domów i wiosek odgrywali role z *Ojca chrestnego*. Wydawali się tacy mili i przyjacielscy — nawet bardziej niż biali. Mężczyźni przechadzali się, trzymając się za ręce, pomagali mi reperować światła przy moim skuterze, kobiety uśmiechały się, nawet jeśli pędziłam w ich kierunku z pełną mocą swojego silnika z cylindrem 50 cc.

Międzyludzka jedność przestawała być także widoczna przy podziale pracy w osiedlu — nie zauważyłam, żeby biali podlewali ogrody albo zajmowali się praniem. Paczka z Buddha Garden była oburzona.

— To kolonializm — stwierdziła Lara.

— To obrzydliwe — dorzuciła Akiko.

Akiko postanowiła z tym walczyć — razem z tamil-skimi nastolatkami pracowała przy wyrobie hamaków — ale nie umiała sobie poradzić z różnicami kulturowymi, jeśli idzie o tempo pracy.

— Japończykom mówi się, żeby ciężko pracowali — tłumaczyła. — Tamilczycy są bardzo powolni. Nie uczy się ich tak jak nas.

Zastanawiałam się, czy przy tych wszystkich różnicach ten utopijny eksperyment ma szanse powodzenia.

Próbowałam też znaleźć międzyludzką jedność w relacji „jeden na jeden”; miałam wielką nadzieję, że w tych cudownych lasach spotkam swojego księcia z bajki. Potencjalnych bratnich dusz było tu bardzo wiele, przynajmniej na papierze. Na 1304 osoby dorosłe przypadało 710 mężczyzn, i to w odpowiednim gatunku.

Przy cappuccino w Solar Cafe Bella zapewniała mnie:

— Nasza społeczność jest bardzo twórcza. Mamy tu

dużo malarzy, muzyków, pisarzy, tworzymy też baterie słoneczne.

Czyli dużo się dzieje, nie? Ale Bella sprawiała wrażenie smutnej i pogodzonej już ze swoją samotnością.

— Tu jest tak samo jak wszędzie. Czasem czuję się samotna i wtedy jest mi ciężko. Chciałabym być bardziej towarzyska, ale mi się nie udaje, bo mam mnóstwo swojej własnej pracy.

Perspektywa „swojej własnej pracy” w dowolnym wydaniu wydała mi się dość przygnębiająca. Miałam tego aż nadto u siebie w Londynie.

Wbijając słupki ogrodzenia w ziemię, Fritz tłumaczył:

— W Auroville ludzie nie są ze sobą długo. — Jakoś nikt nie wkładał wysiłku w trwałość związku. — Matka uważała, że ludzie nie powinni ze sobą być, jeżeli się nie kochają. Nie była wielką zwolenniczką małżeństwa. Mówiła: „Bierzcie ślub, jeżeli nie umiecie inaczej”, ale uważała, że to jest trochę dziecinne. Ale przy tym — Fritz uśmiechnął się szeroko — wyszła za dyplomatę i miała dwoje dzieci, jej wnuk mieszka gdzieś w Auroville.

Przyszło mi do głowy, że Auroville jest miejscem dla ludzi bardziej ceniących niezależność niż związki. Przebojowy duch „dam sobie radę sam/sama” był wszędzie zauważalny — na zdjęciach, które Henri mi pokazywał, w postaciach samotnych dziewcząt jeżdżących na motocyklach, w proponowanych kursach i zajęciach. Było tu mnóstwo terapii indywidualnych — uzdrawianie kryształami, polarity, leczenie *praną* — ale niewiele zajęć grupowych. Może w tak małej społeczności wyrzucanie z siebie problemów osobistych byłoby niebezpieczne; po katarctycznych konwulsjach w stylu Osho, zwierzeniach o potwornym dzieciństwie i po powtórnym narodzeniu pewnie trudno byłoby z tymi samymi osobami tak po prostu przystąpić następnego dnia do zbioru orzeszków.

Lekko rozczarowana postanowiłam złożyć kolejną wi-

zytę w Buddha Garden. Tydzień wcześniej pod gwiazdami znalazłam tu wiele dowodów na międzyludzką jedność, ale chyba wiele rzeczy się zmieniło od tamtego czasu i nawet Akiko, mistrzyni nauk pokojowych, miała poważny problem. Dwóch spośród dziesięciu ochotników pracowało tylko przez godzinę dziennie, nie pomagało w gotowaniu i wyjadało cudze jedzenie. Moim zdaniem, to już przekraczało granice.

— Dlaczego im nie powiesz, żeby się wynieśli? — spytałam.

— Bo nie mamy tu żadnego regulaminu. Muszę poczekać, dopóki nie staną się świadomi własnych działań, ale jak długo to potrwa?

— Chyba będziesz musiała długo czekać.

— To prawda. Na razie jem sama w kapsule, nie gotuję już dla nikogo.

Pomyślałam przez chwilę, żeby zamieszkać w Buddha Garden i zostać sąsiadką Akiko (jak tylko odbudują spaloną kapsułę), ale za bardzo trąciło to samotnym życiem, jakie prowadziłam w Londynie. Brakowało jedynie gotowych dań z Cafe Culture i kolorowego telewizora.

Widziałam, że czar pryska, i czułam się tym wytrącona z równowagi, a na dodatek jednego dnia stłukłam słoneczne okulary, upuściłam aparat fotograficzny, rozlałam wodę na komórkę i zostawiłam na plaży zegarek.

Poszłam do Sophie, żeby się jakoś pocieszyć. Spodziewałam się kolejnej rozkosznej sesji powolnych ćwiczeń z partnerem, na przykład z tym wytatuowanym Anglikiem, ale go nie było, a Sophie nie miała najlepszego nastroju. Robiliśmy ćwiczenia równoważne na ramionach i kolanach, zwracając uwagę na techniczną stronę pozycji.

— Wyrównaj pośladki, Lucy, poczuj swoje ciało.

Potem robiliśmy ćwiczenia równoważne na jednej nodze.

— *Plus fort*, Sylvie. *Lesjams*, Joseph. Na koniec zwieszaliśmy się na linach.

— *Oui*, Sylvie. *Très bien*, Sylvie.

Żadnego „*très bien*, Lucy”. Znowu poczułam tęsknotę za płynnymi ćwiczeniami, w których mogłam się zapomnieć.

Umówiłam się z Glenem na późne śniadanie. Przy jajkach i podpieczonym chlebie (toster w Afsanah znowu się popsuł) opowiedziałam mu o swoim dzisiejszym pechu z techniką i rozczarowaniu ciemną stroną bajki. Uśmiechnął się ze współczuciem.

— Kiedy przychodzi taki dzień, musisz się śmiać, poddać się woli wszechświata.

— Co jest ze mną nie tak? Zamilkł i zastanawiał się przez chwilę.

— Twoje trzy ciała są niedopasowane.

— Moje trzy ciała?

— Tak, każde ciało ma określone wibracje odpowiadające różnym poziomom świadomości. Jest więc ciało, które znasz, *sthula sharira*, czyli ciało fizyczne, świadomość w stanie czuwania, które odrzucamy w chwili śmierci. Pod nim znajduje się *sukshma sharira*, ciało astralne... potrafi przemieszczać się w przestrzeni astralnego wszechświata, w nim są zlokalizowane czakry. Channeling 10 czy jasnowidzenie to zjawiska, które zachodzą w tym ciele. *Dewy*, czyli istoty niebiańskie, zostają tam często unieruchomione, odurzone ekscytującymi przyjemnościami sfer astralnych. Jednak te przyjemności są iluzoryczne, a prawdziwą szczęśliwość można znaleźć w trzecim ciele, *karana sharira*. Tam jest siedlisko duszy, wyższego Ja, czystej świadomości. Nie wiem, które ciało choruje u ciebie, ale radzę ci stworzyć praniczne jajo, żeby się chronić.

W zamyśleniu zjadłam omlet.

— A jak to się robi?

— Musisz się położyć i wyobrazić sobie, że twoje ciało otacza *prana*, że cię otula niczym jajo.

Nie do końca wiedziałam, jaka metodologia jest wymagana przy tworzeniu takiego jaja, ale na szczęście Lara wpadła na pogawędkę. Ona też zajmowała się pranicznym jajem i zaoferowała pomoc. Położyłam się na trawie obok hamaka i zamknęłam oczy. Lara zaczęła wolno mówić:

— Tworząc praniczne jajo, zapewniasz sobie ochronę na cały dzień, tworzysz wokół siebie coś w rodzaju powłoki, tkasz trzy ochronne warstwy. Najpierw zacznij medytować nad swoją aurą. Wiesz, że ma osiem centymetrów grubości? — Nie wiedziałam. — Oddychaj. Jaki kolor ma twoja aura, Lucy? Pomarańczowy? Fioletowy? Czerwony? — Zdecydowałam, że jest biała i błyszcząca, jak anielskie skrzydła. — Teraz pomyśl o swoim ciele fizycznym. Poczuj więź między ciałem i powietrzem. Oddychaj. — Przeszliśmy do *sukshma shańra*, ciała astralnego. — Przesuwając się do góry, wizualizuj każdą czakrę po kolei. Zacznij od korzenia, *muladhara*, i przejdź do *sahasrapadma*, twojej kosmicznej czakry. Oddychaj. Jaki kolor mają twoje czakry? Medytuj nad każdą z nich, chroń je, oddychaj do nich. A teraz przejdziemy do jądra twojej istoty, do *karana sharira*. Pamiętaj, że jesteś *sat-ćit-ananda*. Bytem-świadomością-błogością. Czujesz, jak błogość ogrzewa twoją skórę?

Rzeczywiście, było mi ciepło, ale chyba bardziej z powodu operacji słonecznej niż kosmicznej błogości.

Lara kazała mi oddychać, a sama poszła do łazienki. Kiedy wróciła, była bardzo rzeczowa.

— Bardzo proszę — powiedziała, jakby serwowała w Starbucksie kawę. — Możesz zacząć dzień.

Podziękowałam jej. Czułam się spokojniejsza, ale największą korzyść odniósł mój telefon — wreszcie zaczął dzia-

łać po bliskim spotkaniu z wodą. Może moje trzy ciała też zostały odpowiednio nastrojone. Lara poradziła mi, żebym poszła do Fertile Windmill po kryształy chroniące przed kłopotami.

Na tablicy stojącej przy tak zwanej Chatce OM przeczytałam:

Sanktuarium kryształów Syriusza.

Wyjdź na próg na spotkanie samego siebie.

Jeżeli jesteś gotów

Znajdę twój osobisty kamień

Dowiesz się o sobie tego, czego bałeś się usłyszeć.

Medytujmy i razem

Dojdźmy do oświecenia

Zawsze sięgaj dalej.

Ponieważ w sanktuarium nie było żadnej obsługi, zajrzałam do pobliskiego sklepu, żeby dowiedzieć się, jak mogę się umówić na spotkanie z samą sobą. Okazało się jednak, że dyrektor placówki wyjechał na dwa tygodnie. Mogłam sobie wybrać kryształ za pomocą 200-stronicowego podręcznika, ale wszystko sprowadzało się do rady, abym wybrała ten, który do mnie przemówi. Trochę obawiałam się powtórki z kupowania szafirów w Ryszikeś, więc postanowiłam zaufać swojemu pra-nicznemu jaju.

To była zła decyzja. Godzinę później skończyła mi się benzyna w skuterze. Kiedy już udało mi się złapać stopa na stację benzynową po drugiej stronie miasta, a potem wrócić, byłam szczęśliwa, że umówiłam się wcześniej na wizytę u Henriego. Kiedy się tam zjawiłam, żywa baśń o Auroville rozmawiała płynnie po tamilsku z jakimś wieśniakiem z kontuzją barku. Poczęstowałam wieśniaka ciasteczkami, z nadzieją, że pozwolą mu szybciej wrócić do zdrowia, i udałam się do „świątyni”.



Henri przyglądał się, jak robię ćwiczenia Somatics, które wykonywałam codziennie i które rzeczywiście przynosiły pewne zmiany. Był bardzo zadowolony.

— *Atchal* Ciało zaczyna reagować. Wraca świadomość, zaczyna do ciebie mówić. Musisz słuchać. Nie ma się czego bać.

Zaczął masaż, a reakcje mojego ciała przyjmował z typowym dla siebie entuzjazmem.

— *Atchal* OM! Bom!

Spytałam, jak to się stało, że zamieszkał w zaczarowanym lesie.

— Do 1977 roku mieszkałem w aśramie. Ale dużo pracowałem w Auroville i tutejsi mieszkańcy ciągle mnie pytali: „Kiedy się przeniesiesz?”. Pewnego dnia jak zwykle poszedłem do pracy i gdy ktoś znów mnie spytał, kiedy się przeniosę, odpowiedziałem: „Nie wiem, może jutro, a może za rok”. Ale jeszcze tego samego dnia jedliśmy razem obiad i wtedy coś się wydarzyło. W jednej chwili wiedziałem: teraz. Wróciłem do aśramy, żeby o wszystkim powiedzieć. Nie chciałem robić zbyt wielkiego zamieszania, więc wyniosłem się stamtąd dopiero po dziesięciu dniach. Przyjechałem tutaj, ale nawet nie miałem gdzie mieszkać. I nagle słyszę: „Właśnie ktoś się wyprowadził z Aspiration. Wsiadłem na rower, natychmiast tam pojechałem i bom! Zadecydowała jedna chwila. I tak powinno być. Umysł ciągle myśli, ciągle się zastanawia, tak albo tak, a tu nagle... Bom! Zawsze trzeba żyć chwilą.

Glen mówił mi, że Henri spotkał się z Dalajlamą. Spytałam go, jak to jest, kiedy dwie oświecone istoty podają sobie ręce.

— Wcześniej widziałem go z pewnej odległości — mówił Henri. — To było w aśramie, kiedy poszedłem odwiedzić Matkę. Zobaczyłem go w tłumie ludzi. Kilka lat później byłem akurat w Auroville i mój znajomy mówi: „Chcesz się dołączyć do grupy, która ma przywitać Dalajlamę?” Nie wahałem

się ani sekundy. „Tak!”. Bom! Spotkaliśmy się, uścisnął mnie i powiedział: „Jesteśmy do siebie podobni”. Roześmialiśmy się i trzymając się za ręce, poszliśmy do Matrimandir. Kiedy mnie obejmował, poczułem coś szczególnego, jakiś dziwny spokój. Kiedyś przyszła do mnie mantra *OM Mani Padme Hum* i często gościła w moim umyśle. Powiedziałem mu o tym, a on się uśmiechnął. OM.

Postanowiłam opowiedzieć temu oświeconemu człowiekowi o swoich nieudanych próbach połączenia się z kosmiczną błogością, i odkrycia Wiecznego Ja, o poszukiwaniach *sat-ćit--anandy*.

— Pogubiłam się. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że je znalazłam, wszystko znika. Myślałam, że to miejsce jest bajką, ale teraz widzę, że nie. Chyba już sama nie wiem, czego szukam.

— Ach! — powiedział. — Poszukiwanie Boga. Ale jego nie trzeba szukać. Jest w tobie. Czy wiesz, że w twoim ciele jest naturą boskości?

Przyznałam, że już o tym słyszałam, ale próbowałam znaleźć twarde dowody.

— Tego nie da się opisać — odpowiedział. — To nie jest proces myślowy, można tego jedynie doświadczyć. To coś większego od nas wszystkich. To coś jest obecne w nas wszystkich, w tobie, we mnie, w nim, w niej, w drzewach. W każdej chwili możemy być jednością z wszechświatem. Po prostu bądź, i to wszystko. To ogromna przestrzeń.

— Rozłożył ramiona, jakby chciał objąć cały świat. — Kiedy się wie, że to coś istnieje, świat staje się bezkresny, już nie jesteśmy od siebie oddzieleni. Jestem tym samym co ty. I w tym jest spokój. Przestań podążać do celu, żyj chwilą. W tym jest wielka moc. Będziesz wiedziała, co robić.

Szłam do skutera, wycierając z oczu łzy. Znów miałam wrażenie — podobnie jak w Ramanasramam — że zostawiam za sobą szczątki nadziei i lęków, że opadam na dno oceanu,

znajduję tam ciszę, świadomość czegoś większego, miejsce bez ego, nienawiści, pragnień, niepewności i niezrozumienia, miejsce, które jest we mnie i poza mną.

A już dziesięć minut później rzucałam o ścianę stosem czystych ubrań. Połączenie z kosmiczną błogością nie trwało długo. Po powrocie do hotelu znalazłam świeżo uprasowane ubrania ułożone na krześle przed moim pokojem. Ale moje ulubione dzinsy Paul and Joe zaginęły w akcji, prawdopodobnie bezpowrotnie. Cholera jasna! Kazałam biednemu Bhaska-rowi przejrzeć całą szafę z praniem gości, a kiedy okazało się, że bez skutku, zaczęłam krzyczeć:

— I co ja teraz na siebie włożę?

Cholerne *kiesie* po raz kolejny spuszczały mojemu umysłowi jak diament bez skazy porządny łomot. Znalazłam się w stanie totalnej *asmity*, błędnie utożsamiając się z kawałkiem dzinsu. Musiałam się roześmiać. Ale nie było się z czego śmiać, to wcale nie było zabawne. Oczywiście dzinsy nie miały znaczenia, od razu przeprosiłam Bhaskara. Jednak moja przesadna reakcja kazała mi się zastanowić, co robiłam przez ostatnie pięć miesięcy. Zmusiwszy się do spokoju i myślenia, zdałam sobie sprawę, że od dnia, kiedy na dworcu w Delhi darłam się na kierowców i bagażowych, poczyniłam niewielkie postępy. Pomimo kilku muśnięć kosmicznej błogości — podczas zajęć z Vinayem P. Menonem, w zaczarowanym lesie i w sali *darśanów* człowieka, który nie żył od ponad 50 lat — nie udało mi się trwale wykroczyć poza materializm i makijaż. Co więcej, miałam już dość popadania w skrajne emocje i życia na walizkach. Tęskniłam za rodziną i za Kawowymi Guru. Naprawdę byłam wykończona — podróżowaniem z jednego końca kraju na drugi, byciem w ciągłym ruchu, staraniami, żeby być dobrą uczennicą, poznawaniem nowych przyjaciół, szukaniem guru

i sensu istnienia, próbami zrobienia w ciągu kilku miesięcy tego, na co innym nie starcza życia.

Leżałam w hamaku, patrząc na robaczki świętojańskie i miękkie światła lampek w krzewach rododendronów. Dlaczego nie robiłam żadnych postępów? Może Beckle miał rację? Zwrócił kiedyś uwagę na mój T-shirt z napisem „OM Yoga” — przyjaciółka przywiozła mi go z Nowego Jorku ze szkoły Cyndi Lee — i zaczęliśmy rozmawiać o wszystkich szkołach, które zdążyłam odwiedzić.

— Kiedy zobaczyłem twój T-shirt, pomyślałem sobie: „Ta dziewczyna po prostu robi zakupy” — powiedział żartem.

Tylko że to wcale nie był żart.

A może te pięć miesięcy było jedną wielką wyprawą na zakupy — zbieraniem kolejnych przeżyć bez wewnętrznej przemiany? Wiele rzeczy potwierdzało spostrzeżenie Becklea. Na swoją listę zakupów wpisałam nowe życie, lepsze ciało, sens życia oraz faceta, a do tego wiele miejsc i szkół jogi, gdzie mogłam to wszystko znaleźć. Kiedy się nad tym zastanawiałam, nie widziałam wielkiej różnicy między takim podróżowaniem a popołudniowymi zakupami w Londynie. Nie znalazłszy nic ciekawego u Josepha, szłam do Selfridges albo Whistles. Gdy zauważyłam, że mam ten sam problem co Frenchy z *Grease*, moją pierwszą reakcją była chęć wyjazdu z KYM — żeby poszukać nowych „sklepów”. Ale nie mogłam bez końca włóczyć się po sklepach, a poza tym, o co tak naprawdę mi chodziło? Dokąd chciałam dojść? Czy to przypadkiem nie była ucieczka od prawdziwego życia? Zaspokajanie zachcianek? Co mi z tego przyjdzie — zakładając, że mi się powiedzie — że jako Bogini Jogi z ciałem o zawartości 18 procent tłuszczu będę popijać na hamaku sok z mango o sześć tysięcy kilometrów od domu? Może to tylko eskapistyczna fantazja? A jeżeli w żadnej ze szkół nie znajdę poszukiwanych towarów, to co wtedy? Zniknę gdzieś w górach, usiądę obok usmarowanych popiołem *sadhu* ze zmierzwionymi włosami

i będę się umartwiać, przez dwanaście lat trzymając rękę nad głową, aż mi uschnie, a paznokcie urosną na metr? Jakoś nie widziałam siebie w tej roli. Nadszedł czas, żeby skończyć z zakupami. Dać sobie spokój. Walka skończona.

Tak wyczekiwanej zmiany na lepsze nie osiągnę, zapisując się do kolejnej szkoły jogi, kupując kolejne T-shirty z OM, książki o jodze i żółte certyfikaty. Musiałam zmienić swój sposób myślenia. Przypomniałam sobie słowa jednej z Kawowych Guru. Przyszła na spotkanie do Cafe Seventy-Nine prosto z kursu, na którym poznawała tzw. paradoksalną teorię zmiany. Powiedziała mi, że zmiana pojawia się wtedy, kiedy stajemy się tym, czym naprawdę jesteśmy, a nie wtedy, gdy próbujemy być kimś innym. Zmiana jest niemożliwa, jeżeli uciekamy przed swoją naturą. Niestety, kiedy człowiek wyrusza w podróż, musi też zabrać samego siebie. Może gdybym zaakceptowała siebie taką, jaka jestem, i nie starała się zostać Boginią Jogi, poczyniłabym jakieś postępy. Ze zdziwieniem zauważyłam, że osoby, które mnie najbardziej zainspirowały — MP, Pan Gościnnie, Henri, uczniowie Menaki z KYM — były tak zwanymi zwykłymi ludźmi: kelnerami, pracownikami kolei, urzędnikami, krawcami, masażystami, nauczycielami. Georg Feuerstein powiedział kiedyś, iż jego zdaniem im bliżej człowiekowi do samourzeczywistnienia, tym bardziej zwyczajny się staje.

Myślałam o tych „zwykłych ludziach” i docierało do mnie, że zainspirowali mnie dlatego, iż ich praktyka jogi wykraczała daleko poza matę. Dla nich joga była stanem umysłu, postawą wobec życia i świata. Wszyscy traktowali ją jak „sposób harmonijnego życia”, a nie jednorazowe osiągnięcie fizycznego celu — i wszyscy wiedzieli, że przede wszystkim muszą zajrzeć w głąb siebie. Oświecenie to nie jakiś puchar, który unosi się w górę w chwili triumfu, lecz próby przedłużania chwil jasnego widzenia i podejmowanie mądrych decyzji na co dzień. Żadna z tych osób nie chciała mieć figury z ka-

lendarzy o jodze. Żadna nie zawracała sobie głowy staniem na rękach na skale. Nie prowadzili o jodze długich rozmów, chyba że ktoś z Zachodu chciał się czegoś od nich dowiedzieć. Nie robili nic szczególnego — *pranajama*, medytacje, może kilka prostych powitań słońca. Praktykowali nieformalnie, nie ćwiczyli w dużych salach pod okiem znanego nauczyciela, ale w domu — cicho i bez hałasu. MP codziennie odprawiał *pudze* na cześć Ganeśy, a potem szedł na 13 godzin do pracy w Madras Cafe. Przystojny Kedarnath, którego poznałam w pociągu do Madrasu, traktował swoje „głowa w dół, nogi w górę” jak szklaneczkę ginu po pracy. I nie widział powodu, żeby potem odmówić sobie prawdziwego ginu. Tak samo jak nie czuł potrzeby, żeby ubierać się na pomarańczowo, biało lub czerwono-brązowo, a już na pewno nie chciało mu się podskakiwać przez trzy godziny na niebieskiej macie.

Cechą, która naprawdę wyróżniała tych „zwykłych ludzi”, była ich umiejętność świętowania codzienności, dostrzegania przyjemności w powszednim życiu, zachwyty nad zwykłymi rzeczami. Ich szczęścia, *santoszy* czy radości nie psuła *raga*, czyli pragnienie materialnego bogactwa. Nie zaczynali dnia od „Gdyby tylko...”. Nie musieli chodzić do Josepha ani kupować sobie T-shirtu z OM, żeby być szczęśliwi. Znajdowali szczęście tu i teraz, w tym miejscu, bez względu na to, gdzie „to miejsce” było. MP czuł się szczęśliwy, robiąc coś dla swojej rodziny, dla gości i rybek. Pan Gościnnie chciał jedynie służyć Bogu, oprowadzać gości po swojej ukochanej aśramie i pięknych okolicach. Mohanowi, Tareshowi i Akshayowi do szczęścia wystarczała muzyka Elvisa, riksza i różowe błyszczące wstążeczki.

Jeżeli taka „zwyczajność” mogła aż tak uszczęśliwiać i dawać taką radość, to chętnie bym po nią sięgnęła. Najwyższy czas porzucić wielkie cele — i tak mnie nigdzie nie doprowadziły — i zacząć od czegoś mniejszego. (Swoją drogą to ciekawe, że od słowa „cel” było bardzo blisko do słowa „cela”

— więzienna). Przeszanę robić wszystko, żeby się *znaleźć* na czołówkach gazet — wielkie połączenie z kosmiczną szczęśliwością, walka o idealne ciało, zdobywanie świty męskich wyznawców — i przeszanę wreszcie stawać na głowie, bo to za bardzo boli. Zamiast tego skupię się na tym, co napisano małym drukiem — wydłużaniu chwil jasnego widzenia i podejmowaniu mądrych decyzji, jak moi „zwyczajni” guru.

Moje życie w Indiach było pełne sprzeczności. Porzucałam materializm i spałam na dwucentymetrowym materacu, a zaraz potem wydawałam w Amethyst 130 funtów. Jednego dnia piłam w przerwach między zajęciami sok kokosowy i dyskutowałam o jogasutrach, a następnego wlewałam w siebie pinot grigio z Liv, Johanem, Beckleem, Harleyem, Savannah i Roxanne na dachu w Park Hotel. Zastanawiałam się nad życiem w pomarańczowych szatach u boku Mdlejącego Swa-miego, a zaraz potem opalałam się w bikini na plaży w Kerali. W Indiach zobaczyłam te sprzeczności w pełnym świetle. I zrozumiałam, że joga nie pomoże mi ich wymazać. Podobnie jak nie usunie z mojego życia wszystkich trudnych wyzwań (z czym akurat łatwo mi było się pogodzić — kto by chciał prowadzić z brzegu zdalnie sterowaną łódkę, jeżeli można wypłynąć na morskie fale?). Ale dzięki jodze mogłam podejmować lepsze decyzje, dojść do większej równowagi, zwolnić nieco. Podczas praktykowania asan coraz mniej pochłaniały mnie myśli o tym, co mogę, a czego nie mogę zrobić, a coraz częściej zdarzało mi się „po prostu być” — być uważną i zadowoloną z tego, gdzie jestem. Postanowiłam zacząć w ten sposób żyć.

Wiedziałam, że będę za Indiami tęsknić. Pokochałam Ryszikeś i jego łagodnych, pełnych godności mieszkańców, Himalaje, Ganges, bezkresne, błękitne niebo, pomarańczowe szaty, zapach kadzideł, *kumkum* i *pudże*, ale chciałam wracać do domu. Przekieruję swoją energię, zacznę inaczej żyć. Nie miałam zamiaru zostać „ekojoginką” — zaszyć się w lasach

Kornwalii, zamieszkać w drewnianej chatce bez elektryczności i pralki, przesiadywać na werandzie jak te miłe kobiety z Zielonego Pasa w Auroville bez biustonoszy i z nieogolonymi nogami. Pierwszym krokiem w moim programie samoakceptacji było przyznanie, że jestem „kawową joginką”, a moją duchową ojczyzną jest północny Londyn. Wrócę na swoje miejsce w Café Seventy-Nine i Café Violette i spróbuję zastosować nauczanie jogi w praktyce, na macie i poza nią.

Z czego będę żyć? Świat reklamy wydawał mi się mniej szalony niż niektóre z odwiedzanych miejsc. W końcu czy może być coś bardziej zwyczajnego niż pudełko margaryny? Musiałam też przyznać, że lepiej się czuję w towarzystwie śpiewających słoneczników i ludzi z reklamy niż guru od Gucciego i Przytulających Matek. Rozgryzanie, dlaczego słoneczniki dają ludziom radość, szczególnie gdy śpiewają, stało się na powrót fascynujące. Poza tym zawsze z ogromnym zapałem pracowałam przy kampaniach społecznych, jak chociażby tej na temat papierosów. Czułam się lepiej na myśl, że być może pomogłam komuś rzucić palenie. Chciałam też pisać — pani P., astrolożka z Ryszikeś, z pełną powagą twierdziła, że napiszę książkę o podróżach i jodze, a prowadzenie codziennych notatek sprawiało mi ogromną przyjemność. Nie było już takie ważne, co robię, lecz jak to robię. Postanowiłam robić wszystko z większym spokojem i poczuciem zadowolenia, a także ze świadomością i miłością, które dla Kirsten z Pitangi były warunkiem właściwego wieszania obrazów.

Zdawałam sobie sprawę, że to nowe życie nie będzie usłane jedynie różami. Mniejsze lub większe załamania wiary były nieuniknione, ale na szczęście po wszystkich zakupach w Indiach moja torba aż pękała od joginicznej broni (w końcu byłam tą groźną, gniewną Durgą, która dziesięcioma rękami unicestwiała całe armie wrogów). Po pierwsze, miałam pieśni — sprawiały mi już taką przyjemność, że regularnie przenosiły mnie w stan *mudity*. Uścisnęła mnie Przytulająca Matka. Mia-



łam swoje śpiewanie OM. Wiedziałam już, jak „być” w asanie. Wzorem Savannah przywiozłam do domu całą walizkę aromaterapeutycznych żeli pod prysznic i szamponów o nazwach „Joga”, „Szczęśliwe Serce”, „Radość” i „Spokój wewnętrzny”. Miałam zdjęcie Mdlejącego Swamiego podczas wigilijnych tańców, miałam pomarańczowy dywanik z KYM. Mogłam medytować nad moimi nowymi „zwyczajnymi” guru — uczniami KYM, Henrim, MP i Panem Gościnnym — i umiałam zanurkować w ciszę i spokój oceanicznej głębi. Umiałam nawet udawać orgazm tantryczny, chociaż najchętniej od tej chwili nie udawałabym już żadnego. I miałam nadzieję, że nie będę musiała — w końcu kupiłam sobie pierścionek z szafirem i brylantami, który miał mi zapewnić męża, o ile będę nad nim medytować w czwartki. A może we wtorki?

No cóż, nie wracałam do domu jako Bogini Jogi z błyszczącą naklejką „nowy, lepszy model”. Nie udało mi się zrealizować żadnego zakładanego celu. Ale nie czułam się przegrana. Prawdę mówiąc, czułam radość i optymizm; Przegrana dała mi wolność. Zrzuciłam dążenie do perfekcji i nie musiałam już ulegać wymaganiom ego. Kiedy leżałam cicho na swoim hamaku, wydawało mi się, że słyszę niewyraźny szept Wiecznego Ja, które mówiło mi, że uwalniając się od celów (albo z celi) bez typowych dla ego lęków przed porażką, przekonam się, że świat jest znacznie większy.

Skreśliłam więc ze swojej listy kolejne szkoły jogi — miałam już wszystko, czego mi potrzeba, nie musiałam już chodzić na zakupy — postanowiłam wracać do Londynu, do Kawowych Guru. Dobrze wiedziałam, co mi powiedzą: czy wreszcie dotarłam do swojego wewnętrznego guru? Tego, który mówi: bądź zadowolona z tego, co masz. Tego, który mówi, że szczęście jest na wyciągnięcie ręki, musimy jedynie wejrzeć w siebie. Tego, który mówi, że doskonałość jest w niedoskonałości. Tego, który mówi, żeby rozmawiać z ludźmi w pociągach. Tego, który mówi, żeby jeść orzeszki w czeko-

ładzie i czuć błogość. Który mówi, żeby posiadać tylko to, co konieczne, a konieczne mogą być też ładne ciuchy, chociaż nie wszystkie muszą mieć metkę od Josepha. Który mówi, że życie polega na utrzymywaniu delikatnej równowagi pomiędzy picciem kolejnych kubków ajurwedyjskiej herbaty na uspokojenie *wata* i staniem w pozycji drzewa, a przewracaniem się po pinot grigio.

## Przepis na muffinki z jabłkami

Z wyrazami wdzięczności dla Downs Syndrome Association z Tamil Nadu i oraz mojej mamy — która przetestowała przepis w swojej wiejskiej kuchni w Anglii — oraz dla Olivera (mojego ojczyma), który bezinteresownie próbował pierwszą partię. Mama tak mi napisała w mailu:

Zrobił to bez najmniejszego sprzeciwu, wykazując ogrom heroizmu wobec tak trudnego zadania. Opanował się z właściwą godnością i tylko trochę nakruszył na podłogę. Smakowały mu i wczoraj wieczorem zjadł dwie (myśli, że w tajemnicy).

Trzy średnie jabłka obrać i drobno pokroić, wrzucić do rondla. Dodać dwie łyżki cukru pudru, ćwierć szklanki wody i pół ły-

zeczki cynamonu. Gotować na słabym ogniu, aż jabłka zmiękną. Grudki rozgnieść widelcem. Odstawić, żeby ostygło.

W misce wymieszać następujące składniki:

szklankę płatków owsianych

VA szklanki rodzynek

łyżkę mleka w proszku

1% szklanki mąki

1/2 szklanki cukru pudru

łyżeczkę proszku do pieczenia

1/2 łyżeczki sody oczyszczonej

Szklankę wody wymieszać z 4 łyżkami oleju. Dodać do suchych składników i wymieszać. Dodać wystudzone jabłka i jeszcze raz dobrze wymieszać.

Foremki do muffinek wypełniać do jednej trzeciej objętości i ustawiać na blasze. Piec przez około 20-25 minut w temperaturze 170 st. C (160 st. z termoobiegiem).

Wyjąć z pieca, po dziesięciu minutach wyjąć z foremek i ostudzić, o ile będziecie w stanie czekać. Zjeść, zanim wszystko zjedzą inni!

Słowniczek

**Abhiniwesa** — nadmierne przywiązanie do życia fizycznego i materialnego.

**Adho mukha wrksasana** — stanie na rękach.

**Adwajtawedanta** — dosłownie „nie dwa”; monistyczny albo nieduali-styczny system hinduskiej filozofii, w którym indywidualny *Atman*, czyli Jaźń, jest częścią *Brahmana*.

**Adźña. ćakra** (czakra) — czakra umysłu, zlokalizowana w trzecim oku, pomiędzy brwiami.

**Ahinsa** (lub *ahimsa*) — odrzucenie przemocy, szacunek dla wszystkich żywych istot.

**Ajurweda** — wedyjski system medycyny, zajmujący się zdrowiem psychicznym, fizycznym i duchowym.

**Amrita** — nektar nieśmiertelności.

**Anahata ćakra** — czakra powietrza, zlokalizowana w okolicach serca. **Ananda** — błogość, szczęśliwość.

**Apanasana** — kolana przyciąga się do klatki piersiowej na wydechu i wyprostowuje na wdechu.

**Aparigraha** — odcięcie się od chęci posiadania i pragnień.

**Arati** — Modlitwa Światła.

**Asany** — pozycje w jodze, regulujące funkcjonowanie ciała i ułatwiając koncentrację.

**Asmita** — fałszywa identyfikacja z Ja, egoizm.

**Aśrama**— hinduska pustelnia, miejsce poszukiwań duchowych.

**Aśtangajoga** — joga ośmiostopniowa, a także dynamiczny system *hatha jogi*, opracowany przez Krishnamacharyę, a później nauczany przez jego ucznia Sri K. Pattabhi Jois, w którym wykonuje się sekwencję kilku pozycji wraz z oddechem. Wytwarzane podczas ruchu ciepło spala toksyny, dzięki czemu ciało staje się gibkie, jędrne i zdrowe.

**Awatara** — widoczna manifestacja hinduskiego bóstwa.

**Awidja** — błędne mniemanie, ignorancja.

**Bandha** — fizyczne zaciski, które pomagają skierować *agni*, czyli ogień, do wszelkich odpadów czy zanieczyszczeń, blokujących przepływ prany.

**Bhagawadgita** — „Pieśń Pana”, jedna z najważniejszych podstaw filozofii hinduskiej, w którym Krysna wyjaśnia Ardżunie istotę i sens ludzkiego życia i wskazuje mu kierunki *jnana, karma* i *bhaktijogi*.

**Bhagawan** — błogosławiony, Pan.

**Bhadźan** — hinduska pieśń religijna.

**Bhaktijoga**—joga miłości i pobożności.

**Bidi** — tytoń zawinięty w liście i przewiązany nitką.

**Bikram joga** — energiczna sekwencja pozycji opracowana przez Bikrama Choudhury; ćwiczy się je w temperaturze 38 st. C, żeby ułatwić pocenie się, utratę wagi, spalanie toksyn i doprowadzić do większej elastyczności ciała.

**Brahma** —jeden z bogów hinduskiej trójcy, stwórcy świata.

**Brahmaćarja** — czystość i wstrzeźliwość seksualna.

**Brahman** — uniwersalna kosmiczna świadomość, ostateczna pełnia.

**Bramini** — najwyższa kasta hinduskiego społeczeństwa, tradycyjnie z niej wywodzą się kapłani.

**Budda** — dosłownie „oświecony”; dla hinduistów dziewiąty *awatara* Wisznu.

**Bhudźangasana** — „pozycja kobry”; brzuch i dłonie na podłodze, górna część tułowia uniesiona, spojrzenie na wprost.

**Char Dam** — siedem „punktów początkowych”, uważanych przez hinduistów za miejsca święte: Badrinath, Kedarnath, Gangotri i Ya-munotri.

**Chillum** — gliniana fajka z wąskim cybuchem, służąca do palenia marihuany.

**Cit** — świadomość.

**Citta** — umysł.

**Citta writti nirodhah** — druga jogasutra, oznaczająca kontrolowanie lub uśmierzanie aktywności umysłu, tak by można było zobaczyć bez zakłóceń prawdziwe Ja.

**Cai** — indyjska herbata przyrządzana na mleku z dodatkiem cukru i przypraw.

**Czakry (ćakry)** — siedem kręgów energii życiowej, leżących w ciele astralnym wzdłuż *susumny*.

**Caturanga dandasana** — pozycja, w której ciało utrzymywane jest równoległe do podłogi (tak jak przy pompkach).

**Darśan** — audiencja u nauczyciela duchowego.

**Darśany** — dosłownie „sposób widzenia”, sześć głównych nurtów hinduskiej filozofii, z których jedną stanowi joga.

**Dewi** — najwyższa hinduska bogini matka, czczona pod różnymi postaciami, m.in. Sakti, Durga i Kali.

**Dharana** — koncentracja umysłu na jednej rzeczy.

**Dhjana** — medytacja.

**Dhoti** — długi, zwykle biały kawałek tkaniny, zawiązywany przez Hindusów w pasie; czasem jeden koniec przekłada się między nogami.

**Dhurrie** — tradycyjny, gruby dywanik.

**Dosza** — dosłownie błąd, wada. W medycynie ajurwedyjskiej diagnozy dokonuje się na podstawie równoważenia trzech rodzajów energii — te energie to właśnie *dosza*.

**Duhkha** — ból, cierpienie, smutek, skutek ignorancji.

**Durga** — niezwyciężona postać Dewi, piękna, ale groźna, niezależna bogini wojowniczką; na wizerunkach ma zwykle złote ciało, dosiada lwa albo tygrysa, zabija demona w postaci byka, w dziesięciu dłoniach trzyma broń, klejnoty i różaniec.

**Dwipada pitham** — „półmostek”: górna część pleców na podłodze, kolana zgięte, pośladki uniesione.

**Dwesa** — niechęć, obrzydzenie, odrzucanie ludzi lub przeżyć, dlatego że w przeszłości były powodem cierpienia.

**Dźiwa** — indywidualna dusza nieoświecona, błędnie utożsamiająca się z umysłem i ciałem.

**Dźnanajoga** — joga samowiedzy.

**Dźnani** — osoba, która trwa w stanie samowiedzy.

**Eka pada rajakapotasana** — „pozycja gołębia na jednej nodze”: w siadzie jedna stopa jest przyciągnięta do krocza; druga noga wyciągnięta do tyłu i zgięta w kolanie, przy wygięciu pleców stopa zbliża się do czoła.

**Ganeśa** — bóg z głową słonia, wzywany do usuwania przeszkód i zapewniania powodzenia.

**Garudasana** — „pozycja orła”: stojąc\*na jednej nodze, zawijamy drugą stopę na kostkę nogi stojącej, podobnie zaplatamy ręce, przyciskając do siebie łokcie i dłonie.

**Giri pradakszina** — 14-kilometrowa trasa dla pielgrzymów wokół góry Arunaczala.



**Gunda** — wynajęty bandyta.

**Guru** — *od gu* — ciemność i *ru* — światło. Guru to mistrz, który rozświeceni uczniowi ciemność.

**Halasana** — „pozycja pługa”: w leżeniu na plecach ręce i nogi przenosi się za głowę, by palce dotknęły podłogi, ciężar ciała opiera się na barkach.

**Hanumasana w sirśasanie** — szpagat w staniu na głowie.

**Hara** — w zen siedlisko duszy i ośrodek świadomości.

**Hare** — wezwanie do Boga we wszechobecnej formie Wisznu.

**Haridźan** — nazwa nadana przez Gandhiego kaście niedotykalnych, dosłownie „dzieci boga”. Niedotykalni nazywani są też *dalitami*, uciskanymi.

**Hatha joga** — system ćwiczeń fizycznych i kontrolowanego oddechu.

**Hinduizm** — największa religia w Indiach, przez jej wyznawców nazywana *sanathana dharma* albo Wieczną Prawdą. Hinduści wierzą w jedną Najwyższą Istotę, czyli *Brahmana*, który manifestuje się w tysiącach bogów i bogiń. Brahma, Siwa i Wisznu to trzy najważniejsze postacie — podobne nieco do chrześcijańskiej trójcy Ojca, Syna i Ducha Świętego. Celem hinduistów jest wyzwolenie się z cyklu kolejnych narodzin i cierpienia, którego powodem są własne uczynki.

**Hookah** — wodna fajka na tytoń.

**Iddly** — pulchne ciastko ryżowe.

**Iśwara** — najwyższa rzeczywistość, Bóg albo wewnętrzny guru.

**Iśwarapranidhana** — poddanie się najwyższej rzeczywistości.

**Jai (dźai)** — okrzyk powitalny, oznaczający też „niech będzie chwała”. Jamy — pięć zasad moralnych, mówiących nam, jak w codziennym życiu

odnosić się do innych ludzi. Japa — powtarzanie mantr. Jaya — zwycięstwo. Jhula — most.

**Ji (dźi)** — oznaka szacunku i uznania, np. *Gurudźi* — najbardziej szanowany guru.

**Jin-Jang** — symbol dualności życia, w którym jeden element nie może istnieć bez drugiego. Jin jest pasywne, żeńskie, odpowiada żywiołowi wody; Jang jest aktywne, męskie, odpowiada żywiołowi ognia.

**Joga** — od sanskryckiego słowayuj, oznaczającego „sprzęgać”, „ujarzmiać” albo „łączyć” — doprowadzać do jedności umysłu, ciała,

oddechu i duchowości, do jedności pomiędzy świadomością  
indywidualną

i świadomością uniwersalną. Zdyscyplinowana nauka o samourzeczywistnieniu, w której ćwiczysz się koncentracją i jednopunktowaniem umysłu oraz doświadczasz *samadhi*.

**Joga integralna** — sprowadzanie boskiej świadomości do praktykującego, tak by mogła ujawnić się na ziemi i w formie materialnej; oznacza proces transformacji i integracji, który ma prowadzić do nowego społeczeństwa pozbawionego ego.

**Joga Iyengara** — styl jogi stworzony przez B.K.S. Iyengara, charakteryzujący się precyzją wykonywania pozycji i używaniem różnych pomocy (klocki, pasy, koce, liny).

**Joga Sivananda** — system jogi wywodzący się z tradycji *radża* i *hatha*. Stworzony przez Swamiego Vishnu-devanandę, założyciela ośrodków Sivananda Yoga Vedanta i ucznia Sivanandy, hinduskiego twórcę misji Divine Life.

**Jogin** — osoba praktykująca jogę i poddająca się jej dyscyplinie.

**Kali** — groźna bogini hinduska z czerwonym językiem, wężami zamiast włosów, czarnym ciałem i naszyjnikiem z czaszek; niszczy złe duchy i chroni swoich wyznawców.

**Kapalabhati** — dosłownie „oddech świecącej czaszki” lub „oddech miechów”.

**Kapha** — *dosza* wody, wzmacnia *watę ipitę*.

**Karana sharira** — w tradycji wedyjskiej jedno z trzech ciał, będące siedliskiem duszy, wyższego Ja, czystej świadomości, czasem nazywane powłoką szczęśliwości.

**Karma joga** — podejmowanie działań bez przywiązywania się do ich skutków.

**Kathakali** — w Kerali połączenie tańca, muzyki i rytuału, w którym postacie z wymalowanymi twarzami i w niezwykłych kostiumach odgrywają historię z hinduskich epopiej.

**Keet** — spleciona słoma z palm kokosowych, używana do pokrywania dachów.

**Kiesie** — przeszkody, pięć powodów ludzkich chorób i zaburzeń umysłu.

**Krija** — technika oczyszczająca.

**Kryszna** — inkarnacja Wisznu, wesoły pasterz i cudowny kochanek, który oczarował 90 tysięcy pasterek. W *Bhagawadgicie* nauczyciel Ar-dżuny i najwyższy Pan wszechświata.

**Ksiptam** — stan silnego pobudzenia, w którym umysł przypomina motyle.

**Kumbh Mela** — hinduskie święto wypadające raz na 12 lat, uroczyste obchodzone w czterech miastach: Haridwar, Allahabad, Ujjain, Nasik.

**Kumkum** — szkarłatny proszek używany podczas *pudzi* do malowania znaku na czole, uznawany za symbol Dewi, Wielkiej Matki, od której pochodzi wszelkie życie.

**Kundalini** — zwinięty żeński wąż energii; w formie uspiętej leży u podstawy kręgosłupa.

**Kurta padżama** — komplet złożony ze spodni i tuniki z rękawami.

**Laddu** — słodkie racuchy smażone w głębokim tłuszczu.

**Lakszmi** — hinduska bogini bogactwa, małżonka Wisznu.

**Laozi** — chiński filozof z VI w. p.n.e., ojciec taoizmu.

**Lotos (pozycja)** — *padmasana*: pozycja siedząca, w której nogi są skrzyżowane, a stopy opierają się na udach.

**Lungi** — kolorowy, często w kratkę, prostokątny kawałek tkaniny, noszony w Indian przez mężczyzn — owija się go w pasie, czasem składa tak, by miał długość do kolan.

**Ma** — matka.

**Mahamandaleśwar** — w hinduizmie najwyższy poziom duchowej opieki.

**Mahariszi** — szanowany nauczyciel duchowy, mędrzec.

**Mala** — różaniec ze 108 koralików, pomocny przy powtarzaniu mantr.

**Mandir** — hinduska świątynia.

**Manipura ćakra** — czakra ognia, leżąca za pępkiem.

**Mantra** — święta sylaba, słowo lub zdanie, która pomaga się skoncentrować, oczyścić umysł i wznieść go na wyższy poziom.

**Matrimandir** — świątynia Matki.

**Medytacja transcendentalna** — umysł wykracza poza mentalną aktywność, żeby doświadczyć najprostszej formy uważności, tak zwanej Transcendentalnej Świadomości. Podobno jej praktykowanie wysyła harmonijne wibracje wzmacniające pokój na świecie.

**Meera** — wyznawczyni Pana Krysny.

**Mela** — święto hinduskie.

**Mitra** — wedyjski bóg przyjaźni.

**Mudham** — zamglony, bezwładny, nieprzejrzysty stan umysłu, często kojarzony ze stanami depresyjnymi.

**Mudita** — duchowe szczęście, które można osiągnąć dzięki śpiewaniu pieśni religijnych, powtarzaniu mantr albo medytacji.

**Muladhara bandha** — zacisk korzenia albo ziemi, zlokalizowany u podstawy kręgosłupa.

**Muladhara ćakra** — czakra korzenia albo ziemi.

**Nadi** — dosłownie strumień, kanał energetyczny, w którym siła życiowa krąży w ciele.

**Namaste** — tradycyjne pozdrowienie w Indiach, oznaczające: „bóg, który jest we mnie, pozdrawia boga, który jest w tobie”.

**Nandi** — byk Siwy, symbol płodności.

**Nauli** — *krija*, w której mięśnie brzucha poruszają się pionowo i poziomo falistym ruchem.

**Nijamy** — pięć praktyk, które prowadzą do dyscypliny ciała i umysłu.

**Ojas Sakti** — energia hormonalna, która wytwarza blask, jeżeli jest transformowana na wyższy poziom energii duchowej.

**OM** — mistyczna sylaba będąca pierwotnym dźwiękiem wszechświata, najświętsza mantra.

**OM Namó Narajanaja** — Narajanaja to imię Wisznu, a zatem mantra jest hołdem dla Pana Wisznu, obrońcy wszechświata.

**Paan** — orzech betelowy, przyprawy i sok z limonki, zawinięte w liść; żuje się to dla pobudzenia organizmu.

**Panćakarma** — pięć praktyk oczyszczających, które usuwają z organizmu nadmiar *doszy*: *pitty*, *waty* i *kaphy*.

**Parśwa pada sarwangasana** — ciężar ciała spoczywa na barkach, jedna noga za głową, druga noga uniesiona pionowo.

**Patańdźali** — inkarnacja Seszy, przysłany przez Pana Wisznu, żeby zakończyć ludzkie cierpienie. Przekazał ludziom trzy lekarstwa: jogę, ajurwedę i gramatykę sanskrytu.

**Pitta** — *dosza* ognia, tworzy w ciele ogień i światło.

**Pranajama** — praktyki regulujące oddech.

**Pranawa** — nazwa używana na określenie sylaby OM. OM nazywana jest też mantrą *pranawa*.

**Prasad** — dosłownie „łaska”, błogosławiony pokarm rozdawany na zakończenie *pudży*.

**Prem** — miłość.

**Pudża** — nabożeństwo.

**Purusza** — Wieczne Ja, czysta świadomość.

**Radża joga** — joga królewska, w której praktykujący dąży do zapanowania nad swoim umysłem, eliminując identyfikację z osobowością, a wszystko po to, by osiągnąć stan



samourzeczywistnienia. System ten został skodyfikowany przez Patańdzalego w 195 sutrach.

**Raga** — przywiązanie, zwłaszcza do przyjemności.

**Rama** — bohater epickiego poematu *Ramajana*, *aiuatara* Wisznu.  
**Ramakryszna** — czczony i szanowany przywódca religijny, który doprowadził do odrodzenia hinduizmu w XIX w.

**Riszi** — mędrzec, któremu objawiona została mądrość Wed.

**Sadhu** — święty mąż, prowadzący pustelnicze życie, bez stałego miejsca zamieszkania czy domu.

**Sahasrara padma ćakra** — czakra korony usytuowana na czubku głowy, ma 1000 płatków i jest siedliskiem świadomości.

**Samadhi** — najwyższy stan jogi, oświecenie, stan najwyższej koncentracji i spokoju, w którym praktykujący widzi przedmiot medytacji bez zniekształceń oraz jest w jedności z uniwersalną świadomością najwyższego ducha — jak kropla wody w oceanie.

**Samjoga** — zjednoczenie.

**Samkalpa** — nadzieje, oczekiwania, zamiary, wola i motywy; aktywność psychiczna używana do tworzenia *samskara*.

**Samskara** — nawyki i nieświadome uwarunkowania umysłu.

**Sanga** — grupa podobnie myślących poszukiwaczy prawdy.

**Sanskryt** — starożytny język Indii, indyjski odpowiednik łaciny.

**Santoor** — tradycyjny indyjski instrument, „stustrunowa lutnia”.

**Santosza** — radość.

**Saraswati** — małżonka Brahmy, bogini wiedzy i mądrości.

**Sarwangasana** — „świeca”: głowa i barki leżą na podłodze, biodra są wsparte na dłoniach, nogi uniesione pionowo w górę.

**Sat** — niezmienna rzeczywistość, byt, prawda, egzystencja.

**Sat-ćit-ananda** — egzystencja-świadomość-błogość, istota *Brahmana*.

**Satja** — prawdomówność.

**Satsang** — grupa poszukiwaczy prawdy.

**Satwiczny** — czysty, harmonijny, spokojny, zrównoważony; jedna z trzech

*gun*, czyli *cech natury*.

**Sauća** — czystość ciała i umysłu.

**Sawasana** — „pozycja trupa”; relaksacja kończąca praktykę jogi. *-i*

**Sawitri** — hinduska bogini, córka słońca; także tytuł poematu Śri Au-robindo.

**Sirsasana** — stanie na głowie.

**Sitar** — duża indyjska lutnia z długim gryfem.

**Somatics** — ćwiczenia opracowane przez Thomasa Hanę, ucznia Feldenkraisa, poprawiające świadomość ciała.

**Sthiram** — stabilność, czujność, uważność.

**Sthula sharira** — w tradycji wedyjskiej jedno z trzech ciał; ciało fizyczne.

**Sukham** — lekkość, swoboda, wygoda.

**Sukshma sharira** — w tradycji wedyjskiej jedno z trzech ciał; ciało astralne.

**Supramentalna świadomość** — świadomość prawdy, niezbędna dla przemiany życia ziemskiego w życie boskie.

**Susumna** — główny kanał energetyczny biegnący w środku kręgosłupa astralnego, najważniejszy ze wszystkich *nadi*.

**Sutra** — dosłownie „nić”; jogasutry to aforyzmy na temat jogi.

**Swadhjaja**—studiowanie literatury religijnej.

**Swadhisthana ćakra** — czakra wody albo seksu.

**Swami** — mnich, urzeczywistniony nauczyciel.

**Śakti** — małżonka Siwy, żeńska siła twórcza we wszechświecie. Sala — miejsce praktykowania jogi.

**Salwar kamiz** — luźne spodnie i długa tunika, noszone przez kobiety. Santi — pokój.

**Siwa** —jeden z bogów hinduskiej trójcy; Siwa jest niszczycielem, zamieszkującym Himalaje i Waranasi, Panem Jogi.

**Siwa linga** — jedna z czczonych form Siwy. Symbol *jin-jang* przedstawiający wieczne połączenie kosmicznej męskiej i żeńskiej siły oraz mocy twórczej.

**Siwaita**—wyznawca Siwy.

**Sri** — tytuł będący wyrazem szacunku; czcigodny, święty.

**Tabla** — para indyjskich bębenków. <sup>1</sup> Tantra joga—odrzuca zawarty w Wedach pogląd, że *samadhi* można osiągnąć jedynie przez ascezę. Tantrycy wierzą, że ciało jest świątynią boskości i środkiem do osiągnięcia *samadhi*. Tak zwana ścieżka prawej ręki wymaga ścisłej dyscypliny i kładzie nacisk na czystość myśli i uczynków; „ścieżka lewej ręki” (czyli na przykład Osho) jest bardziej liberalna, dopuszcza praktyki seksualne w poszukiwaniu duchowej ekstazy. Tapas — „to, co wytwarza ciepło”, akty oczyszczające, podnoszące duchowy zapach.

**Tara** — żeńska forma Buddy, symbolizująca współczucie; chroni przed cierpieniem.

**Tat Sat** — Jestem, Który Jestem.

**Thali** — danie składające się z kilku potraw podawane na podzielonych na części talerzach.

**Tilaka** — rytualny znak na czole, ma podobno chłodzić miejsce między oczami, uważane za siedlisko wiedzy i koncentracji. Tilakę maluje się, żeby ułatwić medytację i połączenie *Atmana* z *Brahmanem*.

**Tittibhasana** — „pozycja świetlika”: równowagę utrzymuje się na rękach, nogi wyciągnięte w przód na zewnątrz ramion.

**Uddiyana bandha** — zacisk brzuszny.

**Uttanasana** — skłon w przód w pozycji stojącej: w tej pozycji czoło należy

przyciągnąć jak najbardziej do łydek.

**Utthita hasta padangusthasana** — stojąc na jednej nodze, drugą wyciąga

się w przód, a palec stopy chwyta dłońią.

**Vina** — siedmiostrunowy instrument muzyczny.

**Wairagja** — wyrzeczenie się.

**Wata** — *dosza* wiatru, wytwarza energię, życie i ruch w organizmie.

**Wedy** — dosłownie „wiedza”, najstarsze święte księgi hinduizmu (3500 lat p.n.e.), po raz pierwszy jogę nazwano w nich „sprzęganiem”.

**Wieczne Ja**— *Purusza*, stała, niezmienna Jaźń, przeciwieństwo *prakriti*, zmiennego umysłu, ciała i emocji.

**Wipaśjana** — dosłownie „wgląd” albo „jasne widzenie”, medytacja, w której obserwuje się ciało i płynące z niego doznania.

**Wirabhadrasana I** — „pozycja wojownika I”; pozycja stojąca: jedna noga wysunięta w tył, stopa skrzycona pod kątem 45 stopni, druga noga ugięta pod kątem prostym, ramiona na głowę, patrzymy na wprost.

**Wirabhadrasana II** — „pozycja wojownika II”: jedna noga wysunięta w tył, stopa skrzycona pod kątem 45 stopni, druga noga ugięta pod kątem prostym, ramiona i głowa skrzycone pod kątem 180 stopni.

**Wirasana** — „pozycja bohatera”: pozycja siedząca, pośladki między piętami, uda ułożone równolegle.

**Wisznu** —jeden z bogów hinduskiej trójcy, Wisznu jest tym, który utrzymuje wszechświat, pojawił się w dziesięciu *awatarach*, m.in. jako Krysna i Rama.

**Wisznuici** — wyznawcy Wisznu.

**Wiśuddha ćakra** — czakra gardła.

**Wiwek** — wgląd, mądrość.

**Writti** — myśli uniemożliwiające widzenie prawdy.

**Zen** —japońska szkoła buddyzmu.

**Przydatne adresy**

**Wielka Brytania Iyengar Institute**

**223 Randolph Avenue, London W9 1 NL www. [iyi.org.uk](http://iyi.org.uk) • 0207 624 3080**

**Free Spirit Travel—yoga holiday specialists**

**153 Carden Avenue, Brighton BN1 8LA**

**www. [freespirituk.com](http://freespirituk.com) • [info@freespirituk.com](mailto:info@freespirituk.com) • 01273 564 230**

**The Life Centre**

**15 Edge Street, London W8 7PN**

**[www.thelifecentre.com](http://www.thelifecentre.com)**

**[info@thelifecentre.com](mailto:info@thelifecentre.com)**

**[teachertraining@thelifecentre.com](mailto:teachertraining@thelifecentre.com) • 0207 221 4602 Simon Low**

**[www.simonlow.com](http://www.simonlow.com), [www.theyogaacademy.org](http://www.theyogaacademy.org) 02077221682**

**Sivananda Yoga Centre**

**51 Felsham Road, London SW151AZ**

**[www.sivananda.org/london](http://www.sivananda.org/london) • [london@sivananda.org](mailto:london@sivananda.org) • 0208 780**

**0160 Triyoga**

**Primrose Hill: 6 Erskine Road, London NW3 3AJ**

**Covent Garden: Neal's Yard Therapy Rooms, 2 Neal's Yard, London WC2**

**[www.triyoga.co.uk](http://www.triyoga.co.uk) • 0207 483 3344**

Irlandia

**John Hanrahan, instruktur Iyengar jogi**

**21 Church Road, Dalkey, Co., Dublin, Irlandia**

**[johnny69@vodafone.ie](mailto:johnny69@vodafone.ie) • +353 (0)87 687 0105**

**The Care Island Yoga Retreat Centre**

**The Healing Path, Ballytoughey, Clare Island, Co. Mayo, Irlandia**

**[www.yogaholidays.net](http://www.yogaholidays.net) • [bookings@yogaholidays.net](mailto:bookings@yogaholidays.net)  
+353 (0) 928 5412**

Indie GOA

**The Purple Valley Yoga Centre**

**[www.yogagoa.net](http://www.yogagoa.net)**

**KARNATAKA (MYSORE—PATTABHIJOIS, MR  
VENKATESH) Sri K. Pattabhi Jois**

**Ashtanga Yoga Research Institute, nr 235 8th Cross, 3rd Stage,  
Gokulam, Mysore 570002, Karnataka [www.ayri.org](http://www.ayri.org) • +91 821 251  
6756**

**MrVenkatesh**

**Atma Vikasa Centre of Yogic Sciences, Exactly opp. Nalpak  
Restaurant, Kuvempunagar Double road, Mysore 570009,  
Karnataka [www.atmavikasa.com](http://www.atmavikasa.com) • [atmavikasa@eth.net](mailto:atmavikasa@eth.net) • +91 821  
2341978**

**KERALA (AMMA, SIVANANDA) Amma**

**Mata Amritanandamayi Math, Amritapuri P.O. Kollam Dist,  
Kerala 690525**

**[www.amritapuri.org](http://www.amritapuri.org) • [inform@amriapuri.org](mailto:inform@amriapuri.org) • +91476 289  
63399/7578/6278**

**Sivananda Yoga Venanta Dhanwantari Ashram**

**P.O. Neyyar Dam, Thiruvananthapuram 695572, Kerala  
[www.sivananda.org/ndam](http://www.sivananda.org/ndam) • [yogaindia@sivananda.org](mailto:yogaindia@sivananda.org) •  
+91471227 3093**



**MAHARASHTRA (PUNE —B.K.S IYENGAR, OSHO) B.K.S. Iyengar**

**Ramamani Iyengar Memorial Yoga Institute, 1107 B/l Hare Krishna Man-dir Road, Model Colony, Shivaji Nagar, Pune • 411015, Maharashtra Kontakt Pandurang Rao (sekretarz) [www.bksiyengar.com](http://www.bksiyengar.com) • +91202 565 6134**

**Osho**

**Osho International Resort, 17 Koregaon Park, Pune MS 411001, Maharashtra +9120 401 9999 • [www.osho.com](http://www.osho.com) • [resortinfo@osho.net](mailto:resortinfo@osho.net) Dla gości: [www.osho.com/resort/guesthouse](http://www.osho.com/resort/guesthouse) • [reservations@osho.com](mailto:reservations@osho.com)**

**TAMIL NADU (AUROVILLE, T.K.V. DESIKACHAR, RAMANA**

**MAHARISHI)**

**Afsanah's**

**Afsanah's Guesthouse, Kottakarai, Auroville 605111, T.C. Balam, Tamil Nadu**

**[www.afsanah.com](http://www.afsanah.com) • [afsanah\\_gh@auroville.org.in](mailto:afsanah_gh@auroville.org.in) • +91 413 2622 108 Aurobindo Ashram**

**Sri Aurobindo's Ashram, Bureau Central, Information Centre of Sri Aurobindo Ashram, Cottage Complex, 3 Rangapillai Street, Podicherry 605001, Tamil Nadu**

**[www.sriurobindoashram.org](http://www.sriurobindoashram.org) • [bureaucentral@sriurobindoashram.org](mailto:bureaucentral@sriurobindoashram.org) • +91413 339 648**

**Auroville**

**Auroville Universal Township Secretariat, Bharat Nivas, Auroville 605101, Tamil Nadu**

**[www.auroville.org](http://www.auroville.org) • [info@auroville.org.in](mailto:info@auroville.org.in) T.K.V. Desikachar Krishnamacharaya Yoga Mandiram, 31, Fourth Cross Street, R K Nagar, Chen-nai 600 028, Tamil Nadu**

**[www.kym.org](http://www.kym.org) • [studies@kym.org](mailto:studies@kym.org) • +9f 44 2493 3092/246 20202 Down's Syndrome Associaton of Tamil Nadu**

**Mrs Rekha Ramachandran, Mathru Mandir Down's Syndrome of Tamil Nadu, 50 Sriman Srinivasan Road, Alwarpet, Chennai 600 018 [mathrumandir@vsnl.net](mailto:mathrumandir@vsnl.net) • +9144 2498 6824**

### **Ideal Beach Resort**

**Ideal Beach Resort, Mahabalipuram • 603 104, Tamil Nadu**  
**[www.idealresort.com](http://www.idealresort.com) • +91 4114 242240/242443/243043**

### **New Woodlands Hotel**

**New Woodlands Hotel, 72-75 Dr. Radhakrishnan Road, P.B No 626, My-lapore, Chennai 600004, Tamil Nadu**

**[www.newwoodlands.com](http://www.newwoodlands.com) • [reserve@newwoodlands.com](mailto:reserve@newwoodlands.com) • +91 44 28113111 Ramana Maharshi**

**Sri Ramanasramam, Tiruvannamali, Tamil Nadu 606 603**  
**[www.ramana-maharshi.org](http://www.ramana-maharshi.org) • [ashram@ramana-maharshi.org](mailto:ashram@ramana-maharshi.org)**  
**+914175237292/237200**

**UTTARANCHAL (RISHIKES — DIVINE LIFE SOCIETY, VINAY P. MENON, PANKASH, PRIMOD, SHANTIM AYI)**  
**Ananda in the Himalayas**

**The Palace Estate, Narendra Nagar, Tehri Garhwal, Uttaranchal 249175**  
**[www.anandaspa.com](http://www.anandaspa.com) • [sales@anandaspa.com](mailto:sales@anandaspa.com) • +911378 227 500**

### **Ma Anandamayee**

**Kontakt z: dr S.K. Ghosh — Shree Shree Ma Anandamayee Ashram Daksh Mandir Road, P.O. Kankhal, Distt. Hardwar (U.R) 249408**  
**[www.anandamayi.org](http://www.anandamayi.org)**

### **Rudra Dev**

**The Yoga Study Centre, Ganga Vihar, Haridwar Road, Rishikesh 249201**

**+91 135 431196 Divine Life Society**

**P.O. Sivananda Nagar 249192, Distt. Tehri Garhwal, Uttaranchal, Himalaya**

**[www.divinelifesociety.org](http://www.divinelifesociety.org)**

### **The Great Ganga Hotel**

**Muni-Ki-Reti, Rishikesh 249 302, Uttaranchal**

**[www.thegreatganga.com](http://www.thegreatganga.com) • [hotelthegreatganga@yahoo.co.in](mailto:hotelthegreatganga@yahoo.co.in) • +911352442243**

**Jaipur Gems Centre**  
**Lakshman Jhula, Rishikesh 249 302, Uttaranchal • +91135 243**  
**1255 Madras Café**  
**Shivanand Nagar, Tehri Garhwal, Uttaranchal 249 201 • +91135**  
**243 3219 Vinay and Lavenya Menon**  
**Six Senses Spa, Madinat Jumeirah — the Arabian Resort, PO**  
**Box**  
**75157**  
**Dubaj, Emiraty Arabskie**  
**[www.madinatjumeirah.com](http://www.madinatjumeirah.com) • [www.sixsenses.com](http://www.sixsenses.com) • +9714**  
**3668888 Pankash**  
**The Green Hotel, Swargashram Primod**  
**The Yoga Hut, Tapovan Sarai, West Lakshman Jhula Bridge**  
**[Yoga\\_instructor@indiatimes.com](mailto:Yoga_instructor@indiatimes.com) • +91 135 243 6842**  
**Sadhana Mandir Trust (Swami Rama's Ashram)**  
**Ramnagar, P.O. Pashulok, Rishikesh 249 203, Uttaranchal**  
**[sadhanamandir@vsnl.com](mailto:sadhanamandir@vsnl.com) • +91135 431 485/435 799/431 693**  
**ShantiMayi V**  
**Sacha Dham Ashram, Laxman Jhula, P.O. Tapovan Sarai**  
**2491192, Tehri Garhwal Uttaranchal**  
**[www.shantimayi.com](http://www.shantimayi.com) • [omguru2001@yahoo.com](mailto:omguru2001@yahoo.com) • +91 135 433**  
**184**  
**Sivananda Emporium Bookshop**  
**Swargashram 249 304, Uttaranchal • +91135 243 2795**  
**Sonu (właściciel sklepu muzycznego)**  
**Kala Sangam Studio, Ram Jhula, opp. Madras Café, Rishikesh,**  
**Uttaranchal • +91 135 243 4779**  
**Swami Rama Sadhaka Grama (Swami Veda Ashram)**  
**Viii. Virpur Khurd, Virbhadra Road, Rishikesh, Uttaranchal 249**  
**203 [srsg@vsnl.com](mailto:srsg@vsnl.com) • +91 135 450 093/453 030/452 978/79**

**Triveni Travel Services**  
**Buta Ram MD, Haridwar Road, Rishikesh, Uttaranchal**  
**[triveni travels@rediffmail.com](mailto:triveni_travels@rediffmail.com) • 0135 243 0989**  
**Turcja Hazur Vadisi**  
**Gokceovacik, Gokcek 48310, Fethiye [www.hazurvadisi.com](http://www.hazurvadisi.com) • +90**  
**252 644 0008**

## **Dodatkowe lektury**

### **Indie**

**Brown Mick**, *The Spiritual Tourist*, **London: Bloomsbury, 1998.**

**Brunton Paul**, *A Search in Secret India*, **London: Rider 2003.**

**Dalrymple William**, *City of Djinnns*, **London; Flamingo 1994**, *The Age of*

*Kali*, **London: Flamingo 1999.** **Macdonald Sarah**, *Holy Crow —An Indian Adventure*, **Australia: Bantam 2002.** **Mehta Gita**, *Karma Cola*, **India: Penguin 1993.**

### **Przewodniki . -**

**Cushman Anne i Jerry Jones**, *From Here to Nirvana*, **London: Rider 1998.**

### **Joga—teoria i praktyka**

**Cope Stephen**, *Yoga and the Quest for the True Self*, **New York: Bantam 1999.**

**Davis Jeff**, *The Journey From the Center to the Page — Yoga Philosophies and Practices as Musefor Authentic Writing*, **New York, Penguin 2004.**

**Desikachar T.K.V.**, *The Heart of Yoga*, **Rochester: Inner Traditions 1995**, *Reflections on Yoga Sutras of Patanjali*, **India: KYM Publications 2003.**

**Farhi Donna**, *Bringing Yoga to Life*, **New York: HarperCollins 2003.**

**Feuerstein Georg**, *The Deeper Dimension of Yoga*, **Boston: Shambala Publications 2003.**

**Gannon Sharon i David Life**, *Jivamukti Yoga*, **New York: Ballantine 2002.** **Godman David (red.)**, *Be As You Are— The Teaching of Sri Ramana Maharshi*,

**India: Penguin 1992.** **Iyengar B.K.S.**, *Light on Yoga*, **India: HarperCollins 2000.** **Jois Sri K. Pattabhi**, *Yoga Mala*, **New York: Eddie Stern/Patanjali Yoga Shala 2000.**

**Krishna Gopala, *The Yogi — Portraits of Swami Vishnu-devananda*, India: New Age Books 2002.**

**Mascaro Juan (tłum.), *The Bhagavad Gita*, London: Penguin 1962.**

**Osho, *Autobiography of a Spiritually Incorrect Mystic*, New York: St. Martins Press 2001, *From Sex to Superconsciousness*, India: Full Circle Publishing 2003.**

**Pandit M.P., *Dictionary of SriAurobindo's Yoga*, India: Dipti Publications 1973. Saltzman Paul, *The Beatles in Rishikesh*, New York: Viking Studio, Pengu-inPutnam 2000.**

**Schiffman Erich, *Yoga — The Spirit and Practice of Moving Into Stillness*,**

**New York: Pocket Books 1996. Sparrowe Linda, *Yoga, „ A Yoga Journal"* book 2002. Vishnu-devananda Swami, *Meditation and Mantras*, India: Motial Banar-**

**sidass Publishers 2001. Yogananda Paramahansa, *Autobigraphy of a Yogi*, London: Rider 1996.**

## Pozwolenia

**Fragmety z *Auroville Architecture, Towards New Forms For a New Consciousness* za zgodą PRISMA z Auroville ([prisma@auroville.org.in](mailto:prisma@auroville.org.in)).**

**Fragmety z *The Matrimandir*'za zgodą Matrimandir, Auroville ([auroville.org.in](http://auroville.org.in)).**

**Pieśni i fragmety z *Atma Vikasa Instructions for Students* za zgodą Atma Vikasa Centre of Yogic Sciences ([www.atmavikasa.com](http://www.atmavikasa.com)).**

**Zgody na publikację pieśni *Jaya Ganesha z Sivananda Yoga Vedanta Satsung Chant Book* udzieliło Sivananda Yoga Vedanta Centre ([www.siva-nanda.org/london](http://www.siva-nanda.org/london)).**

**Zgody na umieszczenie cytatów z *Reflections on Yoga Sutra-s of Patanjali* Shri T.K.V. Desikachara udzieliło wydawnictwo Krishnamacha-*raya Yoga Mandiram* ([www.kym.org](http://www.kym.org)).**

**Zgody na umieszczenie cytatów z *Shri Krishnamacharaya — the Legend Lives On* udzieliło wydawnictwo Krishnamacharaya Yoga Mandiram.**

**Zgody na umieszczenie cytatów z *Gopala Krishna, The Yogi — Portraits***

**of Swami Vishnu-devananda, udzielił wydawca Yes International Publishers of USA ([www.yespublishers.com](http://www.yespublishers.com)). Fragmety z *A Search in Secret India* Paula Bruntona publikowane za Rider.**

**Wykorzystano za zgodą The Random House Group Limited ([www.randomhouse.co.uk](http://www.randomhouse.co.uk)).**

**Fragmety z *The Songs of the Poppadam* Ramana Maharishiego pochodzą**

**z *Collected Works of Ramana Maharshi*, red. Arthur Osborne, wyd. Sri Ramanasramam. Wykorzystane za zgodą przewodniczącego, Sri Ramanasramam, Tiruvannamalai**

**([www.ramana-maharshi.org](http://www.ramana-maharshi.org)). Fragmety z *Sri Maharshi A Short Life Sketch*, wyd. Sri Ramanasramam.**

**Wykorzystane za zgodą przewodniczącego, Sri Ramanasramam, Tiruvannamalai.**

**Fragmety z *Be As You Are — The Teaching of Sri Ramana Maharshi*, Davida Godmana, wyd. Penguin. Wykorzystane za zgodą przewodniczącego, Sri Ramanasramam, Tiruvannamalai.**

**Fragmenty z *Dictionary of SriAurobindo's Yoga* M.P. Pandita, wyd. Dipti Publications, Sri Aurobindo Ashram, Pondicherry, zamieszczone za zgodą Sri Aurobindo Ashram Trust ([www.sriurobindioashram.org](http://www.sriurobindioashram.org)).**

**Fragmenty z filmu *Wielki błękit* za zgodą Société Gaumont, Francja ([www.gaumont.fr](http://www.gaumont.fr)).**



## Podziękowania

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie moi pisarscy guru, Chris Stewart i Ian Merchant, którym jestem winna morze alkoholu. Przeczytawszy pierwszą wersję, z dzikim entuzjazmem przekazali mi nazwiska swoich wydawców i agentów, stanowczo przy tym zapewniając, że mi się uda.

Nie mniejszy zapal okazała dwójka cudownych agentów, Annette Green i David Smith, a po nich równie cudowna redaktorka w wydawnictwie Ebury, Hannah MacDonald, jej asystentka Claire Kingston, Caroline Newbury z działu reklamy, Dawn Burnett z działu marketingu oraz Ken Barlow, który zajmował się wszystkim innym.

Dziękuję swojej rodzinie. Tacie za to, że przekazał Lucy in the Sky with Diamonds miłość do książek i przygód — czytając mi opowieści o dalekich krajach, w których ciekawskie dzieci zapuszczały się na niebezpieczne tereny, wędrowały przez ukryte podziemne przejścia i odwiedzały tajemnicze zamki. Dzieci te dokonywały bohaterskich czynów i zawsze punktualnie wracały do domu na podwieczorek. Mamie dziękuję za jej inteligencję, za pełne humoru obserwacje, za to, że dla sprawy poświęciła swoją pracownię, za testowanie przepisu na muffinki, za przygotowywanie niezliczonej liczby kanapek i za masowanie mojego obolałego karku. Dziękuję Oliverowi za bezinteresowne próbowanie muffinek, czytanie wszystkiego, co napisałam i oszczędne używanie czerwonego długopisu. Nikki dziękuję za skrupulatne pilnowanie porządku w moim różowym segregatorze. Jestem głęboko wdzięczna Torii i Jo, Tomowi i Jo, Matthew, cioci Phyllis i Hildzie za niezachwiane wsparcie, a Teddyemu za świetlisty uśmiech.

Simon Low wprowadził mnie w świat jogi (co odmieniło moje życie), pomagał mi w zdzieraniu kolejnych warstw cebuli i zawsze był na miejscu z pudełkiem chusteczek, kiedy robiło się ciężko. Jego pracę kontynuowała Jen Norman, prawdziwa Bogini Jogi, podtrzymując mnie, gdy zdarzało mi się tracić równowagę.

Dziękuję swoim Kawowym Guru — Paoli de Carolis, Natashy Harvey, Pii Jones, Danielle Roffe — za to, że we mnie wierzyły i z bezgraniczną cierpliwością reagowały na moje lęki i obawy.

Norman Blair, Graham Burns, Daniel Cook, Paola de Carolis, Jen i Jeff Phénix oraz Pia Jones podjęli się trudu przeczytania pierwszego szkicu, szczerze i w sposób bardzo konstruktywny wyrażali swoją krytykę, nie podśmiewając się przy tym — przynajmniej nie w mojej obecności. Jestem ogromnie wdzięczna wszystkim, którzy czytali moje długie e-maile, a potem zachęcali mnie, by ułożyć z nich książkę. Oprócz tych, których już wymieniłam, są to: Magnus Blair, Mark Bridgeford, Nik Elsome, Matt Fone, Nigel Gilderson, Andy Glynn, Sophie Grenville, Ruth Hassall, Sarah Hatherley, Wrenne Hiscott, Anna Hughes, Clare Hutchinson, Susan Lynch, Nicky May, John McDonald, Gareth Miles, Princess Cassie Moore, Christophe Mouze, Jenifer Otwell, Clare Roberts, Katie Sutton, Miles i Louise Taylor, Rosie Walford oraz Lawrence Webb. Dziękuję studentom jogi, których poznałam po drodze — przy nich bycie tą najgorszą w klasie okazało się świetną zabawą. Są to następujące osoby: Maria Lusia Marcadar Albert, Runa Basu, Sarah Batho, Leif Bremark, Reid Bruggemann, Annabel Chown, Linda Cope, Jeff Davis, Michael Dinuri, Chris Drynan, Sharon Elias, Egil Eriksen, Dermot Feenan, Bruce Goodison, Marion Gourlay, Emma Henry, Tracy Jeune, Gaultier Lechelle, Tiffany Lee, Sara Moloney, Pia Maggerud, Sachiyo Munechika, Matt Nash, Christine Nystrup, Wendy Pryke, Irene i Scott Sadler, Marta Salo-nidou, Christine Schlenker, Daniel Sharon, Cory Smith, AnnaTjarnberg, Mollie Tribell, Otto Vogt, Jude Warren, Masako Yamano, a także Simon Lambert, który wprawdzie nigdy jogi nie ćwiczył, ale i tak był cudowny. Dziękuję członkiniom założycielkom Ladies' Society — Alison Glynn, Marii Glynn, Heather McColm, Ness Merritt, Kerst Morris, Liz Walker — za czułe pożegnanie, a potem powitanie tyłoma butelkami pinot grigio.

Jestem wdzięczna Grahamowi Burnsowi, Elizabeth Stanley i Frances Ruffelle za ich gościnność i za to, że nie przeraziła ich wielkość moich walizek, kiedy stanęłam w drzwiach ich domu.

Dziękuję organizatorom i osobom prowadzącym zajęcia na kursie pisar-

skim Arvon Foundation w maju 2003 roku, a zwłaszcza wspaniałej Janet Hodgson oraz Dei Birkett i Paulowi Hylandowi.

Wyrazy głębokiego szacunku należą się Society of Authors za ich fachową pomoc w przedzieraniu się przez zawiłości przeróżnych umów i pozwoleń. Kara May zaskarbiła sobie moją wdzięczność za wsparcie na wybiegach i podczas przyjęć.

Dziękuję Kevinowi Woodowi za entuzjazm, z jakim tworzył moją stronę internetową.

Wyrazy miłości i wdzięczności kieruję do wszystkich „zwykłych” ludzi, których spotkałam w Indiach. Są to: Mahipal Singh Bisht, Vinay i Lavenya Menon, Gabriel von Radloff, Swami Shiva Swaroopananda, uczniowie i nauczyciele Krishnamacharya Yoga Mandiram oraz Goupi — dzięki wam jestem pewna, że połączenie z kosmiczną szczęśliwością jest możliwe, jak nie w tym, to w następnym życiu.

I na koniec dziękuję wszystkim uczniom jogi na całym świecie. Mam nadzieję, że pewnego dnia dane nam będzie ćwiczyć obok siebie. Jak by powiedział Henri: „*Aicha!* OM! Bom!”